

Powieść, której nie zapomnisz - USA Today

Lisa
GENOVA

KOCHAJĄC SYNA

Pamiętaj, czego się nauczyłaś i znów się zakochaj.
Znajdź kogoś do pokochania i obdarz go bezwarunkową miłością.
Po to właśnie istniejemy.

*Powieści Lisy Genovy są tak prawdziwe... Kochając syna ,
podobnie jak poprzednie jej książki, jest pięknie napisana
i przejmująca aż do bólu.*

„USA Today”

*Pisarstwo Genovy z każdą kolejną książką
staje się coraz mocniejsze.*

Melissà's Book Picks

*Kochając syna złamało mi serce. Jeżeli nie zetknęliście się jeszcze
z twórczością Lisy Genovy – poznajcie swoją nową ulubioną
autorkę, czarodziejkę słowa.*

Heidi W. Durrow, *The Girl Who Fell from the Sky*

*Autyzm jest zagadką bez odpowiedzi (...). To samo można
powiedzieć o miłości. Ta książka przewróciła do góry nogami
moje postrzeganie tych dwóch zjawisk, sprawiła, że czułam
umysłem, a myślałam sercem.*

Jamie Ford, autor bestsellerowej powieści

„New York Timesa” zatytułowanej
Hotel on the Corner of Bitter and Sweet

Lisa
GENOVA

**KOCHAJĄC
SYNA**

Przełożyła Joanna Dziubińska



**Dla Tracey
Pamięci Larry'ego**

PROLOG

W październikowy weekend, w który wypadał Dzień Kolumba, szczęśliwie trafiła im się świetna pogoda, piękne babie lato. Siedziała na plażowym krześle z wyprostowanym oparciem i zagłębiała pięty w gorącym piasku. Rozciągający się przed nią ocean lśnił w słońcu na biało i srebrno. W oddali nie widać było łodzi rybackich ani jachtów, przy brzegu nie pływali kite-surferzy, nikt się też nie kąpał. Widać było tylko morze, a ona oddychała głęboko.

Nasyć się tym.

Jej trzy córki były zajęte budowaniem zamku z piasku. Bawiły się za blisko wody. Za godzinę zamek zniszczą fale, ale dziewczynki nie chciały słuchać ostrzeżeń matki.

Najstarsza, prawie ośmioletnia córka była architektem budowli i głównodowodzącą. *Tu dodać piasku. Tam wstawić piórko. Znajdźcie muszelki na okna. Ten dołek musi być głębszy.*

Młodsze dziewczynki były jej oddanymi pracownicami.

– Więcej wody!

Najmłodsza, która ledwie skończyła cztery lata, uwielbiała przydzielone jej zadanie. W podskokach udała się nad wodę z wiaderkiem w dłoni, wbiegła do oceanu po kolana i napełniła kubek. Męcząc się z jego ciężarem i rozlewając po drodze przynajmniej połowę wody, pijanym krokiem wróciła do sióstr, uradowana swoim wkładem w przedsięwzięcie.

Uwielbiała obserwować córki, kiedy były tak pochłonięte zabawą, że nie wiedziały, że są obserwowane. Podziwiała, jak ich młode ciała, odziane w dziecięce bikini i wciąż mocno opalone po minionych wakacjach, podskakują, kucają, schylają się i siadają bez krztyny skrępowania.

Dobra pogoda, która zbiegła się z kilkoma wolnymi dniami, ściągnęła na wyspę wielu turystów. W porównaniu z ostatnimi tygodniami po Święcie Pracy tego dnia plaża wydawała się tłoczna od spacerowiczów i opalających się. Jedynie wczoraj szła tym samym piaszczystym szlakiem i przez niemal półtorej godziny spotkała tu tylko jedną osobę. Było to jednak w mglisty i chłodny piątkowy poranek.

Zaczęła przyglądać się kobiecie, która siedziała na podobnym plażowym krześle bliżej wody, i jej bawiącemu się samotnie synkowi. Chłopiec był chudziutki i drobny, nie miał na sobie koszulki, tylko niebieskie kąpielowe szorty. Wydawał się młodszy o mniej więcej rok od najmłodszej z dziewczynek. Układał na piasku rząd białych kamyków.

Za każdym razem, gdy fala zatapiała je białą pianą, chłopiec zaczynał podskakiwać i piszczeć, po czym wbiegał do wody, jakby ją gonił, i wracał na swoje miejsce z ogromnym uśmiechem na buzi.

Nadal mu się przyglądała, zafascynowana nim z niewiadomego powodu, podczas gdy chłopiec ostrożnie dokładał kolejne kamyki.

– Gracie, biegnij zapytać tamtego chłopca, czy chce wam pomóc zbudować zamek.

Śmiała i posłuszna Gracie podbiegła do chłopczyka, podskakując. Kobieta patrzyła na córkę, która podpierając dłonie na biodrach, mówiła do chłopca. Była jednak zbyt daleko, by ją usłyszeć. Chłopiec wydawał się nie zwracać na nią uwagi. Jego matka na chwilę odwróciła się.

Gracie sama wróciła do ich koca.

– On nie chce.

– W porządku.

Wkrótce ocean zaczął zjadać zamek, a dziewczynki i tak zdążyły się znudzić jego budową i zaczęły narzekać, że robią się głodne. Zbliżała się pora lunchu, a ona nie wzięła ze sobą żadnego jedzenia. Czas wracać.

Zamknęła oczy i wciągnęła do płuc ostatni, ciepły, czysty i słony wdech, po czym wypuściła go i wstała. Zebrała kilka rozrzuconych łopatek i foremek i poszła z nimi, żeby je wypłukać w oceanie. Pozwoliła wodzie dotknąć jej stóp. Była porażająco zimna. Opłukując zabawki córek, rozglądała się po piasku za muszelkami i morskim szkłem, jakimś pięknym drobiazgiem, który mogłaby zabrać do domu.

Niczego nie znalazła, na piasku dostrzegła za to pojedynczy, błyszczący, biały kamyczek. Wzięła go do ręki. Był owalny i idealnie gładki. Podeszła do chłopczyka, pochyliła się nad nim i delikatnie położyła kamyczek na końcu ułożonego przez niego rzędu.

Chłopiec spojrział na nią tak szybko, że łatwo byłoby nie zauważyć jego olśniewających brązowych oczu pobłyskujących w słońcu, zachwyconych takim wkładem w jego zabawę. Podskoczył i zaczął piszczeć, machając dłońmi w radosnym tańcu.

Uśmiechnęła się do matki chłopca, która odwzajemniła gest. Jej uśmiech był jednak powściągliwy i strudzony. Nie zachęcał do nawiązania rozmowy. Była pewna, że nie zna tej kobiety ani jej synka, nie miała też żadnego powodu myśleć, że kiedykolwiek się jeszcze spotkają, ale mimo to na odchodne pomachała do ich, mówiąc z pełnym przekonaniem:

– Do zobaczenia.

ROZDZIAŁ 1

Beth siedziała sama w domu, nasłuchując burzy i zastanawiając się, co robić dalej. Tak naprawdę nie była całkiem sama – na górze spał Jimmy – ale tak się czuła. Była dziesiąta rano i dziewczynki dawno pojechały już do szkoły, a Jimmy mógł spać przynajmniej do południa. Beth zwinęła się kłębek na kanapie i rozmyślała, sącząc gorące kakao z dużego, niebieskiego kubka i obserwując ogień w kominku.

Deszcz i piasek uderzały o okna niczym szturmujący dom wróg. Dzwonki wietrzne wygrywały powtarzalną, szaloną muzykę niosącą się wraz z wichurą od domu któregoś z dalej mieszkających sąsiadów. Wiatr wył niczym zrozpaczone, zbolące zwierzę. Zrozpaczone, zbolące dzikie zwierzę. Zimowe burze na Nantucket naprawdę były dzikie. Dzikie i gwałtowne. Kiedyś ją przerażały, ale to było lata temu, kiedy dopiero co się tu sprowadzili.

Grzejnik syczał. Jimmy chrapał.

Beth zdążyła już zrobić pranie, dziewczynki miały wrócić do domu dopiero za kilka godzin i było za wcześnie, by szykować obiad. Cieszyła się, że poprzedniego dnia zrobiła spożywcze zakupy. Trzeba było odkurzyć cały dom, ale Beth postanowiła poczekać z tym, aż Jimmy się obudzi. Wrócił z pracy dopiero o drugiej nad ranem.

Szkoda, że nie miała powieści na następne spotkanie klubu książki. Ciągłe zapominała wstąpić do biblioteki, by ją wypożyczyć. Ich lekturą z ostatniego miesiąca był *Dziwny przypadek psa nocną porą* Marka Haddona. Szybko się czytało tę poniekąd kryminalną powieść, której narratorem jest nastolatek z autyzmem. Książka przypadła Beth do gustu, w szczególności zaś fascynował ją dziwny wewnętrzny świat głównego bohatera, miała jednak nadzieję, że kolejna lektura będzie nieco lżejsza. Zwykle wybierały na ich spotkania ambitną literaturę, ale Beth nie pogardziłaby teraz jakąś miłą odskocznią w wakacyjne romansidło. Wszystkim im by się to przydało.

Przestraszyło ją głośnie stukanie na tyłach domu. Grover, ich czarny labrador, który spał na plecionym dywanie, uniósł głowę.

– Wszystko w porządku, Grove. To tylko krzesło tatusia.

Wiedząc, że nadciąga silna burza, poprzedniego wieczoru Beth poprosiła Jimmy'ego, by wniósł swoje krzesło do domu, zanim pójdzie do pracy. Było to jego „krzesło do palenia cygar”. We wrześniu jeden z letników zostawił je na poboczu z tabliczką „ZA DARMO” i Jimmy nie potrafił się oprzeć. Był to zwykły rupieć. Cedrowe krzesło adirondack. Gdziekolwiek indziej to krzesło przetrwałoby lata, ale na Nantucket wilgotne i słone powietrze w końcu niszczyło wszystko prócz najtrwalszych, wytworzonych przez człowieka materiałów kompozytowych. Trzeba być niezwykle twardym, by tu przetrwać. I mieć trochę nie po kolei w głowie.

Zatęchłe i przeżarte krzesło Jimmy'ego powinno było znaleźć się na śmietniku, a przynajmniej w garażu, jak rozsądnie zasugerowała wczoraj Beth. Zamiast tego wiatr

przed chwilą porwał krzesło i rzucił nim o dom. Beth zastanawiała się, czy nie wstać i zatargać krzesło do garażu, ale do głowy wpadła jej lepsza myśl. Może burza roztrzaska je na kawałki. Nawet gdyby tak się stało, Jimmy bez wątpienia znalazłby sobie nowe krzesło, w którym mógłby palić swoje cuchnące cygara.

Starala się delektować kakao, burzą i ogniem, czula jednak wewnętrzny przymus, by coś zrobić. Nie mogła wymyślić, do czego się zabrać. Podeszła do kominka i wzięła do ręki swoje ślubne zdjęcie. Państwo Jimmy i Beth Ellisowie. Czternaście lat temu. Miała wtedy dłuższe i jaśniejsze włosy. Jej cera była bez zarzutu. Żadnych rozszerzonych porów, wyprysków, zmarszczek. Dotknęła swoich trzydziestośmioletnich policzków i westchnęła. Jimmy wyglądał bosko. Nadal tak wygląda, przynajmniej zazwyczaj.

Beth przyglądała się jego uśmiechowi na zdjęciu. Miał lekką wadę zgryzu, a jego kły były delikatnie wysunięte do przodu. Kiedy go poznała, Beth uważała, że te niedoskonałe zęby dodają Jimmyemu uroku, dopełniając jego surową męską urodę, jednocześnie nie robiąc z niego dziwaka. Miał na ustach pewny siebie, łobuzerski, pełen uśmiech, którego wywołanie wymaga zwykle od ludzi – a właściwie kobiet – sporego wysiłku.

Po jakimś czasie jednak zęby zaczęły jej przeszkadzać. Sposób, w jaki oblizywał je po jedzeniu. To, jak przeżuwał z otwartymi ustami. To, jak wystawały mu kły. Czasem Beth łapała się na tym, że przygląda się im, kiedy Jimmy mówi, pragnąc, by zamknął usta. Na zdjęciu jego zęby były śnieżnobiałe, teraz jednak zrobiły się beżowe od wieloletniego traktowania codzienną kawą i cuchnącym cygarem.

Jego niegdyś piękne zęby. Jej niegdyś piękna cera. Jego irytujące nawyki. Ona też je miała. Beth wiedziała, że jej czepialstwo doprowadza go do szału. Takie rzeczy działały się z ludźmi, którzy się starzeją i są małżeństwem od czternastu lat. Beth odwzajemniła uśmiech Jimmyego na zdjęciu i odstawiła ramkę na gzyms kominka, trochę bardziej na lewo niż stało wcześniej. Zrobiła krok do tyłu. Wydeła usta, mierząc wzrokiem długość gzymsu.

Gzyms nad ich kominkiem zrobiony był z zawieszzonego nad paleniskiem, mierzącego niemal dwa metry kawałka drewna, który morze wyrzuciło na brzeg. Znaleźli go kiedyś na plaży Surfside tamtego pierwszego lata. Jimmy podniósł go i powiedział:

– Powiesimy to kiedyś nad kominkiem w naszym domu. – Pocałował ją, a ona mu uwierzyła. Znali się wtedy dopiero od kilku tygodni.

Nad kominkiem znajdowały się tylko trzy zdjęcia, wszystkie w pasujących do siebie postarzanych białych ramach – po lewej znajdowało zdjęcie Grovera, kiedy miał sześć tygodni, Beth i Jimmy stali pośrodku, a po prawej – portret Sophie, Jessiki i Gracie, które stoją na plaży ubrane w białe bluzeczki i różowe cygańskie spódniczki w kwiatowy wzorek. Zrobiono je tuż po drugich urodzinach Gracie, osiem lat temu.

– Jak ten czas szybko leci – powiedziała Beth do Grovera.

Po lewej stronie zdjęcia Beth i Jimmy'ego leżała wielka brzoskwinioworóżowa rozgwiazda, którą Sophie znalazła przy latarni morskiej Sankaty, po prawej zaś równie wielka muszla łodzika w idealnym stanie. Beth znalazła ją przy latarni Great Point w tym samym roku, kiedy ona i Jimmy się pobrali, i chroniła ją przez trzy przeprowadzki. Od tamtego czasu Beth znalazła wiele takich muszli, ale wszystkie miały skazy. Tak wyglądała ich aranżacja nad kominkiem i nic innego nie miało prawa tu leżeć.

Beth znów poprawiła zdjęcie ślubne, przesuwając je w prawo i zrobiła krok w tył. O tak. Tak lepiej. Znajdowało się na samym środku. Wszystko wygląda tak, jak powinno.

I co teraz? Stała, czując buzującą wewnątrz energię.

– Chodź, Grover. Pójdziemy po pocztę.

Na zewnątrz od razu pożałowała swojego pomysłu. Wiatr przewiewał przez jej najporządniejszą wiatroszczelną zimową kurtkę, jakby była sitem. Po plecach przeszedł jej dreszcz i zaczął mrozić ją aż do kości. Deszcz zacinał pod kątem, uderzając ją po twarzy i sprawiając, że trudno jej było patrzeć, gdzie idzie. Biedny Grover, który jeszcze kilka chwil temu spał zadowolony przy kominku, zaczął skomleć.

– Wybacz, Grove. Zaraz wrócimy do domu.

Skrzynki pocztowe znajdowały się prawie kilometr od domu. Sąsiedztwo Beth zamieszkiwała garstka rezydentów, ale wzdłuż drogi do skrzynek mieszkali głównie letnicy. O tej porze roku domy były puste i ciemne. W oknach nie paliły się światła, z kominów nie unosił się dym, na podjazdach nie stały samochody. Wszystko wydawało się pozbawione życia i bure. Niebo, ziemia, sfatygowane cedrowe gonty na każdym pustym, ciemnym domu, ocean, którego nie mogła teraz zobaczyć, choć czuła jego zapach. Wszystko było szare, a ona od lat nie mogła się do tego przyzwyczaić. Męcząca ponurość zimy na Nantucket wystarczyła, by doprowadzić na skraj załamania nawet najsilniejszy umysł. Nawet najdumniejsi miejscowi, którzy z całego serca kochali tę wyspę, w marcu zaczęli wątpić.

Po cholerę mieszkamy na tym burym piachu gdzieś na końcu świata.

Wiosna, lato i jesień wyglądały inaczej. Wiosna przynosiła żółte żonkile, lato błękitne greckie niebo, jesień rdzawoczerwone żurawinowe mokradła. I wszystkie przyciągały turystów. Oczywiście turyści mieli też i złe strony. Ale przynajmniej odwiedzali wyspę, a z nimi pojawiało się życie! Wyjeżdżali po bożonarodzeniowym jarmarku. Powracali na stały ląd i dalej, do miejsc, w których istnieją McDonaldy, centra handlowe oraz sklepy i restauracje, które nie zamykały się w styczniu. I kolory. Istniały tam też kolory.

Zziębnięta, przemoczona i nieszczęśliwa Beth dotarła do szeregu szarych skrzynek pocztowych, które stały przy drodze, otworzyła swoją, wyciągnęła z niej trzy koperty i szybko schowała je do kieszeni, żeby ochronić je przed deszczem.

– Chodź, Grove. Do domu!

Odwrócili się i ruszyli po swoich śladach. Wiatr i deszcz teraz uderzały ją w plecy, więc mogła patrzeć przed siebie, a nie tylko na swoje stopy. Dostrzegła, że z naprzeciwka ktoś zmierza w ich stronę. Zastanawiała się, kto to taki.

Im bardziej się do siebie zbliżali, tym większej Beth nabierała pewności, że to kobieta. Większość znajomych Beth mieszkała na środku wyspy. Jill mieszkała w Cisco, które znajdowało się niedaleko, ale w przeciwną stronę, w kierunku oceanu. Ta kobieta zresztą była za niska na Jill. Miała na sobie czapkę, szalik, którym owinęła usta i nos, parkę i wysokie buty. W takim ubraniu trudno byłoby rozpoznać kogokolwiek, ale Beth pomyślała, że musi znać tę osobę. Niewiele było ludzi, którzy przy takiej pogodzie w marcowy czwartek mogliby chodzić po tej okolicy. Na wyspie nie było weekendowych turystów, ani nawet takich, którzy przyjechali na jednodniową wycieczkę.

Choć dzieliło je tylko parę metrów, Beth nadal nie mogła jej rozpoznać. Widziała tylko długie, czarne włosy kobiety. Nastawiając się na powitanie, Beth już zaczęła się uśmiechać, ale kobieta patrzyła pod nogi, unikając kontaktu wzrokowego. Beth nie przywitała się i czuła głupio, że się uśmiechała. Grover odłączył się na chwilę, żeby obwąchać nieznajomą, ale kobieta minęła ich zbyt szybko, by oboje zdążyli się dowiedzieć o niej czegoś więcej.

Nadal ciekawa po kolejnych kilku krokach Beth spojrzała przez ramię. Kobieta stała przy skrzynkach pocztowych na samym końcu.

– Pewnie jest z Nowego Jorku – powiedziała pod nosem, odwracając się i kierując ku domowi.

Kiedy weszli do środka, Grover otrząsnął się z wody, chlapiąc we wszystkie strony. Normalnie zbeształaby go za ta takie zachowanie, ale tego dnia nie miało to znaczenia. Kiedy tylko uchyliła drzwi, do przedsionka dostało się tyle wody, jakby ktoś chlusnął wiadrem. Beth ściągnęła kurtkę, z której na podłogę wypadła poczta, i zrzuciła buty. Była przemoczona do suchej nitki.

Ściągnęła mokre skarpetki i dżinsy, rzuciła je do pralni i ubrała się we flanelowe spodnie od piżamy i parę kapci. Rozgrzana, sucha i od razu pogodniejsza, wróciła do drzwi i podniosła z podłogi rozrzucone koperty, po czym siadła z nimi na kanapie. Grover położył się znów na swoim plecionym dywaniku.

W pierwszej kopercie przyszedł rachunek za ogrzewanie, pewnie wyższy niż ich miesięczna rata za dom. Beth postanowiła, że otworzy go później. W następnej znajdował się katalog Victoriàs Secret. W święta trzy lata temu zamówiła u nich stanik push-up, a oni nadal przysyłali jej katalogi. Wrzuci go do ognia. Ostatnia koperta została do niej ręcznie zaadresowana. Otworzyła ją. W środku znajdowała się kartka urodzinowa, na której awersie widniał rysunek tortu.

Niech Ci się spełnią wszystkie życzenia.

To dziwne, pomyślała. Jej urodziny wypadły dopiero w październiku.

Słowa „Wszystkiego najlepszego” w środku zostały przekreślone niebieskim długopisem pewnym ruchem ręki. Pod spodem ktoś napisał:

Sypiam z Jimmym

PS On mnie kocha.

Ponowne przeczytanie wiadomości i upewnienie się, że dobrze rozumie to, co czyta, zajęło jej kilka sekund. Czuła, jak kołacze jej serce, kiedy jeszcze raz podniosła kopertę. Kto to przysłał? Nie było adresu zwrotnego, ale list nadano na pocztę na Nantucket. Nie rozpoznała charakteru pisma. Litery były wyraźne i ozdobne – kobiety. Kochanki.

Trzymając kopertę w jednej, a kartkę w drugiej dłoni, spojrzała na gzyms kominka i jej ustawione na samym środku zdjęcie ślubne i przełknęła ślinę. Zaschło jej w ustach.

Wstała i podeszła do kominka. Odsunęła żeliwny parawan. Wrzuciła do ognia katalog bielizny i patrzyła, jak brzegi kartek zwijają się i blakną w płomieniach, aż w końcu stały się szarym popiołem. Zniknęły. Beth zgmiotła w dłoni kopertę i kartkę. Dłonie jej się trzęsły. Gdyby spaliła kartkę, mogłaby udawać, że nigdy jej nie z widziała. Że to się nigdy nie wydarzyło.

Beth poczuła przypływ niespodziewanych emocji. Strachu i wściekłości, paniki i upokorzenia. Poczła mdłości, jakby miała zaraz zwymiotować. Nie poczuła jednak zaskoczenia.

Zamknęła parawan. Z kartką i kopertą zaciśniętymi w pięści poszła po schodach, stawiając głośno każdy krok, gdy kierowała się w stronę pochrapywania Jimmy'ego.

ROZDZIAŁ 2

Olivia ściągnęła z siebie wszystko prócz bielizny i włożyła dresowe spodnie, skarpetki i jej ulubioną, starą bluzę z logo Boston College. Sucha, ale wciąż zmarznięta szybko zeszła do salonu i wcisnęła guzik na pilocie od kominka. Stała przed momentalnie powstałym płomieniem, czekając i czekając. Nadal nie czuła jednak żadnego ciepła. Dotknęła szklanej tafli dłonią. Była ledwie ciepła. To David wpadł na pomysł, by zamienić zwykły kominek na gazowy. Miał być lepszy dla lokatorów. Wygodniejszy, mniej kłopotliwy.

Choć mieli ten domek od jedenastu lat, nigdy właściwie nie mieszkali tu z Davidem. Kupili go jako inwestycję, zanim na rynku nieruchomości nastąpił boom i ceny strzeliły w górę. David, absolwent ekonomii, który niechętnie przejął rodzinny interes – handel nieruchomościami – zawsze miał oko na posiadłości z potencjałem. Ciągłe powtarzał – lokalizacja jest najważniejsza. Znajdował dom do remontu w odpowiedniej okolicy, kupował go, zatrudniał ekipę remontową do odnowienia kuchni i łazienek, malował pokoje i fasadę, po czym go sprzedawał. Jego celem zawsze było szybko doprowadzić dom do porządku, na frontowym trawniku wbić tablicę z napisem „Na sprzedaż” i zainkasować ładną sumkę.

Nantucket traktował jednak inaczej. Jako że połowa wyspy znajdowała się pod ochroną architektoniczną i przyrodniczą, pod zabudowę pozostawało niespełna sto trzydzieści kilometrów kwadratowych gruntu, David nie chciał więc szybko pozbywać się tego domu. Zapewnił Olivię, że wartość nieruchomości nigdy nie spadnie poniżej tego, ile za nią zapłacili. Dom sam w sobie niczym się nie wyróżniał – skromne trzy sypialnie, z których ani one same, ani ich rozkład nie miały w sobie niczego wyjątkowego. Ale położona niespełna półtora kilometra od plaży Grubasek nieruchomość to wysoce pożądana wakacyjna miejscówka, a David trafnie przewidział, że z pieniędzy za wynajem będą w stanie opłacić roczną hipotekę, a nawet więcej.

„ To dobra inwestycja na przyszłość” – mówił w czasach, kiedy jeszcze beztrako wyobrażali sobie wspólną przyszłość.

Każdego roku, zwykle w październiku pod koniec sezonu, spędzali w domku tydzień lub dwa, ale przestali przyjeżdżać, kiedy Anthony skończył trzy latka. Wiele rzeczy przestali wtedy robić.

W oddali świszczał gwałtowny wiatr, który w uszach Olivii brzmiał jak małe dziecko krzyczące z bólu. Okna zaczęły się trząść, a po karku przeleciał jej chłodny podmuch. Przeszedł ją dreszcz. Nantucket w zimie. Będzie się musiała do tego przyzwyczaić.

Potarła dłonie, próbując je rozgrzać. Niepocieszona, zaczęła się zastanawiać, gdzie znajdzie jakiś koc. Była tu dopiero od dziewięciu dni i nadal uczyła się, gdzie co jest. Wciąż czuła się jak gość w cudzym domu. Intruz w zajeździe. Przeszukała

bieliźniarkę i znalazła szary wełniany koc, którego zakup ledwie mogła sobie przypomnieć, zarzuciła go sobie na ramiona i z pocztą w dłoni usadowiła się na fotelu w salonie.

Rachunki nadal przychodziły do jej domu w Hingham, małym miasteczku na przedmieściach Bostonu na południowym wybrzeżu. Nie dostała więc jeszcze nic prócz reklam ekip remontowych, pocztówek z wizerunkami lokalnych kandydatów wyborczych i ulotek z promocjami w pobliskim sklepie. Wiedziała jednak, że tego dnia czeka ją prawdziwa poczta.

Zanim rozerwała kopertę, Olivia wiedziała, że pierwsza przesyłka to książka od jej byłej szefowej, Louise, starszej redaktorki w wydawnictwie Taylor Krepps. Na kopercie była żółta naklejka z przekierowaniem adresu. Louise nie wiedziała, że Olivia przeprowadziła się na Nantucket. Nie wiedziała też o Anthonym.

Nie wiedziała o niczym.

Olivia już od pięciu lat nie pracowała jako redaktorka i asystentka Louise w dziale poradników w Taylor Krepps. Mimo to Louise nadal wysyłała jej próbne egzemplarze. Może w ten sposób Louise chciała pokazać, że jej drzwi są zawsze otwarte, może próbowała zwabić Olivię z powrotem do pracy. Może Louise nie wykasowała jej adresu z listy mailingowej. Olivia nigdy nie dała jej nadziei, że kiedykolwiek wróci, minęło parę lat, od kiedy wysłała jej ostatnią wiadomość z podziękowaniem za książkę albo komentarzem, a nawet więcej, od kiedy którąkolwiek z nich przeczytała. A mimo to kolejne lektury lądowały w jej skrzynce.

Nie miała serca ani żołądka, by strawić czyjeś poradniki. Nie interesowały jej już ani cudze rady, ani doświadczenia. Co oni wszyscy wiedzieli? Jakie to miało znaczenie? Stek bzdur.

Kiedyś wierzyła w to, że poradniki uczą, informują i inspirują. Była przekonana, że te najlepsze potrafią odmienić życie. Kiedy Anthony skończył trzy lata i powiedziano im jednoznacznie, z czym w jego przypadku mają do czynienia, Olivia wierzyła, że gdzieś znajdzie kogoś, kto odmieni ich życie.

Przejrzała każdy poradnik, potem każdy periodyk medyczny, wszystkie wydane wspomnienia, każdy blog, każdą internetową grupę wsparcia dla rodziców. Czytała książki o macierzyństwie Jenny McCarthy i Biblię. Czytała, miała nadzieję, modliła się i wierzyła we wszystko, co obiecywało pomoc, ratunek, zmianę, zbawienie. Ktoś gdzieś musiał coś wiedzieć. Ktoś musiał mieć klucz, którym otworzy swojego syna.

Rozerwała kopertę i wzięła książkę, gładząc okładkę palcami. Nadal uwielbiała nowe książki. Ta miała tytuł *Cuda trzydniowej diety* i napisał ją doktor Peter Fallon.

Phi. Już widzę te cuda.

Olivia uczestniczyła kiedyś w konferencjach i seminariach. *Błagam, panie ekspercie, doktorze taki czy siaki. Wierzę w pana.* W każdą niedzielę chodziła do kościoła. *Błagam, Boże, ześlij nam cud. Wierzę w ciebie.*

Przykro mi, doktorze Fallon. Cuda nie istnieją, pomyślała i rzuciła książkę na

podłogę.

Następnie wzięła do rąk tekturową kopertę od Davida i wpatrywała się w nią przez dłuższy czas, zanim ostrożnie zerwała taśmę i wysypała zawartość.

Na kolana wypadły jej trzy białe, owalne i idealnie gładkie kamienie. Uśmiechnęła się. Kamyki Anthonyègo. I do tego trzy. Olivia potrząsnęła kopertą. Nie było ich więcej. Anthonyemu spodobałoby się, że są tylko trzy, a nie jeden, dwa albo cztery. Uwielbiał rzeczy, które istniały w trójkach: *Trzy małe świnki*, raz – dwa – trzy – start, mały – średni – największy. Oczywiście nigdy nie powiedział jej *Mamo, lubię bajkę o trzech małych świnkach*. Ale ona wiedziała.

Przetoczyła trzy małe kamyki po wewnętrznej stronie dłoni, czując ich chłodną, gładką powierzchnię. Pomyślała, że kiedy skończy czytać pocztę, dorzuci je do szklanej misy na stoliku kawowym, w której znajdowało się przynajmniej pięćdziesiąt białych, owalnych kamyków Anthonyègo. Ołtarzyk w misce.

Anthonyemu nie spodobałoby się jednak, że jego kamyki znajdują się w misie na stoliku kawowym. Wolał ustawiać je w idealnie równe szeregi na podłodze w całym domu. Broń Boże, by Olivia kiedykolwiek zebrała kamyki do pudełka i odniosła do jego sypialni. Czasem nie mogła się jednak powstrzymać. Czasem po prostu chciała przejść przez dom, nie potykając się o defiladę kamieni. Czasem po prostu chciała przejść przez normalny dom. Jeśli się do tego posunęła, za każdym razem popełniała kolosalny błąd. Nie mieszkali w normalnym domu, a Anthony nigdy nie radził sobie ze zmianami, nawet tymi najmniejszymi.

Zerknęła do koperty i dostrzegła tam złożoną papeterię.

Znalazłem te trzy pod kanapą.

Kochający David

Uśmiechnęła się, dziękując mu za to, że wysłał jej kamienie, za to, że wiedział, że chciałyby je mieć. I „Kochający David”. Wiedziała, że nie są to rzucone mimochodem, nieszczerze słowa. Ona też nadal go kochała.

Reszta kamieni Anthonyègo znajdowała się w jego starym pudełku w jej obecnej sypialni. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie Olivia uparła się zabrać podczas swojego ostatniego kursu na wyspę, a nie było to łatwe zadanie. Dźwigała je, spocona, szczerze wątpiąc w swój zdrowy rozsądek, od tylnego siedzenia w samochodzie Davida aż na prom w Hyannis, z promu do taksówki w mieście, a z taksówki do nowej sypialni. Po drodze tutaj więcej niż raz przyszło jej do głowy, żeby wyrzucić pudło za burtę i uwolnić się od fizycznego i emocjonalnego ciężaru przeklętych kamyków. Tylko że to były przeklęte kamyki Anthonyègo. Piękne przeklęte kamyki znalezione na plaży, które jej śliczny synek obsesyjnie ustawiał w szeregi, a które teraz elegancko prezentowały się w szklanej misie na jej stoliku.

A więc przeklęte kamyki wprowadziły się razem z nią. Zostawiła książki kucharskie i kolekcję poradników, które pomagała wydać w Taylor Krepps, oraz wszystkie swoje powieści. Nie zabrała żadnych mebli, sprzętów kuchennych ani

naczyń. Zostawiła ubrania Anthony'ego nadal złożone w szufladach, jego niepościelone łóżko, jego DVD z Barneyem w szafce pod telewizorem, wszystkie zabawki edukacyjne, którymi nigdy się nie interesował, jego szczoteczkę do zębów w stojaku w łazience, kurtkę na wieszaku przy wejściowych drzwiach.

Wzięła ze sobą swoje ubrania, biżuterię, aparat fotograficzny i komputer. I wzięła swoje pamiętniki. Pewnego dnia może będzie miała odwagę je przeczytać.

Zostawiła też za sobą wszystkie swoje fotografie – album ze studiów, zdjęcia ślubne i z miesiąca miodowego, zbiór artystycznych ujęć zachodów słońca, drzew, muszelek, jakie kiedyś robiła, z których najlepsze ozdabiają ściany ich domu, album ze zdjęciami Anthony'ego z dzieciństwa. Zostawiła je wszystkie Davidowi. Czuła się, jakby to życie nigdy się jej nie przytrafiło. Przytrafiło się innej kobiecie.

Zatrzymała tylko jedną fotografię. Spojrzała na oprawione *passe-partout* zdjęcie w rozmiarze dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów zwieszony na ścianie nad kominkiem – zdjęcie, którego zrobienie zajęło wiele godzin i wiele dni cierpliwego czekania. Pamięta, jak siedziała po turecku oparta o lodówkę z aparatem przy twarzy i palcem na spuście migawki, gotowa, by zrobić zdjęcie. Czekala. Czekala. Anthony przeszedł koło niej wiele razy, podskakując na paluszkach, piszcząc i uderzając o siebie rączkami. Olivia za każdym razem wstrzymywała oddech. Nie ruszała się. Anthony na nią nie patrzył.

Pewnego dnia usiadł tylko parę kroków od niej i przez przynajmniej godzinę kręcił czarnym kółkiem ciężarówky, popychając je palcem wskazującym. Nie wstała, żeby pokazać mu, jak prawidłowo bawić się pojazdem. *Patrz, Anthony. Ciężarówka robi brum brum.* Nie dyrygowała nim. Nie ruszała się. On na nią nie patrzył.

Z każdą próbą jej kolana, ręce i pupa zaczynały w końcu boleć i domagać się, by zmieniła pozycję. Rozum starał się jej to wyperswadować, śmiejąc się z tego, że zmarnowała kolejny poranek, siedząc na podłodze jak idiotka. Ignorowała samą siebie i siedziała, cicha, niegroźna, niewidzialna.

I w końcu stało się. Anthony spojrzał prosto w obiektyw. Był pewnie spragniony i patrzył na lodówkę, bo chciał soku. Stało się to pewnie całkowicie przypadkiem, ale Olivia zdążyła nacisnąć spust migawki, zanim odwrócił wzrok. Spojrzała na wyświetlacz i oto miała je. Jego oczy! Szeroko otwarte okna na jasny, pogodny dzień. Nie były nieobecne ani rozkojarzone. Były to głębokie, ciemnobrązowe, czekoladowe oczy małego chłopca, który patrzy na swoją mamę. I ją widzi.

Olivia siedziała na kanapie z pocztą na kolanach i pozwoliła sobie zagubić się w jego oczach, ocierając łzy z twarzy, wdzięczna za szansę, by spojrzeć w ich głąb i dostrzec prawdziwy sens, nawet jeśli nie rozumiała tego sensu, nawet jeśli to był tylko moment w ośmiu i pół długich latach i nawet jeśli mogła je zobaczyć tylko przez obiektyw swojego nikon, a potem na dwuwymiarowym papierze. Cieszyła się, że ją dostała.

Raz jeszcze otarła łzy rąbkiem koca i skupiła się na ostatniej kopercie, nadanej z

kancelarii prawnej Kaufman i Renkowitz. Olivia wyciągnęła z niej plik dokumentów i przeczytała pierwszą stronę.

Umowa o separacji Davida i Olivii Donatellich.

Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w odgłosy deszczu uderzającego o szyby, dudniącego o dach, szalejącego wokół niej. Opatuliła kocem stopy i przycisnęła do siebie trzy kamyki, które nadal trzymała w dłoni. Tak jak wszystko, burza też kiedyś się kończy.

ROZDZIAŁ 3

Jimmy nadal smacznie spał, z ich puchatą kołdrą naciągniętą pod brodę, odwrócony do niej plecami.

– Jimmy – Beth powiedziała głośno, prawie krzyząc. Ten ton przestraszył nawet ją samą.

Zerwał się i usiadł.

– Hm? Co?

Jimmy nigdy nie był rannym ptaszkiem. Na początku ma mętlik w głowie, jego myśli tłuką się i obijają o ściany czaszki, jakby dopiero co wypił sześciopak piwa. Przez kilka pierwszych minut po przebudzeniu nie byłby w stanie wyrecytować alfabetu albo podać imion swoich trzech córek. Być może i teraz nie pamiętał imion swoich dziewczynek. Zawahała się, dając mu chwilę, żeby pojaśniało mu w głowie. A może zawahała się, dając chwilę sobie, by nie robić tego, co zamierzała.

– Co się stało? – zapytał, pocierając oczy i twarz.

– Co to jest?

Rzuciła mu kartkę i kopertę, celując w głowę. Kartki jednak, niczym źle złożone samoloty z papieru, delikatnie wylądowały na jego kolanach, zamiast uderzyć w twarz. Jimmy podniósł kartkę.

– Nie mam dziś urodzin – powiedział, przecierając oczy.

– Otwórz – powiedziała, trzęsąc się z niecierpliwości.

– Nie rozumiem.

– Nie udawaj głupka. Kto to przysłał?

– Czekał, wezmę okulary.

Nie dość, że udawał głupka, to jeszcze ślepego. Co dalej? Nagle ogłuchnie? Choć część Beth bardzo nie chciała znać odpowiedzi, inna część niej nie mogła się jej oprzeć, zmuszona wysłuchać tego, co zdawało się nieuniknione.

Jimmy sięgnął po okulary, które leżały na stoliku nocnym, założył je i jeszcze raz przeczytał kartkę. Otworzył ją, zamknął, znowu otworzył, jakby to była zagadka albo przyniesiona przez Sophie praca domowa z matematyki. Jakby to był sprawdzian.

To jest sprawdzian, Jimmy. Sprawdzian twojej uczciwości. Twojego charakteru.

Beth obserwowała jego twarz, podczas gdy on wpatrywał się w ten trudny rebus, nie chcąc podnieść znad niego wzroku. Grał na zwłokę.

– To nie kod podatkowy, Jimmy. Kto to przysłał?

– Nie mam pojęcia.

W końcu na nią spojrział. Oboje zastygli na chwilę, patrząc na siebie, nie mrugając powiekami, nie ruszając się, nie mówiąc ani słowa. Ostateczna rozgrywka.

Jimmy przerwał ją, wstając z łóżka i wrzucając kartkę i kopertę do śmieci, po czym wyszedł z sypialni, po drodze omijając Beth. Usłyszała trzaśnięcie drzwi łazienki w korytarzu. Najwyraźniej Jimmy powiedział już wszystko, co miał do

powiedzenia na temat kartki. Rozsierdzona i czując, jak w żyłach krąży jej adrenalina, Beth wyciągnęła kartkę i kopertę z kosza i ruszyła do drzwi łazienki.

Trzymała już dłoń na klamce, kiedy zatrzymały ją dobre maniery. Nie należeli z Jimmym do par, które w łazience czują się ze sobą zupełnie swobodnie. Nie nitkowała zębów, kiedy on siedział na toalecie, nie gawędzili, podczas gdy ona brała prysznic, nie zmieniała sobie tamponów, kiedy on się golił. Normalnie nie weszłaby do środka. Nie byli tego typu małżeństwem.

A jakim byli? Beth z impetem otworzyła drzwi łazienki i utkwiała w nim wzrok, podczas gdy on stał nad toaletą.

- Jezu, Beth, dasz mi minutę?
- Chciałabym usłyszeć prawdziwą odpowiedź.
- Poczekaj chwilę.
- Powiedz mi, kto to wysłał.
- Poczekaj.

Spuścił wodę. Beth stanęła w drzwiach z rękami założonymi na piersiach, blokując mu wyjście. Miał na sobie tylko kraciaste bokserki i okulary, ręce ciężko zwisały mu wzdłuż tułowia. Wyglądał na niepewnego, bezbronnego. W potrzasku.

– Nie znasz jej.

Beth poczuła, jak nagle jej stawy robią się wiotkie, aż musiała oprzeć się o framugę drzwi dla równowagi. Czowała się, jakby leżała na torach kolejowych i przywiązana do szyn, wpatrywała w nadciągający pociąg, który zbliża się tak nieubłaganie, że aż czuła bijące od niego gorące powietrze.

– Kim ona jest? – zapytała tonem nieco mniej stanowczym, ale kładąc nacisk na każde słowo.

– Ma na imię Angela.

No i proszę. Przyznał się. To się działo naprawdę. Jimmy zdradzał ją z kobietą o imieniu Angela. Beth starała się walczyć z opanowującymi ją zawrotami głowy i wzmagającymi się falami mdłości, próbując wyobrazić sobie Angelę. Nie potrafiła jednak nadać jej twarzy. Jeśli nie miała twarzy, nie była prawdziwą kobietą. Może to wszystko nie działo się naprawdę.

– Jaka Angela?

– Melo.

Angela Melo. Trwał martwy sezon na długiej na dwadzieścia dwa i pół kilometra i szerokiej na prawie pięć kilometrów wyspie. Tu wszyscy znali wszystkich. Ale Jimmy miał rację. Angela Melo. Beth jej nie знаła. Ale Petra pewnie tak.

– Mówisz na nią Angie?

Jimmy westchnął, przestępując z nogi na nogę. Na twarzy rysował mu się wysiłek, jakby dopiero teraz zadała mu zbyt osobiste pytanie.

– Tak.

Skupiła się na pustce białej, wyłożonej płytkami ściany za jego plecami, nie

potrafiąc zaczerpnąć oddechu. Jimmy sypiał z kobietą, która nazywa się Angela Melo. Angie. Był z nią nagi, całował ją w usta, całował jej piersi, całował ją wszędzie. Beth zastanawiała się, czy używał prezerwatyw, ale na samą tę myśl poczuła takie zażenowanie i odrazę, że nie mogła go zapytać.

Poszła z powrotem do sypialni i usiadła po swojej stronie łóżka, nie wiedząc, co powinna powiedzieć albo poczuć. Chciałaby móc cofnąć się w czasie i wszystko odkręcić. Wrócić do łóżka, jeszcze raz się obudzić i zacząć dzień od nowa. Z inną pocztą. Jimmy poszedł za nią i stanął nad nią, czekając.

– Od jak dawna? – zapytała.

– Od jakiegoś czasu.

– Czyli od kiedy?

Zawahał się.

– Od lipca.

Nie wiedziała, jakiej odpowiedzi się spodziewała. W głowie nie miała żadnych konkretnych podejrzeń ani scenariuszy. Kilka wspólnych nocy. Może miesiąc lub dwa. Od lipca? Po cichu przeliczyła miesiące. Zbyt wiele wspólnych nocy, by mogła je przeliczyć albo je sobie wyobrazić. Po twarzy zaczęły spływać jej gorące łzy.

Do cholery, Beth, przestań płakać. Nie rozsypuj się.

Nie chciała czuć się jak ofiara. Banalnie. Co mogła jednak na to poradzić. Poddała się i zaczęła łkać mimo własnej woli, siedząc nadal po swojej stronie łóżka, podczas gdy Jimmy stał tuż koło niej.

– Kochasz ją? – zapytała, niepewne wymawiając bezgłośnie słowa przez ściśnięte gardło.

– Nie.

Przyglądała się swoim dłoniom, które trzymała na kolanach, swojemu zaręczynowemu pierścionkowi i obrączce, która – choć towarzyszyła jej przysięga – nie uchroniła Beth przed tym, co się stało. Bała się na niego spojrzeć i sprawdzić, czy mówi prawdę czy kłamie. Okłamywał ją od miesięcy, więc może i teraz nie mówił prawdy. Czy poznałaby prawdę, gdyby spojrzała mu w oczy? Co właściwie o nim teraz wiedziała? Dziesięć minut temu powiedziałyby, że wszystko.

Zamknęła oczy, nie przestając płakać. Coś musiało się teraz wydarzyć. Nie mogła tak po prostu zejść na dół, dopić kakao i odkurzyć dom.

– Myślę, że powinieneś odejść – powiedziała. – Powinieneś się wyprowadzić.

Jimmy nie poruszył się. Beth uciszyła swój płacz i wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

– Okej.

Chwilę później zaczął działać. Stanął przy szafie i zaczął ściągać ubrania z wieszaków, opróżniać szuflady komody do torby, z którą chodził na siłownię.

Beth chciała krzyczeć, ale była zbyt zdruzgotana, by wydobyć z siebie głos. „Okej”? Nawet nie protestował. Nie przeproszał ani nie prosił o wybaczenie. „Okej”?

Nie prosił, żeby mogli to jakoś pokonać ani żeby pozwoliła mu zostać.

On chce odejść.

Chciała go uderzyć, potrząsnąć nim, zranić go. Chciała w niego rzucić czymś twardym i ciężkim. Popatrzyła z rozmysłem na żeliwną lampkę na stoliku nocnym. Chciała go nienawidzić. Jednak ku jej zawstydzeniu i zmieszaniu, chciała go również przytulić, uspokoić, zatrzymać. Chciała mu powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Chciała go pocałować, tak jak kiedyś. Chciała czulego, przeciągłego pocałunku, który zwałiby ją z nóg.

Teraz jednak jej mąż zwał z nóg inną kobietę, która ma na imię Angie.

Jimmy tłukł się łazience, zbierając pewnie swoje rzeczy z szafki za lustrem. Spojrzała na wgniecenie na łóżku, gdzie przed chwilą spał. Czy był z Angie i poprzedniej nocy, zanim wrócił do domu, żeby się tu wyspać?

Nie mogła usiedzieć na tym łóżku – ich łóżku – ani chwili dłużej. Wstała i zaczęła zrywać z niego pościel. Nadal płacząc, ściągnęła kołdrę, koc i wszystkie prześcieradła z materaca i zaczęła rzucać je na piętrzącą się, przygnębiającą stertę na podłodze. Ściągając poszewki z poduszek, zauważyła na podłodze skarpetki Jimmy'ego, rzucone z lenistwa, czekające bez troski, aż ona je podniesie i wrzuci do kosza na pranie. Zawsze zbierała za nim jego cuchnące skarpetki. Jego cuchnące skarpetki, brudną bieliznę, kurtkę, buty, rozrzucone po podłodze okruszki chipsów i kanapek z pastrami, które Jimmy jadał bez talerzyka, kleksy zaschniętej pasty do zębów w umywalce, ślady piasku, jakie zostawiał po całym domu. Zbierała po nim cuchnące skarpetki, sprzątała okruszki i piasek, ścierała pastę do zębów i robiła pranie, podczas gdy on sypiał z inną.

Jimmy stanął na końcu łóżka z torbą i ich czerwoną walizką, którą kupili w październiku w K-marcie w Huannis specjalnie na rodzinny wyjazd do Disneylandu. W październiku, w którym zdradzał ją z Angie Melo.

– Zadzwoń – powiedział niechętnym tonem.

– Mhm – odparła, trzymając w rękach pościel i brudne skarpetki, próbując na niego nie patrzeć.

Jimmy stał tak, starając się powiedzieć coś więcej. Pewnie czekał, by to ona powiedziała coś jeszcze, by go wstrzymała. Nie mogła być pewna. Zerknęła na niego przelotnie. Na twarzy Jimmy'ego malował się ból, a w oczach miał łzy. Beth odwróciła wzrok. Milczał. Ona też. Odwrócił się od niej i zszedł po schodach. Beth nie poruszyła się ani odrobinę, zanim nie usłyszała trzaśnięcia wejściowych drzwi.

W pralni dokładnie odmierzyła proszek. Usłyszała silnik pikapa Jimmy'ego. Nalała płynu zmiękczającego do podajnika. Wycofywał samochód z podjazdu. Nastawiła pokrętko na POŚCIEL i nacisnęła START. Wrzucił bieg i odjechał. Patrzyła, jak ciepła woda lała się na prześcieradła. Para wypełniła bęben pralki. Wszystko zaczęło się kręcić.

Odjechał.

Beth poszła do kuchni, stanęła przy zlewie i wyjrzała przez okno, nie robiąc nic. Nie wiedziała, co począć. Z wysiłkiem skierowała myśli na plan dnia, licząc, że pocieszenie, jakie znajdzie w swoich codziennych zajęciach, pomoże jej przezwyciężyć dziką panikę, która w niej narastała.

Nadal musiała odkurzyć dom. Mogła zacząć gotować obiad w wolnowarze. Zaplanowała rosół z makaronem i brownie na deser. Dziewczynki kończyły szkołę o czternastej. Sophie miała potem kółko teatralne, Jessica trening koszykówki, a Gracie szła do koleżanki.

Postanowiła, że im nie powie. Nie dzisiaj. Nie zauważą. Jimmy rzadko kiedy był w domu na obiad albo kiedy kładły się spać.

Beth stała przy zlewie w bezruchu. Wiatr szalał za oknem. Kaloryfer syczał.

Jimmy odszedł.

Wzięła głęboki oddech i wypuściła go przez usta. Okej, czas na odkurzanie. Ale zanim cokolwiek zrobi, zadzwoni do Petry.

ROZDZIAŁ 4

Nie nastał jeszcze świt i na zewnątrz nadal było ciemno. Nie zupełnie czarno, jak bywa na Nantucket w bezksiężycowe, bezgwiezdne noce, kiedy trudno dostrzec nawet czubek własnego nosa. Świat wokół niej miał kolory cyjanotypii, szarego błękitu wyczekującego na świt. Otaczała ją też mgła, co nie było niczym niespotykanym o tak wczesnej porze, zwłaszcza blisko brzegu, a brak widoczności sprawił, że świat wydawał się ciemniejszy niż w rzeczywistości. Nawet przy włączonych światłach jeepa i wycieraczkach, które pracowały na pełnej mocy, Olivia ledwie widziała, gdzie jedzie. Jechała powoli, ostrożnie. Nie spieszyła się.

Punkt kontroli pojazdów Wauwinet Gatehouse był pusty. Zaparkowała jeepa, wysiadła i spuściła powietrze ze wszystkich opon do dwunastu psi. Wróciła do auta i ruszyła dalej drogą, która z brukowanej przeszła w piasek. Jeep zanurzył się, w jego miękkości chybotał się i podskakiwał podczas powolnej jazdy. Na plaży mgła była jeszcze gęstsza. Olivia nie widziała, co znajduje się po jej bokach, ani dalej niż na metr przed nią.

Po przejechaniu nieco ponad sześciu kilometrów, choć nie była pewna, bo po drodze nie widziała żadnych oznaczeń odległości, drogę zagradyła siatka. Pojazdom nie wolno było jechać dalej plażą, ze względu na sieweczki płowe, które mogłyby zacząć wić gniazda w koleinach po oponach. Zaparkowała jeepa przy płocie i wysiadła.

Szła przez głęboki, gładki, wysmagany wiatrem piasek wzdłuż linii brzegowej oceanu, który słyszała i czuła nosem, ale przez mgłę nadal nic nie mogła dostrzec. Na pewno nie była już daleko. Wyciągnęła latarkę z kieszeni kurtki i oświetliła sobie drogę, ale snop światła rozpraszał się i rozpuszczał pomiędzy cząsteczkami wody zawieszonymi w powietrzu, na nic się nie zdając. Olivia szła dalej. Wiedziała, dokąd idzie.

Kiedy miękki piasek zamienił się w ubitą ziemię, mokrą od ostatniego przypływu, odetchnęła z ulgą. Kolejne kroki mogła stawiać z łatwością. Mimo zimna spociła się i piekły ją mięśnie nóg. Oblizwała usta, z przyjemnością smakując morską sól. Choć wciąż nie widziała wody, miała pewność, że stoi teraz na samym jej brzegu, jednak była lekko rozczarowana, że nie widzi latarni, która znajdowała się jedynie kilka metrów od ścieżki, ukryta za ścianą mgły.

Latarnia Great Point została zniszczona dwukrotnie – raz przez pożar i raz przez burzę, za każdym razem jednak ją odbudowywano. Ta dwudziestojednometrowa wieża z białego kamienia stała silna i majestatyczna na niepewnej warstwie piasku tam, gdzie Ocean Atlantycki stykał się z zatoką Nantucket Sound. Jej istnieniu nieustannie zagrażała erozja i silny wiatr. A mimo to trwała.

Poza mewami i może kilkoma siewkami Olivia była tu sama. Od maja do września na tym odcinku plaży było pewnie tłoczno od czterokołowych pojazdów,

spacerowiczów, urlopowiczów i rodzin prowadzonych przez przewodników przyrodniczych. Siedemnastego marca plaża była jednak opustoszała. Olivia była sama i od Cape Cod dzieliło ją morzem około pięćdziesięciu kilometrów na północ, a od Hiszpanii około pięciu tysięcy sześciuset na wschód. Nie знаła innego miejsca, do którego tak dobrze pasowało określenie „kompletne odludzie”. I dokładnie w takim miejscu chciała się dziś znaleźć.

Jeszcze niedawno przebywanie tak daleko od wszystkich i wszystkiego nie byłoby dla niej niczym zachęcającym. Nawet więcej – przestraszyłoby ją. Samotna kobieta na opustoszałej plaży, kilometry od jakiegokolwiek żywej duszy, która usłyszałaby ją, gdyby potrzebowała pomocy – jak większości kobiet, wpojono jej, by unikała podobnych sytuacji. Teraz jednak taka sytuacja nie tylko nie wywołała w niej lęku. Olivia ją wolała. Ani przez chwilę będąc sama przy Great Point, nie martwiła się tym, że zostanie zgwałcona lub zamordowana. Spacerowanie po bezpiecznym, podmiejskim Hingham w otoczeniu zwykłych ludzi i codziennych spraw – to ją właśnie zabijało.

Alejka z chipsami i przekąskami w sklepie spożywczym. Trwający mecz bejsbola małej ligi. Kościół świętego Krzysztofa. Schody ruchome w centrum handlowym. Dawne przyjaciółki, które miały zwyczajne dzieci: jedna niewinnie chwaliła się występem córki w szkolnym przedstawieniu, inna bez złych intencji narzekała, że matematyka w trzeciej klasie nie jest dla jej syna żadnym wyzwaniem. Olivia wszystkich ich unikała.

Wszystkie te miejsca, ludzie i rzeczy wypełniły się wspomnieniami o Anthonym albo o synu, o którego się modliła, o Anthonym, którym mógłby być. Wszystkie miały potencjał, by momentalnie zaburzyć jej równowagę, doprowadzić ją do łez, sprawić, że chciała się schować, krzyczeć, przeklinać Boga, przestać oddychać, stracić rozum. A czasem wszystko naraz.

Jeździła do banku albo na stację benzynową, które były jej nie po drodze, byle tylko nie zobaczyć ich kościoła. Przestała odbierać telefon. Minionego lata w sklepie spożywczym zauważyła chłopca mniej więcej w wieku Anthony'ego, który szedł razem z matką. Olivia czuła się dobrze aż do alejki z chipsami i przekąskami, gdzie chłopiec zapytał:

– Mamo, kupisz mi?

Trzymał w rączce tubę pringlesów o smaku soli i octu, ulubionych chipsów Anthony'ego. Nagle, bez ostrzeżenia, ze sklepu ulotnił się cały tlen. Olivia stanęła jak sparaliżowana, łapczywie łykając powietrze, tonąc w panice. Kiedy tylko była w stanie się ruszyć, wybiegła ze sklepu, porzuciwszy koszyk pełen jedzenia, i płakała w samochodzie przez prawie godzinę, zanim na tyle zebrała się w sobie, by pojechać do domu. Od tamtego czasu jej stopa nie stanęła w alejce z chipsami. Tam nie było bezpiecznie.

Świat pełen był pułapek takich jak pringlesy o smaku soli z octem, w które

wpadała, co zupełnie by jej nie przeszkadzało, gdyby nie fakt, że w końcu coś ją z nich wypychało i kazało żyć dalej. Wszyscy chcieli, żeby zaczęła żyć dalej. Żyć dalej. Żyć od nowa. A ona nie chciała. Chciała być sama na Great Point, daleko od wszystkich pułapek. Chciała stać w miejscu i nigdzie się nie ruszać.

Przykucnęła i palcem wskazującym napisała na mokrym piasku: „Sto lat, Anthony”. Tego dnia wypadłyby jego dziesiąte urodziny.

Pamiętała, kiedy się urodził. Poród przebiegł bez komplikacji, ale był długi. Olivia chciała rodzić naturalnie, ale po dwudziestu godzinach bolesnego i bezowocnego porodu, poddała się i poprosiła o epidural. Dwie godziny, odrobinę oksytocyny i sześć parć później na świat przyszedł Anthony. Był różowofioletowy jak petunia, spokojny i miał wielkie oczy. Od razu go pokochała. Był piękny i taki obiecujący. Jej mały synek miał kiedyś grać w małej lidze bejsbolowej, występować w szkolnych przedstawieniach i być dobry z matematyki. Wtedy nie wiedziała jeszcze, że powinna marzyć o dużo prostszych osiągnięciach. *Mam nadzieję, że nauczysz się mówić i samodzielnie korzystać z toalety, zanim skończysz siedem lat.*

Pierwsze dwa urodzinowe przyjęcia przebiegły normalnie – tort, który Olivia kupiła w cukierni, świece, które sama zdmuchiwała, prezenty, które otwierali razem z Davidem, udając przesadną ekscytację. Ale miał tylko rok, potem dwa. Nie było w tym więc nic dziwnego. Po drugich urodziny zaczęły coraz bardziej odbiegać od normalnych.

Anthony przestał być zapraszany na urodziny innych dzieci, kiedy miał cztery lata, a kiedy skończył pięć, postanowili z Davidem organizować skromniejsze przyjęcia tylko dla rodziny. Tak było łatwiej. Anthony nie chciał brać udziału w urodzinowych zabawach, nie zwracał też uwagi na klauna. Mimo to Olivii pękało serce.

I podczas gdy kształtujące się zainteresowania innych chłopców w jego wieku znajdowały odzwierciedlenie w motywach przewodnich kolejnych imprez – od Elma przez Boba Budowniczego, Spidermana po *Gwiezdne wojny* – rok po roku Anthony był niezmiennie zadowolony z urodzin z dinozaurem Barneyem. Jasne, mogła wybrać inną postać, ale udawanie, że Anthony uwielbia superbohaterów, roboty albo wojowników ninja nie miało sensu. Kochał fioletowego dinozaura, a na jego przyjęciach nie było innego chłopca, który mógłby mu z tego powodu dokuczać.

Rok w rok Olivia i David zapalali świece na torcie z Barneyem i śpiewali Anthonyemu *Sto lat*. Potem Olivia mówiła:

– No dalej, Anthony! Pomyśl życzenie i zdmuchnij świece! – ale on tego nie robił, więc go wyręczała. I myślała życzenie, co roku takie samo.

Błagam, nie dorastaj. Zanim staniesz się jeszcze starszy, musisz zacząć mówić. Musisz zacząć mówić „Mama” i „Tata” i „Mam sześć lat” i „Chcę dziś pójść na plac zabaw” i „Kocham cię, mamo”, zanim na stole w kuchni postawimy kolejny przekłety tort z Barneyem.

Błagam, przestań rosnąć. Mamy coraz mniej czasu.

Nigdy nie przestała sobie tego życzyć.

Co roku robili to samo, ale urodziny Anthony'ego nie były przyjemne ani dla niej, ani dla Davida. Zamiast świętować je jak inni rodzice, którym Olivia nieprzytomnie zazdrościła, a czasem nawet ich nienawidziła, zamiast zachwycać się minionym rokiem i tym, jak wiele udało się osiągnąć ich dziecku, i jak bardzo urosło, w każde urodziny syna wraz z Davidem odczuwali niewyraźne przerażenie i rozpacz. Siedemnasty marca był jedynym dniem w roku, w którym musieli oko w oko się mierzyć z powagą autyzmu swojego syna, by być w pełni świadomymi, jak dużych postępów nie poczynił. Kiedy kupowała mu prezent i zastanawiała się nad zabawkami 3+ lub 5+, musiała przyznawać przed sobą, że te zabawki zupełnie go nie interesowały i że nie umiał bawić się żadną z nich. Widziała to napisane na zbyt wielu opakowaniach z logo Fisher Priceà – Anthony był bardzo opóźniony w stosunku do swojego wieku.

Kupowała mu więc zabawkę edukacyjną polecaną przez Carlin, jego terapeutkę behawioralną albo nowe DVD z Barneyem. Pewnego roku nawet zapakowała mu puszkę pringlesów o smaku soli z octem. Pringlesy zawsze go uszczęśliwiały. Jednak prezentem, który co roku podobał się Anthony'emu najbardziej, była kartka.

Kiedy miał cztery lata, Olivia kupiła mu pierwszą z niezliczonych grających kartek urodzinowych. Na tej znajdował się różowy kot Hoops i zielony królik Yoyo. Najpierw pokazała Anthony'emu, jak to działa. Obserwował, choć udawał, że nie zwraca na nią uwagi. Olivia otworzyła kartkę. Zagrała melodia, a postacie zaśpiewały. Zamknęła kartkę. Piosenka umilkła.

Do dziś pamiętała jego buzię, oczarowaną i pełną radości z powodu odkrycia nowej fascynacji, tak jak wtedy, gdy odkrył włączniki światła. Otworzył kartkę. Muzyka. Zamknął. Nie ma muzyki. Otwierał. Muzyka. Zamykał. Nie ma muzyki. Te kartki były dla Anthony'ego spełnieniem marzeń. Ta sama piosenka przy każdym otwarciu – wszystko, co robiła kartka, było przewidywalne i całkowicie miał to pod kontrolą.

Przez resztę dnia Anthony uśmiechał się, piszczał i machał rączkami, otwierając, zamykając, otwierając, zamykając, otwierając, zamykając. Tylko tyle pragnął w każde urodziny. Nielimitowany czas z jego kartką. Co roku wraz z Davidem dawali mu ją w prezencie.

Zastanowiła się, jak czuje się David, jeśli już wstał i zdał sobie sprawę z tego, jaki dziś dzień, i czy myśli o Anthony'm. Miała nadzieję, że znajdzie pocieszenie. Serce bolało ją, gdy o tym myślała, żałując, że ona nie może mu go dać. Ale nie mogła. W niej samej nie było pocieszenia, a nie mogła dać komuś czegoś, czego sama nie miała. On też go nie znalazł. Oboje o tym wiedzieli.

Olivia usiadła na ławce, czekając na wschód słońca i nasłuchując odgłosów krążącej nad nią mewy, które przypominały śmiech. Nadchodził przypływ.

Obserwowała, jak z każdą kolejną falą znika coraz więcej urodzinowego napisu, aż w końcu całkiem pochłonęło go morze. Został całkiem zmyty, jakby nigdy nie istniał. Gdyby Olivia nadal wierzyła w Boga, poprosiłaby, aby wysłał tę urodzinową wiadomość napisaną na piasku do nieba, do jej synka. Ale o to nie poprosiła. Były to tylko słowa napisane na plaży, połknięte przez ocean.

Przed stopami napisała „Kocham cię” i czekała. Woda napłynęła równą, zdecydowaną falą, zalewając i pieniając się w każdej literze. Słowa zmyły się, nie docierając do nikogo.

Mgła zaczęła się podnosić, a dzień rozjaśniać. Kłębiły się przed nią metalicznie szare wody oceanu. Po lewej latarnia morska nabrała kształtów. Kolejna rozbijająca się przed nią fala, która rozplynęła się na płaszczyznę musującej piany, pozostawiła pod jej stopami pojedynczy gładki kamień. Jej serce na chwilę stanęło, ale zaraz przyspieszyło tempa. Olivia przykucnęła, podniosła piękny gładki kamień i zamknęła go w dłoni.

Anthony.

Tęsknię za tobą, mój kochany synku.

Nad oceanem wstało słońce, rozpalając linię horyzontu poświatą w kolorze petunii, piękną i tak obiecującą.

ROZDZIAŁ 5

Beth i Petra siedziały w salonie Jill, czekając na Courtney i Georgię. Tego wieczoru miały spotkanie klubu książki, ale Courtney w czwartki uczyła jogi, a jej zajęcia trwały do osiemnastej trzydzieści, wszystkie wiedziały więc, że nieco się spóźni. Georgia zawsze i wszędzie się spóźniała. Jill wiedziała o tym, ale mimo to była poirytowana. Przetrzymywała przyjaciółki w salonie do czasu, aż będą w komplecie, bo chciała, by jednocześnie zobaczyły jadalnię. Wyobraziła sobie wielkie wejście.

Beth też robiła się coraz bardziej niespokojna. Petra chciała tego wieczoru wyjawic wszystkim sytuację Beth, która z każdym westchnieniem Jill czuła się coraz mniej pewna tej decyzji. Nie chodziło o to, że nie chciała, by jej najlepsze przyjaciółki wiedziały, że Jimmy ma romans i się wyprowadził. Nie chciała po prostu, by dowiedziała się o tym cała wyspa. A na pewno się dowiedzą: Len – dyrektorka szkoły, Patty – kasjerka w supermarkecie, Lisa – jej fryzjerka, trenerka drużyny koszykowej Jessiki.

Ale Petra miała rację. Beth musiała wyznać prawdę z godnością i czerpać siłę z miłości, jaką darzyły ją przyjaciółki, i z czegoś jeszcze. Pośród komunałów, jakimi pouczała ją Petra wcześniej tego dnia, znalazł się jeszcze jeden, który brzmiał sensownie. Beth nie mogła sobie go teraz przypomnieć. Petra była miłośniczką literatury motywacyjnej. Czytała też z kart Tarota i raz na miesiąc zamiast na zwyczajową wizytę u terapeuty chodziła do szamana. Wielu ludzi na wyspie uważało, że Petra jest lekko stuknięta. Beth była skłonna przyznać, że przyjaciółka mogła wydawać się nieco ekscentryczna, ale wierzyła również, że posiada ona wewnętrzną wiedzę, której wielu ludzi nigdy nie zdobędzie. Podziwiała i fascynowała ją jej duchowa równowaga, której Beth brakowało.

A na dodatek, pomijając uczciwość, przyjaźń i ezoteryczny bełkot, romans Jimmy'ego i tak cudem nie stał się jeszcze tematem plotek. Beth o nim wiedziała. Petra o nim wiedziała. Jimmy i Angela wiedzieli, że Beth wie, więc pewnie byli teraz mniej ostrożni. Ktoś w restauracji też musiał o tym wiedzieć. I ten ktoś wcześniej czy później powie komuś, kto znów przekazałby to Jill, Courtney lub trenerce drużyny Jessiki.

Dziewczynki wiedziały już, że tata się wyprowadził. Sophie pierwsza zauważyła, że nie ma go w żadnym z jego ulubionych miejsc – w łóżku, na kanapie, na jego krześle do palenia cygar. Okazało się, że odpowiedź na pytanie „Gdzie jest tata?” jest trudniejsza niż na „Co to jest seks?” albo „Czy kiedykolwiek paliłaś trawkę?”. Beth udzieliła niepewnej odpowiedzi, celowo używając krótkiego, wymijającego wytłumaczenia (ale za to uczciwego – nie wiedziała dokładnie, gdzie jest Jimmy), daremnie starając się uchronić córki przed posiadaniem ojca łajdaka. Dziewczynki wiedziały więc, że tata nie mieszka w domu, ale nie znały paskudnej prawdy. Jeszcze.

Niestety ich ojciec był łajdakiem, a to, kiedy wszyscy na Nantucket, włączając w to jego trzy córki, się o tym dowiedzą, stanowiło jedynie kwestię czasu.

Beth wzięła numer „Nantucket Life” ze stolika kawowego i zaczęła przerzucać kartki w nadziei, że uda jej się czymś zająć, podczas gdy Jill narzekała, jak późno się robi. Beth przyznała jej rację – rozpoczęcie spotkania za bardzo się przeciągało. Czuła się jak w poczekalni u dentysty, kiedy wie, że musi odkamienić zęby i że po wszystkim będą wyglądać świetnie, ale czekanie dawało zbyt dużo czasu jej niepokoju i pamięci na wspólną zabawę. Zaczynała wtedy wariować na punkcie spodziewanego dźwięku metalowych przyrządów, ocierających się o jej zęby, pulsującego bólu w dziąsłach, wstydu, kiedy dentysta ganił ją za to, że za rzadko nitkuje zęby, smaku lateksu i krwi w ustach. Po dziesięciu minutach oczekiwania, by pomoc dentystyczna wywołała jej nazwisko, Beth musiała porządnie brać się w garść, żeby nie uciec spod gabinetu i nie wrócić przez kolejne sześć miesięcy.

Pomoc dentystyczna i dentystka też się dowiedzą, że Jimmy ją zdradza.

Beth próbowała zapomnieć o Jimmym, swojej dentystce i o wcześniejszej rozmowie z Petrą, a skupić się na Jill. Opowiadała właśnie o ostatnim projekcie Mickeya. Mąż Jill – Mickey prowadził własną firmę budowlaną. Najbardziej niezwykle zlecenia, jakie miał do tej pory, nie dotyczyły nowych konstrukcji czy złożonych przeróbek, ale przenoszenia istniejących domów o kilkadziesiąt bardzo istotnych centymetrów. Zabytkowym domkom i posiadłościom znajdującym się w Siasconset groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo osunięcia się wraz z ulegającą erozji skarpą. Jakby każdy dom znajdował się na kawałku ciasta i co roku matka natura odkrawała z niego widelczykiem jeden kęs. Ekipa Mickeya potrafiła w jakiś niesamowity sposób przenosić całe domy o trzydzieści lub sto dwadzieścia metrów, ale wszyscy wiedzieli, że właścicielowi i tak w końcu skończy się miejsce. Frontowe drzwi będą wychodzić wprost na ulicę. Pozostanie sam brzeżek ciasta, a matka natura nadal będzie głodna.

Ostatnio zajmował się przeniesieniem monstrum z siedmioma sypialniami na ulicy Broadway, ale ten przypadek był inny. Właściciele kupili ostatnio dom bezpośrednio po drugiej stronie ulicy. Ekipa Mickeya go zburzyła i teraz próbowała przenieść na jego miejsce dom znad klifu – stanąć na zupełnie nowym kawałku ciasta. To mogło mieć miejsce tylko na Nantucket.

– Szaleństwo, prawda? Mickey mówi, że jeśli tylko dożyje, znowu kiedyś będzie musiał przenieść ten dom – powiedziała Jill.

– Właśnie dlatego mieszkam na środku wyspy – odpowiedziała Petra, która mieszkała tam, bo tam się wychowała i nie stać jej było na lokum bliżej oceanu.

To ciekawa historia, ale Beth ledwie mogła wysiedzieć spokojnie, testując w głowie wiarygodność wymówek, dzięki którym mogłaby stąd uciec: *Zapomniałam książki. Gracie źle się poczuła. Ja źle się czuję.*

Petra, która siedziała blisko Beth i w jakiś sposób wyczuwała wzbierający w

przyjaciółce popłoch, sięgnęła dyskretnie po jej dłoń i położyła ją sobie na kolanach. Uścisnęła ją stanowczo, ale nie za mocno, dodając Beth otuchy. *Kocham cię i nigdzie nie idziesz.*

Przyjaciółki usłyszały krótkie pukanie do drzwi, po czym do środka weszły razem Courtney i Georgia, różniące się od siebie jak dzień i noc. Okrągła, nieumalowana twarz Courtney była zarumieniona, włosy swobodnie zebrane w wysoki kucyk, a ich linia nad czołem mokra od potu. Miała na sobie lawendową bluzkę na ramiączkach i niezasuniętą zimową kurtkę z ciucholandu oraz czarne dresowe spodnie do jogi i klapki. W dłoni trzymała książkę. Uśmiechając się promiennie, usiadła na kanapie po drugiej stronie Beth, a w pokoju zaczęła unosić się jej energia jak zdmuchnięty w chwili jej wejścia dmuchawiec, dryfujący na lekkim wietrzyku. Pachniała paczuli.

Georgia za to była w nieustającym pośpiechu. Miała na powiekach ciemny, wieczorowy cień, na ustach szminkę, a w uszach długie złote kolczyki. Stąpała ciężko w czarnych, biurowych szpilkach, zmagając się z ciężarem wypchanej skórzanej torby na laptopa, przewieszzonej przez ramię, i przeklinając jakąś pannę młodą z piekła rodem, z którą czterdzieści minut rozmawiała przez telefon o dywanach w nawie głównej. Jednocześnie zrzuciła z siebie czapkę, rękawiczki i płaszcz, przeprasząc za spóźnienie. Jeśli Courtney była drobnym ziarenkiem unoszonym przez lekką bryzę, Georgia była konarem drewna złamanym przez huragan i powalonym na ziemię. Patrząc na nie, trudno było sobie wyobrazić, że Georgia i Courtney były najlepszymi przyjaciółkami, ale tak właśnie było.

Czując ulgę, że w końcu może działać, Jill przeprosiła wszystkie i pobiegła do kuchni. Zanim Georgia zdążyła usiąść, Jill wróciła, przyklasnęła w dłonie dwa razy, jakby była nauczycielką żądającą uwagi od swoich uczniów i zagoniła przyjaciółki do jadalni. Georgia pierwsza jęknęła z wrażenia, a za nią pozostałe. Jill pojaśniała z samozadowolenia na dźwięk tych wyrazów zachwyty. Taką reakcję sobie wyobraziła.

Książka, którą czytały w tym miesiącu, rozgrywała się w Japonii po drugiej wojnie światowej i Jill zainspirowała się tą scenerią. Na każdym talerzu stało zwierzątko-origami – fioletowy żuraw, biały łabędź, pomarańczowy tygrys, zielony żółw, szary słoń i czerwona ryba. Przy każdym zwierzątku po prawej stronie znajdowała się kulka zielonego wasabi i zgrabna porcja soczystego różowego imbiru. Obok leżała para pałeczek i miseczka wypełniona sosem sojowym. Po pomieszczeniu rozstawione były małe świece, a na stole stały dwie butelki sake. Na środku stołu na okrągłym półmisku leżały kawałki sushi Kalifornia z łososiem i tuńczykiem.

– Nie do wiary, Jill. Sama to wszystko przygotowałaś? – odezwała się Courtney.

– Oczywiście, że tak – powiedziała Georgia.

– To też ty? – zapytała Courtney, podnosząc purpurowego żurawia.

– To nie było trudne. W Internecie można znaleźć proste instrukcje – odparła Jill.

– Chyba dla ciebie były proste. Jesteś niesamowita – powiedziała Courtney. – Pewnie szykowałaś to cały dzień.

– Nie zajęło mi to aż tyle czasu – odparła Jill, zadowolona z zainteresowania wokół niej.

– Mogłabyś zrobić z tego biznes – skwitowała Beth.

Jill od szesnastu lat zajmowała się domem i dziećmi i zdecydowanie nie musiała na siebie zarabiać, dopóki Mickey zajmował się przenoszeniem domów, ale nie był to zły pomysł. Mogła zatrudniać się u bogatych letników, którzy urządzaliby wystawne przyjęcia dla swoich klubów książki. Uwielbialiby ją.

– Dobrze, teraz wybierzcie swoje miejsca. Na każdej winietce znajduje się imię jednego z bohaterów, więc...

– Nie będziemy dziś rozmawiać o książce – powiedziała Petra.

Beth poczuła ucisk w żołądku. Liczyła na odrobinę sake, zanim przejdą do tego tematu.

– Co? – Jill uśmiechnęła się nerwowo. – Oczywiście, że będziemy.

– Nie, nie będziemy – powtórzyła Petra.

Petra była o pięć lat młodsza od najmłodszej z nich, ale bez wątpienia zajmowała pozycję samca alfa w grupie. Petra – najstarsza z siódemki rodzeństwa, córka polskich imigrantów i właścicielka DISH, jednej z najukochańszych restauracji na Nantucket, była twarda, apodyktyczna i z bezwstydnym, zadziornym uśmieszkiem przyznawała, że ma to w genach. Jeśli istniała choć jedna osoba, która mogła zaburzyć szczegółowo zaplanowane przyjęcie Jill, nie powodując łez i karczemnej, zrywającej przyjaźń awantury, była to właśnie Petra.

– I będziemy potrzebować czegoś mocniejszego od sake. Masz wódkę? – zapytała Petra.

– Ale to nie po japońsku – odparła Jill, wciąż starając się odeprzeć pomysł rezygnacji z przewodniego motywu spotkania.

– Jimmy zdradza Beth z hostessą z Salt i wyniósł się z domu – oznajmiła Petra.

Po raz kolejny Georgia westchnęła jako pierwsza. Jill spojrzała na Beth, wycytując z jej oczu strach i skruchę. Nie wspominając więcej o Japonii, Jill poszła do kuchni i wróciła do stołu z butelką wódki w jednej ręce i żurawinowym sokiem do drinków w drugiej.

– To się nada? – zapytała, siadając przy stole.

– Idealnie – odpowiedziała Petra i zaczęła rozlewać wódkę do kieliszków na wino, zostawiając na sok bardzo mało miejsca. – Pokaż im kartkę.

Beth posłusznie wyciągnęła ze swojej książki kartkę i kopertę, które podała Georgii.

– Och, Beth – odezwała się Georgia, kiedy przeczytała kartkę i przekazała ją Courtney. – To od hostessy z Salt? Kim ona jest?

– To Angela Melo – odparła Beth.

– Nie znam jej – powiedziała Jill, nie dowierzając, że na Nantucket jest ktoś, kogo nie zna.

– Mieszka tu dopiero od kilku lat. Jest z Brazylii. Przyjechała tu z siostrą do pracy na wakacje – powiedziała Petra. – Składały podania do DISH, ale ich nie zatrudniłam.

– Ja też ich nie znam – powiedziała Courtney. – Od kiedy to trwa?

– Od lipca – odparła Beth.

– O Boże – westchnęła Jill.

– Wiem – powiedziała Beth.

Upiła duży łyk wódki. Była ciepła i nie miała w sobie wystarczającej ilości soku, więc paliła ją w gardło. Sake byłaby lepsza. Rozmowa o książce byłaby lepsza. Beth wzięła kolejny wielki łyk.

– Mówiłam ci, żebyś nie pozwoliła mu tam pracować – powiedziała Georgia. – To miejsce ocieka seksem. Ta muzyka, drinki. Wystarczy, że posiedzę tam przez godzinę, a nawet ja chcę pójść z kimś do łóżka.

Jimmy zwykle zajmował się połowem małży świętego Jakuba, a latem, kiedy to było zabronione, brał kilka zmian jako barman w różnych miejscowych knajpach. Nigdy jednak nie musiał pracować za barem na stałe. Poławiacze małży na Nantucket świetnie zarabiali. Jimmy pracował tylko po to, żeby mieć coś do roboty, nie dlatego, że taka była konieczność. Przez te wszystkie lata zapewniał im dobre, stabilne życie, a Beth cieszyła się, że w czasie wakacji ma męża w domu z dziećmi.

Jednak kilka lat temu liczba małży w zatoce zaczęła się zmniejszać, potem całkowicie zanikły, przez co Jimmy został bez pracy. Obwinił za to właściciele luksusowych willi i ich bujne trawniki nawożone chemikaliami, które przenikały do zatoki i zatruwały oceaniczną infrastrukturę, zabijając małże i Bóg raczy wiedzieć co jeszcze.

Latem nadal pracował jako barman, ale zimą był bezrobotny, więc przez jakiś czas z trudem udawało im się wiązać koniec z końcem. Jimmy szwendał się po domu, sfrustrowany, nie chcąc się przed sobą przyznać, że biznes padł, wciąż licząc, że małże niespodziewanie wrócą. Nieco ponad dwa lata temu w Salt zaproponowano mu, by zaczął tam pracować na pełen etat i przez cały rok. Całoroczna praca jakiegokolwiek rodzaju jest na Nantucket czymś bardzo cennym, a oni rozpaczliwie potrzebowali pieniędzy, więc Jimmy łowca małży stał się barmanem w Salt.

– Od kiedy o tym wiesz? – zapytała Georgia.

– Od około miesiąca – odparła Beth.

Był to najdłuższy miesiąc jej życia. Od kiedy Jimmy się wyprowadził, widziała go trzy razy i wszystkie wizyty były niezapowiedziane. Przyjechał pewnego ranka po swoje buty do pracy, kiedy dziewczynki były już w szkole i zanim jeszcze Beth zdążyła wziąć prysznic. Pozostałe dwa razy zjawił się wieczorem. Kręcił się po kuchni, rozmawiał z dziewczynkami, nie usiadł nawet na chwilę i pytał, czy ktoś do niego dzwonił. Nikt nigdy do niego nie dzwonił.

Za każdym razem, kiedy się pojawiał, w Beth rodziła się nadzieja, nawet pewność, że przyszedł powiedzieć jej, że przeprasza, że oszalał, że nie chce żyć bez

niej i dziewczynkę, że chce wrócić do domu. Nigdy jednak nie powiedział niczego podobnego, więc znowu czuła się naiwna i zdradzona. Udawała obojętność względem niego, kiedy obierała ziemniaki przy zlewie, podczas gdy on rozmawiał z Jessicą, i udawała, że jest pochłonięta czytaniem, podczas gdy on tukał się po domu, szukając butów (nie miała najmniejszego zamiaru mu ich podać, a wiedziała dokładnie, gdzie są).

Beth zdała sobie sprawę, że za każdym razem, gdy jest w domu, nasłuchuje odgłosów na podjeździe, nateżając wzrok i słuch, wstrzymując oddech, a nawet przeglądając się w lustrze, żeby na wszelki wypadek sprawdzić, czy dobrze wygląda. Nie znosiła tego, że nie wie, kiedy Jimmy znów się pojawi. A jeszcze bardziej irytowało ją to, że Jimmyemu wydawało się, że może wpadać, kiedy mu się podoba. A gdyby była zajęta? Gdyby pora nie była odpowiednia? A gdyby ona też wdała się w romans? Nie mógł tak sobie przyjeżdżać, kiedy tylko miał ochotę. Wyprowadził się. Beth nienawidziła go za to. Najbardziej niszczyła ją jednak myśl, która dopadała ją w niespodziewanych momentach szczerości, kiedy obierała ziemniaki albo wyglądała za okno, że w pewnym momencie Jimmy może nigdy już się tu nie pojawić.

– A ty ją znasz? – zapytała Jill.

– Nie – odparła Beth.

– Nie podjechałaś jeszcze do Salt, żeby ją zobaczyć? – zapytała Georgia.

– Chyba żartujesz! – powiedziała Beth.

– Ja nie mogłabym znieść tej niewiedzy. Nie chciałabyś przecież stać za nią w kolejce w banku i nawet o tym nie wiedzieć. Powinniśmy wszystkie tam pojechać i rzucić jej kilka krzywych spojrzeń. Petra, ty i ten twój doktor-czarodziej moglibyście rzucić na nią jakąś klątwę – powiedziała Georgia.

Wszystkie się roześmiały, nawet Beth mimo zażenowania swoim własnym nieszczęściem. Wyobraziła sobie szmacianą lalkę wudu ubraną w mały T-shirt z logo Salt, ze szpilkami wbitymi w oczy. Czuła już działanie wódki, która rozgrzewała jej żołądek i szumiała w głowie. Zwykle Beth przystopowałyby już z alkoholem. Nie chciała obudzić się rano na kacu. Ale ostatnio nie sypiała dobrze i co dzień rano i tak czuła się fatalnie, więc było jej wszystko jedno. Na dodatek Petra obiecała odwiedzić ją do domu, Beth nalała więc sobie kolejny kieliszek.

– Nie wiem, czy byłabym w stanie. Może.

– Byliście na terapii małżeńskiej? – zapytała Courtney.

– Nie.

– Może powinniście spróbować – powiedziała Georgia. – Phil i ja chodziliśmy do doktora Campbella. Był dobry. No cóż, może nie taki dobry, skoro nie uratował naszego małżeństwa. Ale z nami nie dało się już nic zrobić.

Phil był drugim mężem Georgii, tym, którego kochała najbardziej. Wychodziła za mąż cztery razy. Jej przyjaciele zawsze powtarzali, że jest teraz „w fazie zmiany małżonka”, ale Georgia upierała się, że jest „rozwiedziona”. Koniec. Na lodówce na

linii oczu przyczepiła magnesem karteczkę: NIGDY WIĘCEJ NIE WYJŚĆ ZA MĄŻ. Wszystkie jednak wiedziały, że jeszcze stanie przed ołtarzem. Była niepoprawną romantyczką.

Jako organizatorka ślubów w hotelu Blue Oyster, dwa razy na tydzień przez przynajmniej trzy miesiące w roku Georgia otoczona była pannami młodymi, które w sukniach od Very Wang wyglądały jak księżniczki z bajek Disneya, i panami młodymi w garniturach od Armaniego przypominającymi agentów 007. Ktoś grał *Ave Maria* na harfie (ten utwór grany był lub śpiewany na wszystkich jej czterech ceremoniach) – słowem: brała udział w ceremoniach idealnych w każdym calu. Każdego lata tydzień w tydzień z największą szczerością i podekscytowaniem zachwycała się najpiękniejszym tortem weselnym, jaki w życiu widziała, najelegantszym ślubnym bukietem, najbardziej wzruszającym toastem, jaki kiedykolwiek słyszała, jakby to było pierwsze zorganizowane przez nią wesele. Nigdy się jej nie nudziły. Dla Georgii każdy ślub miał swoją magię, umacniał wiarę w prawdziwą miłość, przeznaczenie i Boga, który przenika jej duszę. A potem przenosiła ten cały przesadzony koncept wyśnionej miłości na byle jakiego Bogu ducha winnego faceta, z którym się spotykała. Chwilę potem karteczka znikała z lodówki, a Georgia zyskiwała nowe nazwisko.

– Nie wiem, czy on nawet by chciał – powiedziała Beth.

– A czy ty chcesz iść na terapię? – zapytała Petra.

– Nie wiem.

– Chcesz rozwodu? – zapytała Courtney.

– Nie wiem.

Beth nie wiedziała, czego chce. Chciała, żeby to było normalne spotkanie ich klubu. Chciała pić sake i rozmawiać o Japonii. Nie chciała, żeby był to czwartkowy wieczór, w który wszystko oficjalnie się zmieni. Jej małżeństwo, jej idealne życie matki trójki dzieci na Nantucket było skończone. Jej małżeństwo się rozpadło.

Ja się rozpadłam, pomyślała.

Z oczu popłynęły jej łzy. Georgia przysunęła swoje krzesło do Beth i objęła ją.

– Nie wierzę, że to się dzieje – powiedziała Beth, zażenowana swoim płaczem, zażenowana swoim niewiernym mężem.

– Nic ci nie będzie – powiedziała Georgia, okrężnymi ruchami gładząc Beth po plecach.

– Ja bym się rozwiodła z tą świnią – powiedziała Jill.

– Jill! – zganiła ją Petra.

– Ale tym właśnie jest, a ja to bym właśnie zrobiła – powiedziała Jill, szukając wsparcia u Georgii.

– Wszystkie wiecie, że bym się go pozbyła. Kilka razy byłam już w takiej sytuacji. Ale pewnie za szybko podejmowałam decyzje, zwłaszcza z Philem. Powinnam nad tym popracować, gdybym kiedykolwiek wyszła znowu za mąż, ale nie

wyjdę.

Georgia uniosła swój kieliszek i dopiła resztę wódki, wznosząc toast za swoją deklarację.

– Musisz się zastanowić, czego chcesz – powiedziała Petra. – Ty i Jimmy wyjdziecie z tego cało, jeśli oboje będziecie tego pragnąć. Możecie się też od siebie uwolnić. Tak czy inaczej powinnaś pomyśleć nad tym, czego ty chcesz. Nie pozwól jemu, ani nikomu innemu, decydować o tym za ciebie.

Petra miała rację. Jak zawsze. W głowie Beth huczał jednak alkohol i jedyne, o czym była w stanie myśleć, to o tym, by Georgia dalej gładziła ją po plecach.

– I bez względu na to, co postanowisz, pamiętaj, że my cię kochamy – dodała Petra.

Georgia uścisnęła ramię Beth, a pozostałe przyjaciółki pokiwały głowami, wszystkie oprócz Courtney, która z zachmurzonym czołem pogrążona była we własnych myślach. Beth była pijana, zażenowana, załamana i zagubiona, ale nagle poczuła się podniesiona na duchu i wdzięczna.

– Ja też was kocham – powiedziała Beth, uśmiechając się przez łzy. Bo nawet jeśli Jimmy już nic do niej nie czuł, poszczyliło jej się na tyle, że miała przy sobie kilka przyjaciółek, które będą ją bardzo kochać bez względu na wszystko.

ROZDZIAŁ 6

Gołębie gruchały za oknem w tęsknej rozmowie, a słońce wdzierało się do sypialni Olivii przez odsłonięte okna, spowijając ją przyjemnym, łagodnym światłem. Tak zaczynały się teraz prawie wszystkie poranki – śpiewem ptaków i słońcem. A kiedy poranki były pochmurne i burzowe, a gołębie nie były w nastroju na rozmowę, Olivia spała przynajmniej do południa. Może nawet dłużej. Nie wiedziała. Traciła poczucie czasu. W zeszłym miesiącu na jeden dzień zabrakło prądu. Był to pierwszy raz z bardzo wielu – zbyt wielu, by je zliczyć. Olivia nigdy nie zabrała się do ustawienia ponownie wszystkich zegarów. Przestała też nosić zegarek na ręce. Nie był to problem, bo nigdzie nie musiała się spieszyć. Żyła poza czasem.

Spojrzała na drugą stronę łóżka, na nietkniętą kołdrę i poduszkę, i przypomniała sobie, że nie ma z nią Davida. Był w Hingham, a ona na Nantucket. Byli w separacji. Olivia nadal spała zwinięta po swojej stronie łóżka, trzymając się krawędzi materaca, robiąc dla niego miejsce. Przesunęła się na środek łóżka i położyła na plecach, rozpościerając ramiona i nogi, zajmując tyle miejsca, ile tylko możliwe. To było dziwne uczucie.

Olivia przeciągnęła się i ziewnęła, nie spiesząc się, by opuścić łóżko, i ciesząc luksusem powolnego wybudzania z długiego nocnego odpoczynku. Wydawało się, jakby dopiero wczoraj budziła się co rano zawczasu, nadal zmęczona, wyrwana ze snu przez budzik Davida albo *iija-iija-iija* Anthony'ego. Więcej niż wyczerpana. Wyniszczona. Co dzień ginęła jakaś część niej. Te poranki zdawały się dziać tak niedawno i jednocześnie miliony lat temu. Czas potrafił być zabawny. Zginał się, oplatał, rozciągał i ścieśniał – w zależności od perspektywy.

Nastał kwiecień i Olivia wiedziała o tym tylko dlatego, że dostała list od adwokata nadany czternastego kwietnia. Bez tego listu, wzięwszy pod uwagę panujący chłód i ponurą aurę, myślałaby pewnie, że nadal jest marzec, nadal panuje zima.

Wiosny, które spędziła w okolicach Bostonu, były nie do rozpoznania w porównaniu z bujnymi, ciepłymi, zielonymi wiosnami, jakie spędzała w Athens w stanie Georgia, skąd pochodziła. Wiosna w Bostonie była tak naprawdę tylko kolejną wersją zimy. Kiedy w Athens kwitły magnolie, w Hingham, padał śnieg. I nie było to lekkie próśnienie. Marcowe opady śniegu w Hingham sprawiały, że zamykano szkoły, na ulice wyjeżdżały pługi, a mieszkańcy załamywali ręce. Olivia nigdy nie ukrywała swojej nienawiści do marcowych śniegów, ale musiała przyznać, że biel rozjaśniała przynajmniej jałowy, posępny krajobraz, zanim wszystko zaczęło kwitnąć.

Na Nantucket nie padało tyle, ile w Bostonie. Powietrze na otoczonej oceanem wyspie było zazwyczaj zbyt wilgotne, by pozwolić się utrzymać delikatnej strukturze białego płatka, więc zamiast śniegu padał tu deszcz. Olivia kilka razy zauważyła, że ziemię pokrywała śnieżna breja, ale w tym roku nie zaobserwowała opadów, ani też nie musiała niczego odsnieżać. Nie była nawet pewna, czy miała tu szufłę. Jedyna,

jaką kojarzyła, znajdowała się na tylnym siedzeniu jeepa, na wypadek gdyby musiała odkopać się z piasku, nie śniegu, jeśli kiedyś by w nim ugrzęzła.

Ale mimo że nie padało tu tyle śniegu, ile na stałym lądzie, nadal nie czuło się wiosny. Nawet w słoneczne dni chłód był nieustępliwy. I wszystko wydawało się mieć w sobie domieszkę szarości, jakby znajdowało się za szklami przeciwsłonecznych okularów. Od miesięcy powtarzał się ten sam szary zimowy dzień. Czas dosłownie stanął tu w miejscu.

Zgodnie z tym, co napisał jej prawnik, postępowanie rozwodowe Olivii również stanęło w miejscu. Ich umowa była bezsporna i bez orzekania o winie. Ich rozwód był jedną z niewielu rzeczy, o którą się nie pokłócili. Przeczytała dokument przynajmniej trzy razy. Przystawała nad słowami „bez orzekania o winie” napisanymi czarno na białym w oficjalnym prawnym dokumencie, jakby oświadczał to cały stan Massachusetts, oczyszczając ich oboje z wszelkich zarzutów. Klęska ich małżeństwa nie była ani jej, ani jego winą.

Zanim usłyszeli słowo „autyzm”, neurolog dziecięcy Anthonyego zapytał ich, jak im się układa w małżeństwie. Pamiętała, jak się wtedy najeżyła, myśląc *A co to pana obchodzi? Rozmawiamy o Anthonyem, a nie mnie i Davidzie.* Ale on znał ich przyszłość. Zbyt często widział to już wcześniej – współistnienie autyzmu i rozwodu.

Nie pamiętała, czy odpowiedziała lekarzowi. Nie pamiętała większości rzeczy, które nastąpiły tamtego dnia w gabinecie, kiedy w końcu padło słowo autyzm, ale wiele razy myślała później o jego pytaniu i swojej odpowiedzi. Jeśli dała radę grzecznie odpowiedzieć tamtego dnia, który – jak była wtedy przekonana – był absolutnie najgorszym dniem jej życia – został jednak bezsprzecznie pozbawiony tego tytułu kilka długich i krótkich lat później – to pewnie powiedziała coś w stylu „dobrze”. A ich małżeństwo mogło takie pozostać, gdyby nie nieustająca szarpanina, napięcie i męki, jakich nie wyobraża sobie żadna para składająca małżeńską przysięgę.

Nie, tamtego dnia zdecydowanie nie czuli się dobrze. Czy ktokolwiek by mógł? To jak rzucić szklanym wazonem o mur z cegieł, oczekując, że nie rozbije się na tysiąc drobnych kawałków, a potem dziwić się, być wręcz wstrząśniętym, że nie można już nalać do niego wody. Wazon zawsze się rozbije. Tak się właśnie dzieje, kiedy szkło uderza o mur. To nie wina wazonu.

Kiedy po studiach nadal umawiali się na randki i kiedy zaczęli tak zwane „prawdziwe życie”, a ich związek zrobił się poważny, Olivia zastanawiała się, czy David to odpowiedni materiał na męża. W głowie zrobiła listę niezbędnych cech, które zaczęła odhaczać. Przystojny. Mądry. Zabawny. Utrzyma rodzinę. Pomaga w domu. Kocha dzieci. David miał wszystkie te cechy. Pobrali się, kiedy Olivia miała dwadzieścia cztery lata.

Nigdy nie pomyślała o dodatkowych cechach, które powinny były pojawić się na jej liście: Może latami funkcjonować przy niewielkiej ilości snu. Chętnie da

codziennie łamać sobie serce. Nie będzie miał nic przeciw, jeśli jego pieniądze przepadną w studni bez dna.

Tak jak potwierdził stan Massachusetts, to nie była jego wina.

Zgodzili się we wszystkich spornych kwestiach. Ona dostanie dom na Nantucket, on przejmie dom w Hingham. Nie było pieniędzy do podziału. Wydali na Anthony'ego wszystkie oszczędności.

Terapia behawioralna, logopeda, ćwiczenia i zabawy na podłodze, integracja sensoryczna, chelatacja, dieta bezglutenowa, bezkazeinowa, zastrzyki witaminy B12. Pediatrzy, neurologi, gastroenterolodzy, psychoterapeuci, fizjoterapeuci, bioenergoterapeuci. Od medycyny tradycyjnej po alternatywną, a nawet wudu. Olivia nie pamiętała, czy którąkolwiek z tych metod leczenia pokrywało ubezpieczenie. David pracował coraz dłużej. Zrefinansowali dom i spieniężyli fundusz emerytalny. Bo jak mogli przejść na emeryturę, mając syna z autyzmem i wiedząc, że istnieje terapia, która mogła mu pomóc, ale jej nie spróbowali, bo była za droga?

Prawie sprzedali letni dom.

Olivia pamiętała ich długie nocne rozmowy w łóżku przy wyłączonych światłach, ona po swojej stronie, on po swojej, kiedy dzieliła ich tylko niemal wyczuwalna nadzieja i beznadzieja oraz ich słowa. Olivia przeczytała albo usłyszała o nowej metodzie leczenia. *Nie jest jeszcze zatwierdzona przez FDA i przyznaję, brzmi odrobinę niedorzecznie, ale ekspert w tej dziedzinie, doktor taki-a-taki powiedział podczas tegorocznej konferencji, że okazała się skuteczna w pewnej grupie dzieci. Kosztuje majątek. Jak myślisz?* Pamiętała, jak wydychał powietrze, a potem następowała cisza, po której Olivia poznawała, że David kiwa głową w ciemności.

Wypróbowali nową metodę. Musieli.

Nie zostały im więc żadne pieniądze, a połowa z niczego to wciąż nic. Nie było alimentów na nią ani na dziecko oczywiście. I tyle. Bez problemu. Potem mogli się od siebie uwolnić.

Tylko że David nie podpisał jeszcze dokumentów. Olivia wiedziała, że to zrobi. Po prostu potrzebował więcej czasu. A ponieważ czas stanął w miejscu, Olivii nie przeszkadzało czekanie.

Wstała z łóżka i poszła do kuchni. Otworzyła szafkę i westchnęła. Zapomniała dokupić kawy.

Gdyby był tu David, powiedziałyby pewnie, że nie ma problemu i mogą jechać do kawiarni. Zanim urodził się Anthony, często spędzali tak poranki. Siadali przy stoliku w miejscowej kafejce The Bean, najlepiej w rogu przy frontowym oknie. On czytał „The Globe”, ona książkę do pracy, on pił dwie duże kawy, obie czarne, a ona dużą *latte* i jadła bułeczkę z jagodami. Od czasu do czasu czytał jej fragment gazety, a ona podrzucała mu albo ujętą w słowa mądrość, albo nad wyraz okropny, bezsensowny fragment. Uwielbiała te powolne, zupełnie niezaplanowane poranki, jakie spędzali razem, będąc świeżo po ślubie.

Żałowała, że go teraz z nią nie ma. Zastanowiwszy się nad tym trochę dłużej, stwierdziła jednak, że tak naprawdę tęskni za *latte*, bułeczką i leniwym porankiem w kawiarni. Nie potrzebowała do tego Davida. Mając w głowie cel i opanowaną potrzebą wyjścia do ludzi, której już dawno nie czuła, Olivia włożyła parę dżinsów i sweter, zasunęła kurtkę, złapała czapkę, torebkę i klucze, włożyła buty stojące przy drzwiach i zanim zdołała się rozmyślić, wyszła z domu.

Centrum miasta było zatłoczone przez samochody i ludzi. Odkąd przyjechała tu zimą, Olivia kilka razy przejechała przez miasteczko i za każdym razem było opustoszałe, nawet w weekendy. Wystawy sklepów były niepodświetlone, prezentując nagie manekiny opatrzone tabliczkami „Do zobaczenia latem”. W środku dnia połowa restauracji była zamknięta. I wszędzie można było znaleźć miejsce do parkowania, co zresztą nie powinno dziwić, skoro na wyspie mieszkało za mało ludzi, by zimą utrzymać przy życiu miejscowe interesy.

Tego dnia jednak wszystko się ożywiło, jakby nastąpiła połowa sierpnia, a nie kwietnia. *Co się tu dzieje?* Nic nie przychodziło jej do głowy.

Skręciła w prawo na India Street, rozpoczynając trzecie okrążenie i przyrzekając sobie w duchu, że porzuci swój plan, jeśli tym razem nie znajdzie miejsca do parkowania. Już miała się poddać, na pocieszenie planując wizytę w supermarkecie żeby kupić opakowanie kawy, a może nawet przystanek w restauracji Downy Flake na obrzeżach miasta, kiedy nagle zauważyła puste miejsce przed Ateneum, pomiędzy hamerem a land cruiserem. *Co się tu dzieje?*

Ateneum to biblioteka w Nantucket – imponujący biały budynek, z ogromnymi jońskimi kolumnami po obu stronach wejścia. Wyglądała jak architektoniczny anachronizm – nie nowoczesna biblioteka, tylko grecka świątynia, której miejsce było na Akropolu, a nie w centrum uroczego nowoangielskiego, objętego nadzorem konserwatorskim Nantucket. Olivia pomyślała, że byłoby miło poczytać książkę, popijając kawę w The Bean, jak za dawnych czasów, choć bez Davida. Postanowiła więc zajrzeć do środka i coś wypożyczyć.

Jak można było się domyślić po gęstym ruchu ulicznym, w bibliotece roiło się od ludzi. Wszędzie stały wózki i ojcowie i matki upominali swoje dzieci, a one krzyczały i uciekały rodzicom. Jakiś maluch w wózku żałośnie ryczał. Całe to miejsce wrzało od ruchu i głosów, które odbijały się echem od wysokich sufitów. Ta energia wydawała się niewłaściwa i pozbawiona szacunku, jak wtedy, gdy dzieci wygłupiają się w kościele. Olivia zaczęła powątpiewać w swoją decyzję o wejściu do środka.

Podeszła do informacji i zatrzymała się, zastanawiając, czy na pewno tak bardzo pragnie książki, że chce się dla jej przedzierać przez rozpościerający się przed nią skondensowany chaos. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli się stąd ulotni. Już miała się odwrócić i wyjść, kiedy kątem oka zauważyła na metalowym wózku ze zwrotami leżącą tam samotnie znajomą książkę. *Dziwny przypadek psa nocną porą.*

Czytała tę książkę lata temu, tuż po tym, jak zdiagnozowano autyzm u

Anthony'ego. Był to element jej misji: przeczytać wszystko, co kiedykolwiek napisano o autyzmie. Pamiętała, jak myślała wtedy, że główny bohater bardzo różni się od jej Anthony'ego. Znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie spektrum, jak czerwień i fiolet na tęczy, byli zupełnie różni, a mimo to istniały między nimi pewne subtelne i zaskakujące podobieństwa, które dawały jej pocieszenie i nadzieję. Fiolet byłby niebieski, gdyby nie czerwień.

– Poproszę tę książkę – powiedziała, myśląc, że może jest gotowa ponownie przeczytać *Dziwny przypadek*.

Po wypełnieniu kilku świstków potrzebnych do założenia karty biblioteczej, szybkim krokiem ruszyła do drzwi i zbiegła po schodach biblioteki z książką w dłoni, czując ulgę, że w końcu stamtąd wyszła. Skręciła za rogiem, spodziewając się, że zaraz wejdzie do kawiarni, ale zatrzymała ją długa kolejka klientów, która kończyła się daleko od wejścia. Było bardzo zimno, kolejka była długa, ale mimo to wszyscy wokół niej wydawali się być w wyjątkowo dobrych nastrojach. Olivia rzadko kiedy opuszczała swoje okolice, ale kiedy już wyprawiała się do sklepu albo banku, nigdy nigdzie nie natrafiała na tłumy. Od kiedy przeprowadziła się na Nantucket, nie stała w ani jednej kolejce. Przyzwyczała się do wyizolowanego życia, jakie tu prowadziła, i wygody, jaką była możliwość robienia zakupów przy jednoczesnym minimalnym kontakcie z innymi ludźmi.

Zerknęła na swój nagi nadgarstek, chcąc sprawdzić godzinę i zastanawiając się, ile to zajmie. Musiało być już grubo po południu. Dlaczego pojawili się tu ci wszyscy ludzie? Olivia postawiła kołnierz kurtki, schowała dłonie do kieszeni, zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

Choć długo to trwało, kolejka małymi krokami posuwała się naprzód i Olivia w końcu weszła do środka. Kawiarnia wyglądała dokładnie tak, jak ją pamiętała – sfatygowane drewniane podłogi, kryształowy żyrandol, zabytkowe miedziane i cynowo-ołowiane dzbanki na półkach, szklany słój pełen *biscotti*. Jednak jej radość wywołana znajomym otoczeniem opadła, kiedy zauważyła, że wszystkie stoliki są zajęte.

- Co podać? – zapytała dziewczyna za ladą.
- Poproszę dużą *latte* i jagodową bułeczkę.
- Bułeczki się skończyły.
- Okej, to samą *latte*.
- Mleko zwykłe czy sojowe?
- Zwykłe.
- Pełnotłuste, półtora procenta czy odtłuszczone?
- Pełnotłuste. Co się tu dziś dzieje?
- Słucham?
- Dlaczego jest tu dziś tylu ludzi?
- Przez żonkile.

Olivia zastanowiła się przez chwilę.

– To jakiś zespół?

Dziewczyna zmierzyła Olivie wzrokiem od stóp do głów, tak jak młodzież patrzy na ludzi starszych, którzy za nimi nie nadążają.

– To kwiatek. Nie wie pani? Dlaczego pani tu przyjechała?

– Mieszkam tu.

– Ciekawe – mruknęła dziewczyna z niedowierzaniem.

– Więc wszyscy ci ludzie przyjechali tu oglądać jakieś żonkile?

– No jasne! Na wyspie kwitną ich ze trzy miliony.

Trzy *miliony*. Naprawdę? Olivia nie zauważyła żadnych. Ktoś je naprawdę przeliczył? Olivia podejrzewała, że dziewczyna pewnie przesadza, tak jak często robią młodzi ludzie.

– Czyli co? Ludzie po prostu jeżdżą po wyspie i je oglądają?

Olivia zapłaciła za *latte*, które podała jej dziewczyna.

– To taki festiwal, z paradą, grillami na parkingach...

– Grillami?

– Tak, w Siasconset.

– Jest też mecz futbolu?

Dziewczyna się roześmiała.

– Przepraszam, skończyła pani? Kolejka jest bardzo długa – odezwał się mężczyzna stojący za Olivią.

– Tak, przepraszam.

Olivia odeszła od lady i rozejrzała się po kawiarni po raz ostatni, bez krztyny nadziei. Żadnych wolnych miejsc. Przcisnęła się między stojącymi w kolejce ludźmi i wróciła do auta.

Pojechała po kocich łbach, którymi wybrukowana była główna ulica, i gdy skręciła na gładką nawierzchnię, po raz pierwszy dostrzegła wszystkie żonkile – zasadzone w ogrodach i okiennych donicach, rosnące wzdłuż płotów przed domami i ich „dzikie” kępy rozsiane po obu stronach drogi. Były wszędzie. Jak to możliwe, że wcześniej ich nie widziała?

Żonkile i grille na parkingach. Z ciekawości Olivia postanowiła przejechać się do Siasconset. Razem z Davidem lubili urządzać sobie takie grille z przyjaciółmi przed każdym meczem Boston College na domowym boisku. Wszyscy ubierali się w uczelniane bluzy, kurtki i czapki. Ktoś zawsze przywoził grilla i parę kegow piwa. Przypalone cheeseburgery i najlepsze piwo Milwaukee's Best z plastikowych kubków. David i jego kumple zawzięcie dyskutowali o zawodnikach i za każdym razem ktoś zaczynał porównywać obecnego rozgrywającego z legendarnym Dougiem Flutiem, co kończyło się wielką awanturą na temat tego, kto był lepszy. Już przed południem byli hałaśliwi i pijani, całe godziny przed pierwszym wykopem piłki.

Zauważyła ich, zbliżając się do głównej ulicy Siasconset – amatorzy grilla stali

ustawieni samochodami jeden koło drugiego na pasie zieleni pomiędzy Milestone Road i ścieżką rowerową. Ruch samochodów był bardzo powolny, ale Olivia dodatkowo zmniejszyła jeszcze prędkość, żeby dobrze się wszystkiemu przypatrzeć. Jeden z samochodów zaparkowanych na trawie zaczął wycofywać, więc Olivia postanowiła zająć jego miejsce.

Wzięła z jeepa swoje okulary lustrzanki i zaczęła iść. Główna ulica została zamknięta dla ruchu samochodowego, więc wyszła na środek jezdni. Na tym odcinku grillowanie odbywało się tylko przy zabytkowych albo fantazyjnych kabrioletach, które miały pewnie specjalne pozwolenie, by tu stanąć. Większość tablic rejestracyjnych pochodziła z Nowego Jorku albo Connecticut. Ci ludzie nie mieszkali tu na stałe.

Wszystkie samochody udekorowane były wielkimi bukietami żonkili przymocowanymi do lusterek, bagażników dachowych i masek. Ludzie też byli przystrojeni żonkilami. Kapelusze, wianki, bukietki przy sukienkach i w butonierkach. Właściwie wszyscy ubrali się stosownie do okazji – na żółto, swobodnie, ale uroczyście, z akcesoriami z żonkili. Niektóre kobiety jednak miały na sobie eleganckie, wiosenne sukienki i buty na obcasach, a nieliczni mężczyźni ubrali się w lniane garnitury i krawaty, jakby przyjechali na herbatkę na angielską wieś. Wyglądało to jak parada karnawałowa urządzona przez Kennedych.

Nikt nie miał kegów. Widać było za to kieliszki wina, szampana, martini. Pito krwawą mary z zielonymi oliwkami i pałkami selera. Rozstawiono krzesła ogrodowe i stoliki do gry w karty nakryte obrusami i oczywiście przyozdobione wazonami pełnymi żonkili. Na stołach piętrzyło się jedzenie – nie hamburgery czy hot dogi, lecz eleganckie jedzenie, które można by podać na weselu. Koszyki chleba, deski serów, smażone małże, sushi, sałatki i zupa rybna.

Wyglądało to bardzo kulturalnie. Choć wszyscy zdali się pić w miejscu publicznym i Olivia nie miała wątpliwości, że wielu z tych ludzi szumiało w głowie, nikt nie był na tyle pijany, żeby zaburzać publiczny spokój. Nikt tu nie będzie wzywał uczelnianej ochrony. Nikt tu nie przeżywał najlepszego podania meczu, popijając z kega czy stojąc na rękach, nikt nie wymiotował. Nikt nie ściągnął koszulki i nie napisał sobie palcem na torsie ORŁY DO BOJU albo SĘDZIA KALOSZ.

Ci ludzie nie przyjechali tu kibicować swojej ukochanej drużynie albo świętować zwycięski sezon. Zapakowali walizki, przejechali setki kilometrów samolotem lub samochodem, a potem promem, po czym przygotowali kosze piknikowe pełne krakersów, sera, homarów i wina i ubrali się w dziwaczne żółte stroje, by w Siasconeset posiedzieć na poboczu w lodowato zimny kwietniowy dzień i uczcić jakiś kwiatek. Tym ludziom poprzewracało się w głowach.

Olivia unikała z nimi kontaktu wzrokowego i szła dalej sprężystym krokiem środkiem jezdni, jak gdyby kierowała się w jakieś konkretne miejsce i wypatrywała kogoś znajomego, nie mając czasu na rozglądanie się wokół. Powietrze smakowało

mokrą ziemią, żółtawymi, słodkimi kwiatami, oceanem i czosnkiem. Zaburczało jej w brzuchu i Olivia pożałowała, że nie udało się jej kupić bułeczki z jagodami. Albo że nie mogła ugryźć kanapki z homarem jednej z kobiet.

Zadowolona, że zobaczyła wszystko, co było do zobaczenia podczas tego dziwnego, przydrożnego święta, zawróciła, wsiadła do samochodu i odjechała w stronę domu, z przyjemnością spoglądając na radosne plamki żółci, które dekorowały krajobraz przez całą drogę do domu. Kiedy stanęła na podjeździe, zauważyła sześć żonkili na trawniku przed domem – trzy złote i trzy białe, w pełni otwarte i kołyszące się na wietrze, jakby kłaniały się jej radośnie na powitanie. Ciekawe, kto je posadził, pomyślała. Uśmiechnęła się, czując nie tylko głód, ale i odrobinę inspiracji.

Podgrzała w mikrofalce miseczkę zupy z małżów i posypała ją z wierzchu krakersami. Wzięła łyżkę, *latte* i koc z kanapy oraz wypożyczoną książkę i siadła w bujanym fotelu na ganku. Zimna kawa, trzydniowa zupa i sześć z trzech milionów żonkili tylko dla niej. Jej własny piknik dla uczczenie Dnia Żonkila, czy jak go zwać. Idealnie. A przynajmniej całkiem dobrze.

Zjadła łyżkę zupy, przyglądając się drżącym na wietrze kwiatkom, niemożliwie pogodnym, delikatnym i odważnym na tle kwietniowej szarości Nantucket. Bycie żonkilem na wyspie nie było pewnie łatwe. Pewnie chciałyby jeszcze miesiąc pozostać w ziemi. Nie miały jednak w tej kwestii nic do powiedzenia. Jakiś ukryty w nich biologiczny zegar wcisnął włącznik kiełkowania, mówiąc każdej cebulce, by przebijała się do góry, bez względu na to, czy jest dwadzieścia stopni w słonecznej Georgii, czy zimny kwiecień na Nantucket. Kwiaty kwitły tak rok w rok.

Olivia zjadła kolejną łyżkę zupy i zamyśliła się nad wszystkimi ludźmi świętującymi kwitnięcie żonkili w Siasconset na miesiące, zanim nadejdzie odpowiednia pogoda. Po co to wszystko? Skończyła zupę i sięgnęła po *latte*. Pozostała na ganku, kierując twarz ku żonkilom i słońcu, czując jego ciepło przez lodowate powietrze. Zamknęła oczy, sycąc się tą małą przyjemnością.

Może była to zapowiedź lata. Może żonkile były znakiem, że po długiej i ponurej zimie, która czasem ciągnęła się i całą wiosnę, znowu nadejdzie lato. Ziemia obróci się wokół Słońca, a zegarki będą odmierzać czas, nawet jeśli Olivia nie ustawi swoich. Czas będzie płynął dalej. Zima się skończy. I to też przeminie. Istniała obietnica nowego początku. Zakwitną miliony żonkili i na wyspę powróci życie.

I czy Olivia chciała tego czy nie, życie też do niej powróci. Siedziała na ganku, piknikując przed swoimi żonkilami, i zauważyła, że słońce przesunęło się po niebie za okna jej sypialni. Musiał zbliżyć się już środek popołudnia. Czas mijał.

„Czas leczy rany”, mówili ludzie.

Olivia przeczytała notkę na odwrocie książki. Nie miała wątpliwości, że jest gotowa przeczytać o autyzmie raz jeszcze. Czuła się gotowa, by zmierzyć się z tym, co się stało, by wszystko sobie przypomnieć, spróbować zrozumieć życie Anthony'ego i to, dlaczego już go nie ma, by rozpocząć proces gojenia się ran. Jeśli jednak czuła

się na tyle odważna, by znów zmierzyć się z autyzmem, nie powinna tego robić poprzez fikcyjne historie. Odniosła książkę do domu i po chwili wróciła na ganek z pamiętnikiem.

Wypoczęta, najedzona i w poczuciu, że ten dzień, Dzień Żonkila jest dobrą porą, Olivia otworzyła na pierwszej stronie jeden ze swoich pamiętników i zaczęła czytać.

19 marca 2001

Dziś byliśmy u pediatry po pierwszych urodzinach dziecka. Ma 73 centymetry wzrostu i waży 9,5 kilograma, co jest idealną średnią dla dzieci w jego wieku. Dostał kilka zastrzyków szczepiennych. Mój biedny synek. Nie mogę na niego patrzeć, kiedy coś sprawia mu ból. Z taką dumą pochwaliłam się tym, że już chodzi. Doktor Harvey mówi, że możemy przestawić go na pełne mleko. Jak dobrze, że nie będziemy musieli już kupować mieszanki dla niemowląt.

Nie mogę uwierzyć, że Anthony ma już roczek! Tak szybko rośnie. I cały czas jest w ruchu.

Teraz daje mi się potrzytać tylko wtedy, kiedy karmię go z butelki, w innych sytuacjach chce być na podłodze i wszystko oglądać. Już nie jest moją małą przytulanką. Mogę oficjalnie powiedzieć, że nie jest już niemowlakiem!

Pewnie zawsze tak jest. Rozpoczął się długi proces dorastania, odsuwania się i stawania niezależnym małym człowieczkiem. Tak właśnie powinien się zachowywać, ale szkoda, że dzieje się to tak szybko.

To dlatego kobiety chcą mieć więcej dzieci. Zapominamy o bólu, dyskomforcie i ogromnej niewygodzie ciąży i porodu, żebyśmy mogły doznać niebiańskiego uczucia, jakie daje trzymanie przy piersi ciepłego, wtulonego w siebie dziecka. Nic nie może się z tym równać. Może powinniśmy z Davidem zacząć się starać o kolejne. Chcemy mieć dużą rodzinę, a ja przecież nie robię się coraz młodsza.

Powiedziałam doktorowi Harveyowi, że Anthony jeszcze nie mówi, i zapytałam, czy powinniśmy się tym martwić. Powiedział, że nie wszystkie dzieci mówią na tym etapie i że powinniśmy usłyszeć jego pierwsze słowa, kiedy skończy piętnaście miesięcy. To już niedługo. Ale wszystkie dzieci Marii zaczynały mówić już przed pierwszymi urodzinami. Pamiętam, że Bella mówiła „mama”, „tata”, „piłka” i wołała „daj” i „już” jeszcze przed pierwszymi urodzinami.

Doktor Harvey na to, że dziewczynki zwykle zaczynają mówić wcześniej niż chłopcy.

Mówił, żeby się nie martwić. Już za późno. Mam w sobie niepokój. Jakby ktoś mi powiedział, że bym nie miała brązowych oczu. Ale ja mam brązowe oczy. Martwię się. Dlaczego Anthony jeszcze nie mówi?

David w ogóle się tym nie przejmuję. Mówi, że za dużo martwię się o wszystko. Wiem, że ma rację. Rzeczywiście dużo się martwię, ale tym razem to coś więcej niż moja codzienna neuroza dotycząca zabezpieczających nakładek na kontakty, sterylizowania smoczków oraz prawdopodobieństwa, że jego mieszanka niemowlęca

jest zakażona robakami.

Może to coś z jego słuchem? Mam wrażenie, że mnie nie słyszy. Kiedy wołam go po imieniu, nie podnosi wzroku. Właściwie, to nigdy na mnie nie patrzy. Raz nawet zaczęłam klaskać w dłonie tak głośno, jak tylko umiałam, a on nawet się nie odwrócił. Siedział tylko na podłodze i patrzył na przesuwane szklane drzwi i liście, które wiatr rozrzucał po tarasie. Jakbym w ogóle nie istniała.

Jest głuchy? Nie. Wiem, że nie jest i dlatego pewnie nie wspomniałam o tym lekarzowi.

Widzę, jak porusza się do muzyki. Uwielbia reggae. A raz, kiedy upuściłam w kuchni patelnię, Anthony zląkł się i rozplakał, więc na pewno nie jest głuchy. A skoro tak, to dlaczego jakaś częśćka mnie chciałaby, żeby był? Co za szalona myśl. Boże, co się dzieje z Anthonyem? Błagam, powiedz, że nic mu nie dolega.

O co ja się martwię? Doktor Harvey mówi, że wszystko z nim w porządku. David mówi, że wszystko z nim w porządku. Jestem pewna, że wszystko z nim w porządku.

Straszna ze mnie kłamczucha.

ROZDZIAŁ 7

Beth od dwudziestu minut spoglądała nieobecny wzrokiem na zawartość swojej szafy w sypialni, czyli o jakieś dziewiętnaście i pół minuty dłużej niż zwykle. Jej szafa mieściła się w niewielkiej prostokątnej wnęce zagrodzonej przesuwanymi drzwiami. W środku od ściany do ściany biegł pojedynczy drążek. Nic wyszukanego. Do Beth należała lewa, a Jimmy'ego prawa strona. A przynajmniej tak było do niedawna.

Beth przesunęła drzwi, żeby zerknąć na drugą stronę – pusty drążek, paskudne kłęby kurzu na podłodze, które należało odkurzyć. Od lat truła Jimmy'emu, że brakuje jej miejsca w szafie. Śliniła się na widok garderoby, którą Mickey zbudował dla Jill (na środku znajdowała się nawet otomana do siedzenia – do siedzenia!). W końcu Beth dostała to, czego chciała – dwa razy więcej miejsca – nie mogła jednak zmusić się do tego, by przeciągnąć wieszaki na drugą stronę drążka albo postawić buty na jego części podłogi. Po prostu nie mogła.

Znów przesunęła drzwi, powracając do bieżącego problemu. Co na siebie włożyć? Tak jak wszystko inne w domu, strona Beth jest dobrze zorganizowana i panuje w niej porządek. Wszystkie wieszaki są takie same – białe, plastikowe i zwrócone w tę samą stronę. Od lewej wisały bluzki na ramiączkach, bluzki z krótkim rękawem, bluzki z długim rękawem, sukienki i spódnice. Na półce powyżej znajdowały się złożone bluzy dresowe i swetry, a na podłodze stały dwa rzędy butów. Po parze z każdego rodzaju – trampek, śniegowców, skórzanych botków, chodaków, czólenek na niewysokim obcasie, kłapek. Z wyjątkiem trampek, które kiedyś były białe, ale po wielu latach użytkowania zrobiły się szare, wszystkie jej buty były czarne.

Właściwie większość rzeczy w jej szafie była czarna. Nie była to jednak wyrazista czerń – nie nowojorska, wielkomiejska, szykowna, nawet nie gotycka. Czerń jej ubrań była nijaka. Bezpieczna i bez wyrazu, stapiająca się z tłem czerń. Niewidzialna czerń. Te ciuchy zaś, które nie były czarne, były popielate lub białe.

Przejrzała bluzki ze stójkami i golfami. Swetry były bezkształtne i długie. Wszystkie zakrywały jej pupę. Beth przyłożyła do siebie męski, czarny T-shirt, który mógłby dobrze wyglądać do džinsów. Jej džinsy nie były jednak na tyle szykowne, by mogła w nich pójść do Salt. Jej džinsy były luźne, praktyczne i wygodne, dobre do jeżdżenia z dziećmi minivanem, sprzątaniam, siedzenia na kanapie albo pracy w ogródku, ale nie na wieczorne wyjście.

Wyciągnęła swoje jedyne dwie sukienki i położyła je koło siebie na łóżku. Obie były czarne, ale żadnej z nich nie można było określić mianem klasycznej małej czarnej. Pierwszą z nich Beth ubierała na pogrzeby – sukienka nie miała dekoltu, i wcięcia w talii, miała za to długi rękaw i sięgała aż do kostek. Kupiła ją na pogrzeb ojca Jimmy'ego, bo wyglądała w niej poważnie i niepozornie, jakby nie chciała w jakikolwiek sposób zwracać na siebie uwagi. Gdy patrzyła na nią teraz, czuła

zażenowanie. Sukienka wyglądała jak kostium na szkolne przedstawienie o siedemnastowiecznej kwakerskiej starej pannie.

Spojrzała na drugą sukienkę, licząc, że ją uratuje. Okrągły dekolt, krótki rękaw, wysoka talia z luźnym dołem sięgającym lekko za kolano. Niezła. Mogła się nadać. Wyglądała nawet fajnie. Beth przyłożyła sukienkę do siebie i przejrzała się w pełnym lustrze zawieszonym na drzwiach do sypialni, zastanawiając się, czy dobrze wygląda, ale nagle przypomniała sobie, kiedy ostatni raz miała ją na sobie, i jej optymizm od razu zgasł. Sprawdziła metkę. Odzież ciężowa. Chodziła w tej sukience w dziewiątym miesiącu ciąży z Gracie. Nie mogła nałożyć do Salt ciężowej sukienki, nawet jeśli był to najseksowniejszy ciuch w jej szafie i nikt nie zobaczy metki.

Patrząc z nienawiścią na swoje dwie sukienki, Beth zaczęła obgryzać paznokcie. Odwiesiła ubrania na miejsce po swojej stronie szafy i jeszcze raz przepatrzyła czarne ubrania. Jej stare, brzydkie i głupie czarne ubrania. Nie mogła tego zrobić. Nie mogła tam pójść. Po prostu nie mogła.

Chwyciła za telefon, który leżał na stoliku nocnym, i wybrała numer.

– Nie mogę iść – powiedziała do Petry.

– Dlaczego nie?

– Nie mam się w co ubrać?

– Mówisz jak szesnastolatka. Włóż czarny top i spódnice.

– Najpierw muszę wybrać się na zakupy. Może w przyszły weekend?

Potrzebowała czasu na wypad do galerii w Hyannis, wieloetapową i drogą eskapadę wymagającą biletów na prom i rozkładów jazdy autobusów. Nawet gdyby stać ją było na zakupy w centrum miasta, a zdecydowanie tak nie było, nawet gdyby ubrania rozdawano tam za darmo, za nic nie pozwoliłaby się przyłapać na buszowaniu w ciuchach z tego miejsca. Nigdy nie rozumiała, dlaczego kobiety, które stać na wszystko, dobrowolnie nakładały sukienki w ananasy, topy z cekinami i wyszywanymi pasami w kolorze mdłego różu, spódnice w rozgwiazdy i wieloryby.

– W następny weekend wypada Figawi, nie uda się nam. Daj spokój, odkładasz to już od miesiąca. Załóż trochę biżuterii i zrób makijaż, a na pewno będziesz wyglądać świetnie.

Miała rację, w następny weekend wypadał Dzień Pamięci i Figawi, międzynarodowy wyścig żeglarski z Hyannis przez zatokę Sound do portu Nantucket. Było to również wielkie i oficjalne rozpoczęcie sezonu letniego na Nantucket. Wszędzie na wyspie piekło się wtedy małże, organizowało eleganckie przyjęcia charytatywne, ceremonie wręczenia nagród i imprezy. I wszystkie restauracje pękały wtedy w szwach.

– Nie jestem przekonana.

– Chcesz zobaczyć tę kobietę czy nie?

– Chyba tak, ale...

– No to idziemy ją zobaczyć.

– Jak ona wygląda?

W nieskończenie długiej pauzie, która potem nastąpiła, Beth przycisnęła palec do ust i wstrzymała oddech. Czuła, jak tętno pulsuje jej w skroniach. Od ostatniego spotkania klubu książki tyle razy chciała zadać Petrze to pytanie, ale obawa przed możliwymi odpowiedziami zawsze ją przed tym powstrzymywała, odbierała jej głos. Jeśli Angela była piękna, to znaczy, że Beth była brzydka. I określenie brzydka było w tym wypadku życzliwym sformułowaniem. Beth rozważała określenie „ohydna” i miała przecucie, że pasuje idealnie, lepiej niż którykolwiek z czarnych ciuchów, które miała w szafie. A jeśli Angela nie była piękna, to była pewnie dobra albo zabawna, albo atrakcyjna w inny, fascynujący sposób, w jaki Beth nie jest, bo przecież gdyby była Jimmy nie szukałby tego poza domem. Więc jeśli Angela była piękna, to Beth była brzydka, a jeśli Angela była brzydka, to Beth była suką, definiowaną tym, co Jimmy widział w swojej kochance, nieważne, co to było.

– Tego się właśnie dziś dowiemy.

– Tak, ale widziałaś ją. Co o niej sądzisz?

– Myślę, że nie dorasta ci do pięt.

Beth uśmiechnęła się, ale jej wzrok wrócił do szafy.

– To może po Figawi?

– A może dziś wieczorem?

– Petra, w ogóle nie muszę tam iść.

– To prawda.

– Ale nie mogę znieść tego, że nie wiem, kim ona jest.

– No to postanowione.

Beth przygryzła paznokieć kciuka.

– A mogę pożyczyć twój turkusowy naszyjnik?

– Jasne. Przyjadę tuż przed siódmą. Wszystko w porządku?

– Tak.

– Jest dopiero przed południem. Powinnaś wyjść z domu. Zamknij szafę.

– Tak zrobię. Jak tylko wymyślę, w co się ubrać.

– Czarny top, spódnica, turkusowy naszyjnik. Będziesz wyglądać świetnie. Do zobaczenia wieczorem.

Czarny top i spódnica. Beth wyciągnęła z szafy swoją białą cygańską spódnicę i przyjrzała się jej. Wyszła na korytarz i stanęła przed ich ostatnim wspólnym rodzinnym zdjęciem wiszącym na ścianie. Zrobili je w zeszłym roku na plaży Miacomet. Miała na sobie tę właśnie spódnicę. Ona, Sophie i Gracie ubrały białe spódnice i czarne bluzki, a Jimmy i Jessica, która nie da sobie włożyć niczego prócz spodni, mieli na sobie szorty i czarne koszulki. To piękne zdjęcie. Siedzieli razem na plaży pośród wysokich traw. Za nimi rozpościerały się białe chmury na tle błękitnego nieba. Jimmy trzyma dłoń na jej kolanie przykrytym spódnicą, którą ona trzymała teraz w dłoniach, i dotykał jej tak zwyczajnie, tak normalnie.

Pamiętała czasy, kiedy zaczęli się spotykać i te niedługo po ich ślubie, kiedy dotykał jej nawet w przelocie, a ona go czuła. Naprawdę go czuła. To zniewalające, elektryzujące ciepło jego dłoni na swoim ciele. Niewidzialne, magiczne, chemiczne połączenie. Co się z nim stało?

Jimmy zdradzał ją, kiedy zrobili to zdjęcie. Beth zacisnęła powieki i przełknęła ślinę, starając się nie rozkleić. Co czuł Jimmy, kiedy dotykał Angeli? Czy czuł niewidzialne, magiczne, chemiczne połączenia? Co czuł, kiedy dotykał Beth? Kiedy w ogóle jej dotykał. Otworzyła oczy i zrobiła krok do tyłu, spoglądając na całą ścianę – siedem lat rodzinnych portretów i czarno białe zdjęcie jej i Jimmy'ego zrobione w dniu ich ślubu. Patrzyła na uśmiechy swojej szczęśliwej rodziny. Patrzyła na swoje życie. Zacisnęła zęby i mrugając, starała się powstrzymać łzy. Jej życie było kłamstwem.

Wyprostowała dwie ramki lekko przekrzywione na prawo, wróciła do sypialni i położyła się do łóżka. Czuła się w nim dobrze. Bezpiecznie.

Wiedziała też, jak ubrać się do łóżka. Miała na sobie starą, flanelową, zmechaconą piżamę, najbardziej kolorową rzecz w swojej garderobie. Powinna wybrać się do Salt w tej piżamie. Wtedy na pewno zrobiłaby wrażenie, choć nie takie, jakiego by chciała.

Ale jakie wrażenie tak naprawdę chciała zrobić? Żałowała, że w ogóle musiała je robić, że nie mogła pójść w przebraniu, peruce i ciemnych okularach i tylko popatrzeć, niezauważona. Fantazjowała też o tym, że idzie do Salt i wszyscy zwracają na nią uwagę. Weszłaby do restauracji zdecydowanym krokiem, robiąc wrażenie pewnej siebie i pełnej seksapilu (w stylu Marilyn Monroe, nie gwiazdy porno), ale przede wszystkim wyglądałaby lepiej niż Angela, co trudno było sobie wyobrazić, skoro nie wiedziała, jak ona wygląda. Bała się dać tej kobiecie jakiegokolwiek powód, by czuła się lepsza od Beth, choć pewnie tak już było. Realistycznie patrząc, wszystko na to wskazywało. Beth nie czuła się ani pewna siebie, ani seksowna. I nigdy nie chodziła zdecydowanym krokiem. Popatrzyła na swoją godną politowania szafę, przewróciła się na drugi bok, zamknęła oczy i podciągnęła koc pod brodę.

Za zamkniętymi powiekami stanął jej obraz Jimmy'ego, który wstrząsa kubkiem barmańskim pełnym martini i nieruchomieje w połowie napełniania kieliszka, kiedy widzi, jak Beth zdecydowanym krokiem wchodzi do środka wraz z przyjaciółkami. Wyobrażała sobie, jak odciąga ją na stronę i mówi, że czuje się jak idiota, przez to, że ją zostawił. Fantazjowała, jak błaga ją na oczach gości i przy Angeli, by przyjęła go z powrotem.

Wyreżyserowała całą scenę w Salt, uśmiechając się, kiedy ta rozgrywała się w jej głowie. Beth wymyśliła nawet fikcyjną, załamaną i pokonaną Angelę, o gładkich, czarnych włosach, grubych brwiach, z mocnym makijażem oraz w sukience z lycry (gwiazda porno). Jedynej osoby, której nie była w stanie sobie wyobrazić w całej tej scenie, była ona sama.

Co mam na siebie włożyć, do cholery?

Wpadło jej wtedy do głowy, że przynajmniej raz w tygodniu musiała odpowiedzieć na podobne pytanie swojej niespełna czternastoletniej córce Sophie. Pozostałe dwie dziewczynki mogą czekać przy drzwiach, ubrane i gotowe do wyjścia, ale Sophie nadal będzie stała w swoim pokoju pośród rozrzuconych ubrań, rozdrażniona i ubrana tylko w połowie. *Nie mogę iść do szkoły! Nie mam się w co ubrać!*

Bardziej przejmując się tym, że dziewczynki spóźnią się do szkoły, niż domowym kryzysem Sophie, Beth zwykle rzucała szybką i dość sztampową poradę.

Wyglądasz ślicznie. Bądź sobą, a nie będzie miało znaczenia, co masz na sobie. No, zbieramy się!

Beth rozumiała teraz, dlaczego Sophie przewracała oczami i zaczynała jeszcze mocniej płakać. Była winna córce przeprosiny i wypad do galerii w Hyannis.

Próbowała przez chwilę zastosować się do własnej porady. *Bądź sobą*. Ale kim właściwie była Beth? Była żoną Jimmy'ego i matką. A jeśli się rozwiodą i nie będzie już panią Ellis, a tylko matką, czy to znaczy, że będzie kimś gorszym? Bała się tego i już fizycznie to czuła, jakby chirurg przyłożył jej skalpel do brzucha i usunął jej cały, niezbędny organ. Bez Jimmy'ego była dla siebie nierozpoznawalna. Jak to możliwe? Kim się stała?

Beth odwróciła się i znów wlepiła wzrok w szafę. Była posprzątana. To w jej stylu. Ale poza tym Beth wcale tam nie było. Usiadła i spojrzała na siebie w lustrze na tyle drzwi do sypialni: na swoje rozczochrane i matowe, sięgające brody włosy, na swoje głęboko osadzone, pozbawione wyrazu niebieskie oczy, na zmechaoną, różową piżamę. *To nie ja*.

Wstała z łóżka i znów poszła popatrzeć na zdjęcia w korytarzu. Te najnowsze portrety ukazywały ją tylko jako żonę i matkę. Zawsze podobało się jej, jak wygląda na tych zdjęciach – niezbyt napuszona od wilgoci fryzura, subtelny makijaż, manikiur, starannie wyprasowane ubrania. Kiedy jednak przyglądała się sobie teraz, jej uśmiech wydawał się wymuszony, nienaturalny, a jej poza sztywna, jakby była swoją własną tekturową makietą. Jakby pozowała. Przesunęła się w czasie i spojrzała na najstarszy portret rodzinny i ślubne zdjęcie. Na nich widziała kobietę, z którą się utożsamiała. W jej uśmiechu było zatracenie się w chwili, jej pełne radości oczy błyszczały. Gdzie się podziała ta kobieta?

Z jakiegoś powodu zerknęła do góry i znalazła odpowiedź, jakby dostała ją z niebios. Na strychu!

Staną na palcach, pociągnęła za dyndający biały sznurek, otworzyła drewniane schodki i weszła na górę. Powitał ją podmuch dusznego, zastanego i gorącego powietrza. Zbliżał się koniec maja i dni były słoneczne, choć nadal chłodne – tylko około piętnastu stopni – ale uwięzione tu ciepło przypomniało jej o lecie.

Przystanąła na chwilę, zanim ostatecznie zdecydowała, że wyjście na górę na

pewno było dobrym pomysłem. Dach był skośny i niski, a w drewnianym suficie tkwiło mnóstwo wystających gwoździ, przez co stanie prosto było niemożliwe i niebezpieczne. Nie wykończyli tu podłogi i przez środek przełożyli kilka drewnianych desek, jak most przerzucony przez morze różowej waty ocieplającej.

Beth nie lubiła tu przychodzić, obawiając się, że albo zapomni o niskim suficie i nadzieje się głową na któryś z gwoździ albo przypadkiem zsunie się z którejs z desek i przebiwszy warstwę włókna szklanego, wyląduje w salonie. Z tego powodu zwykle zaglądała tu tylko dwa razy do roku – dzień po Święcie Dziękczynienia, żeby zabrać ozdoby bożonarodzeniowe, i w Nowy Rok, żeby je tu odnieść. Mając konkretny cel dla każdej wizyty, nigdy nie spędzała tu zbyt wiele czasu.

Jimmy składował tu swoje rzeczy – trzymał je na samym końcu strychu – kilka wędek opartych o nachylony sufit, z których dwie się przewróciły, poplątane sieci, skrzynki z przyborami, jedna z nich otwarta, kolekcję kijów golfowych rozrzuconych beładnie na podłodze jak sterta bierek, pustą torbę golfową, pojedynczy but do golfa, deskę surfingową, podbierak i wiadro.

– Jimmy.

Trzymając ręce na biodrach, zganiła go w myślach i ledwie powstrzymała się od tego, by nie posprzątać. Nie po to tu przyszła.

Oddalone od tego bałaganu stały trzy wentylatory i dwa klimatyzatory. Dalej w równym rzędzie ustawionych było sześć plastikowych pojemników, wszystkie podpisane przez nią czarnym markerem na taśmie malarskiej – po dwa z napisami ŚWIĘTA, HALLOWEEN, ZIMA. Zimowe pudła były puste. Ona i dziewczynki nadal nosiły swoje zimowe kurtki, a od czasu do czasu przydawały im się zimowe buty. Ziemia w końcu się odmroziła i przechodzili właśnie szczyt błotnego sezonu. Co roku jakiś tydzień później Jimmy pod komendą Beth wynosił wszystkie zimowe ubrania na strych i wracał z wentylatorami i klimatyzatorami. Westchnęła, zdając sobie sprawę, że teraz będzie to jej zadanie.

Jedno pudło, postawione w odosobnieniu, podpisane było BETH. Na pokrywie znajdowała się gruba warstwa kurzu. Nie było otwierane przynajmniej od dziesięciu lat. Czując zarówno podekscytowanie, jak i lęk z powodu tego, co może znaleźć w środku, Beth usiadła przy nim po turecku i zajrzała do środka.

Najpierw wyciągnęła *frisbee* podpisane przez całą jej drużynę i obracała je w dłoniach, czytając każdą dedykację i podpis. Johnny C.! Chłopak z Reed College, w którym podkochiwała się na czwartym roku. Od lat o nim nie myślała. Był taki miły. Studiował medycynę. Ciekawe, co się z nim stało. Został pewnie poważnym lekarzem, który nie zdradza swojej żony.

Natrafiła na plik biletów związanych razem gumką recepturką. Rolling Stones, STOMP, Rent, Cirque du Soleil, Metropolitan Museum of Art, bilet lotniczy z Potrland do Nowego Jorku, kolejny do Nowego Meksyku, nawet bilety do kina, każdy podpisany imionami przyjaciół lub chłopaka, z którym była na seansie. Nie

mogła sobie przypomnieć, na jakim koncercie była ostatnio (mogli to być Stonesi), a ostatni lot samolotem odbyła z Nowego Jorku na Nantucket. W jedną stronę. Tęskniła za wakacjami w nowych miejscach, za przedstawieniami na Broadwayu i muzeami (trzy wizyty w oceanarium, kiedy każda z jej córek była w trzeciej klasie, się nie liczyły).

Przejrzała uczelniane legitymacje, zdjęcia z przyjęć i letnich wakacji. Zaśmiała się na widok swojej wielkiej fryzury i niebieskich kresek na powiekach. Ech, te lata osiemdziesiąte!

Następnie wyciągnęła plik kartek urodzinowych i zawahała się, zbierając się na odwagę. Osiem kartek od mamy. Przeczytała je wszystkie, począwszy od kartki na szesnaste urodziny, zapamiętując każde słowo, każdy podpis „kochająca mama” i ocierając oczy rękawem piżamy, kiedy przez łzy prawie nic nie widziała.

Jej mama przeszła operację wycięcia guzka piersi latem, na rok przed wyjazdem Beth na wyspę. Jej lekarz twierdził, że wycięli wszystko. Po operacji przeszła radio- i chemioterapię. Wszystko przebiegało standardowo. Nic nie budziło podejrzeń.

Włosy wypadły jej, kiedy Beth we wrześniu przeniosła się do Nowego Jorku. Dostała swoją pierwszą pracę po studiach jako asystentka redaktora w „Self Magazine”. Mama nalegała, żeby Beth pojechała i rozpoczęła nowe życie, zapewniając córkę, że nic jej nie będzie.

A jednak. Nie wycięto wszystkiego. W listopadzie mama wróciła na stół operacyjny i tym razem usunięto całą pierś oraz część tkanki chłonnej. Beth poczuła ukłucie w sercu. Gdyby tylko udało im się wyciąć wszystko za pierwszym razem. Po raz kolejny lekarze mówili, że pozbyli się wszystkiego. Beth świętowała to z mamą w weekend po Święcie Dziękczynienia, czując ulgę i wdzięczność.

Nie powinny były jednak świętować niczego, ponieważ jakieś mikroskopijne drobinki nowotworu zdołały się już oderwać od piersi przed jej usunięciem i zaczęły wędrować po ciele matki w poszukiwaniu nowego lokum. Najpierw znalazły wątrobę. Potem płuca. Mama zmarła w styczniu.

Beth wzięła do ręki ostatnią kartkę urodzinową podpisaną „kochająca mama”. Dostała ją na dwudzieste trzecie urodziny i nigdy nie wyobrażała sobie, że mamy nie będzie już przy jej dwudziestych czwartych, trzydziestych, trzydziestych ósmych urodzinach.

Często zastanawiała się, czy wyszłaby za Jimmy'ego, gdyby jej mama nie umarła. Po pogrzebie wstawanie z łóżka i chodzenie do pracy stało się dla Beth rzeczą niewyobrażalnie trudną. Pamiętała, jak czuła się całkowicie niezdolna do wykonywania swojej pracy, mimo że w większości składała się ona z niewymagających myślenia zadań, jak odbieranie telefonów, sprawdzanie faksów i umawianie spotkań. Tyle razy próbowała ukrywać nagłe fale łez w chwilach, gdy brakowało jej opanowania i profesjonalizmu. Potrzebowała wolnego. Z trudem dotrwała do czerwca, po czym złożyła wypowiedzenie i wyjechała z Nowego Jorku.

Zrezygnowała i przyjechała na Nantucket.

Odziedziczyła po mamie trochę pieniędzy – wystarczająco, by z przyjaciółmi wynająć domek w mieście i wrócić jesienią na studia magisterskie. Dostała się na studia z twórczego pisania na Uniwersytecie Bostońskim. Nie miała więcej planów. Nie zaplanowała, że spotka Jimmy'ego i że się w nim zakocha. I zdecydowanie nie zaplanowała, że wyjdzie za niego za mąż i założy rodzinę, zamiast wracać do szkoły.

Tak jednak zrobiła. W Święto Pracy, kiedy jej przyjaciele odlecieli samolotem do prawdziwego świata, Beth została. Rok później wyszła za Jimmy'ego, w następnym urodziła się Sophie.

Beth często zastanawiała się, co jej matka pomyślałaby o Jimmym. Pewnie by się jej nie spodobał. W obecnej sytuacji z pewnością nie darzyłaby go sympatią. Jej mama nigdy nie miała zbyt dobrego zdania o mężczyznach. Beth miała trzy lata, kiedy rodzice się rozwiedli, a do czwartych urodzin ani razu nie spotkała się z ojcem. Nie mogła sobie przypomnieć, czy po rozwodzie mama umówiła się choćby na jedną randkę. Całkowicie poświęciła się zarabianiu na życie i wychowywaniu córki, swojego jedyne dziecko.

Beth zaczęła przeszukiwać pojemnik w poszukiwaniu konkretnego zdjęcia. Wiedziała, że musi tam być. Zalaża je na samym dnie – jedyne zdjęcie ojca. Miał na nim białą podkoszulkę i okulary w czarnych oprawkach. Jego jasnobrązowe włosy były przerzedzone na skroniach. Uśmiechał się. Jego ramiona wydawały się silne. Na zdjęciu trzymał Beth na kolanach. Dziewczynka miała na głowie kucyki i ubrana była w różową odświętną sukienkę. Świętowali jej drugie urodziny. Ona też była uśmiechnięta. Wyglądali razem na szczęśliwych. Beth zupełnie nie pamiętała tego mężczyzny ani siebie z czasów, kiedy była tą małą dziewczynką, wierzyła jednak, że to oni. Na odwrocie zdjęcia widniał podpis ręką mamy: *Denny i Beth, 10.02.1972*. Beth westchnęła głęboko i wrzuciła zdjęcie z powrotem na samo dno pudła.

Przycisnęła do piersi plik kartek urodzinowych od mamy. Tęskniła za nią, zwłaszcza teraz. Uśmiechnęła się i delikatnie wytarła oczy wilgotnym rękawem, pogrążona w słodko-gorzkich rozmyślaniach o swoich własnych córkach. Jej mama być może nie przejmowałaby się Jimmym, ale na pewno martwiłaby się o swoje wnuczki.

Odłożyła kartki do pojemnika i wyciągnęła książkę w miękkiej oprawie. Poradnik dla pisarzy Natalie Goldberg. Dzięki tej książce uwierzyła, że mogłaby kiedyś stać się pisarką. Dlaczego ta książka leżała tutaj, a nie w salonie albo przy jej łóżku?

Kiedy się tu przeprowadziła, pisała sprawozdania z wydarzeń do lokalnej gazety „Yesterday`s Island”. Nie były to epokowe teksty, ale przynajmniej pisała i była za to wynagradzana. Kiedy urodziła Jessicę, dostała lepszą posadę jako etatowy redaktor w „The Inquirer and Mirror”. Po urodzeniu Gracie stwierdziła jednak, że praca i wychowywanie dzieci ją przerastają, zrezygnowała więc z etatu w redakcji. Mimo to jeszcze przez jakiś czas nie zrezygnowała z pisania.

Beth odnalazła na strychu swoje eseje, wiersze i opowiadania. Wyciągnęła notatnik – spięty sprężyną, luźny i sfatygowany, którego każdy skrawek pokryty był niebieskimi literami – ćwiczeniami z pisarstwa, pomysłami na opowiadania, winietami, jej wyobraźnią, jej myślami, emocjami, jej wrażliwym wnętrzem przelany między szerokie linie dużych kartek. Pogrążyła się w czytaniu opowiadania o chłopcu, który żyje w swoim dziwnym, lecz pięknym, wymyślonym świecie. Pamiętała, kiedy napisała to opowiadanie. Było to sześć albo siedem lat temu po pewnym poranku spędzonym na plaży. Zainspirował ją pewien chłopczyk, który bawił się kamykami przy linii wody. Kiedyś znajdowała inspirację w codziennym życiu i pisała o nim. Kiedy przestała pisać? Kiedy jej życie przestało być inspirujące?

Jeden z notatników w pudełku był zupełnie nowy, nietknięty. Wzięła go do rąk, coś sobie obiecała, po czym odłożyła go do pudła.

Następnie zaczęła przeglądać ubrania – płaszcz z imitacji skóry geparda, który należał do jej matki, czarne, skórzane spodnie (jak ściągnięte z gwiazdy rocka), jej różowo-pomarańczowa sukienka w stylu Goldie Hawn z lat sześćdziesiątych. Kiedyś uwielbiała tę sukienkę. Wkładała ją na wszystkie okazje – przyjęcia, imprezy taneczne, śluby, pierwsze randki. Miała ją na sobie podczas pierwszej prawdziwej randki z Jimmym.

Ostrożnie ściągnęła swoją zmechaconą piżamę i włożyła sukienkę przez głowę, uważając, by nie uderzyć w dach. Jakimś cudem pasowała! Beth nie potrzebowała lustra w sypialni, by wiedzieć, że ładnie w niej wygląda. Wiedziała o tym.

Znalazła też stertę sztucznej biżuterii – wielkie srebrne kolczyki koła, masywne i kolorowe plastikowe bangle, mnóstwo dżetów i splątanych naszyjników w stylu Madonny z czasów *Rozpaczliwie poszukując Susan*. Wsunęła na środkowy palec pierścionek z księżycowym kamieniem i przyjrzała się mu z zachwytem, zastanawiając się, dlaczego w ogóle wylądował na strychu.

Dlaczego właściwie którąkolwiek z tych rzeczy wyniosła na strych? Mogło to być związane z wyprowadzką z Nowego Jorku na Nantucket i pragnieniem, by pasować do nowego miejsca. Stali rezydenci wyspy nosili przyduże polarowe kurtki od LL Bean i modne kalosze, a nie sukienki Goldie Hawn i pierścionki zmieniające kolor. Wpływ na to miało też pewnie puchnięcie i przybieranie na wadze związane z trzykrotną ciążą. W te skórzane czarne spodnie nie była w stanie wcisnąć się od lat. Ale pomijając spodnie – notatniki, ubrania, zdjęcia i kartki były kawałkami jej samej, jej historii, jej fantazji i stylu, jej marzeń o przyszłości.

To ja, pomyślała, zaglądając do pudła.

Ona i Jimmy urządzali kiedyś spontaniczne imprezy, nie mając w domu nic poza torbą chipsów, sześciopakami piwa i butelką taniego wina. Każdy przynosił coś ze sobą i nigdy niczego im nie brakowało. Zawsze świetnie się bawili. Ona i Jimmy od dawna nie urządzili żadnej imprezy. Pomysł na nie trochę się zmienił i przestali je urządzać pod wpływem impulsu. Teraz wymagały planowania, gotowania i sprzątania

domu. Wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik. Przyjęcia stały się pracą i Beth już się na nich tak dobrze nie bawiła. Pamiętała tylko kłótnie z Jimmym wywołane jakimś stresującym elementem przygotowań i swój gniew oraz niechęć, kiedy upierała się przy swoim jeszcze długo po tym, jak dom opuścił ostatni z gości.

Kiedyś lubiła kolor niebieski, zielony i pomarańczowy. Kiedyś była silna. Chodziła kąpać się nago na plaży Grubasek i tańczyła do muzyki, którą lubiła. Teraz nosiła tylko luźne, zasłaniające ciało narzutki na kostium kąpielowy i słuchała tego, co lubiły dziewczynki, zwykle Britney Spears albo którejś ze śpiewających nastolatek o gigantycznych oczach z Disney Channel.

Kiedyś lubiła pisać.

Nie mogła uwierzyć – tyle z siebie spakowała do pudła i lata temu wyгнаła na strych. Przynajmniej nie oddała siebie pomocy społecznej albo gorzej – nie wyrzuciła na śmieci. Nadal przeszukiwała pudełko i pogrążała się we wspomnieniach z każdym wyciągniętym przedmiotem, aż wyciągnęła zamykany medalion – pierwszy prezent on Jimmy'ego. Otworzyła gładkie, pokryte nalotem srebrne serduszko i położyła w dłoni. Ona i Jimmy całowali się. Zakochani. Przyjrzała się ich wspólnemu zdjęciu, jakby patrzyła na obcych ludzi, dawnych znajomych, z którymi kiedyś się przyjaźniła, ale stracili kontakt. Beth posmutniała. Kiedyś nosiła ten wisiołek codziennie i uwielbiała go. A potem – nie pamiętała dokładnie kiedy – srebrne serduszko zaczęło szarzeć i to, co kiedyś wydawało jej się romantyczne i wytworne, nagle stało się oklepane i dziecinne. Wisiołek jej się znudził, więc wpakowała go do pudła.

Uważając, by się nie wyprostować albo nie zboczyć z desek, Beth przeciągnęła swoje pudło do schodów, a potem zniosła je do sypialni. Balansując pojemnikiem przyciśniętym do biodra otworzyła drzwi szafy i położyła je z impetem na podłodze po stronie Jimmy'ego. Wyciągnęła poradnik pisarski, stare notatniki, także ten pusty, i postawiła je na stoliku nocnym. Pokiwała głową. Następnie zawiesiła sobie serduszko na szyi, potarła je palcami i odwróciła się do lustra na drzwiach.

Oto ja.

Gotowa na Salt.

ROZDZIAŁ 8

Pozostała jeszcze godzina do zachodu słońca na plaży Grubasek. Olivia spacerowała z aparatem w dłoni. Co wieczór przechadzała się tą plażą i zaczynała rozumieć, dlaczego fotografowie nazywają tę porę dnia złotą godziną. Przez ostatnie minuty dnia słońce oświetlało brzeg po linii horyzontu, a nie znad głowy, i okrywało wszystko delikatną, rozproszoną łuną. Kolory wydały się bardziej nasycone, złote, romantyczne.

Całą wiosnę Olivia chodziła bez aparatu, nie czując inspiracji. Gdziekolwiek spojrzeła, wszystko było szare. Jednak wszechobecna ponurość zdała się zniknąć na dobre w ostatni weekend, tak jakby zrobiło się wystarczająco ciepło, by wyspa mogła rozpiąć i zrzucić z siebie swój zimowy płaszcz, ujawniając swoje niepowtarzalne piękno, zwłaszcza o tej godzinie. Zdziwiający błękity nieba zlewające się z oceanem, intensywnie seledynowe źdźbła trawy na plaży, złocący się piasek, a później zachwycający zachód słońca, płomienna pomarańczowa kula, która zniknie za linią horyzontu, zamieniając się miejscami z niebem, coraz mocniej zanurzonym w intensywnym różu i lawendzie, z każdą sekundą coraz bardziej wspaniałym. Aż się prosiło o robienie zdjęć.

Olivia uwielbiała trzymać w dłoniach swojego nikon. Oczywiście wygodniej byłoby nosić małe aparaty wielkości talii kart, który przynajmniej teoretycznie był w stanie zrobić wszystko, czego by oczekiwała, ale wydawał się jej tanią zabawką. Wolała swojego nikon, kliknięcie spustu migawki pod palcem wskazującym, ręczne ustawianie ostrości, ciężar aparatu. Przypominało jej to, jak kiedyś kochała dotykać książki prosto z drukarni – zwieńczenie lat pracy autora i jej miesięcy redagowania – gładką, nową okładkę, czasem z wytłaczanymi literami, i satysfakcjonujący ciężar w swoich dłoniach.

Nadal kochała dotykać nowe książki. Choć doceniała to, jak wygodne są cienkie i smukłe elektroniczne czytniki, nie dawały jej trójwymiarowego zmysłowego doznania, którego dostarczała zwykła książka. Wydawały jej się tandetne jak tani kieszonkowy aparat.

Szła wzdłuż linii wody, przystając od czasu do czasu, by uchwycić szerokokątne ujęcie horyzontu, zdjęcie makro muszelki, brodzca, sylwetki kobiety spacerującej z psem w oddali. W przeciwieństwie do poprzednich miesięcy, kiedy mogła chodzić tu całkowicie samotnie, ostatnio na plaży zawsze byli inni ludzie. Wyspa zaczęła ożywać i podczas swoich przechadzek Olivia dostrzegła, jak bardzo odstawała od reszty świata. Wszechobecna szarość, która ją otaczała, nie zniknęła. W jej sercu nadal trwała zima. Czuła się, jakby zamiast bohaterką, była świadkiem swojego życia – życia kobiety mieszkającej na Nantucket, która pije kawę, czyta swoje dzienniki, chodzi na spacer i robi zdjęcia. Miała wrażenie, że ogląda nudny film o nudnej kobiecie – film, w którym niewiele się działo i choć najchętniej przełączyłaby kanał, z

jakiegoś powodu przykuta jest do ekranu. Może jeśli będzie dalej oglądać, coś się wydarzy?

W jednej kwestii coś wkrótce musiało się zmienić. Olivia musiała znaleźć sobie tu pracę. Nawet przy swoim skromnym trybie życia, miała codzienne wydatki. David zgodził się zapłacić za pierwsze sześć miesięcy pobytu, co oznaczało, że już niedługo miała przestać żyć na jego rachunek. Albo zacznie na siebie zarabiać, albo będzie musiała sprzedać dom i wrócić do Georgii, żeby być bliżej matki, swojej siostry Marii i jej rodziny. A może mogłaby sprzedać dom i uciec w jeszcze bardziej odludne miejsce, na jakąś wyspę na południowym Pacyfiku, gdzie mogłaby zwyczajnie zniknąć?

Zastanowiła się nad tym – nad zniknięciem. Odkąd się tu przeprowadziła, gazety kilka razy donosiły o samobójstwach. Jako powody, dlaczego na Nantucket samobójstwa są częstsze niż gdziekolwiek indziej, psychologowie i terapeuci wskazywali depresję i chorobę afektywną sezonową, które na tej małej, odizolowanej wyspie kumulowały się w ogromnej pustce zimy. Wyobrażała sobie własne nazwisko w gazecie – siebie jako główny temat podobnego artykułu. Rozumiała to. Niemal niemożliwa do zniesienia pustka rozpościerała się przed nią prawie każdego ranka. A potem przychodziły pytania.

Dlaczego?

Dlaczego Anthony tu był?

Jaki był cel jego krótkiego życia?

Bez odpowiedzi.

Dlaczego ja tu jestem?

Dlaczego?

Bez odpowiedzi. Nigdy nie uzyskiwała żadnych odpowiedzi – ani w modlitwie, ani w snach. Nie znalazła ich też w swoich dziennikach ani w wierze, jaką kiedyś miała w Boga i zasady Kościoła, ani nawet w magii zachodów słońca na plaży Grubasek. Część niej pogodziła się z tym, że na niektóre z tych pytań nigdy nie znajdzie odpowiedzi, że życie nie ma sensu, jednak inna jej część kontynuowała poszukiwania, bez ustanku, i z najgłębszą szczerością zadawała te same pytania.

Jak osoba z autyzmem.

Cisza, która następowała po ostatnim „dlaczego”, wisiała w powietrzu, pobrzmiwając echem przez przeciągłą chwilę, zanim oddaliła się w nieskończoną nicość, pozostawiając ją tak całkowicie osamotnioną, że Olivia często żałowała, że wraz ze swoimi pytaniami nie może tak po prostu rozpuścić się i zniknąć w tej nicości. Jednak coś głęboko w niej upierało się, by wytrzymała, by przetrwała. By obserwowała i czekała. I by wkrótce znalazła pracę. Ale jako kto? Co mogłaby tu robić?

Dlaczego tu jestem?

Dlaczego?

Przykucnęła nisko, popatrzyła przez wizjer, ustawiła punkt ostrości i zrobiła zdjęcie wybrzeża, białej piany, mokrego, metalicznego piasku, warstw płynnego błękitu. Zerknęła w górę i zobaczyła czarną błyszczącą głowę foki wystającą nad grzbiet fali. Zrobiła zbliżenie i pstryknęła kolejne zdjęcie. W zbliżeniu widziała wyraźnie czarne, okrągłe oczy zwierzęcia, które zdawały się patrzeć dokładnie na nią. Olivia opuściła aparat i przez długą chwilę patrzyły na siebie, po czym foka znużyła się w wodzie i zniknęła, pozostawiając Olivie samą.

Usłyszała dobiegające zza jej pleców mieszające się głosy. Odwróciła się. W stronę oceanu – w jej stronę – biegło dwóch chłopców. Idąca za nimi matka, obciążona ogromną torbą plażową na jednym ramieniu i małym dzieckiem na biodrze, krzyczała, by nie wchodzili wody. Ojciec chłopców najpierw szedł przy żonie, ale po chwili zaczął biec. Wszyscy byli bosy i mieli na sobie takie same niebieskie koszulki i spodnie khaki.

Ojciec chwycił obu chłopców, zanim fala dotknęła ich stóp. Chłopcy rechotali z radości. Ojciec obracał się z nimi, kołysząc się, po czym wszyscy padli na ziemię i cała trójka zaczęła siłować się na piasku.

– Masz na imię Rebecca?

– Słucham? – odparła Olivia, nie dlatego, że nie usłyszała pytania matki, tylko że nie mogła go przyswoić, nieprzyzwyczajona do ludzkiego głosu skierowanego do niej na tej plaży, nieprzyzwyczajona do kogokolwiek przebijającego się przez szarą warstwę, która tak szczelnie owijała jej skórę.

– Jesteś fotografem? – zapytała, zerkając na nikona Olivii.

– Ja? Nie.

– To przepraszam – odparła kobieta. – Pomyliłam cię kimś.

Kobieta spojrzała przez ramię na parking i westchnęła, podtrzymując dziecko, które starało się wdrapać wyżej na jej biodro.

– Nie wiem, jak długo będę w stanie utrzymać ich czystych i suchych. Max! Nie!

Max był środkowym dzieckiem. Wyglądał na pięć lat i gonił po plaży mewę. Był bardzo szybki i zupełnie nie zwracał uwagi na mamę. Gonił go jego tata.

Najstarszy chłopiec, pewnie ośmioletni, podszedł do mamy, najwyraźniej straciwszy zainteresowanie wodą, skoro nie ścigał się z nim jego brat, i wziął ją za rękę.

Trzej chłopcy wydawali się Olivii jednocześnie znajomi i obcy jak dwie strony miecza – obie w stanie przeciąć ją na pół. Wzrostem i budową przypominali jej Anthony'ego – jego stopy, kiedy miał dwa lata, nogi, kiedy miał pięć, dłonie gdy miał osiem.

Max, chłopiec, który biegł po plaży, nie słuchając rodziców nakazujących mu się zatrzymać, był jak Anthony, a jednocześnie zupełnie go nie przypominał. Podskoczył i zaczął biec z błyskiem w oku i szelmowskim uśmiechem. Bawił się i angażował rodziców w zabawę. *GOŃCIE MNIE!* Jeśli go złapią, będzie w siódmym niebie.

Kiedy Anthony biegł po plaży, robił to, by czuć pod stopami twardą ziemię, z którą zderzenie niosło się do stawów, by poczuć na skórze chłód wiatru, gorący, ziarnisty piasek między palcami, by wskoczyć do wody, którą kochał ponad wszystko. Biegł i nie słuchał ani jej, ani Davida, kiedy wołali, by przestał. Nigdy nie prowadził gry, którą uwzględniałby ich w jego świecie.

W końcu pojawiła się fotografka, ojciec powrócił z drugim chłopcem, niosąc go pod pachą jak piłkę do futbolu i matka zebrała wszystkich w grupkę, zachęcając synków, by się uśmiechnęli.

– Popatrzcie na mnie – powiedziała fotografka i Olivia poczuła, jak przechodzą ją dreszcze.

POPATRZCIE NA MNIE.

Ile setek razy słyszała podobne trzy słowa, wymówione przez siebie, Davida, lekarzy, wielu terapeutów behawioralnych i logopedów.

Anthony, POPATRZ NA MNIE, gdy trzymała przed sobą chipsa.

Anthony, POPATRZ NA MNIE, kiedy czekała.

Anthony, POPATRZ NA MNIE, kiedy on nie patrzył.

Najmniejszy chłopiec machał głową do tyłu i napinał rączki i nóżki, zapłakany. Jego buzia była cała napuchnięta i czerwona, powieki mocno zaciśnięte. Matka podała go ojcu. Z plażowej torby wyciągnęła zabawkę w opakowaniu i podała fotografce. Łapówka. Matka była sprytna.

POPATRZ NA CIĘŻARÓWKĘ.

Podziałało. Maluch skupił uwagę na zabawce, którą fotografka położyła sobie na czubku głowy. Chłopczyk przestał płakać i zaczął pokazywać paluszkami. Pokazywał, mówiąc „moje”.

Do tamtej chwili Olivia zastanawiała się, czy może znajduje się gdzieś w spektrum[1]. Już wcześniej zdecydowała, że pozostali dwaj nie mają autyzmu, nie była jednak pewna najmłodszego, siedzącego na biodrze matki. Po diagnozie Anthonyego obserwowała każdego chłopca, jakiego spotkała – przedszkolaków i nastolatków, synów kobiet, które znała i które były jej obce, chłopców siedzących przed nią w kościele i bawiących się na placu zabaw – szukając oznak autyzmu. Nawet teraz nie potrafiła zwyczajnie spojrzeć na chłopca i widzieć tylko dziecko. Musiała też widzieć autyzm lub jego brak. Tak jak patrzy się na litery i widzi całe słowo, musiała robić i jedno, i drugie. Te rzeczy były ze sobą nierozdzielnie połączone.

I tak jak czuła pewną niewypowiedzianą łączność, więź współczucia z matkami i dziećmi w spektrum, często czuła wszelkiego rodzaju negatywne emocje w stosunku do rodziców zdrowych chłopców i dziewczynek. Zazdrość, irytacja, nienawiść, wściekłość, żal. Czuła się, jakby chwalili się przed nią swoimi normalnymi, błogimi, łatwymi i niedocenianymi zyciami.

POPATRZ NA NICH, myślała, zazwyczaj czując, jak zazdrość, irytacja,

nienawiść, wściekłość i żal pożerają ją i zatruwają od środka.

Tego dnia jednak dość niespodziewanie nie doświadczyła niczego podobnego. Poczowała ulgę i nadzieję, że matka będzie miała przynajmniej jedno dobre zdjęcie z całą rodziną, która uśmiecha się i patrzy w obiektyw. Malec wciąż wskazywał ciężarówkę, siedząc na biodrze mamy, jego starsi bracia krzyczeli UŚMIEEECH, a ojciec obejmował żonę, drugą dłoń trzymając na ramieniu najstarszego chłopca. Fotografka pstrykała kolejne ujęcia, nadal mówiąc.

POPATRZCIE NA MNIE.

Olivia podniosła aparat do twarzy i spojrzała na rodzinę przez wizjer. Słońce już prawie zaszło. Światło na ich twarzach było ciepłe i idealne. Pstryk. Pstryk. Pstryk. Olivia spojrzała na obraz na wyświetlaczu. Popatrzyła na nasycenie, jasność, kontrast, kompozycję i spodobało jej się. Dobre zdjęcie. I wtedy coś się zmieniło – może zniknęło trochę jej szarej otuliny i Olivia zapomniała o technicznych aspektach zdjęcia. Spojrzała na zdjęcie na wyświetlaczu i zobaczyła na nim radość, czułość, rodzinę, miłość. Uchwyconą magię.

Mogłabym to robić.

[1] Chodzi tu o spektrum autyzmu, pojęcie obejmujące typy osób, które wykazują cechy autystyczne. Pozwala określić głębokość zaburzeń rozwojowych i nasilenie mechanizmów zachowań (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 9

Beth i Petra spotkały się pod Salt z Jill, która zawsze przychodziła przed czasem i już czekała na nie przed wejściem. Courtney nie szła z nimi, ponieważ miała zajęcia z jogi, a Georgia nie mogła, bo nadzorowała wesele w Blue Oyster na tej samej ulicy. Jednak z Petrą i Jill u boku Beth miała wystarczająco dużo wsparcia. W swojej sukience Goldie Hawn czuła się pewna siebie i gotowa. Kiedy jednak szła za Petrą po schodach prowadzących do klubu, Beth zdała sobie sprawę, że jej serce biło za szybko, nakłaniając ciało, by wykonało jakiś ogromny fizyczny wysiłek, pasujący do jej tętna. *Uciekaj!* Beth skupiła się na zapięciu turkusowego naszyjnika Petry, tego samego, który Beth chciała wcześniej pożyczyć i zmusiła się do wykonania kolejnego kroku, powoli idąc za przyjaciółką. Wszystko w jej głowie krzyczało, że celowo i wbrew instynktowi łąduje się w paszczę lwa.

– Dobry wieczór, witamy w Salt.

Zanim Beth zdołała zobaczyć cokolwiek innego, stanęła przed nią ona. Uśmiechała się do Petry. Sobotnia hostessa klubu. Angela.

Była młodsza od Beth, jeszcze przed trzydziestką. Miała długie, kręcone, ciemnobrązowe włosy. Ubrana była w nudny czarny top, za to bardzo obcisły, z głębokim trójkątnym dekoltem. To i mały złoty krzyżyk na końcu długiego złotego łańcuszka przykuły wzrok Beth i pewnie wszystkich innych gości do dużych, wyeksponowanych piersi Angeli. Mogła się tego spodziewać. Dwudziestoparolatka z dużym biustem.

Beth zgarbiła się i skrzyżowała ręce na swoich piersiach, i tak zresztą skrzętnie zasłoniętych poliestrową tkaniną sukienki. Nawet w najlepszym push-upie od Victoriàs Secret i zanim rozciągnęły je cięższe, a karmienie piersią pozbawiło sprężystości, piersi Beth nigdy tak nie wyglądały. Oczy Angeli, wielkie, czarne i irytująco piękne, wciąż się uśmiechały, witając Jill, ale na widok Beth pojawiło się w nich zaskoczenie.

Wie, kim jestem.

Angela odchrząknęła i na jej usta powrócił sztuczny, profesjonalny uśmiech.

– Stolik dla trzech?

– Nie, dziękujemy – odpowiedziała Petra. – Usiądziemy przy barze,

Naprawdę?!

Beth chciała poprawić Petrę i powiedzieć, że jednak wolą stolik, najlepiej z widokiem na ulicę, a nie na bar, ale poczuła w gardle kwaśny smak paniki i jedyne, co mogła zrobić, to przełknąć. Jak baranek prowadzony na rzeź szła za Petrą i Jill do baru i zajęła wolny stółek między nimi. Wtedy wyłonił się Jimmy.

Na początku powitał je z neutralną wesołością, tak jak pewnie zachowałyby się wobec każdych trzech kobiet, na które zerknął przelotnie, gdy siadały przy barze. Wtedy jednak je rozpoznał. Jimmy spojrzał na Beth i jego uśmiech złagodniał, na

chwile stając się prawdziwy, ale momentalnie zastąpił go pełen napięcia grymas, wyrażający zaskoczenie i niepewność. Ostatecznie Jimmy zacisnął mocno zęby, próbując powstrzymać się przed powiedzeniem tego, co na pewno przyszło mu do głowy. *O, cholera.*

– Witam panie.

– Cześć, Jimmy – przywitała go Petra.

– Beth – powiedział Jimmy.

– Cześć – odpowiedziała.

– Jakie plany na wieczór?

– Będziemy cię szpiegować – odpowiedziała Petra.

Jimmy roześmiał się i zaczął wstrząsać shakerem pełnym martini z zauważalnie przesadnym wigorem. Beth wytarła dłonie o dół sukienki. Nie wiedziała, że jej dłonie mogą się tak pocić.

– Subtelność nie jest twoją mocną stroną, Petro – rzucił Jimmy.

– I całe szczęście.

Bezpośrednia i odważna Petra nigdy nie wbijała gwoźdźcia, delikatnie uderzając w niego gumowym młotkiem, skoro mogła raz a porządnie walnąć w niego wielkim stalowym młotem i mieć robotę z głowy. Choć Beth podziwiała u niej tę cechę, sama nigdy nie umiałaby się tak zachować. Za bardzo bała się, że nie trafi w gwóźdź i wybije w ścianie wielką, paskudną dziurę obok swojego celu.

– Co podać? – zapytał.

– Co polecasz? – odparła Petra?

– A na co macie ochotę? Wino, piwo?

– Coś mocniejszego. Coś, co nam przygotujesz – odparła Petra.

Jimmy przelał odrobinę drinka, który właśnie mieszał, do małego kieliszka i postawił go przed Petrą. Upiła łyk.

– Dobrze. Espersso Martini?

Pokiwał głową.

– Poproszę – powiedziała Petra.

– Ja też – dołączyła Jill.

– Spróbujesz? – zapytała Petra, podsuwając Beth to, co zostało w jej kieliszku.

– Nie, nie, ja... – wydukała Beth.

– Nie pije kofeiny po szesnastej – wyjaśnił Jimmy. – Nie zaśnie całą noc.

Beth zaczęła wiercić się na krześle.

– Może coś słodszy – zaproponował i już zaczął ściągać butelki z półek.

Patrzenie, jak miesza wszystkie te wyszukane składniki, było trochę dziwne. Jimmy zwykle wybierał piwo w butelce. I nie przepadał za wynalazkami, które mają w sobie gałkę muszkatołową, dynię albo jagody. Lubił „prawdziwe” piwo. Budweisera albo Coors. Niechętnie przyznawał też, że lubi markę Whalès Tale, ale tylko dlatego, że browar znajdował się na końcu ich ulicy.

Nie był to też bar w stylu Jimmy'ego. Lubi miejsca dla facetów, niekoniecznie sport-puby, choć lepiej, żeby drużyny Red Sox, Patriots, Bruins lub Celtics grały wtedy na ekranie. Lubił bary, które są ciemne i brudne, gdzie na barze stoją słój jaj na twardo i miska fistaszków, podłogi wypaczyły się od wsiąkania rozlewanych przez lata piwa, a z szafy grającej leci Def Leppard. W menu mogą być paluchy z mozzarellą albo ostre skrzydełka, ale nic z *foie gras* czy oliwą truflową. Powinien tam też być stół do bilarda, rzutki i bramkarz, bo przed zamknięciem przynajmniej jeden nieuważny ochlapus przyłoży drugiemu.

Salt było przeciwieństwem barów, które lubi Jimmy: wisały tu miedzianopomarańczowe żyrandole rzucające poświatę na blaszany sufit, które wspólnie tworzyły romantyczne oświetlenie. W środku przesiadywało zróżnicowane towarzystwo – na sali było trochę miejscowych, ale zdecydowanie więcej kobiet niż mężczyzn, wszyscy elegancko ubrani, chcący spędzić wieczór w kulturalny sposób. Beth przejrzała listę drinków w menu i aż westchnęła na widok cen. Przy dwudziestu dolarach za kieliszek, goście spędzali tu nie tylko kulturalne, ale i drogie wieczory. Zerknęła wzdłuż baru na kobiety i mężczyzn obok nich, próbując ustalić, jacy ludzie tu przychodzą. Nie zauważyła niczego wartego wzmianki, aż w oczy wpadła jej damska torebka – wielki designerski koszyk w stylu Nantucket postawiony na barze, należący do blondynki w towarzystwie łysego mężczyzny w letnim garniturze. Takie koszyki, znane ze swoich cen, nie były na kieszeń kogokolwiek, kto mieszkał na stałe na Nantucket. Beth widziała dużo mniejsze torebki tego typu, które kosztowały ponad tysiąc dolarów.

Lada barowa zrobiona była z surowego kamienia, w którym tkwiły kawałki szkła morskiego w bursztynowym kolorze. Beth przejechała dłonią po chłodnej powierzchni. Lada była piękna jak dzieło sztuki. Z głośników dobiegała głośna, elektroniczna muzyka. Tu nikt nie śpiewałby *Pour Some Sugar on Me*.

– Proszę – powiedział Jimmy, stawiając przed Beth kieliszek do martini pełen różowego płynu. – Najlepszy drink w karcie.

Beth upiła łyk. Był słodki i pikantny z mocnym, ale przyjemnym posmakiem alkoholu, mogłaby się nim łatwo upić.

– Dobry. Co to? – zapytała Beth.

– Wódka, rum, chili, limonka i imbir. Nazywa się Namiętne Martini.

Namiętne? Co on robił? Beth czuła się zażenowana i oburzona, ale – o dziwo – schlebiało jej to.

– O co chodzi z brodą? – zapytała Petra.

– Sprawdzam, czy mi pasuje – powiedział Jimmy, gładząc wgłębienia na swoich pokrytych świeżym zarostem policzkach. – Podoba ci się?

– Nie – odparła Petra.

Jimmy od miesiąca próbował wyhodować sobie brodę i Beth uważała, że nieźle z nią wyglądał – szorstko i męsko. Kamuflowała jego wklęsły podbródek. Poza tym

Beth znała Jimmy'ego i wiedziała, że to nie tylko próba zmiany wyglądu. Jimmy przestawał się golić za każdym razem, kiedy przechodził trudne chwile – kiedy zmarł jego tata, kiedy na dobre skończył się połów małży i nie mieli z czego opłacić rachunków, kiedy Jessica miała operację uszu w Bostonie. I teraz. Beth uśmiechnęła się do siebie, z zadowoleniem zdając sobie sprawę, że ich rozstanie przynajmniej dorównywało powagą śmierci jego ojca. Nadal coś dla niego znaczyła. A co więcej, Jimmy przestawał się golić nie dlatego, że miał za dużo na głowie. Chował się za swoją brodą, czuł, że go chroni. Jimmy i jego broda byli jak Beth i jeden z jej wielkich, bezkształtnych swetrów, które zakrywały pupę.

Dziś nie miała na sobie takiego swetra. Włożyła sukienkę Goldie Hawn, a Jimmy zapuścił brodę. Ciekawe. Przyszło jej na myśl, że może bez niej jest mu ciężko. Może nie tego chciał. Może on też cierpiał.

Angela precyzyjnie się za bar i powiedziała do Jimmy'ego coś, czego Beth nie mogła dosłyszeć. Angela zaczęła się śmiać, Jimmy też się uśmiechnął, ukazując swoje krzywe, urocze zęby. Uśmiech był przelotny i powściągliwy, ale nawet jeśli na chwilę – to jednak się pojawił. Angela sprawiała, że się uśmiechał.

A cierp sobie. Chowaj się. Mam nadzieję, że skończysz z brodą jak Gandalf.

Jill nachyliła się do Beth.

– Wydaje mi się, że sprawdzasz zbyt wiele nowych rzeczy naraz.

Jimmy zwrócił się do pary siedzącej obok Jill i zaczął otwierać dla nich butelkę wina. Beth sączyła swoje martini, świadoma, że Angela stoi tylko kilka metrów za nią, mąż, który ją porzucił, znajduje się kilkadziesiąt centymetrów przed nią, a ona siedzi między nimi. To było zbyt dziwne. Dopija drink jednym haustem. Nie mogła znieść myśli, że Angela jej się teraz przygląda, mierzy ją wzrokiem za jej plecami. Poczowała się skrępowana, na celowniku. Beth potarła ramiona, jakby zrobiło się jej zimno, i sprawdziła telefon. Żadnych wiadomości od dziewczynek.

Nie mogąc obserwować Angeli, co jak myślała, było celem tego wyjścia, Beth obserwowała Jimmy'ego. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tyle na niego patrzyła. Zanim się wyprowadził, spali odwrócenie plecami do siebie – nawyk powodowany jego chrapaniem i cuchnącym cygarami oddechem. Z powodu jego godzin pracy rzadko kiedy jedli razem posiłki, a jeśli już, robili to przed telewizorem, z talerzami na kolanach. A kiedy się pokłócili, co ostatnimi laty zdarzało się nader często, całkowicie go ignorowała.

Teraz siedziała w pierwszym rzędzie, nie mając do roboty nic innego, jak tylko na niego patrzeć. Nigdy wcześniej nie widziała, jak Jimmy pracuje za barem. Bez przerwy się ruszał, pełen swobody, ale jednocześnie mając wszystko pod kontrolą. Jego dłonie, kiedy odkorkowywał butelki, po brzegi wypełniał kieliszki drinkami i dorzucał plasterki limonki, były pewne, efektywne, pełne gracji. Wiedział, gdzie znajdowała się każda butelka i każdy barmański przyrząd. Na pamięć znał skład każdego koktajlu. Był w tym dobry i lubił swoją pracę.

Nigdy o tym nie wiedziała. Była zaskoczona i lekko zraniona, odkrywając, że nie znała Jimmy'ego na wylot. Nie był przecież skomplikowanym facetem. Praca, sen, telewizja, dzieci, cygara. Nie żeby praca za barem była operacją na otwartym mózgu czy wyścigami rajdowymi, ale Jimmy miał umiejętności i talent. Bar był centrum tego miejsca. Wszystko kręciło się wokół niego i Jimmy kontrolował ruch wszystkich trybików, zadowalał klientów.

Ta praca była skrajnie inna niż połów małży – zajęcie dla samotników i na świeżym powietrzu, które jak jej się zdawało, świetnie do niego pasowało. Ale oto znajdował się w zatłoczonej restauracji, zamknięty w niewielkiej przestrzeni, rozmawiał z obcymi, mieszał „dziewczęce” drinki i najwyraźniej bardzo to lubił. Wyglądał na zadowolonego.

Nie był też ubrany tak jak zwykle. W domu nosił dżinsy lub szorty przerobione ze starych spodni, postrzępione i nierówne tam, gdzie Jimmy samodzielnie potraktował je nożyczkami, T-shirty i czapkę bejsbolówkę z logo Red Sox oraz buty robocze. Tu ubrany był w elegancką koszulę w pionowe biało-niebieskie pasy. Była dobrze wyprasowana. Nie schował jej w spodnie, rękawy podwinął do łokci i rozpiął jeden guzik więcej niż odważyłby się przeciętny mężczyzna, ukazując górną część torsu. Miał atrakcyjny, muskularny tors. Broda, uśmiech, przedramiona, tors – sprawiał wrażenie odprężonego i – Beth mogłaby się zabić za tę myśl – seksownego. Przynajmniej częściowo napędzana Namiętym Martini, Beth była jednocześnie pod urokiem Jimmy'ego i kompletnie na niego wściekła.

Jak to możliwe, że tu potrafił być tak obecny, zaangażowany i kompetentny, podczas gdy w domu szwendał się bez celu, zbyt wyczerpany, by zrobić cokolwiek innego, niż położyć się na kanapie? Jak to możliwe, że tu potrafił wziąć się w garść i wyglądać schludnie i atrakcyjnie, podczas gdy w domu nosił tylko T-shirty poplamione sosem barbecue, mokre od potu pod pachami Jak mógł rezerwować tę przystojną i zabawną część siebie tylko do pracy i nie dzielić jej z nią i córkami?

– Zawsze jest tu tyle ludzi, Jimmy? – zapytała Petra.

– To jeszcze nic. Poczekajcie godzinę, a za wami będą stały trzy kolejne rzędy.

– Ciekawe – powiedziała Petra.

Jej restauracja DISH dobrze sobie radziła, ale nie na tyle, by bar otaczały trzy rzędy ludzi, a przynajmniej nie o tej porze roku.

– Jak ci smakował drink? – Jimmy zapytał Beth.

– Był okej.

– Chcesz jeszcze?

– Nie, dzięki – odparła Beth, myśląc, że dość już ma jego namiętności.

– Nie smakował ci?

– Smakował, chciałabym po prostu spróbować czegoś innego.

– Może kieliszek wina? Dla ciebie wybrałbym...

– Potrafię zdecydować, czego chcę, bez twojej pomocy.

- W porządku.
- Poproszę Espresso Martini.
- Jesteś pewna? – zapytał Jimmy.
- Całkowicie.

Jimmy wzruszył ramionami, wycofując się. Wziął dwie butelki i odwrócił je nad shakerem ze stali nierdzewnej.

– Jak się mają dziewczynki?

– W porządku.

– Jak mecz Jessiki?

– Był długi. Przegrały.

– A Soph?

– Przejmuje się klasówką z matematyki. Myśli, że dostanie pałę, ale jestem przekonana, że dobrze jej poszło.

– A Gracie?

– W porządku.

Tęskni za tobą. Wszystkie tęsknią.

– To dobrze.

– A nie chcesz wiedzieć, jak miewa się Beth? – zapytała Petra.

– Oczywiście, że chcę. Jak się masz, Beth? – zapytał Jimmy.

– Dobrze.

– Ładnie wyglądasz.

– Dziękuję.

– Podoba mi się twój wisiołek.

Beth dotknęła go dłońmi i zarumieniła się. Prawie o nim zapomniała. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Angela znów znalazła się za barem, tym razem pokazując Jimmy'emu coś w swoim telefonie, by zawłasczyć jego uwagę. Roześmiała się i dotknęła jego przedramienia. Dłoń Angeli na ręce Jimmy'ego. Beth mogła przełknąć chichoty i uśmiechy, flirtowanie i biust, ale ten mały gest, jego zażyłość, sprawiły, że coś w niej pękło.

– Wszystko w porządku? – szepnęła jej do ucha Jill. – Zbladłaś.

Beth pokiwała głową, zacisnęła zęby i przełknęła ślinę. Nie mogła wydusić z siebie nic. Gdyby teraz powiedziała choć słowo, rozplakałaby się. Bez względu na to, jaki był pierwotny cel tego wieczoru, jej nowym celem było wydostać się stąd i nie rozplakać przed Jimmym i Angelą.

– Chyba powinnaś coś zjeść.

Beth znów pokiwała głową, pocierając wisiołek między palcami, obrzydzona myślą o głupiej dziewczynie, która założyła go kilka godzin temu.

Jimmy podał Beth drinka i kolację. Petra zamówiła granika, Jill, która od marcowego spotkania klubu książki miała obsesję na punkcie sushi, wybrała rolkę z pikantnym tuńczykiem, zaś Beth zdecydowała się na burgera z frytkami. Na oliwie

truflowej.

– Wszystko smakuje? – po kilku minutach zapytał Jimmy.

– Tak – odparła Petra – Jedzenie jest świetne, Jimmy. Kto jest waszym szefem kuchni?

Podczas gdy Petra i Jimmy rozmawiali o sprawach dotyczących restauracji, a Jill pisała SMS-y do synów, Beth skupiła się na jedzeniu i piciu. Kiedy skończyła drugie martini, zauważyła, że nie chce się jej już płakać. Głównie czuła otępienie, jakby otaczał ją gruby kokon zakłóceń. Był nie do przebicia, skuteczniejszy niż broda i czarny sweter razem wzięte.

Przy trzecim kieliszku – kolejnym Espresso Martini – Beth usłyszała za plecami, jak ktoś woła jej imię. Odwróciła się i zobaczyła Georgię, która machała do niej, przeciskając się przez tłum. Po drodze do baru szturchała gości, rozlewając im drinki i pozostawiając za sobą morze wrogich spojrzeń.

– Tak się cieszę, że was jeszcze zastałam – powiedziała, łapiąc oddech. – Jak idzie? Gdzie kochanka z Salt?

Beth, Petra i Jill spojrzały na siebie, a potem na Jimmy'ego, który bez wątpienia wszystko słyszał.

– Chciałaś powiedzieć kelnerka. Kelnerka z Salt – poprawiła ją Petra.

Georgia zachichotała.

– Ups! A jeszcze niczego nie wypiałam. Gdzie ona jest?

– Nie zauważyłaś jej po drodze? – zapytała Petra.

– Nie, gdzie?

– Za tobą. Przy drzwiach.

– Gdzie?

– Ciemne, kręcone włosy.

Georgia stanęła na palcach i wyteżyła wzrok, napinając całą twarz.

– W czarnej bluzce – dodała Petra.

Georgia pokręciła głową, nadal się rozglądając.

– Ta z wielkim biustem.

– Aaa, już widzę! – powiedziała Georgia. – Zdzira. Nigdy bym nie pomyślała, że Jimmy leci na melony.

Beth przyłożyła dłoń do jej właśnie obrażonych piersi. To prawda, dekolt Beth nie był obfity, a Jimmy zawsze bardziej zwracał uwagę na nogi. Beth miała świetne nogi, długie, ładne i kształtne. Wszędzie chodziła pieszo – po Bartlett Farm i po Nowym Jorku, zanim przeniosła się tutaj.

Nagle zdała sobie sprawę, że nigdy nie słyszała, żeby o jakimkolwiek facecie mówiło się, że leci na oczy, na umysł albo na osobowość. Dopija resztkę martini. Faceci to świnię. Może to uśmiech losu. Może lepiej jej będzie bez Jimmy'ego. Mieszkając bez faceta, jej dom będzie zawsze czysty, uporządkowany i pachnący. Skończą się też wszelkie kłótnie. Odkąd Jimmy odszedł, było tak spokojnie. Gdzieś w

jej głowie Marilyn McCoo śpiewała *One Less Bell To Answer*, piosenkę, którą mama Beth lubiła, gdy ta była mała. Dziwne, ale od tamtych czasów nie słuchała jej ani o niej nie myślała.

– Nie żeby z twoimi było coś nie w porządku – dodała Georgia.

– Poczekaj tylko, aż urodzi dziecko – wtrąciła się Jill. – Obwisną jej tak, jak nam.

Martini chroniło Beth jak zbroja mglistej obojętności, musiało być w niej jednak jakieś pęknięcie, bo ten komentarz zdołał przebić się do środka i ukraść jej cały tlen. Co jeśli Angela zajdzie w ciążę? Beth pomyślała o tym, z jaką łatwością ona zachodziła w ciążę. Kiedy tylko rezygnowali z zabezpieczeń, udawało się od razu, jakby strzelali do bramki bez bramkarza – gol! Beth zakręciło się w głowie. Krawędzie jej pola widzenia zrobiły się mgliste i rozmazane. Musiała się stąd natychmiast wydostać.

– Cześć, Georgio – przywitał się Jimmy.

– Podpadłeś mi – odpowiedziała.

– Wiem.

– Ale wybaczę ci, jeśli Beth ci wybaczy.

– Rozsądny układ – odpowiedział, zerkając, czy Beth coś na to powie, jakby szukał otwartej furtki, nawet najmniejszej szansy.

– Beth, znów jesteś blada – zauważyła Jill.

Jill siedziała tuż przy Beth, ale jej głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

– Wszystko w porządku? – zapytała Petra.

– Źle się czuję – odpowiedziała Beth, bardziej szepcząc niż mówiąc.

– Zabiorę ją do domu – powiedziała Petra.

– Ja zostanę i napiję się z Georgią – powiedziała Jill.

Petra zapłaciła ich część rachunku i gdy Beth wstała ze swojego krzesła, Georgia uściskała ją na pożegnanie.

– To zdzira – powiedziała Georgia.

– Dzięki.

– A ty jesteś królową.

Beth uśmiechnęła się.

– I masz świetną sukienkę.

– Dziękuję.

Jill również wstała, by pożegnać się z Beth.

– Świetnie dałaś sobie radę. Zadzwoń do ciebie jutro.

Beth pokiwała głową. Zanim ruszyła do wyjścia, spojrzała na Jimmy'ego.

– Dobranoc, Beth – powiedział Jimmy.

– ...branoc, Jimmy.

Petra wzięła ją za rękę i obie zaczęły przeciskać się przez tłum do wyjścia. Wyszły, zostawiając Jimmy'ego. Zostawiając go z Angelą. Wydawało się jej to takie niewłaściwe. Gdzieś za szumem zakłóceń, za piosenką Marilyn McCoo, która nadal

pobrzmiwała w jej głowie, jakiś głos krzyczał *Nie zostawiaj go! Nie wychodź!* Było jednak późno, Beth wystarczająco dużo zjadła, wypła więcej niż powinna i zdążyła się już napatrzyć na biust Angeli i uśmiech Jimmy'ego, nie pozostało więc jej już nic innego, jak wrócić do domu.

– Dobrej nocy – Beth usłyszała gdzieś za sobą głos Angeli.

Miała wrażenie, że Angela się uśmiecha, a może nawet triumfuje, ale Beth nie miała pewności. Była już za drzwiami i nie odwróciła się.

Petra zatrzymała się na podjeździe przed domem Beth. W oknach nie paliły się światła. Dziewczynki zapomniały włączyć lampę na ganku. Przynajmniej poszły spać.

– Wszystko w porządku? – zapytała Petra.

– Tak.

– Zamilkłaś.

– Nic mi nie jest.

– Przede mną nie musisz niczego udawać.

– Nie udaję. Wszystko w porządku.

Wyraźne wymówienie słowa „wszystko” sprawiło jej nieco kłopotu.

– Troszkę się upiłam, ale wszystko jest okej. Jestem pijana i zadowolona.

– Naprawdę powinniście porozmawiać i ustalić, co wy w ogóle robicie.

– Wiem.

– Napij się wody i połóż do łóżka.

– Tak zrobię.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Dzięki światłom samochodu Petry Beth trafiła do drzwi. Noc musiała być pochmurna, bo Beth nie widziała księżycy ani gwiazd. Poza zasięgiem reflektorów auta cały świat pogrążony był w całkowitej ciemności. Powietrze było chłodne i pachniało solą, rybami i forsycjami. Rzekotki rechotały wokół niej obrzydliwie głośnym chórem, którego pieśń nie różniła się wiele od muzyki techno, która leciała w Salt i która nadal dudniła jej w uszach. Kiedy otworzyła drzwi i włączyła światło w korytarzu, Petra zaczęła wycofywać auto.

Poszła na górę, otworzyła drzwi pokojów córek i patrzyła, jak śpią. Jej kochane dziewczynki. Wyłączyła komputer Sophie i wrzuciła jej brudne ubrania do kosza na pranie, powiesiła mokry ręcznik Jessiki na wieszaku w łazience, przykryła Gracie. Zeszła na dół i w kuchni naląła sobie dużą szklankę wody.

Z powrotem na górze zatrzymała się w korytarzu i spojrzała na zdjęcia powieszane na ścianie. Spojrzała na Jimmy'ego, który dotykał jej spódnicy, i przypomniała sobie, jak Angela dotyka jego ramienia. Natychmiast wezbrała w niej złość zabarwiona upokorzeniem. Na kolejnym zdjęciu miała na sobie wisiołek, który dał jej Jimmy, ten sam, który założyła dziś, co nie umknęło jego uwadze.

Nie mogła tego znieść. Nie mogła chodzić tym korytarzem, patrząc na jego

wyszczzerzone w uśmiechu zęby, na dłoń, która jej dotyka, na wisiorek na swojej szyi, na ułudę idealnego małżeństwa, jego nieuczciwość, która drwiła z niej za każdym razem, gdy szła z salonu do sypialni, z sypialni do łazienki. Miała tego dość. Dość.

Zacząła od ślubnego zdjęcia. Poluzowała zapięcia, podniosła *pas-partout* i tekturowy spód, wyciągnęła zdjęcie i odwiesiła na ścianę pustą ramę. Robiła tak z każdym zdjęciem, dokładnie i oddychając ciężko, aż utworzyły ładny i równy stosik.

Zacząła je przeglądać, siedząc na podłodze w korytarzu. Dotarła do najnowszego zdjęcia, zrobionego zeszłego lata, i utkwiała w nim wzrok. Jakaś rozsądna część niej, na którą nie podziałała wódka, rum i złość wynikająca z upokorzenia, kazała jej włożyć zdjęcia do szuflady, bo pożałuje tego, co przyszło jej do głowy zrobić. Była jednak zbyt wściekła, pijana i pobudzona przez kofeinę, by słuchać głosu rozsądku, a dość już miała tego, że czuje się jak przedmiot.

Pierwsze zdjęcie przedarła powoli – z początkowym wahaniem, a potem z coraz większą pewnością – prosto przez uśmiechniętą twarz Jimmy'ego. Kolejne darła szybko, jedno po drugim. Nie było już odwrotu. Darła i darła, aż kawałeczki papieru stały się za małe, by mogła drzeć dalej, a po wszystkim rozplakała się, nienawidząc Jimmy'ego za to, do czego ją doprowadził. Usłyszała, jak jedna z dziewczynek kichnęła. Beth przestała płakać, nasłuchując, czy któraś się nie obudziła. Nadal w uszach dudniła jej muzyka z Salt, słyszała chór żab na dworze, serce łomotało jej w piersi, a krew pulsowała w palcach, ale dziewczynki były cicho. Beth otarła łzy i odetchnęła.

Pozbierała kawałki podartego papieru, strzępy tego, co było kiedyś jej szczęśliwą rodziną, i wrzuciła je do kosza na śmieci w sypialni. Następnie wróciła do korytarza i spojrzała na ścianę, na swoje dzieło. Proszę. Siedem oprawionych kawałków tektury. Jimmy odszedł. Nie można było już tego cofnąć. Jak jego zdrady. Taka była prawda.

Beth poprawiła dwie ramki, tak by wisiały prosto, wyłączyła światło w korytarzu i wróciła do sypialni. Ściągnęła sukienkę Goldie Hawn i przebrała się w różową flanelową piżamę. Następnie położyła się na łóżko, zapomniawszy ściągnąć wisiorek i z szeroko otwartymi oczami odwróciła się twarzą do materaca, cały czas poruszając stopą.

Całą noc nie zmrużyła oka.

ROZDZIAŁ 10

Wszystko zmieniło się w czerwcu i Olivia, która była nowicjuszem na wyspie, zupełnie się tego nie spodziewała. Zaczęło się w weekend w okolicy Dnia Pamięci Poległych, kiedy cisza i prostota jej odizolowanego życia została staranowana przez niespodziewanych i pewnych siebie najeźdźców. Letnicy. Minęło parę tygodni, zanim przestała chować się we własnym domu i czuć, jakby zagrażali i naruszali jej spokój. W końcu opanowała się i wróciła do swojego normalnego życia. Ale po kilku tygodniach w końcu odetchnęła, myśląc, że nie jest tak źle.

I wtedy nadszedł lipiec. Czerwiec nie najlepiej ją na to przygotował. Był jak łagodny pagórek na angielskiej wsi, podczas gdy lipiec to Mount Everest. Na drogach tłoczyły się motorowery, dżipy i ogromne SUV-y, a rury wydechowe i radia zanieczyszczały delikatne, letnie powietrze. Wcześniej opustoszałe plaże, które sprawiały wrażenie prywatnych, teraz pełne były rodzin, leżaków, parasoli, małych desek surfingowych i stosów śmieci po cowieczornym świętowaniu kolejnego dnia wakacji imprezami pod gołym niebem.

Byli to prawdziwi letnicy i nadciągali zewsząd tysiącami, pięciokrotnie zwiększając populację wyspy. Przybywali powietrzem i morzem, z dziećmi, psami, nianiami, asystentami, osobistymi kucharzami i gośćmi. I wszyscy (z wyjątkiem psów) przywozili ze sobą swoje telefony komórkowe. Olivia wyobrażała sobie kruchy i niestabilny szelf kontynentalny, na którym leży Nantucket, zamartwiając się, że pięknie pod ciężarem turystów i ich bagaży, powodując, że wyspa zatonie i osiadzie na dnie oceanu, jak współczesna Atlantyda.

Nawet niebo było tłoczne. Loty czarterowe i prywatne odrzutowce z Bostonu do Nowego Jorku co kilka minut ryczały jej nad głową. Od rana do wieczora.

Jeśli udało jej się przyzwyczać do czerwca, to lipiec ledwie była w stanie znieść. Czuła więc z innymi stałymi mieszkańcami, których łatwo było odróżnić od letników, tak jak konie od zebr, choć wiedziała, że jej uczucie było jednostronne. Zasłużyła sobie na pewien szacunek, skoro przetrzymała tu część zimy i całą wiosnę, ale nie przemieszkała na wyspie pełnego roku. Nie była jeszcze pełnoprawnym członkiem stada. Miała za krótki staż. Ale nawet po roku, a mówiąc szczerze, nawet i po pięćdziesięciu, zawsze będzie postrzegana jako rozbitek, jak przesadzone drzewo, a nie prawowita mieszkanka wyspy, a na pewno nie miejscowa (żeby zasłużyć na ten tytuł, trzeba się było tu urodzić).

Olivia zdecydowała się na kilka zmian w codziennym życiu, które stały się jej letnim regulaminem:

- Nigdy nie chodzić na plażę między dziesiątą a piętnastą. Wtedy jest tam cała wyspa.
- Za wszelką cenę unikać centrum. Jeśli musisz, nie jedź tam samochodem w

czasie lunchu lub po osiemnastej. Nie znajdziesz miejsca do parkowania.

- Od piątku do niedzieli nie rób zakupów w supermarkecie.
- Rób wszystko z zapasem trzydziestu minut.

Spisała te zasady na kartce papieru i przykleiła do ściany przy drzwiach jako urocze, ale całkowicie poważne przypomnienie, na wypadek gdyby zapomniała albo zrobiła się zbyt pewna siebie. Z tego właśnie powodu wymyślała sobie po cichu, stojąc w sobotnie popołudnie na skraju alejki z makaronami obok słoików z sosem marinara na końcu zniechęcająco długiej kolejki w supermarkecie.

Brakowało jej kawy i jajek, a ponieważ nabrała ochoty na sałatkę na obiad, zapomniała o kalendarzu i swoich letnich regułach. Nie zdawała sobie sprawy, jaki mają dzień, dopóki nie wjechała na zatłoczony parking. Zawahała się, myśląc, że powinna zapomnieć o sałatce i pojechać do domu, ale kobieta w land roverze za nią zaczęła się niecierpliwić i trąbić, więc Oliva zdecydowała się zostać, pocieszając się, że może nie będzie tak źle.

Było to ponad godzinę wcześniej. Olivia przeliczyła produkty w koszyku. Czternaście. Gdyby odłożyła chleb i papier toaletowy (z zapasem, który miała w domu, przetrzymałaby do poniedziałku), mogłaby się przesunąć do kolejki ekspresowej, ale tamta wydawała się jeszcze dłuższa i składała się z jeszcze bardziej rozwścieczonych ludzi.

– To trwa w nieskończoność – mruknęła kobieta stojąca w kolejce za Olivią. – Na pewno się spóźnię.

Olivia przynajmniej nigdzie się nie spieszyła. Nie robiła tego dnia żadnych portretów na plaży. Rodzina, którą miała fotografować wieczorem, już rano odwołała spotkanie.

Okazało się, że zostanie zawodową fotografką było dużo łatwiejsze, niż przewidywała. Na początku zbadła teren, dzwoniąc do innych fotografów na wyspie z zapytaniem o ich stawki. Potem wszystko przekalkulowała i stwierdziła, że gdyby od czerwca do Święta Pracy udało się jej umówić cztery sesje tygodniowo, zarobiłaby wystarczająco dużo, by utrzymać się przez cały rok. Miałaby nawet więcej, niż potrzebowała.

Wtedy jednak pojawił się problem zdobycia jakichkolwiek klientów, a co dopiero czterech na tydzień, którzy zatrudniliby nieznaną fotografkę bez wykształcenia i doświadczenia w tej dziedzinie, która mimo to ma dobre oko. Aby poradzić sobie z tak poważnym problemem, zrobiła dwie rzeczy. Po pierwsze wydrukowała ulotki i plakaty i rozniosła je po różnych miejscach w całym mieście – zostawiła je w punkcie informacji turystycznej, w sklepie rowerowym, w kawiarni, w bibliotece, w Izbie Handlowej, na przystani promów, a nawet tu, w supermarkecie. Po drugie, obniżyła stawkę do dwustu dolarów, co było najniższą stawką w branży.

Telefon zaczął dzwonić, a na skrzynkę mailową wpływały nowe wiadomości i Olivia zaczęła się umawiać na więcej sesji, niż wydawało jej się możliwe – od

czterech do sześciu tygodniowo – zdarzały się nawet dwie tego samego wieczoru. Miała już nawet zlecenie na weekend po Świącie Pracy. Wszystkie odbitki zamawiano online przez oddzielną firmę, więc jedyne, co należało do Olivii, to zrobić zdjęcia cyfrowym aparatem, obrobić je w Photoshopic i umieścić na stronie zamawiającego. Płatności dokonywano przez Internet kartą kredytową. Nie musiała zмагаć się z papierowymi fakturami ani czekami, które miały przyjść pocztą. Jedyńm jej kosztem była usługa internetowa. Cały proces był dziecinnie prosty.

Kobiety stojące przed nią przez cały czas oczekiwania spokojnie rozmawiały, jakby długa kolejka i coraz większe zniecierpliwienie otaczających je ludzi nie robiły na nich wrażenia. Jedna z nich, naturalna blondynka, ubrana była w czarną bawełnianą koszulkę bez logo i ozdób, oraz zwykłą białą spódnicę i klapki. Druga miała na sobie strój do jogi. Żadnej krzykliwej biżuterii, niepomalowane paznokcie, torebki za nie więcej niż pięćdziesiąt dolarów. Były miejscowe.

– Czy to dziwne, że nie chcę zatrudnić Rogera?

– Nie, oczywiście, że nie.

– To zawsze jego wynajmowaliśmy i każdego roku spisywał się świetnie. Nie wiem, czuję się, jakbym była wobec niego nielojalna, ale bez Jimmy'ego byłoby dziwnie.

– Rozumiem.

– Roger pewnie by zapytał, gdzie on jest, a ja musiałabym mu wytłumaczyć, że nie przyjdzie. Już sobie wyobrażam, jakie by to było niezręczne.

– Więc nie zatrudniaj Rogera. Nawet się nie dowie.

– Tutaj wszyscy wszystko wiedzą.

– Masz rację. Więc pewnie i tak już wie o tobie i Jimmym.

– Chyba tak.

– I prawdopodobnie niewiele go to obchodzi. Takie rzeczy się zdarzają. Sam chyba niedawno się rozwiódł, prawda?

– Nie wydaje mi się.

– Serio. Jego żona wyprowadziła się do Texasu.

– A tak, masz rację. A kogo ty byś zatrudniła?

– Nie wiem, powinnaś zapytać Jill. Wynajmowali kogoś w zeszłym roku.

– Rogera.

– Aha.

– Wiem, że nie powinnam szastać pieniędzmi, ale potrzebuję tych zdjęć. Będą widocznym dowodem na to, że i bez niego świetnie sobie radzę, że nadal mam moje śliczne córki i nie potrzebuję go do szczęścia.

– Wizualizacje są dobre.

– To będzie mój pierwszy krok w nowe życie.

– Zamanifestujesz to, co sobie wyobraziłaś.

– Tak, i muszę to zrobić szybko. Te puste ramki w korytarzu wyglądają

przytłaczająco.

– Może Gracie narysuje kilka obrazków i na jakiś czas je oprawicie?

– Prosiłam ją, ale nie chciała. Wszystkie powiedziały nie. Są na mnie wściekłe za to, że podarłam rodzinne zdjęcia. Nie dziwię się im. Głupio zrobiłam.

– To Jimmy zrobił głupio, że cię zdradził. Ty nie jesteś tu nic winna.

– Ciii.

– Co?

– Jesteśmy w sklepie, ktoś cię usłyszy.

– Litości! Już nawet Kevin Bacon wie, że Jimmy cię zdradził.

– Wiem, masz rację.

Olivia dotknęła torebki, wiedząc, że w środku ma ulotki o swoich plażowych sesjach. Powinna dotknąć ramienia tej kobiety i wręczyć jej jedną, ale wyobrażając sobie jak to robi, Olivia doszła do wniosku, że to zbyt nachalne. Nie chciała im przerywać ani przyznać, że przysłuchiwała się ich rozmowie. Postanowiła się nie odzywać, licząc po cichu, że blondynka zauważy jej ulotkę przyczepioną do tablicy informacyjnej przy wyjściu.

Kolejka w końcu wyszła z alejki z makaronami i Olivia mogła zobaczyć wszystkie zatłoczone kasy. Po lewej zauważyła kobietę z synem. Miał około sześciu lub siedmiu lat i siedział na dziecięcym krzeselku w wózku z zakupami. Jego długie, opalone nogi zwisały swobodnie, prawie dotykając podłogi. Obracał wiatraczkiem, który przycisnął sobie do nosa. Autyzm.

Był tak całkowicie pochłonięty wirującym światem rozmazanych metalicznych barw, że kompletnie nie obchodziła go długa kolejka, poirytowani ludzie, którzy go otaczali, ostre światło i Michael Bublé z głośników, który śpiewał piosenkę Tony'ego Bennetta. Nagle coś się zmieniło. Może poczuł, że jest głodny, znudzony, stwierdził, że nie znosi Michaela Bublé, albo że drapie go metka koszulki, co doprowadza go do szału. Któż mógłby zgadnąć, o co chodziło? Rzucił wiatrak na ziemię i zaczął krzyczeć, zatykając kciukami uszy i zaciskając powieki.

Jego mama podniosła wiatraczek i zaczęła go obracać przed twarzą chłopca, próbując sprawić, by jeszcze raz dał się oczarować zabawce. Chłopiec jednak nie chciał nawet otworzyć oczu. Matka próbowała ukoić go swoim głosem, jakoś zachowując spokój, i zapewniała go, że niedługo będą w domu. Do zatłoczonych kciukami uszu nie docierała jednak ani logika, ani kłamstwa. Kobieta nie próbowała nawet go dotykać. Olivia wiedziała, że najprawdopodobniej to jeszcze pogorszyłoby sprawę. I to bardzo.

A potem kobieta przestała robić cokolwiek. Ignorowała go.

Olivia widziała spojrzenia i słyszała krytyczne uwagi, wygłaszane szeptem przez ludzi w kolejce.

Jest za duży, by tak się zachowywać.

Nigdy nie pozwoliłabym moim dzieciom na taką scenę.

Rozpuszczony.

Co to za matka.

Nie rozumieli, ale Olivia tak. Powstrzymując się od wzięcia chłopca na ręce i wyniesienia go ze sklepu, ta kobieta robiła wszystko, czego próbowałyby każda matka dziecka z autyzmem, która miała wózek pełen zakupów. Oddychała, zaciskała dłonie na poręczy wózka, aż zrobiły się białe, starała się zachować odwagę i modliła do Boga.

Błagam, Boże, pomóż mu się uspokoić.

Błagam, Boże, zanim i ja stracę nad sobą kontrolę, zabierz nas stąd.

Błagam, Boże.

– Nie dziwię się, że tak wrzeszczy – powiedziała kobieta w stroju do jogi. – Jeśli ta kolejka nie zacznie przesuwać się szybciej, ja też zacznę krzyczeć.

– Ktoś chyba dziś za krótko medytował – odparła jej blond koleżanka, ta, która potrzebowała zdjęć.

– To prawda. Ale przynajmniej dałabym upust negatywnej energii, którą wchłonęłam w tym miejscu. Ten supermarket zapycha mi czwartą czakrę.

Blondynka zachichotała. Olivia uśmiechnęła się. Blondynka patrzyła na chłopca i jego matkę w kolejce. Zdawała się ich obserwować, nie oceniając. Jej twarz była pełna szczerzego zainteresowania, zastanowienia. Olivia bardzo chciała wiedzieć, o czym myśli kobieta przed nią, ale nie ośmieliła się zapytać.

Po długim oczekiwaniu Olivia dotarła do kasy. Miło przywitała się z kasjerem, zapakowała zakupy, zaniósła wypakowaną nimi płócienną torbę do jeepa i pojechała do domu.

Dotarła tam pół godziny później.

W domu Olivia ugotowała dwa jajka. Pokroiła pomidory, ogórki i czerwoną paprykę. Podarła sałatę i wrzuciła ją do dużej miski. Dorzuciła oliwki i cebulę vidalia, parmezan, grzanki i jajka na twardo. Polała całość niewielką ilością oliwy z octem winnym, dodała szczyptę soli i pieprzu. Kieliszek zimnego sauvignon blanc, kromka ciabatty i gotowe.

Zabrała obiad, świecę przeciw komarom i jeden ze swoich pamiętników na patio z tyłu domu. Zasiadła do zasłużonej sałatki, otworzyła pamiętnik i zaczęła czytać od miejsca, gdzie ostatnio skończyła.

5 lipca 2003

Moje życie kręci się teraz wokół porozumienia, a raczej jego braku. Cały czas domagam się od Anthony'ego słów. Anthony, powiedz SOCZEK. SO-CZEK. SOOCZEEK. Powiedz całe słowo. Powiedz, czego chcesz. Powiedz CHCĘ SOCZKU. Powiedz HUŚTAWKA. Powiedz CHCĘ WYJŚĆ Z DOMU I POHUŚTAĆ SIĘ NA HUŚTAWCE. Proszę. Anthony, spójrz na mnie i powiedz, czego chcesz. Powiedz, co czujesz. Powiedz, dlaczego krzyczysz. Zwykle wiem, czy to okrzyk radości i podekscytowania czy frustracji i paniki, ale teraz jestem zbyt zmęczona i nie umiem

ich rozróżnić. Dlaczego krzyczysz? Jak mogę ci pomóc, skoro nie chcesz mi powiedzieć, czego chcesz?

No i jest jeszcze kwestia mnie i Davida. My też nie wiemy, jak się ze sobą porozumiewać. Już na siebie nie patrzymy. Nie mogę znieść widoku rozpaczony w jego oczach, jego wyczerpania, czasem winy, a często żalu, że nie został dłużej w pracy. Może wtedy byłabym już w łóżku i wtedy nie musiałby mieć do czynienia ze mną, ani tym, co widzi w moich oczach.

Już ze sobą nie rozmawiamy. Nie naprawdę. Mówimy mnóstwo o tym, co trzeba zrobić. Kupiłeś SOCZEK Anthony'ego? Idę do sklepu, potrzebujemy SOCZKU? Pobujasz Anthony'ego na HUŚTAWCE? Krzyczy, bo chce wyjść z domu i pobujać się na HUŚTAWCE. Wyniesiesz śmieci, pójdziesz do sklepu, zrobisz pranie, zapłacisz rachunki? Rachunki, rachunki, rachunki.

Mówimy wszystkie te słowa, ale o niczym nie rozmawiamy. To wszystko bez znaczenia. Ple ple ple.

Nie mówię Davidowi tego, co myślę – że jesteśmy rodzicami niepełnosprawnego dziecka, a nasze małżeństwo jest chore. Myślę o tym codziennie, ale nigdy nie mówię tego głośno. Nie mówię Davidowi.

Nie śpimy ze sobą i nie mam ochoty na seks, ale tęsknię za częścią mnie, która czuła więź z Davidem, która była napalona i pragnęła seksu. Nie rozmawiamy o tym.

Zresztą, kto chciałby uprawiać seks po dniu takim jak mój? Jestem wyczerpana umartwianiem się i fizycznym wysiłkiem, jaki wiąże się opieką nad Anthonyem. Mam sińce od jego uszczypnięć i kopniaków, i ślady ugryzień na całym ciele. Wyglądam jak ofiara przemocy. Czuję się maltretowana, ale nie mówię Davidowi.

To nie Anthony mnie maltretuje. To życie. Co się z nim stało? Teraz istnieje w nim tylko autyzm. Jeśli nie mam z nim do czynienia, to czytam o nim lub rozmawiam i jestem już tak zmęczona tym tematem, że mogłabym się porzygać. Boję się, że tak będzie już zawsze. Anthony ma autyzm i nie powie SOCZEK albo HUŚTAWKA, ani dlaczego krzyczy, a David i ja – towarzysze niedoli – nie rozmawiamy ze sobą.

W najlepszym wypadku jesteśmy kolegami, samozwańczymi terapeutami, którzy pracują nad tym samym pacjentem, ślicznym chłopcem o imieniu Anthony, starając się go uzdrowić.

Tylko że ponosimy klęskę. Nie uzdrowimy go. Jego autyzm nie zniknie i jest jak wielki różowy słoń w naszym salonie, a my nie rozmawiamy o tym, co dzieje się naprawdę – o tym, że będziemy żyć z autyzmem do końca życia i że musimy się z tym pogodzić. Choć bardzo chcę krzyczeć i płakać, i niszczyć wszystko wokół siebie, choć bardzo chcę się opierać, walczyć i błagać, musimy pogodzić się z autyzmem Anthony'ego.

Dlaczego nie potrafimy o tym porozmawiać? Dlaczego nie powiemy sobie, jak się czujemy, czego chcemy, czego się boimy, tego, że nadal się kochamy? A kochamy się? Czy naprawdę nadal się kochamy?

Jesteśmy dla Anthony'ego świetnym wzorem do naśladowania. Hej, Anthony, MÓW. Na odwrót do tego, co robią tatuś i mamusia. Anthony spędza na terapii logopedycznej trzydzieści pięć godzin tygodniowo, żeby nauczyć się mówić. Ciekawe, ilu godzin potrzebowalibyśmy z Davidem...

Ona i David nigdy nie poszli na terapię małżeńską. Może powinni byli. Ale pomiędzy terapią zajęciową, behawioralną i logopedyczną Anthony'ego, grupami wsparcia dla rodziców, a potem terapią po jego śmierci, z której żadna nie przyniosła rezultatu, nie byli bardzo przychylni pomysłowi zaproszenia do ich przesyconego terapiami życia kolejnego specjalisty i kolejnego wydatku.

Olivia zamknęła pamiętnik i przymknąwszy oczy, pogрузzyła się w myślach. Codziennie czytała kilka swoich wpisów, kartkowała swoją przeszłość, próbując się ze wszystkim pogodzić, znaleźć ukojenie. Otworzyła oczy. Nie dzisiaj.

Westchnęła i wróciła do kuchni po kolejny kieliszek wina. Otwierając lodówkę, usłyszała przenikliwy dźwięk dzwonka. Przystanęła na chwilę, próbując domyślić się co to. W tym domu zawsze słyszała dziwne, niewytłumaczalne odgłosy, których tuż po przeprowadzce trochę się bała, teraz nie czuła jednak strachu, lecz ciekawość.

Mgła, która często osiadała nad wyspą, zwykle izolowała dźwięki i tłumiała je. Cisza gęstej mgły na Nantucket była bardzo rzeczywista. Czasem jednak z nieznanych powodów mgła nagłaśniała, wypaczała i rozpraszała dźwięk, niosąc go kilometry od źródła. Olivia mogłaby przysiąc, że kiedyś słyszała w swojej sypialni rozmawiających na łodzi rybaków. Czasem dochodziły ją też przyprawiające o gęsią skórkę melodyjne jęki, które – jak postanowiła wierzyć – wydawały foki porozumiewające się ze sobą przy brzegu.

Tego wieczoru zbierała się mgła, więc równie dobrze Olivia mogła usłyszeć dzwonki wietrzne sąsiadów, dzwonek dziecięcego rowerka za rogiem lub ciężarówkę z lodami na plaży. Tylko że ten dzwonek wydawał się głośniejszy, bliższy. Pochodził stąd. Wyciągając wino z lodówki, Olivia usłyszała go raz jeszcze. Czy to dzwonek do drzwi?

Postawiła butelkę na blacie, mokrą dłoń wytarła w szorty, podeszła do drzwi wejściowych i otworzyła je.

– Cześć, Liv.

Jęknęła zaskoczona. Nie spodziewała się, że naprawdę kogoś tam zastanie. A z pewnością nie jego.

– David.

ROZDZIAŁ 11

Był dopiero kwadrans po dziewiątej, a Beth zdążyła już odwiedzić dziewczynki do centrum kultury. Gracie i Jessice bardzo się tam podobało, ale Sophie nie. Sprawiała wrażenie, jakby wyrosła już z gier, zajęć plastycznych i zabaw pod koniec poprzedniego lata, kiedy miała dwanaście lat i narzekała, że wakacje w centrum są nudne. A jeśli poprzedni rok uznała za nudny, to ten musiał być całkowitą agonią. Do centrum chodziły jednak wszystkie dzieci, które były jeszcze za małe, by znaleźć sobie pracę na lato, a Beth wołała, żeby Sophie przechodziła agonię poza domem niż pod jej nosem.

Kiedy Beth zaparkowała przed budynkiem, powiedziała do wszystkich trzech:

– Bawcie się dobrze!

Jessica i Gracie uśmiechnęły się i pomachały jej, ale Sophie odpowiedziała:

– Nie martw się, ja nie będę! – I trzasnęła drzwiami auta. Weszła w ten wiek.

Dziewczynki mogły zostać w centrum kultury do czternastej. Jimmy miał tego wieczoru wolne, zaproponował więc, że je odbierze, spędzi z nimi popołudnie, a potem zjedzą razem obiad. Obiecał, że odwiezie je do domu na dwudziestą.

Beth mogła spędzić kolejne jedenaście godzin tak, jak chciała. Miała całkowicie wolny dzień. Tydzień temu wykorzystałaby ten czas na sprzątanie, wykonanie jakiegoś dużego zadania, jak mycie okien, pozbycie się pleśni z mebli na patio albo pielenie. Ostatnio jednak czytała poradnik pisania i przeglądała swoje notatniki, stare wiersze, opowiadania i niedokończone winietki, co sprawiało jej ogromną przyjemność. Znowu zaczęła marzyć.

Postanowiła nie myśleć o pleśni, plamach z pyłku i natrętnych chwastach. Zamiast tego pojechała do biblioteki, gdzie w ciszy mogłaby popisać, bez obaw, że coś rozproszy jej uwagę. Czowała się gotowa, by odkurzyć twórczą część jej natury, którą lata temu zamknęła w pudle, i sprawdzić, czy nadal działa. W końcu dała sobie czas i miejsce na to, by wsłuchać się w swój pełen wyrazu wewnętrzny głos, który nieświadomie tłumiała, najpierw macierzyństwem, a potem codziennymi obowiązkami.

Poszła na drugie piętro i usiadła na drewnianym krześle bez podłokietników w stylu szejkersów, przy masywnym drewnianym stole, dużo większym niż ten, który stał w jej jadalni. Twarzą była zwrócona do równie dużego okna, wysokiego przynajmniej na dwa i pół metra. Okno było otwarte i pomieszczenie wypełniała świeża poranna bryza. Wokół stołu stało jeszcze dziewięć podobnych krzeseł, wszystkie wolne.

Beth wyciągnęła czysty, kupiony lata temu notatnik ze sprężynowym grzbietem i otworzyła go na pierwszej stronie. Minęło wiele czasu, odkąd napisała cokolwiek innego niż czeki opłacające rachunki. Czowała podekscytowanie, zdenerwowanie. Wyciągnęła ulubiony długopis i wlepiała wzrok w kartkę, zastanawiając się, jak

zacząć. Początki zawsze sprawiały jej największy kłopot. Postukała długopisem o zęby. Był to nawyk z czasów, kiedy głowiła się nad zadaniami domowymi, i mogła niemal usłyszeć głos mamy, która upomina ją: *Przestań, Elizabeth*, więc przestała.

Spojrzała na zegar na ścianie. Była dziewiąta dwadzieścia pięć. Tak jak stół i okno, zegar też był większy niż normalny: dębowy, z rzymskimi cyframi na tarczy w kolorze kości słoniowej. W drewnie wyżłobione były ozdobne zawijasy, które wyglądały, jak kłębiące się fale morskie. Zegar był stary i na taki wyglądał, miał też zapewne historyczne znaczenie, ale Beth nie wiedziała jakie. W bibliotece było cicho, tak cicho, że mogła dosłyszeć jego tykanie.

Tyk. Tyk. Tyk.

Dlaczego biblioteka była tego dnia taka pusta? Beth wyjrzała przez okno. Błękitne niebo, żadnych chmur, delikatna, miarowa bryza. Idealna pogoda na plażę. To właśnie mogła zrobić ze swoim wolnym dniem. Spędzić go na plaży! Odsunęła krzesło od stołu, ale zanim zdążyła zatkać długopis, domyśliła się, jaka jest prawdziwa motywacja tego pochopnego pomysłu. Strach. Strach przed pustą stroną, nad którą siedziała. A na dodatek wypad na plażę w środku lipcowego dnia, by bić się z innymi plażowiczami o fragment piasku, był naprawdę głupim, nieprzemyślanym pomysłem. Było tam już pewnie całe miasto. Beth wiedziała to dobrze i postanowiła nie narażać się na takie szaleństwo.

Przysunęła się bliżej, wyciągając nogi pod stołem i starając się usiąść wygodnie. Okej. Mogła zaczynać. Ale co? Czy chciała rozbudować jedno ze swoich niedokończonych opowiadań? Powinna w takim razie wziąć je ze sobą. Czy powinno rozgrywać się na Nantucket? A może w Nowym Jorku? W głowie Beth pojawiły się nowe pytania i nie dawały jej spokoju, paraliżując dłoń.

Spojrzała na zegar. Dziewiąta czterdzieści pięć.

Tyk. Tyk. Tyk.

Może powinna zrobić jedno z ćwiczeń pisarskich z podręcznika, wprawić długopis w ruch, rozpisać się, rozgrzać? Przypomniała sobie, że tak właśnie zwykła kiedyś zaczynać.

Otworzyła torebkę, a właściwie wielką, sfatygowaną, czarną, nylonową torbę. Ktoś jej ją podarował. Może Georgia? Było to tak dawno temu, że nie mogła sobie przypomnieć. Dostała ją w prezencie z okazji narodzin którejś z córek. Jej torebka to tak naprawdę torba na pieluchy. Jill uważała, że to wstyd wciąż jej używać.

Rzeczywiście, nie była to najpiękniejsza rzecz na świecie, a dziewczynki już od jakiegoś czasu korzystają z toalety. Beth było jednak wygodnie z szerokim, wodoodpornym paskiem na ramię, z którego można było zetrzeć właściwie wszelkie zabrudzenia. Torba miała też mnóstwo użytecznych kieszonek. W kieszonce na butelkę dla dziecka nosiła teraz wodę. W kieszonce na nawilżone chusteczki znajdował się portfel. W zasuwanej przegródce, gdzie kiedyś przechowywała smoczek, trzymała teraz komórkę. W środkowej nosiła pozostałe rzeczy.

Wydawało się, że ma wszystko z wyjątkiem podręcznika do pisania. Nie było go. Zapomniała go zabrać. Cholera! Beth rozważała, czy po niego nie wrócić. Spojrzała na notatnik.

Pusty.

Musiała po niego pojechać. Wiedziała jednak, że jeśli teraz wyjdzie, już tu nie wróci. Jeśli teraz wstanie, za dwadzieścia minut będzie stała ubrana w żółte gumowe rękawiczki, z wiadrem wybielacza w dłoni. Postawiła obie stopy mocno na ziemi, jakby były jej kotwicami, i wzięła głęboki wdech. Nie miała zamiaru się ruszyć.

Zdecydowała, że rozbuduje opowiadanie o chłopcu, który znalazł spokój i szczęście w wymyślonym świecie, gdzie kolory miały uczucia, woda potrafiła śpiewać, a chłopiec mógł stać się niewidzialny. Wtedy przypomniała sobie jednak chłopca, którego widziała na plaży – intensywną, nawet jak na dziecko, radość, którą okazywał, kiedy układał rząd kamyków, i przelotny moment kontaktu, który wydawał się ich wspólnym sekretem. Beth czuła się zafascynowana i urzeczona obydwoma chłopcami. Może mogłaby ich postacie jakoś połączyć? Ale jak?

Stuknęła długopisem o zęby i zamyśliła się nad radą „Pisz o tym, co wiesz”. A co właściwie wiedziała? Spojrzała na pustą kartkę.

Zerknęła na zegar i westchnęła. Dziesiąta dwadzieścia pięć. Może powinna przenieść się do kawiarni, kupić kawę i coś do jedzenia? Może tego właśnie potrzebowała – kofeiny, jedzenia i zmiany scenerii. Może nie odpowiadała jej atmosfera tego miejsca? Rozejrzała się po pomalowanych na kremowo regałach wyładowanych książkami w twardych oprawkach, spojrzała na perskie dywany i portrety znanych pisarzy, jak Ralph Waldo Emerson, Henry David Thoreau, Herman Melville, na ścianach. Przekłęty zegar. To miejsce było zbyt poważne, zbyt uczone, zbyt onieśmielające. Czuła tu zbyt dużą presję.

Miała wystarczająco dużo absurdalnych i słusznych wymówek, by wyjść, a mimo to została. Chciała pisać. Ponownie rozejrzała się po książkach na półkach. Każdą z nich ktoś napisał. Postanowiła czerpać z nich inspirację, zamiast dać się onieśmielić. Czemu nie miałyby pisać ktoś taki jak ona?

Spojrzała na książkę wystawioną frontem na regale najbliżej okna, na drugiej półce od góry. *Oblężenie*. Okładka była szaro-biała i widniała na niej czarno-biała fotografia małej dziewczynki. Odrobinę przypominała Sophie, kiedy była malutka, ale to nie delikatne podobieństwo przykuło jej uwagę. Ani tytuł, ani okładka, ani nawet zdjęcie dziewczynki nie wydały się jej wyjątkowe czy interesujące, a mimo to coś ją w niej zaintrygowało, przyciągało.

Beth zmusiła się, by odwrócić wzrok, przeglądając ze swojego miejsca pozostałe półki. Żadna inna książka nie stała frontem. Beth powróciła do *Oblężenia*, ponownie czując, jak nie potrafi odwrócić od niej oczu, nie dlatego, że rozpraszała ją jak zegar albo torebka i nie po to, by uniknąć patrzenia na pustą białą stronę, ale dlatego, że czuła dziwny przymus, by patrzeć.

Czuła to samo, kiedy poznała Jimmy'ego. Siedzieli późnym wieczorem w Chicken Box, legendarnej lokalnej spelunie na Nantucket. Beth nie mogła przestać na niego patrzeć. Nie dlatego, że był atrakcyjny, choć był. Tamtego lata na całej wyspie roiło się od przystojnych i wolnych facetów. Powodem nie był też fakt, że upiła się piwem i szotami alkoholowej galaretki, choć nie można było temu zaprzeczyć. Tamtej nocy istniał tylko Jimmy. Cały bar wypełniał szum zakłóceń, a Jimmy był jak wolny kanał. Czuła się prawie tak, jakby rzucił na nią zaklęcie, jakby był magnesem, który ciągnie ją ku sobie.

A teraz książka na półce sprawiała, że czuła to samo. Wpatrywała się w nią, zafascynowana jej niewyróżniającą się, prostą okładką, i zastanawiała, jaki jest jej temat. Otrząśnięcie się z zaklęcia wymagało sporej siły woli, ale ostatecznie wróciła do pustej strony.

Pustej. Puściutkiej. Puścusięńkiej.

Tyk. Tyk. Tyk.

Znów spojrzała na książkę, teraz czując się tak, jakby to dziewczynka na okładce się na nią gapiła.

A niech to wszyscy diabli.

Podeszła do regału i przyniosła książkę do stołu. *Oblężenie* Clary Claiborne Park. Przeczytała teksty na przedniej i tylnej okładce. Była to prawdziwa historia autystycznej dziewczynki, opisana przez jej matkę. Beth podobał się *Dziwny przypadek psa nocną porą*, ale autyzm nie był tematem, na który sama by się zdecydowała. Najwyraźniej tego dnia nie było jej pisane rozpoczęcie wielkiego amerykańskiego arcydzieła, a na pewno nie zamierzała wrócić do domu i wziąć się do porządków. Zatkąła długopis, otworzyła książkę i zaczęła czytać.

Kilka godzin później ktoś lekko poklepał ją po ramieniu. Beth złękła się i podniosła wzrok. Była to Mary Crawford, bibliotekarka.

– Przepraszam, Beth. Nie chciałam cię przestraszyć, ale zamykamy za pięć minut.

Beth spojrzała na zegar. Pokazywał szesnastą pięćdziesiąt pięć. Wyjrzała za okno. Światło dostające się do środka było delikatniejsze, bardziej rozproszone i rzucało długie cienie. Nadchodził wieczór. Beth zerknęła na swój zegarek. Szesnasta pięćdziesiąt pięć. Jak to możliwe?

Spojrzała na notatnik.

Pusty.

– Przepraszam, zaczytałam się w tej książce.

– Chciałabyś ją wypożyczyć?

– Tak, poproszę – odpowiedziała Beth.

Niczego nie napisała ani nie posprzątała, ale przynajmniej znalazła dobrą lekturę.

Kiedy wróciła do domu, nadal miała mnóstwo czasu do powrotu córek. Mogła coś posprzątać albo zjeść. Wybrała to drugie. Umierała z głodu. Od rana nie jadła nic oprócz kilku dropsów.

Zrobiła sobie kanapkę z szynką i serem, a swój wolny dzień postanowiła uczcić alkoholowym drinkiem. Nie miała w domu shakera, naląła więc wódki, soku z limonki, soku żurawinowego i odrobinę piwa imbirowego do szkolnego termosu Gracie. Dodała do tego lodu i zaczęła wstrząsać, a całość przelała do kieliszka do wina. Upiła łyczek i uśmiechnęła się. Pyszny. I proszę, wcale nie potrzebowała Jimmy'ego. Sama mogła sobie zrobić namiętnego drinka.

Powietrze w domu było gorące i zastałe. Nie było tu dziś nikogo, kto mógłby włączyć klimatyzatory albo otworzyć okna. Beth wzięła swój posiłek, drinka i książkę na patio i usiadła na jednym z lekko spleśniałych krzesel.

Najbardziej spleśniałe krzesło ze wszystkich – krzesło Jimmy'ego do palenia cygar – stało w rogu patio, jakby zostało tam postawione za złe zachowanie. Wiele tygodni temu Beth poprosiła Jimmy'ego, by pozbył się go raz na zawsze. Już wcześniej nie znosiła tego rupiecia, a teraz nie miała najmniejszego zamiaru zatrzymać jego krzesła, skoro Jimmy zabawiał się z inną kobietą. Przesunęła swoje krzesło tak, by krzesło Jimmy'ego znalazło się poza polem jej widzenia. Zjadła posiłek, czytając.

Była nadal pochłonięta czytaniem i piła już trzeci namiętny koktajl *à la* Beth, który zdołała dopracować do perfekcji (mniej limonki, więcej wódki), kiedy usłyszała trzaśnięcie wejściowych drzwi.

– Kto tam?! – krzyknęła.

Na taras wyszły Sophie i Jessica.

– Gdzie jest Gracie? – zapytała Beth.

– W kuchni, robi jakiś projekt na jutro – odparła Jessica.

– Aha, jaki? – zapytała Beth.

– Nie wiem – odpowiedziała Jessica.

– Co jadłyście na obiad?

– Hot doga – odpowiedziała Jessica.

– Hamburgera – dodała Sophie.

Beth frustrował fakt, że choć mieszkają na wyspie, żadne z jej dzieci nie chce jeść ryb. Beth uwielbiała owoce morza, ale za każdym razem, gdy gotowała je w domu, dziewczynki zatykały sobie nosy i narzekały na paskudny zapach.

– Gdzie wasz tata?

– Już pojechał – powiedziała Sophie.

– Aha – skwitowała Beth, dziwnie rozczarowana tym, że nie wstąpił do domu.

Pomyślała, że to przez wódkę.

– Jak było dziś w centrum kultury?

– Beznadziejnie – poinformowała ją Sophie.

– Mogłabyś zmienić trochę swoje nastawienie i nie psuć zabawy siostrze? Kiedy byłaś dzieckiem, uwielbiałaś tam chodzić.

– Jak chcesz. Było *cudownie!* – powiedziała Sophie, wymawiając słowo „cudownie” wysokim, piskliwym tonem i rozciągając usta w przesłodzonym,

robiącym jej dołączki w policzkach uśmiechu w stylu Shirley Temple.

– Już dobrze. Jak obiad?

Sophie nie odpowiedziała, spojrzała tylko na Jessicę.

– Było *cudownie!* – odpowiedziała młodsza z dziewczynek tym samym tonem i w ten sam sposób co jej siostra.

– Było do dupy – podsumowała Sophie.

– Hej, wyrażaj się! – upomniała ją Beth.

– *Ona* z nami poszła – wyjaśniła Sophie.

– Aha – mruknęła Beth.

– Nie lubię jej – powiedziała Sophie.

– Ja też nie – zawtórowała Jessica.

Beth starała się przypomnieć sobie jakąś matczyną mądrość albo politycznie poprawną radę, a przynajmniej coś pozytywnego, co mogłaby powiedzieć w tej chwili swoim córkom, ale namiętny koktajl *à la* Beth działał na jej niekorzyść, zdecydowała się więc na szczerość.

– Ja też jej nie lubię.

– Ty przynajmniej nie musisz spędzać z nią czasu, a my tak. Chciałabym jej nie widywać – powiedziała Sophie.

– Chciałabym, żeby tata wrócił do domu – powiedziała Jessica.

Beth pękało serce.

– Nie wróci, prawda? – zapytała Sophie.

– Nie, nie sądzę – odparła Beth.

Do oczu Jessiki napłynęły łzy, a oczy Sophie wyrażały wściekłość.

– Tak mi przykro, moje kochane. Bardzo mi przykro. To rzeczywiście do dupy.

– Tęsknię za nim, mamo – powiedziała Jessica.

– Ja też za nim tęsknię – odparła Beth.

– Myślałam, że go nienawidzisz – zdziwiła się Sophie. – Myślałam, że to dlatego podarłaś zdjęcia.

– Nie dlatego, i czasem rzeczywiście go nienawidzę. Tęsknię za nim i nienawidzę go jednocześnie. To nie takie proste.

– Bardziej za nim tęsknisz czy nienawidzisz? – zapytała Jessica, patrząc na nią wielkimi, mokrymi, pełnymi nadziei oczami. Beth otarła jej łzy dłonią i pocałowała w policzek.

– Tęsknię – odpowiedziała Beth, pełna współczucia dla swojego wrażliwego środkowego dziecka.

– A ja go nienawidzę – rzuciła Sophie.

– Soph – Beth odezwała się tonem, którym zwykle prawiała jej kazania.

– Dlaczego ty możesz go nienawidzić, a ja nie?

Dobre pytanie, pomyślała Beth, ale nie odpowiedziała. Nie powiedziała, że nawet jeśli nie będzie jej mężem, zawsze będzie ojcem Sophie. Nie powiedziała, że to

niedobrze kogokolwiek nienawidzić. A jeśli Sophie może nienawidzić ojca, skoro tak właśnie czuje? Tłumienie szczerych uczuć nie służyło nikomu. Beth pomyślała, że należałoby umówić wszystkie trzy dziewczynki ze szkolnym psychologiem, żeby przedyskutował z nimi tę sprawę.

– Bo to ja tu jestem matką – odpowiedziała w końcu, uciekając się do irytująco niejasnego, wszechmocnego argumentu, by zakończyć dyskusję. – Robi się późno. Szykujcie się do łóżek.

Sophie przewróciła oczami i weszła do domu. Jej młodsza siostra ruszyła za nią. Zanim Beth poszła do domu, by sprawdzić, jak daje sobie radę Gracie, i zarządzić gaszenie świateł, przeczytała jeszcze kilka stron.

Niedługo po tym, jak dziewczynki zasnęły, Beth położyła się do łóżka z książką. Była bardziej zmęczona, niż mogłaby się spodziewać po dniu luksusowego odpoczynku. Chciała skończyć kolejny rozdział, a może nawet całą książkę, ale oczy zamknęły jej się, zanim zdołała przewrócić stronę.

Kiedy pograżyła się we śnie, myśli o autystycznej dziewczynce z książki, którą czytała, odnalazły podobną cząsteczkę – głównego bohatera *Dziwnego przypadku psa nocną porą*, o którym Beth czytała kilka miesięcy wcześniej. Na uboczu. Oszołomiony przez emocje. Zafascynowany powtórzeniami. Niewykorzystany potencjał intelektualny. Potrzeba porządku. Rząd klocków. Seria liczb. Wrażliwość na dźwięk i dotyk. Uparty. Cichy. Szczery. Odważny. Niezrozumiany.

Cząsteczki te łączyły się, gdy spała, tworząc coś nowego, czego nie można było przypisać ani dziewczynce z *Obleżenia*, ani chłopcu z *Dziwnego przypadku*. Był to załączek myśli, cień konceptu.

Ten cień wędrował przez jej umysł, gromadząc energię, przeplatając się przez opowiadanie, które napisała kiedyś o wymyślonym świecie pewnego wyjątkowego chłopca, zlewając ze wspomnieniem kręcącego się wiatraczka i dźwiękiem krzyku, wchłaniając wspomnienie małego chłopca i radości w jego oczach, kiedy układał w szeregu kamienie na plaży. A gdy cień zebrał potrzebne części i moc przez neurologiczną alchemię, nieopisaną do tej pory w żadnej książce, wszystkie obrazy i dźwięki w jej głowie zebrały się najpierw w chór, a potem w jeden głos. Cień nie był już cieniem. Stał się inspiracją.

Tamtej nocy w jej snach zamieszkał chłopiec o brązowych włosach i oczach, chłopiec, który widzi, słyszy i czuje świat w wyjątkowy, trudny do ogarnięcia sposób. Nie знаła go, ale jej umysł tak. Widziała go wyraźnie. Był żywy i rzeczywisty. Rozumiała go. Nadal śniła o nim, kiedy rano obudził ją budzik.

O dziewiątej odwiozła dziewczynki do centrum kultury, życząc im miłego dnia, na co Sophie trzasnęła drzwiami. Stamtąd Beth pojechała prosto do biblioteki.

Poszła na piętro i zerknęła na zegar. Była dziewiąta piętnaście. Siedząc na tym samym krześle co poprzedniego dnia, otworzyła notatnik, ściągnęła skuwkę z długopisu, wzięła głęboki wdech i zaczęła spisywać słowa chłopca ze swojego snu.

ROZDZIAŁ 12

Leżę na patio z tyłu domu i patrzę w niebo. Patrzenie w niebo to jedno z moich ulubionych zajęć, zwłaszcza w bezchmurny dzień. W bezchmurny dzień wpatruję się w niebieskie niebo i uwielbiam je. Wpatruję się w nie tak długo i uwielbiam je tak bardzo, że opuszczam moje ciało i wsiąkam w nie, tak jak kałuże wracają do nieba w gorące dni.

Opuszczam chłopca, który leży na patio i staję się błękitnym niebem. Jestem błękitnym niebem, znajduję się wysoko nad ziemią i chłopcem leżącym na patio i swobodnie się unoszę.

Jestem błękitnym niebem, jestem powietrzem, sunącym na podmuchach wiatru, który wiruje i dmie, lekki i ciepły, pod słońcem, nad ziemią i chłopcem na patio.

Jestem błękitnym niebem, jestem powietrzem. Jestem wszędzie.

Jestem błękitnym niebem i powietrzem wpadającym do płuc. Jestem oddechem. Wlatuję i wylatuję z wiewiórek i ptaków, z mojej matki i ojca, i zielonych liści na drzewach. Jestem powietrzem, które w ciałach zamienia się w energię i staje częścią tego, co żyje w środku. Jestem sercami, kośćmi i myślami, niewypowiedzianymi słowami w głowie chłopca leżącego na patio, mięśniami ojca, smutkiem matki. Jestem niebieskim niebem i oddechem, i energią, częścią wszystkich żyjących istot wokół mnie.

Spoglądam na bezchmurne niebo. Jestem wszędzie, połączony ze wszystkim, co żyje. Spoglądam w dół na chłopca, który leży na patio. Jest szczęśliwy.

ROZDZIAŁ 13

David poszedł za Olivią do kuchni, lekko się ociągając. Rozglądał się po domu, sprawdzając pewnie stan podłóg i ram okiennych, by oszacować obecną jego wartość. Nie umiał się od tego powstrzymać. Olivia nalała mu kieliszek wina.

– Domek wygląda ładnie.

– Dzięki. Jesteś głodny? Zrobiłam sałatkę – powiedziała.

– Nie, zjadłem po drodze bułkę z homarem. Wino wystarczy. Coś ci przywiozłem – powiedział, podając jej białą papierową torebkę.

– Cukiernia Cioci Leah – odpowiedziała, z uśmiechem opróżniając torebkę, wiedząc jeszcze przed otwarciem, że wypadnie z niej kostka czekoladowego toffi.

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

– Ty też.

Mówiła prawdę. Miał na sobie bawełnianą koszulę w kratę, odpiętą i puszczone luźno na spodnie, zarzuconą na szary T-shirt, jeansy i czarne skórzane włoskie buty. Jego włosy, czarne, ale siwiejące na skroniach i bokobrodach, były dłuższe niż zazwyczaj. Przy tej nowej długości, jego włosy – zwykle gęste i proste, teraz nieuczesane i zmierzwiowane – pokazały swoje naturalne fale i niesforne kosmyki. Podobały się jej.

Reszta to ten sam David. Oliwkowa cera, okulary w ciemnych oprawkach, wydatne jabłko Adama, brązowe oczy podobne to jej własnych, ale ciemniejsze. Takie jak Anthony'ego. Wtedy zauważyła jego dłonie, jego nagie dłonie. Bez obrączki.

– Przepraszam, że najpierw nie zadzwoniłem, ale poczułem, że muszę cię zobaczyć, i pomyślałem, że może zabronisz mi przyjeżdżać.

– Usiądźmy w salonie – powiedziała Olivia.

Poszedł za nią i oboje usiedli na kanapie w zachowawczej odległości. Dawid spojrzał na ścianę nad kominkiem na zdjęcie Anthony'ego. Na jego twarzy pojawiły się jednocześnie miłość, radość i żal w równych częściach, jak gdyby wszystkie te emocje walczyły ze sobą, by nim zawładnąć. David wypuścił z płuc długi, głośny oddech, próbując się otrząsnąć. Upił łyk wina.

– Przeprowadzam się – powiedział.

– Gdzie? – zapytała Olivia, od razu bojąc się, że powie „tutaj”.

– Do Chicago.

Nadal próbowała oswoić się z niespodzianką, jaką była jego niezapowiedziana wizyta, i przyzwyczaić do tego, że siedzi z nią na kanapie w salonie. A teraz to. David urodził się i wychował w południowym Bostonie, uczęszczał do Boston College i od lat prowadził biuro nieruchomości z rodzicami i bratem, więc jego więzi z Bostonem i okolicami były bardzo silne. Jeśli widząc go w drzwiach, była zaskoczona, to teraz doznała prawdziwego szoku.

– Dlaczego Chicago?

– Nie jestem pewien. Jest tam Sully, a on zawsze powtarzał, że mógłbym dla niego pracować. Główny powód jest taki, że Chicago to nie Hingham. Muszę się stamtąd wydostać. Wszystko przypomina mi o tym, że Anthony'ego już nie ma.

Spojrzał na zdjęcie nad kominkiem, jakby uwzględniał Anthony'ego w rozmowie, a potem znów na Olivię.

– I o tobie, Liv. Wszystko przypomina mi o tym, że straciłem Anthony'ego i ciebie.

Wszystko zamarło. Olivia nie napiła się wina, ani nie jadła krówki. Patrzyła tylko w oczy Davida i czekała w bezruchu, mając nadzieję, że nie spłoszy tego, co w końcu był gotowy jej powiedzieć.

– Muszę znaleźć sobie jakieś nowe miejsce, gdzie nie będę widział ciebie i Anthony'ego w każdym pomieszczeniu. Wystarczy, że przejdę tylko koło jego pokoju, a przez cały dzień nie mogę zebrać się do kupy. To okropne. I nie chodzi tylko o dom, chodzi o wszystkich. Rodzice i Doug mówią do mnie tym smutnym, ostrożnym tonem i patrzą pełnymi troski oczami. Pewnie na ich miejscu robiłbym to samo, ale nie mogę już tego znieść. Nie mogę cały czas być tym smutnym gościem, rozumiesz?

Pokiwała głową. Rozumiała.

– Nie mogę być tym facetem każdego dnia. Chcę być Davidem Donatellim – powiedział. Jego głos zanikł, gdy wypowiedział swoje nazwisko. Otarł łzy. – Ledwie pamiętam człowieka, którym kiedyś byłem. Myślałem, że z czasem będzie łatwiej, ale tak nie jest. Ani trochę nie jest mi łatwiej.

– Wiem, Davidzie. Wiem.

– Musiałem nawet zmienić proszek, bo pachniał jak wy. Czy to nie szaleństwo?

Pokręciła głową. Nie było w tym nic szalonego. Zrobiła dokładnie to samo.

– A więc Chicago – powiedział, jakby to była oczywista odpowiedź: cztery na pytanie o dwa plus dwa.

– Mnie przeprowadzka pomogła. Tobie też pomoże – powiedziała.

Nantucket ocaliła ją od spotykania znajomych, od powodowanych dobrymi intencjami, a mimo to miazdzących życzeń, pełnych pożałowania spojrzeń, od wachania poduszki Anthony'ego i brania do rąk jego bućków, od mieszkania pośród kolorowych ścian, które miały być ich domem. Była zadziwiona, że doświadczali z Davidem tak wielu podobnych uczuć. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją jednak to, że tak dobrze je teraz wyrażali, porozumiewali się.

Gdyby tylko robili to wcześniej.

– Sprzedasz dom?

Pora na sprzedaż domu nie była najlepsza i Olivia podejrzewała, że David się wstrzyma, wynajmie go i poczeka na poprawę na rynku nieruchomości.

– Umówiłem się z Dougiem, że się tym zajmie. Mogę zostawić mu na przechowanie twoje rzeczy, jeśli chcesz.

- Dobrze, w porządku.
- A ty? Myślisz o przeprowadzce?
- A gdzie miałabym się przenieść?
- Myślałem, że może do Georgii, bliżej twojej mamy i siostry.

Olivia myślała kiedyś, zwłaszcza podczas pierwszych zimnych tygodni marca, że ostatecznie wróci do domu – w ramiona mamy, do swojego pokoju z dzieciństwa. Teraz jednak wiedziała, że tego nie zrobi. Mogła pojechać z wizytą, ale nigdy na stałe. Skończyłoby się na tym, że władowałyby się w to, od czego David próbował uciec – pożałowanie bez złych zamiarów i nieustanne przypominanie sobie o żałobie i stracie.

– Nie, podoba mi się tu – powiedziała.

– Jak dajesz sobie radę? Chodzi mi o finanse. Wiem, że umówiliśmy się na pół roku, ale jeśli potrzeba ci więcej ...

– Radzę sobie. Zaczęłam znowu robić zdjęcia. Robię portrety rodzinne na plaży. Na razie to wystarcza.

– Jesteś pewna?

– Tak, starcza mi pieniędzy.

David jeszcze raz spojrzął na Anthony'ego.

– Założę się, że jesteś w tym dobra.

Uśmiechnęła się.

– Nikt jeszcze nie zażądał zwrotu pieniędzy – powiedziała.

Rozejrzał się po pokoju wzrokiem agenta nieruchomości. A może dlatego, żeby nie patrzeć na Olivie siedzącą koło niego i na zdjęcie Anthony'ego na ścianie.

– Wydawało mi się, że się tu urządzisz – powiedział.

– Hej!

– Nie, naprawdę tu ładnie, tylko dom nie wygląda jeszcze jak twój.

W Hingham pomalowała każdy pokój, kiedy tylko się wprowadzili. Złocista żółć, pastelowy niebieski, turkusowy. Każdy pokój otaczały ciepłe i przytulne kolory. Tu wszystkie ściany pozostały niepomalowane, białe. Nieliczne meble, obrazy i bibeloty miały neutralny charakter i nie zmieniły się od czasu, kiedy urządzili dom tuż po zakupie, przed przyjazdem pierwszych lokatorów.

– Podoba mi się – powiedział, wskazując na szklaną misę na stoliku do kawy, wypełnioną z górką białymi zaokrąglonymi kamieniami. Olivia wszędzie na nie natrafiała.

– Dzięki.

– Podoba mi się tu – powiedział. – Zawsze wydawało mi się, że tu skończymy. Razem. Pewnego dnia.

– Ja też.

– Mieliśmy przeróżne marzenia, zanim...

Zanim. To słowo zawisło w powietrzu samotnie, nie potrzebując towarzystwa innych.

Nachylił się i wziął do ręki jeden z kamyków ze sterty. Zacisnął go w dłoni i zamknął oczy, jakby myślał życzenie. Po chwili otworzył oczy i dłoń, a kamyk odłożył do miski.

– Zrobiło się późno – powiedział, zerkając na zegarek. – Muszę lecieć, jeśli mam zdążyć na ostatni prom.

– Możesz zostać, jeśli chcesz.

Przechylił lekko głowę, przyglądając się jej, nie do końca rozumiejąc zaproszenie.

– Łóżko w pokoju gościnnym jest pościelone. To żaden problem.

Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. I rozczarowania.

– Jesteś pewna? – zapytał.

– Jasne, rano przed twoim odjazdem możemy pojechać do kawiarni, jak za dawnych czasów.

Uśmiechnął się.

– Chętnie. I dolej mi wina, jeśli jeszcze ci zostało.

Było późno. Olivia od kilku godzin leżała w łóżku, ale nie spała. Usłyszała, jak otwierają się drzwi pokoju gościnnego i jak David idzie do salonu. Potem dobiegło ją skrzypienie tylnych siatkowych drzwi i ich trzaśnięcie o framugę. Czekwała i nasłuchiwała. Czekwała, ale nie usłyszała nic więcej. Wstała, przeszła przez salon, otworzyła siatkowe drzwi i wyszła na zewnątrz.

– David?

– Hej.

– Co robisz?

– Nie mogłem zasnąć.

Olivia podeszła bliżej i położyła się koło niego na kocu. Koc był niewielki i trudno było jej leżeć koło Davida, nie dotykając go. Ręce trzymała ciasno przy ciele.

– Gwiazdy tutaj są nadzwyczajne – powiedział.

– Tak. Uwielbiam tutejsze niebo.

– Nigdy ich takich nie widziałem. I ten księżyc. Jest niewiarygodny.

Księżyc był niemal w pełni, jaskrawożółty i biały, świetlisty. Niebo wokół niego było niebieskie jak w dzień. Reszta nieba była czarna, usiana błyszczącymi, białymi gwiazdami. Najpierw znalazła Wielki Wóz, potem Mały Wóz i Wenus. Tyle potrafiła. Naprawdę powinna dowiedzieć się więcej o konstelacjach.

Dalej wpatrywali się w niebo. Jej wzrok dostosował się do ciemności i na niebie wyłoniło jeszcze więcej gwiazd. A potem, co niewiarygodne, jeszcze więcej. Gwiazdy na gwiazdach, mgliste łuny światła, nałożone na siebie galaktyki energii, płonące, błyszczące w niewyobrażalnych odległościach od nich. Próbowwała sobie wyobrazić, jak wyglądałoby z Davidem, gdyby ktoś patrzył na nich z góry – dwa małe oddychające ciała, leżące na kocu na trawie na maleńkiej wyspie prawie pięćdziesiąt kilometrów od brzegu. Dwa maleńkie ciała, które kiedyś planowały wspólne życie, które miały ślicznego syna, teraz leżały przy sobie na kocu, wpatrując się w

nieskończoność.

– Widzisz tam? – pokazał, rysując palcem na niebie literę W. – To Kasjopeja.

– Przepiękna – odpowiedziała.

Bezchmurne niebo nocą nad Nantucket naprawdę potrafiło zachwycić. Nawet jeśli w Hingham ktoś spojrział w górę, tam niebo nie zachwycało. W Chicago też nie zachwyci. Pomyślała o Davidzie mieszkającym w Chicago, otoczonym wieżowcami i latarniami ulicznymi, który idzie sam brzegiem jeziora Michigan, spogląda w niebo w jasną noc i widzi tylko ciemność, podczas gdy Olivia widzi wszystko.

Noc była chłodna i dzięki nieustającemu wietrzykowi nie było komarów. Olivia zadrżała z zimna. Bawełniana koszula nocna bez rękawów nie zapewniała ciepła. David przysunął się do niej bliżej, tak że ich ramiona, biodra i nogi się dotykały. Splótł swoje pozbawione obrączki palce z jej palcami. Jej dłoń przyjęła jego dłoń. Dotyk jego ciała, ciepło jego dłoni, znajome i pocieszające, ogrzały ją.

– Tęsknię za tobą – powiedział, nadal patrząc na niebo.

– Ja za tobą też.

– Podpisałem dokumenty.

Już wcześniej wiedziała, że Davidowi potrzeba więcej czasu, by się z czymś pogodzić, ale w końcu to do niego docierało. Dotarło i to.

Uścisnęła jego dłoń.

– Musiałem cię zobaczyć przed wyjazdem, żeby mieć pewność, że dajesz sobie radę – powiedział.

– Daję.

– Naprawdę dajesz.

– Ty też sobie dasz.

Trzymali się za ręce i patrzyli na niebo. Księżyc, gwiazdy, niebo, wszechświat. Pod takim niebem prawie mogła na nowo uwierzyć w Boga. W to, że rzeczy niezrozumiałe, to tak naprawdę boski porządek, i że wszystko jest tak jak powinno.

Gdyby tylko.

ROZDZIAŁ 14

Wyrwana ze snu Beth otworzyła szeroko oczy i usiadła wyprostowana na łóżku, wstrzymując oddech i nasłuchując. *Co to było?* Spojrzała na budzik. Trzecia dwadzieścia trzy. I znów jakiś odgłos. Cała się spięła. Usiadła jeszcze prościej i jeszcze szerzej otworzyła oczy.

Ktoś chodził po domu na dole, ktoś o ciężkich krokach, ktoś duży – żadna z jej córek. Odkąd się tu wprowadzili, nie zamykała na noc ani domu, ani samochodu. Nie robił tego nikt z jej znajomych. Na Nantucket tylko letnicy zamykali wszystko na klucz. Do środka mógł więc wejść każdy. Znów coś usłyszała. Ktoś był w środku. Złodziej? Gwałciciel?

Jimmy?

Wyszła z sypialni, czując, jak łomocze jej serce, i żałując, że jest jedyną dorosłą osobą w domu i nie może wysłać kogoś innego, żeby sprawdził, co to za odgłosy. Zatrzymała się na szczycie schodów i nasłuchiwała. Nic. Może to sobie wyobraziła? Ostatnio śniły jej się tak sugestywne sny. Może ten dźwięk się jej przyśnił? Już miała wrócić do łóżka, kiedy znów dobiegł ją niepokojący hałas. Nie wymyśliła tego. To nie sen.

Zanim odważyła się zejść na dół, w korytarzu zauważyła torbę tenisową Jessiki. Rozsunęła ją i wyciągnęła z niej raketę córki, którą trzymała przed sobą tak, jakby była mieczem. Nie była pewna, jaki będzie miała pożytek z rakiety, jeśli okaże się, że na dole jest złodziej albo gwałciciel (nigdy nie miała mocnego serwu), ale sam fakt, że trzymała coś w dłoniach, dodawał jej otuchy.

Trzymając przed sobą tenisowy miecz, na palcach zeszła po schodach i przez ciemny salon zakradła się do kuchni. Policzyła do trzech i włączyła światło. Stał uśmiechnięty, z miną jakby ktoś przyłapał go na gorącym uczynku. Był naprawdę pijany.

– Jimmy, co ty tu, do cholery, robisz?

Jimmy mrugał powiekami i mrużył oczy, przysłaniając je dłonią jak daszkiem i próbował przyzwyczaić wzrok do jasnego kuchennego światła, po myszkowaniu po domu w całkowitej ciemności. Miał spoconą twarz, jego bejsbolówka z logo Red Sox nałożona była daszkiem do tyłu i przekrzywiona, a on cuchnął cygarami i alkoholem.

– Przyszedłem ci to dać – powiedział, podając jej białą kopertę w rozmiarze kartki z życzeniami.

– O nie – odparła. – Możesz powiedzieć swojej dziewczynie, że urodziny mam w październiku i nie chcę już więcej dostać od niej żadnej kartki.

– To ode mnie, a ona nie jest już moją dziewczyną.

Beth poczuła, jak serce przestaje jej bić. *Jeśli powie, że to jego narzeczona, to zatłukę go tą raketą, przysięgam na Boga.*

– Zerwaliśmy. Wyprowadziłem się.

Krew znów zaczęła krążyć po jej ciele. Beth rozluźniła uścisk.

– Cóż, przykro mi, że wam nie wyszło, ale nie możesz sobie tu tak po prostu wrócić.

– Nie wracam. Chciałem ci to tylko dać – powiedział, wyciągając do niej kartkę.

Nie chcąc dotknąć tego, co znajduje się w środku, Beth ostrożnie wyciągnęła przed siebie swój tenisowy miecz, na siatkę którego Jimmy położył kopertę. Wyciągając przed siebie raketę, jak gdyby niosła zdechłą mysz albo coś obrzydliwego i najprawdopodobniej trującego, Beth przeszła z kartką przez kuchnię i zrzuciła ją na stół.

– Już. Mam ją. Teraz możesz sobie pójść – powiedziała, tenisowym mieczem wskazując mu drzwi.

– Możemy najpierw porozmawiać?

– Nie, w takim stanie nie będziemy o niczym rozmawiać.

– Nic mi nie jest.

– Ten odór świadczy o czymś innym.

– Proszę.

– Jest środek nocy.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Miałeś na to całe miesiące. Teraz chcesz rozmawiać tylko dlatego, że dziewczyna cię wyrzuciła.

– Ona nie jest moją dziewczyną i nie wyrzuciła mnie. Zostawiłem ją. To ja to zakończyłem.

– Musisz stąd pójść – powiedziała tak zdecydowanym tonem, na jaki było ją stać bez podnoszenia głosu. Nie chciała obudzić dziewczyny.

– Otworzysz kartkę, zanim sobie pójdę?

– Nie – powiedziała, wychodząc z kuchni.

Jeśli on nie miał zamiaru sobie pójść, to ona pójdzie. Był środek nocy. Postanowiła wrócić do łóżka.

– Beth – Chwycił ją za wolną rękę, nie pozwalając odejść. – Spójrz na mnie.

Spojrzała.

– Tęsknię za tobą.

– I dobrze.

– Naprawdę.

– Tęsknisz za mną tylko dlatego, że jesteś teraz sam.

– Tęskniłem za tobą przez cały ten czas.

– Musisz już iść.

Nadal trzymając ją za rękę, Jimmy przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Smakował potem, piwem i cygarami. Powinna była czuć obrzydzenie. Powinna była go wyrzucić na jego zbity pijacki pysk. Powinna była go uderzyć swoim tenisowym mieczem. Ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu rzuciła broń i dała się

pochłonąć pocałunkowi.

Zaczął ściągać z niej koszulę, a ona mu nie zabroniła. Nadal ją całował, drapiąc jej twarz zarostem, a Beth odwzajemniała te pocałunki, ale gdzieś w środku jakaś jej oburzona cząstka krzyczała CO TY WYRABIASZ?! Inna znowu spokojnie odpowiadała *Ciii. Porozmawiamy o tym później, a teraz bądź cicho i rozsuń mu rozporek.*

Chwilę później leżeli na podłodze w kuchni. Beth była naga, a Jimmy spuścił spodnie do kostek, choć koszulę i buty nadal miał na sobie. Znali się od piętnastu lat, ale nigdy nie robili tego na kuchennej podłodze. Właściwie to Beth nigdy nie chodziła nago poza ich sypialnię i łazienkę.

Ich zbliżenie było pospieszne i bez ceregieli, i mimo bólu w kręgosłupie od leżenia na twardej drewnianej podłodze oraz tego, że po minucie było już po wszystkim – zaskakująco satysfakcjonujące. Idiotyczne i żałosne, ale zaskakująco i bezsprzecznie satysfakcjonujące.

Nastawiła uszu. Czyżby usłyszała na górze jedną z dziewczynek? O Boże, zrobili z Jimmym za dużo hałasu i za chwilę wejdzie tu któraś z ich córek i ich zobaczy. Beth zepchnęła z siebie Jimmy'ego i w pośpiechu nałożyła koszulę nocną i bieliznę.

– Szybko, chyba dziewczynki nas słyszały – wyszeptała. – Podciągnij spodnie.

Jimmy zastygł w bezruchu i zaczął nasłuchiwać.

– Nic nie słyszę.

Miał rację. Było zupełnie cicho.

– Musisz już iść.

– Okej, ale możemy porozmawiać? – zapytał. Spodnie nadal miał u kostek.

– Nie teraz. Innym razem. Za dnia, kiedy nie będziesz pijany, za to będziesz miał spodnie na tyłku.

Posłał jej zadziorny uśmiech, który wciąż ją rozbrajał.

– Okej – odpowiedział.

– A teraz już idź.

– Dobrze, już dobrze. Gdzie moja czapka?

– Tam – pokazała na blat, gdzie wcześniej ją rzuciła.

Jimmy nałożył swoją bejsbolówkę, tym razem prosto i tak jak powinien.

– Stęskniłem się za tobą – powtórzył.

– Idź.

– Okej – powiedział i poszedł w stronę drzwi. – Do zobaczenia, tak?

Beth pokiwała głową i Jimmy wyszedł. Miała nadzieję, że jest na tyle trzeźwy, by bezpiecznie dojechać na miejsce, gdziekolwiek miał zanoć. Zastanawiała się, gdzie to mogło być. Myślała też o tym, o czym chciał z nią rozmawiać. Nie do końca rozumiała jeszcze, co się przed chwilą między nimi wydarzyło.

Cząstka niej, która wiedziała, że będzie musiała przyznać się Petrze i reszcie przyjaciółek, nawet Georgii, czuła się zawstydzona i głupia. Cząstka niej, która była

bez przerwy zagrożona, jakby musiała konkurować z Angelą w dyscyplinie, w której nie ma szans, triumfowała. Reszta niej nie wiedziała, co myśleć o tym, co się tu przed chwilą wydarzyło. Beth podeszła do kuchennego stołu, wzięła do ręki kartkę i otworzyła ją.

Beth, przepraszam. Kocham cię. Proszę, przyjmij mnie z powrotem. Twój Jimmy.

ROZDZIAŁ 15

Było wpół do jedenastej i Beth siedziała w bibliotece. Pisała. Zaczynała od opowiadania inspirowanego swoim snem, ale szybko zaczęło przeradzać się ono w coś innego, większego – w zbiór powiązanych ze sobą opowiadań, nowelę, a może nawet powieść. Nie była jeszcze pewna.

Pisała o chłopcu z autyzmem, ale jej historia różniła się od *Oblężenia* albo *Ciekawego przypadku psa nocną porą* i innych książek o autyzmie, jakie czytała. Opowiadała historię chłopca z autyzmem, który nie mówi, a mimo to pisała ją z jego punktu widzenia. Pozwalała mówić dziecku, które nie mówiło.

Tego ranka zamiast na laptopie Sophie, pisała w swoim notatniku. Zdecydowanie szybciej pisała ręcznie niż na klawiaturze, ale nawet z długopisem w dłoni trudno było jej nadążyć za słowami, które pojawiały się w jej wyobraźni, i ścisnęła długopis tak mocno, że aż drętwiały jej palce. Zrobiła sobie krótką przerwę, by rozluźnić dłoń i sprawdzić fragment, w którym opisywała, jak bohater rozumie pracę swojego mózgu.

Zawsze słyszę, że mój mózg nie pracuje prawidłowo. Podobno jest zepsuty. Moja mama płacze przez mój zepsuty mózg, klóćc się z tatą o mój zepsuty mózg i codziennie do naszego domu przychodzą ludzie, którzy próbują naprawić mój zepsuty mózg. Ale mnie on nie wydaje się zepsuty. Myślę, że wszyscy się co do niego mylą.

Kiedy przewrócę się na podjeździe i skaleczę w kolano, mam wrażenie, że to nie moje kolano, choć pęknięta skóra krwawi i boli, a czasem zmienia kolor na różowy i biały lub niebieski i siny. Kiedy upadam i skaleczę się, boli mnie i płaczę, i mama przykleja mi na ranę plaster z dinozaurom Barneyem. Czasem plaster z Barneyem odkleja się w wannie i schodzi, a skóra pod nim nadal jest różowa i pęknięta, dostaję więc nowy plaster. Ale po kilku kąpielach plaster z Barneyem znów zejdzie i skóra będzie naprawiona.

Mózg mnie nie boli i nie krwawi. Mój mózg nie potrzebuje plastra z Barneyem.

Nie jest też pęknięty jak kubek, który strąciłem wczoraj ze stołu i który rozpadł się na trzy kawałki, kiedy uderzył o podłogę. Tata zaproponował, żeby go posklejać, ale mama kazała mu dać sobie z tym spokój, bo do niczego się już nie nada i wyrzuciła do kosza na śmieci trzy kawałki, które kiedyś były jednym białym kubkiem. Zepsute rzeczy do niczego się nie nadają i trafiają do śmieci.

Mój mózg nie spadł na podłogę i nie rozbił się na trzy kawałki, jego miejsce nie jest w śmieciach.

Nie jest też jak mrówka, na którą nadepnąłem, przez co zgmiotła się i rozpląszczyła, aż nie mogła się dłużej ruszać i umarła. To, co umarło, jest zepsute na zawsze. Ta mrówka jest zepsuta, ale mój mózg nie. Mój mózg nadal potrafi myśleć o mrówce i pamięta dźwięk jej miażdżonego ciała pod moim butem, więc mój mózg nadal działa.

Mój mózg nie jest martwy jak mrówka.

Chciałbym móc im powiedzieć, że mój mózg nie jest zepsuty, żeby mogli przestać płakać i kłócić się ze sobą i żeby do naszego domu nie przychodzili ludzie, którzy chcą mnie naprawić.

To mnie męczy.

Mój mózg składa się z różnych pokojów. Każdy pokój służy do czego innego. Na przykład mam Pokój Oczu do patrzenia i Pokój Uszu do słuchania. Mam Pokój Rąk, Pokój Pamięci (wygląda jak gabinet mojego ojca, pełen szuflad, teczek i pudeł wypełnionych papierami), Pokój Nowych Rzeczy, Pokój Liczb (mój ulubiony) i Pokój Strachów (chciałbym, żeby ten pokój był zepsuty, ale działa jak trzeba).

Pokoje się nie dotykają. Między nimi istnieją długie kręte korytarze. Kiedy myślę o czymś, co zdarzyło się wczoraj (na przykład o tym, jak przewróciłem biały kubek), jestem w Pokoju Pamięci. Ale jeśli chcę obejrzeć bajkę z Barneyem w telewizorze, muszę wyjść z Pokoju Pamięci i pójść do Pokoju Oczu, a czasem Uszu.

Czasem, kiedy korytarzami przemieszczam się pomiędzy pokojami, gubię się i nie wiem, co robić, tkwię w Pół Drogi i nie wiem, gdzie jestem. Wtedy mój mózg czuje się tak, jakby rzeczywiście był odrobinę zepsuty, ale wiem, że wystarczy, żebym tylko znalazł wejście do któregoś z pokojów i zamknął drzwi.

Ale jeśli za dużo dzieje się naraz, mogę władować się w kłopoty. Jeśli liczę kwadratowe kafelki na podłodze w kuchni (sto osiemdziesiąt), to jestem w Pokoju Liczb, ale jeśli zaczyna do mnie mówić mama, muszę pójść do Pokoju Uszu i jej wysłuchać. Tylko że chcę zostać w Pokoju Liczb, bo właśnie liczę i lubię to, ale mama mówi i mówi, a jej głos robi się coraz głośniejszy i czuję presję, by wyjść z Liczb i pójść do Pokoju Uszu. Wychodzę więc na korytarz, ale wtedy ona łapie mnie za rękę, i to mnie zaskakuje, więc muszę iść do Rąk, a nie chciałem. Mama nadal do mnie mówi, a ja nie słyszę co, bo jestem w Pokoju Rąk, a nie Uszu.

Jeśli mama puści moją rękę, będę mógł pójść do Uszu. Mówi PATRZ NA MNIE. Ale jeśli na nią spojrzę, będę musiał wyjść z Uszu i pójść do Oczu, i wtedy nie będę mógł słyszeć, co mówi.

Nie wiem więc, co robić, i szwendam się po korytarzach. Nie potrafię podjąć decyzji, gdzie iść, i znów staję w Pół Drogi, i tak właśnie ładuję się w kłopoty.

Jeśli za dużo czasu spędzę w korytarzach i nie dostanę się bezpiecznie do któregoś pokoju, coś może mnie wciągnąć do Pokoju Strachów, a stamtąd niełatwo się wydostać. Niekiedy tkwię zamknięty w tym strasznym miejscu bardzo długo i jedynym sposobem, żeby się stamtąd wydostać jest krzyczeć ile sił, bo czasem mój naprawdę głośny krzyk może wyważyć drzwi i wypchnąć mnie prosto do Uszu.

Dźwięk mojego własnego krzyku to jedyna rzecz, która może sprawić, że wszystko inne zniknie.

Mój głos potrafi krzyczeć i tworzyć dźwięki, ale nie mówić. Ale to nie jest zepsuty pokój w moim mózgu. Bez problemu mówię do siebie w mojej głowie za pomocą snów.

Myślę, że mogę mieć zepsute usta albo język, albo gardło. Żałuję, że nie potrafię powiedzieć mamie i tacie, że mój głos jest zepsuty, ale mój mózg działa, ale nie mogę, bo mój głos jest zepsuty. Chciałbym, żeby sami się domyślili. Sami.

ROZDZIAŁ 16

25 stycznia 2004

Wczorajszy dzień nie należał do najlepszych. W pewnym momencie wpadłam w straszną histerię. Zdarza mi się to coraz częściej. Mój terapeuta uważa, że powinnam zacząć brać antydepresanty. Mam wrażenie, że to jakiś żart. Cały ten czas szukałam, błagałam i modliłam się o lekarstwo, które wszystko naprawi, i taka jest odpowiedź na te moje pieprzone modlitwy? Anthony ma autyzm, więc dajcie MI leki i problem rozwiązany!

A może jakiś lek dla NIEGO, co? I poproszę o taki, który naprawdę działa. Może jakaś recepta, dzięki której zacznę mówić, układać wieże z klocków i przestanie bawić się włącznikami światła, piszczeć i jęczeć, i zgrzytać zębami? Lek, który nie zrobi z niego naćpanego zombie albo wściekłego psychola na prochach. Da się zrobić? Może lek, przez który nie zarzyga pościeli, koców i mnie. Da się?

Ale nie, to MNIE trzeba faszzerować lekami. Proszę. Od razu będzie lepiej.

Anthony przechodzi przynajmniej jedno załamanie dziennie i nie jesteśmy w stanie sobie z nimi poradzić, więc zajmijmy się moim. Naprawmy mnie i wtedy wszyscy jakoś przywykną do autyzmu Anthonyègo.

W zeszłym miesiącu terapeutka zapisała mi celaxę. Wyrzuciłam receptę. Rozumiem jej tok rozumowania i nienawidzę go. Staram się nie nienawidzić jej. Jeśli mam depresję, to niech tak będzie. Wydaje mi się to dość normalna reakcja na moje obecne życie. Gdyby ona żyła jak ja, też miałaby depresję. Każdy by miał. Niech sobie ma te swoje proste rozwiązania moich problemów.

Dzięki, ja wolę wino.

Ale wracając do wczorajszej histerii, poszłam sama do sklepu spożywczego, podczas gdy David został z Anthonyem. Byłam w dobrym nastroju, bo lubię sama chodzić do sklepu. Wróciłam do domu i pierwsze, co zobaczyłam, kiedy weszłam do domu, to Anthonyègo, który stał na środku pokoju. Spojrzał na mnie kątem oka i zaczął skakać, trzymając łokcie przy żebrach, machając rączkami i piszcząc. Tak Anthony cieszy się na mój widok. I pierwsze, co przyszło mi do głowy, to „ Cześć, Anthony. Ja też się cieszę, że cię widzę” .

I wtedy pomyślałam, że może powinnam spróbować. Jeśli on nie chce naśladować nas, to może ja będę udawać jego. Odłożyłam torby z zakupami, wymusiłam z siebie głośny pisk i zaczęłam skakać i machać rękami.

Oto my – David na kanapie ogląda dyskusję w studiu przed meczem, a Anthony i ja piszczymy, skaczymy, machamy rękami. To wydawało się tak nienaturalne i dziwne, jakbym robiła sobie z niego żarty. To nie było w porządku. Ludzie nie wyrażają w ten sposób radości, podekscytowania ani miłości. I pomyślałam: Tak wyglądają niedorozwinięci . I było mi tak wstyd, że do głowy przyszło mi to słowo. Nienawidzę go.

Dlaczego Anthony nie może się po prostu uśmiechnąć i powiedzieć: „Cześć, mammo, dobrze, że już wróciłaś”. Bo nie potrafi. Bo ma autyzm. NIENAWIDZĘ autyzmu. Zamiast tego piszczy i macha i wygląda jak niedorozwój, bo w ten sposób się cieszy, a ja nie mogę cieszyć się razem z nim, tak jak on.

I wtedy pomyślałam: I to by było na tyle. Nigdy nie dostanę niczego więcej. Żadnych uścisków i buziaków. Żadnego „cześć, mammo!”, żadnego „kocham cię, mammo”. Żadnych kartek na Dzień Matki, które sam robi. Skacze, macha rączkami i piszczy, i tak okazuje radość. Tak okazuje miłość. I to by było na tyle.

Są takie dni, kiedy potrafię być za to wdzięczna. Potrafię. Ale wczoraj, nie mogłam tego ścierpieć. Wściekłam się. Kiedy mam w głowie jasność, wiem, że Anthony robi wszystko, na co go stać, i kocham go za to. Nie byłam wściekła na niego. Wściekłam się na Boga.

Zostawiłam Anthony'ego i torby zakupów, zadzwoniłam do wielebnego Foleya i wyżyłam się na nim. Co za Bóg skazuje chłopca na autyzm? Jaki Bóg obarczyłby dziecko takim cierpieniem? Dlaczego? Dlaczego Anthony nie może do nas mówić? Dlaczego nie może na mnie popatrzeć, uśmiechnąć się, powiedzieć: „Cześć, mammo!” i przybiec się przytulić jak inni mali chłopcy? Dlaczego musi tak żyć? Co takiego zrobił, żeby zasłużyć sobie na takie życie? Czym sobie zasłużył? Dlaczego?

Wtedy wielebny Foley wypowiedział wiele zupełnie bezużytecznych słów, coś o boskiej woli, która jest, gdy jej nie widać, manifestacji zła i o grzechu pierworodnym. Właściwie to nie wiem. Wszystko to zamieniło się w nic nieznaczący szum. Nic nie powiedziałam. Na usta nadal cisnęło mi się pytanie, dlaczego, i czekałam na prawdziwą odpowiedź.

I wtedy powiedział: „Nie przestawaj się modlić, Olivio. Bóg cię wysłucha, jeśli będziesz się do niego modlić”. I wtedy wpadłam w histerię.

Powiedziałam coś w stylu: „Nie potrzebuję, żeby mnie wysłuchiwał. Potrzebuję, żeby coś zrobił. Chcę jakichś pieprzonych odpowiedzi. Mam już dość modlenia się. Skończyłam z modlitwami. Skończyłam z Bogiem”.

Rzuciłam słuchawką i zaczęłam jęczeć i zawodzić, jakby ktoś mnie mordował, jakby to mnie zabijało. I mam wrażenie, że tak właśnie jest.

To mnie zabija.

David przegapił pierwszą połowę meczu, próbując mnie uspokoić. Wypiłam butelkę wina, oglądając drugą połowę, i poszłam spać bez kolacji.

Dziś rano obudziłam się z najgorszą migreną w moim życiu. Połknęłam cztery pastylki przeciwbólowe, popijając dużą szklanką wody, i do lunchu monstrualny ból głowy minął.

Mamy pastylki na ból głowy, antydepresanty na smutek, Boga na problemy wierzących.

Na autyzm nie mamy nic.

Olivia zupełnie zapomniała o tamtym napadzie histerii, włożyła go do pudełka,

zamknęła i zakopała gdzieś w otchłaniach pamięci, ale kiedy rano przeczytała ten wpis w pamiętniku, przypomniała sobie wszystko, jakby zdarzyło się wczoraj. Te silne, ohydne emocje, które owładnęły nią tamtego dnia pięć lat temu, obudzone tym wspomnieniem, znów zaczęły w niej wzbierać, ale wydawały się łagodniejsze i nie na miejscu, jakby były cieniem należącym do kogoś innego.

Było przedpołudnie i Olivia szła między chmarami turystów w centrum miasta, próbując zająć umysł czymś innym niż samą sobą. Nie wybierała się w żadne konkretne miejsce – może do kawiarni, do biblioteki albo Cukierni Cioci Leah po kolejny kawałek krówki, a może po prostu się przejść. Spacer brzmiał zachęcająco.

Na spacer zazwyczaj chodziła na plażę Grubasek albo Bartlett Farm, gdzie czuła się swobodnie i mogła zatracić w naturze. Zdziwiła się więc, że postanowiła przyjść tutaj, skazana na wąskie chodniki, na których jej naturalny rytm kroków zakłócało żółwie tempo turystów, ludzi robiących zakupy i rozmawiających przez telefon, którzy bombardowali ją z każdej strony.

Poczuła, jak w torebce zawibrował jej telefon, zatrzymała się więc, by go wyciągnąć. Odebrała po czwartym dzwonku.

– Halo?

Czekała.

– Halo?

Spojrzała na numer kierunkowy, ale nic jej nie mówił. Nie zdziwiło jej to jednak. Na Nantucket przyjeżdżali ludzie z całego świata. Robiła zdjęcia rodzinom z Kalifornii, a nawet z Niemiec. Zaczęła się martwić, że zapomniała o jakiejś sesji portretowej, na której powinna pojawić się tego ranka, i jakaś zniecierpliwiona rodzina czekała na nią na którejś z plaż. Ten lęk był jednak chwilowy. Olivia wiedziała, że ten dzień miała całkowicie wolny.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że stoi przed kościołem pod wezwaniem Matki Boskiej. Był to ładny kościółek pokryty z zewnątrz białymi deskami szalunkowymi, z wielkimi drzwiami z polerowanej teczyny i dwupiętrową wieżą bez dzwonu. Prosta figura Matki Boskiej z białego marmuru stała na trawniku przed wejściem, witając parafian szeroko rozpostartymi ramionami.

Olivia nie była jednak parafianką i to nie ją witała Maria. Poprzysięgła sobie w dzień, w którym miała to okropne załamanie, że nigdy więcej nie pójdzie do kościoła. Skoro Bóg odwrócił się od niej, ona zrobi to samo. Mogli razem grać w tę grę.

Ale mimo że przestała chodzić na niedzielną mszę i przyjmować sakramenty, nawet kiedy obwiniała Go i nienawidziła, nadal się modliła. Nie robiła tego ostentacyjnie i przestała się żegnać, ale nadal szeptała swoje modlitwy za Anthony'ego. Modliła się pod prysznicem, kiedy myła zęby, kiedy przystawała na czerwonym świetle, w kolejce w sklepie, by kupić pieluchy dla sześciolatka, przed obiadem, przed pójściem spać. Modliła się, bo nawet jeśli postanowiła odwrócić się od Boga, była to bardziej poza niż prawdziwa decyzja. Nadal wierzyła.

Aż do zeszłego roku, kiedy całkowicie straciła wiarę w Boga.

Szła dalej po Federal Street. Ludzie byli wszędzie i zajmowali każdy możliwy fragment przestrzeni. Jedli i pili w restauracyjnych ogródkach, pedałowali na rowerach, wyprowadzali psy, pili mrożone kawy, siedząc na ławkach, oglądali wystawy sklepowe, spacerując i rozmawiając przez telefony. Nieprzerwany prąd ludzi w samochodach powoli posuwał się po każdej z ulic, przystając tylko po to, by przepuścić grupki pieszych, próbujące przejść na drugą stronę.

Olivia przystanąła na chwilę, zastanawiając się, czy nie powinna wrócić do samochodu i pojechać gdzieś, gdzie jest mniej ludzi. Gdy rozważała spacer po Bartlett Farm, ktoś wpadł na nią i odepchnął na bok.

– Uważaj, paniusiu – rzucił przez ramię wysoki, tyczkowaty mężczyzna, który mijając ją, nawet na chwilę nie zwolnił kroku.

To ty wpadłeś na mnie, koleś, pomyślała.

Olivia stanęła stanowczo na środku chodnika – częściowo w geście oporu, a częściowo dlatego, że nie wiedziała, gdzie pójść – i ani drgnęła, gdy dziesiątki ludzi w obu kierunkach omijały ją, jakby była skałą opływana przez wzburzoną rzekę. Czowała się dziwnie wrośnięta w to miejsce i czuła wzrastający niepokój związany z tym, gdzie się znajduje.

Powinna była pojechać na plażę.

I wtedy zauważyła, gdzie jest. Stała przed kościołem Matki Boskiej. Znowu.

Pamiętała, że poprzysięgła sobie nigdy nie wrócić do kościoła, ale przysięgała też Davidowi miłość, wierność i uczciwość, dopóki śmierć ich nie rozłączy. A teraz się rozwodziła. Miała już doświadczenie w łamaniu obietnic.

I może rzeczywiście nadal wierzyła w Boga. Odkąd David wyjechał do Chicago, znów zaczęła z Nim rozmawiać. Przyjechała na wyspę, by uciec od wszystkiego i wszystkiego, by być sama. Jej pokiereszowana dusza potrzebowała balsamu takiej narzuconej sobie izolacji. Jednak świadomość, że David nadal mieszka w Hingham, była jej ostatnim kołem ratunkowym, którego trzymała się obiema rękami. Mogła tam wrócić. Może nie do Davida lub ich małżeństwa, choć jeśli miała być szczerą, dopuszczała i taką możliwość, ale do ich wspólnego domu, jej prawdziwego domu, ich życia. Ale David wyjechał do Chicago i nie było już do czego wracać. Nic już nie łączyło jej z dawnym życiem, z przeszłością. Przeszłość odeszła.

W ich domu, tam, gdzie Anthony miał dorastać, gdzie miał się stać najlepszą możliwą wersją siebie, jakakolwiek by była, i tam, gdzie ona i David mieli się razem zestarzeć, miała zamieszkać inna rodzina. Może ktoś inny będzie tam żył ich życiem. Ktoś, kto będzie miał więcej szczęścia niż ona. Ktoś, kto dostał więcej od Boga.

Kiedy David mieszkał w Hingham, Olivia mogła uważać swoje życie na Nantucket za okres próbny, wizytę, urlop naukowy, tymczasowy okres izolacji. Wtedy był to trening, zabawa, test. Teraz stało się to rzeczywistością. Została sama na Nantucket i nie było już od tego odwrotu.

Olivia stała się pustą przestrzenią i mimo żalu i oporu, Bóg do niej powrócił. Przyłapywała się na tym, że mówiła do Niego, kiedy gotowała, robiła pranie, gdy chodziła po plaży. Zdała sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykłe mówienie do siebie. Rozmawiała z Bogiem. I nie mogła już uciec od wniosku, że jeśli rozmawia z Bogiem, to musi wierzyć w Jego istnienie.

Zadawała te same, znane sobie pytania, czekając w ciszy na odpowiedzi. I w tej ciszy jej samotność wydawała się tak wyostrzona, że mogłaby przeciąć ją na pół. Nie tęskniła za Davidem, a nawet za Anthonym. Nie tęskniła za dawnym domem czy przyjaciółmi. Tęskniła za odpowiedziami. Odpowiedzi były towarzystwem, jakiego szukała.

I bez względu na to, czy nadal wierzyła w Boga, czy nie, zawsze wierzyła w znaki. Ktoś lub coś wzywało ją do tego kościoła. Pospiesznie minęła figurę Marii, weszła po schodach i z lekką niechęcią otworzyła wielkie tekowe drzwi.

Kościół był mniejszy niż kościół świętego Krzysztofa w Hingham. Na niedzielnej sumie mogło się tam pewnie zmieścić około trzystu wiernych. Wnętrze nie było jasno oświetlone i kiedy jej oczy zdołały się przyzwyczaić, Olivia zauważyła, że wszystko wyglądało tam na zupełnie nowe – czerwona wykładzina, wypolerowane ławki, przepiękny prospekt organowy, kolekcja plecionych koszyków z Nantucket. Kościół był też klimatyzowany. Na tej wyspie pieniądze lokowano wszędzie.

W środku nie było nikogo. Codzienną mszę odprawiano pewnie wcześniej, a spowiedzi odbywały się w sobotnie popołudnia. Zanim podeszła na przód kościoła, Olivia uklękła przy stoliku ze świeczkami zapalonymi w intencji. Świeczki nie były prawdziwe. Były to plastikowe lampki na baterie w kształcie świeczek. Miasteczko Nantucket spłonęło już tyle razy, że wszyscy na wyspie, jeśli otwarcie nie bali się pożaru, to przynajmniej byli nieco ostrożni, nawet jeśli byli katolickimi księżmi.

Odwróciła jedną świeczkę do góry nogami, włączyła ją i odstawiła na stół. Lampka zapłonęła na pomarańczowo, ale w żaden sposób nie mogła się równać z prawdziwym płomieniem. Olivia „zapaliła” kolejną świeczkę dla Anthony’ego, tak jak zawsze, i jeszcze jedną dla Davida. Zamknęła oczy i spróbowała się pomodlić, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Od bardzo dawna nie modliła się do Boga w kościele. Złożyła dłonie i spróbowała raz jeszcze. Pustka.

Może powinna spróbować słów kogoś innego, jakiejś gotowej modlitwy w stylu „Zdrowaś Mario”, ale umilkła po „Pan z tobą”. Słowa wyuczone na pamięć wydały jej się bez znaczenia, jakby recytowała wierszyk. To nie te słowa przyciągnęły ją do środka. Pozostawiając swoje trzy „zapalone” świeczki, podeszła bliżej ołtarza, przy którym znajdowały się drzwi. Stała przed nimi ponad minutę, zanim zebrała się na odwagę, by zapukać.

– Proszę.

Oliwia otworzyła drzwi, za którymi znajdował się mały salonik. Na środku brązowej kanapy, pod mosiężnym krucyfiksem zawieszonym na ścianie, siedział

ksiądz. W dłoniach trzymał zamkniętą książkę, a po jego lewej stronie stała włączona lampa do czytania. Na drewnianym stoliku stał nakryty kremową serwetką talerzyk, a na nim nietknięte ciastko.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała.

– Ależ skąd. Proszę usiąść.

Stały tam dwa fotele – jeden skromny i przykryty kwiatową narzutą, drugi w stylu królowej Anny, obity materiałem w kolorze pawiego błękitu. Wybrała ten drugi i gdy usiadła, położyła na kolanach złączone dłonie. Przez chwilę wpatrywała się w podłogę. Wyłożona była białymi i czarnymi płytkami w kształcie sześciątów. Anthonyemu bardzo spodobałaby się ta podłoga.

– Nazywam się Olivia Donatelli. Nigdy wcześniej nie byłam w tym kościele.

– Witamy u Matki Boskiej. Jestem ksiądz Doyle.

Ksiądz Doyle miał czuprynę pełną srebrnych włosów i pogodną, naturalnie zarumienioną twarz. Miał na sobie czarny T-shirt z krótkim rękawkiem, czarne trampki, ale brakowało mu koloratki.

– Nie jestem do końca pewna, dlaczego tu jestem.

Ksiądz Doyle czekał.

– Odeszłam z Kościoła pięć lat temu, ale ostatnio zaczęłam się modlić.

– Nie odeszłaś z Kościoła, jeśli obcujesz z Bogiem.

– Cóż, nie nazwałabym tego obcowaniem. Nie prowadzę z nim rozmów. Zadaję mu pytania i nie otrzymuję odpowiedzi. Po prostu mówię do siebie, tak przynajmniej myślę.

– Jakie pytania zadajesz?

Olivia zacisnęła dłonie i wzięła głęboki wdech.

– Mój syn miał autyzm. Nie mówił, nie potrafił nawiązać kontaktu wzrokowego i nie lubił być dotykany. A potem umarł z powodu krwaka podtwardówkowego po nagłym ataku padaczki. Miał wtedy osiem lat. Chcę więc wiedzieć dlaczego. Dlaczego Bóg zrobił to mojemu synowi? Dlaczego pojawił się na świecie i tak szybko z niego odszedł? Dlaczego go urodziłam? Jaki był cel jego życia?

– To trudne pytania.

Olivia pokiwała głową.

– Ale za to dobre. Ważne. Cieszę się, że nie przestałaś ich zadawać.

– Jak ksiądz uważa?

– Nie wiem zbyt wiele o autyzmie, ale wiem, że każda ludzka istota została stworzona jako wyraz boskiej miłości.

Już wcześniej słyszała tego typu pokrępowane teksty – podręcznikową katolicką odpowiedź od księży w Hingham, która zawsze kończyła rozmowę. Niejasne odniesienie do uniwersalnej boskiej miłości nie pomagało. Jeśli już, wzmagало gwałtowną burzę, która już w niej szalała. Zwykle po „wyrazie boskiej miłości” wstawała i ruszała do drzwi, ale z jakiegoś powodu, może dlatego, że nie czuła się

urazona kojącym głosem księdza Doylea, może dlatego, że tego dnia miała w sobie więcej cierpliwości niż gniewu, a może po prostu podobało jej się niebieskie krzesło, na którym siedziała, nie odeszła.

– Każdego wieczoru kładłam go do łóżka i mówiłam „Dobranoc, Anthony. Kocham cię”. I nie wiem, czy kiedykolwiek zrozumiał, co miałam na myśli. Nie chodzi o to, że on nas nie rozumiał. Dużo rozumiał, ale nie wiem, czy rozumiał miłość. Był dobry w konkretnych rzeczach, w czarno-białych zasadach i wszystkim, co miało ustaloną rutynę. Lubił porządek. Ale przebywanie w grupie, ludzie, wspólne przeżywanie emocji – zdawał się zupełnie ich nie zauważać i nie dbać o nie. Dlatego nie wiem.

Wiedziała, że kochał swoje kamyki, Barneya i huśtawki, ale kochanie takich rzeczy to co innego niż kochanie drugiej osoby. Wzajemna miłość była inna. Nie pozwalał jej się przytulić ani pocałować. Nie patrzyli sobie w oczy. Nie potrafił jej powiedzieć, co czuje. Nie mógł powiedzieć: „Dobranoc, mamó, też cię kocham”.

– Ale i tak go pani kochała.

– Oczywiście, kochałam go do szaleństwa.

Zazgrzytała zębami i przełknęła ślinę, starała się powstrzymać łzy, ale na nic się to nie zdało. Nie można było ich powstrzymać. Ksiądz Doyle podał jej pudełko chusteczek.

– Nie wiem, czy mnie kochał.

– Dzieci, które są głuche, nie mogą usłyszeć ani powiedzieć słów „Kocham cię”, ale czują miłość. Dzieci, które rodzą się bez kończyn albo tracą je i nie mogą nikogo przytulić, czują miłość. Doświadczenie miłości to więcej niż dotyk i słowa. Miłość to energia. Miłość to Bóg.

– Wiem. I znam rodziców, których dzieci urodziły się z upośledzeniami, mają nowotwory, albo przeżyły tragiczny wypadek, i wiem, że nie jestem wyjątkowa, ani nie zasługuję na więcej, ale nadal nie rozumiem. Mam wrażenie, że inni rodzice mogą przynajmniej powiedzieć, że kochają swoje dziecko, i to uczucie jest odwzajemnione. I jest w tym jakieś pocieszenie. Przynajmniej inne matki mogły objąć swoje dzieci, tulić je w ramionach i mówić, że wszystko będzie dobrze, że są przy nich, że je kochają. I te dzieci widziały miłość swoich matek w ich oczach, mogły ją poczuć. Ja nigdy nie zaznałam tego z Anthonym. Jeśli Anthony cierpiał, to krzyczał i płakał, a my nie mogliśmy się dowiedzieć, co się stało albo co na to poradzić. Nie wiedzieliśmy, czy bolał go brzuch, ząb, czy chciał iść na huśtawkę albo czy przypadkiem nie przełożyliśmy gdzieś jednego z jego kamieni. Miałam wrażenie, jakbym nigdy nie mogła go dotknąć, żeby go pocieszyć.

– A pani? Pani też potrzebowała miłości i pocieszenia – powiedział ksiądz.

Olivia pokiwała głową i otarła łzy z twarzy.

– A teraz Anthony odszedł, jego ojciec i ja się rozwodzimy, i nic mi już nie zostało. Nic.

– Jest pani i jest Bóg.

– Więc gdzie On jest? Gdzie był przez ostatnie dziesięć lat?

– Wiem, że może być trudno nie ustawać w wierze. Takie ciężkie przejścia mogą albo wzmocnić wiarę, albo ją zniszczyć. Nawet Jezus na krzyżu powiedział: „Boże, czemuś mnie opuścił?”. Choć nam może być trudno to zrozumieć, on jest zawsze obecny.

– Czuję się całkiem osamotniona.

– Nie jest pani sama, jest pani z Bogiem.

– Nie słyszę żadnych odpowiedzi na moje pytania.

– Nie usłyszysz ich pani uszami, trzeba słuchać sercem, duchem. Odpowiedzi są w pani wnętrzu.

– Nie wiem – powiedziała Olivia, kręcąc głową.

– Proszę nie ustawać w zadawaniu pytań. Nie przestawać obcować z Bogiem i spróbować słuchać duchem.

Olivia pokiwała głową, choć była sceptyczna i niepewna tego, na co właściwie się godzi. Podziękowała księdzu Doyle'owi za poświęcony jej czas i pożegnała się. Ksiądz położył jej dłoń na ramieniu i powiedział, że może przyjść, kiedy zechce.

Przechodząc obok ołtarza i trzech zapalonych świeczek, dotarła do drzwi. Oślepiła ją jasność słonecznego dnia, aż musiała zacisnąć powieki i chwilę odczekać. W tych kilku sekundach pod zamkniętymi powiekami zobaczyła Anthony'ego – jego nieprzystrzyżone brązowe włosy, ciemnobrązowe oczy, radość w jego uśmiechu. Uśmiechnęła się. Kochała go.

I wtedy, zanim zeszła po kościelnych schodach na chodnik, coś przyszło jej do głowy. Jeśli potrafiła zobaczyć Anthony'ego z zamkniętymi oczami, może potrafiła usłyszeć Boga, nie używając uszu.

Boże, dlaczego Anthony tu był? Dlaczego miał autyzm?

Otworzyła oczy i zeszła na chodnik; idąc, starała się słuchać duchem.

ROZDZIAŁ 17

Beth wzięła prysznic, ubrała się i zrobiła naleśniki na śniadanie. Zapakowała trzy lunchy, wytarła stół, umyła naczynia i podlała kwiaty. Odwiozła dziewczynki do centrum kultury, pojechała do miasta i bez problemu znalazła miejsce do parkowania na India Street, jak zawsze wdzięczna za to, że turyści śpią do późna. Ten poranek niczym się nie wyróżniał, dopóki nie weszła do biblioteki. Wtedy wszystko się zmieniło.

Ktoś siedział na jej miejscu.

Przestępczynią była starsza kobieta, przynajmniej siedemdziesięcioletnia, o krótkich, lśniących, białych włosach i w grubych oprawkach przewieszonych na łańcuszku przez szyję. Rozwiązywała sudoku. Z jej pikowanej torby stojącej na ziemi wystawały kłębki wełny, druty i książka. Kobieta była przygotowana, by zostać tu cały dzień. Dokładnie na miejscu Beth.

Oczywiście Beth rozumiała, że krzesło nie było jej własnością. Jednak to na tym właśnie krześle siadała co rano, odkąd na początku lata zaczęła tu przyjeżdżać, by pisać. Lubiła siadywać zwrócona plecami do stert książek i przodem do okna, mając zegar w zasięgu wzroku. Lubiła lewy róg stołu, gdzie miała mnóstwo miejsca po prawej stronie, by rozłożyć swoje notatniki, kartki i laptopa. I jeśli miała być szczerą, wierzyła w magiczne moce tamtego krzesła. To właśnie na nim zapisywała stronę za stroną, nie wątpiąc w swoją prozę, nie kpiąc z dialogów, nie dając się opanować strachowi, nie przerywając. Dopóki siedziała na tamtym drewnianym krześle, patrząc na wschód, historie o chłopcu napływały jej do głowy, a ona pisała bez chwili wytchnienia.

A teraz jakaś starsza kobieta ze słabym wzrokiem korzystała z magicznych mocy miejsca, żeby rozwiązywać sudoku.

Beth rozważyła, jakie ma opcje. Mogła zająć krzesło obok, przysunąć się trochę za blisko, wydmuchać nos, chrząkać, żuć gumę i stukać długopisem o zęby, aż na tyle zirytuje staruszkę, że poszuka sobie innego miejsca. Mogła zapytać kobietę grzecznym i niegroźnym tonem, czy byłaby tak miła i przesiadła się na inne miejsce. Mogła pojechać do domu i posprzątać. Mogła też zachować się dojrzałe i usiąść gdzie indziej.

Usiadła po drugiej stronie stołu, w stosownej odległości, ale wystarczająco blisko, by w mgnieniu oka móc zebrać wszystkie rzeczy i zająć ulubione miejsce, gdyby kobieta zdecydowała się wyjść. Beth otworzyła laptopa Sophie, którym jej córka niechętnie dzieliła się z matką, i utkwiała wzrok w monitorze. Była zwrócona twarzą na zachód, a jej krzesło okazało się mało stabilne. Postukała paznokciami w zęby i pogodziła się z niezaprzeczalną prawdą. W tym miejscu nie było nic magicznego.

Po pewnym czasie obróciła się, by spojrzeć na zegar. Była tu już od godziny, a nie zrobiła nic poza przeczytaniem tego, co już napisała. Tak jak się obawiała, starsza

kobieta zaczęła robić na drutach. Beth zaczęła rozważać powrót do domu. Wpatrywała się w kursor na monitorze, próbując siłą woli sprawić, by coś napisał, jakby był planszą ouija. Na ekranie nie pojawiły się żadne słowa, lecz odbicie jakiejś kobiety. Beth odwróciła się. Za nią z uśmiechem na ustach stała Courtney.

– Hej, siadaj – powiedziała Beth, zadowolona, że ma powód, by oderwać się od pisania. – Co tu robisz?

– Musiałam przyjechać po coś do miasta. Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak ci idzie. To jak ci idzie? – zapytała, wskazując białą pustkę na komputerze Beth.

– Dobrze, chyba dobrze. Zobaczymy, jak skończę.

– Masz już tytuł?

– Jeszcze nie.

– Kiedy skończysz, powinien to przeczytać nasz klub książki. Byłoby fajnie, prawda?

Beth uśmiechnęła się i przytaknęła pomysłowi, który bardzo się jej spodobał, pod warunkiem że jej książka będzie naprawdę dobra i wyobrażając sobie niemożliwe do zniesienia upokorzenie, jeśli okaże się do niczego.

– To dla ciebie – powiedziała Courtney, podając Beth książkę.

Jak naprawić małżeństwo Johanny Hamill. Przerzucając strony, Beth zaważyła, że są tam fragmenty podkreślone długopisem i notatki na marginesach. Pismo Courtney. Beth spojrzała na przyjaciółkę zagubionym, pytającym wzrokiem.

– To mój egzemplarz. Książka wydała mi się całkiem niezła, lepsza niż większość chłamu o tym, jak ocalić małżeństwo.

– Ale... czytałaś to? Po co?

– Steve mnie zdradził.

– Naprawdę?

Staruszka podniosła wzrok znad robótki.

– Kiedy? – zapytała Beth, sciszając głos.

– Cztery lata temu.

– Co? Boże, przez chwilę bałam się, że powiesz „w zeszłym tygodniu”.

Beth patrzyła nieskupionym wzrokiem na okładkę książki i pokręciła głową, nie potrafiąc zdecydować, czy bardziej była zaskoczona niewiernością Steve'a, czy faktem, że Courtney utrzymała to w tajemnicy przez cztery lata.

– Z kim?

– Z jakąś bogatą, zdzirowatą rozwódką. Pracował z ekipą Mickeya w Madaket przy remoncie jej sypialni i łazienki. Powiedział, że go podrywała, w co jestem w stanie uwierzyć, bo wiesz, jakie są te podstarzałe bogaczki, którym się wydaje, że wszystko się im należy. Powiedział, że zrobili to tylko raz.

– I jakoś sobie z tym poradziłaś? Wybaczyłaś mu?

– Nie tak od razu. Byłam gotowa go zabić. Jakiś czas to trwało. Potem przestałam chcieć jego śmierci, ale nie mogłam mu wybaczyć. Przeczytałam wiele książek i

może ta ci pomoże, choć mnie żadna z nich na nic się nie zdała. Nie potrafiłam mu wybaczyć i zaufać. Równowaga sił została zaburzona. On miał wszystko, a ja nie miałam nic.

Beth kiwała głową ze zrozumieniem.

– Więc ja też go zdradziłam.

– CO?

Staruszka jeszcze raz podniosła wzrok znad robótki, tym razem z wyraźną dezaprobatą. Bardzo dobrze, pomyślała Beth. Może temat albo głośność ich rozmowy ją stąd wykurzy. Courtney pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– Z kim?

– Z jakimś dwudziestokilkuletnim szczeniakiem. Na imię miał Henry. Poderwałam go w barze. Przygoda na jedną noc – odpowiedziała, uśmiechając się od ucha do ucha i widząc, że Beth prawie padła z wrażenia. – Następnego dnia powiedziałam Steve'owi, a on na to „No to jesteśmy kwita. Ale na tym koniec”. I obiecaliśmy sobie, że to się już więcej nie zdarzy i zaczęliśmy od nowa.

– Nie wierzę.

– Wiem. Ale to był jedyny sposób na to, żebym mogła z nim zostać, a chciałam zostać. Kocham Steve'a i życie, które tu prowadzimy. Nie chciałam go stracić. Więc sugeruję tylko, że jeśli chcesz Jimmy'ego z powrotem, przeczytaj książkę, a jeśli nic ci ona nie da, to radzę znaleźć sobie swojego Henry'ego.

– Ale Jimmy zdradzał mnie miesiącami. Nie sądzę...

– Musisz to zrobić tylko raz. Raz wystarczy, żeby wyrównać rachunki.

– Tak jest napisane w książce?

– Tak tylko mówię. W małżeństwie nie chodzi tylko o to, czy się kochacie. Musicie mieć równowagę sił i zaufanie. Ufasz Jimmy'emu?

– Nie. Ale przespanie się z kimś innym mi pomoże?

– Mnie pomogło.

Beth pokręciła głową, zmagając się z matematyką tego cudzołożnego równania, wedle którego zdradzenie Jimmy'ego miałoby spowodować coś więcej, niż przyklejenie obojgu łatki kłamliwych łajdaków, którym nie wolno ufać.

– Myślę, że jak raz mnie zdradził, to już zawsze będzie. Kto to w ogóle wymyślił? Oprah, doktor Phil? – zapytała Beth.

– Nie wiem, ale to się nie odnosi do mnie i do Steve'a.

– Czyli wy zrobiliście to jednorazowo.

– Tak.

– I jesteście szczęśliwi.

– Tak, naprawdę jesteśmy.

– I ufacie sobie.

– Tyle, ile trzeba. Zawsze jest się przecież na łasce swojego partnera, prawda? Wszystko może się zdarzyć. Ale ufam mu wystarczająco.

- A jeśli znów cię zdradzi? – zapytała Beth.
- Zabiję go.
- Pytam serio.
- Nie wiem, może kolejny Henry.
- Czy ja wiem, Courtney. Chyba nie mogłabym tego zrobić.
- Chcesz pogodzić się z Jimmym?

Beth zdawało się kiedyś, że są z Jimmym bratnimi duszami. Kiedy się poznali, mieli ze sobą tyle wspólnego. Oboje byli jedynakami wychowanymi przez samotnych rodziców. Jego ojciec zmarł na raka płuc rok po jej mamie. Oboje niezależni i w pewnym sensie nieustraszeni, byli ogromie zdeterminowani, by podążać za swoimi marzeniami, by zarabiać na życie, robiąc coś, co kochają. Dla Beth było to pisanie. Dla Jimmy'ego połów małży.

Jimmy wychowywał się w Maine. Jego ojciec łowił homary i składał grosz do grosza, żeby jego syn mógł pójść na studia i znaleźć uczciwy, mniej katorżniczy sposób zarabiania na życie. Jimmy uczęszczał na Uniwersytet Maine i po uzyskaniu dyplomu dostał pracę biurową w małej firmie programistycznej, jaką wymarzył sobie dla niego ojciec. Jimmy nie znosił jednak swojego biurka i klitki ze ścianek działowych w biurze i nie mógł się pogodzić, że siedzi w zamkniętym budynku, podczas gdy tak naprawdę chce robić to co ojciec.

Po roku na jałowej posadzie, latem pojechał na Nantucket. To miał być długi weekend, wakacje z przyjaciółmi. Zakochał się w tym miejscu tak jak Beth. Postanowił zostać, ale zamiast łowić homary, na czym się znał, nauczył się, jak łowić małże, co wtedy było bardzo dochodowym zajęciem.

Kochali tę samą muzykę, jedzenie, Nantucket. Kochali się. I oto jak skończyli. Jimmy musiał niedawno zrezygnować z poławiania, ona zapomniała o pisaniu, a on na dodatek sypiał z kimś innym. Beth nie wiedziała już, czy istniało jeszcze coś, co oboje kochali.

Spojrzała na starszą kobietę. Beth nadal była młoda. Mogła zacząć od nowa, niekoniecznie z innym mężczyzną. Mogła zmienić plany i zacząć nowe życie jako samotna matka. Mogła skończyć książkę, wyprowadzić się z wyspy, znaleźć pracę w codziennej gazecie albo miesięczniku, może gdzieś bliżej gór albo w dużym mieście, może znowu w Portland. Gdzieś, gdzie nie ma piasku, mgły ani turystów. Gdzieś, gdzie nie ma Angeli Melo.

Wszystkie te możliwości, już sama myśl o słowie „mogłabym”, działały na nią pobudzająco. Mogła zrobić, co tylko chciała. Ale czego chciała? Cieszyła się, że Jimmy chce do niej wrócić, ale nie do końca ufała tym pozytywnym uczuciom. Wybrał ją. Beth wygrała. Pokonała Angelę. Więc może czuła triumf, a nie radość.

I kto mógł jej zagwarantować, że za tydzień, miesiąc, rok Jimmy nie zmieni zdania i nie pojawi się pewnego dnia w kuchni Angeli o drugiej nad ranem z kartką w ręce i spodniami spuszczoneymi do kostek? Nie, nie miała najmniejszej ochoty żyć na

takiej huśtawce.

Może nie byli bratnimi duszami, może mężowie to po prostu faceci, z którymi kobiety godzą się użerać, żeby mieć kogoś, kto zniesie im klimatyzatory ze strychu, będzie kochać ich dzieci, dotrzyma im towarzystwa. Ale Beth potrafiła sama znieść klimatyzatory, przyjaciółki dostarczały jej mnóstwo towarzystwa i nie było przeszkód, by Jimmy nadal kochał swoje dzieci, nawet gdyby ona nie kochała jego. Był tylko jeden problem. Mogła go nadal kochać.

– Nie wiem.

– Posłuchaj, Jimmy ma teraz przewagę. Nie chodzi już tylko o to, czy będziecie umieli nadal się kochać i ufać sobie, chodzi o wyrównanie sił.

Zastanawiając się nad tymi składnikami małżeństwa – miłością, zaufaniem i władzą – myśli Beth odpłynęły w stronę uczciwości i zajęły krzesło z widokiem na wschód. W małżeństwie powinna być uczciwość.

– Niedawno uprawiałam z Jimmym seks.

– Wiem, Petra mi mówiła. Dlatego przywiozłam książkę.

Beth była oburzona, że Petra zawiodła jej zaufanie, ale stwierdziła po chwili, że nie ma się czym przejmować.

– To przecież nic nie znaczy, prawda? – zapytała Beth.

– Dobry pomysł, zły facet.

– Chce ze mną porozmawiać. Jak na niego, to osiągnięcie.

– Wiem.

– Powinniście pójść na terapię.

Beth zastanowiła się, czy Jimmy by się na to zgodził.

– Jeśli się zdecydujecie, idźcie do doktora Campbella.

– Do faceta z sokołem?

– Wiem, ale inną opcją jest Nancy Gardener.

Nancy Gardener to podwójnie rozwiedziona terapeutka, której siostra uczyła Gracie w czwartej klasie.

– Nie wiem – odpowiedziała Beth.

– Jest dobry, Jill i Mickey do niego chodzą.

– Naprawdę?

Courtney pokiwała głową, znacząco unosząc brwi.

– Dlaczego? Co się u nich dzieje?

Courtney wzruszyła ramionami.

– Wszyscy mają jakieś problemy, Beth.

Courtney zerknęła na zegar na ścianie i wstała.

– Muszę lecieć. Przeczytaj książkę, idź na sesję do doktora Campbella i znajdź sobie Henry'ego. Albo rzuć Jimmy'ego w diabły. To też dobry pomysł.

Courtney wyszła, a Beth – znów samotna na swoim rozklekotanym krześle – powróciła do wpatrywania się w pusty monitor. Zerknęła na staruszkę, której robótka

szybko przybrała kształt jednopalcowej rękawiczki. Magiczne krzesło.

Westchnęła i zatrzasnęła laptop Sophie. Spakowała notatniki i długopisy do torby. Przez dłuższą chwilę trzymała w dłoniach książkę od Courtney, zastanawiając się, po czym również ją spakowała. Kiedy wychodziła z biblioteki w poczuciu klęski, zastanowiła się nad miłością, zaufaniem i władzą. I uczciwością. Myślała o tym, co jest prawdziwe w jej życiu, i uczciwie przyznała się przed sobą do czterech rzeczy:

1. Nie przeczyta *Jak naprawić swoje małżeństwo*.
2. Nie znajdzie sobie Henry'ego, żeby wyrównać rachunki.
3. Umówi się na wizytę u doktora Campbella, jeśli Jimmy będzie chciał pójść razem z nią, a ma nadzieję, że będzie.
4. Lepiej, żeby staruszka nie siedziała jutro na jej miejscu, bo Beth straci ciepłość.

ROZDZIAŁ 18

Poprzedniego dnia Beth nie napisała ani jednego ze słów, które napływały z mocą i stawały się coraz głośniejsze, wzbierając do *crescendo*, wzburzone i gwałtowne jak wody powodzi, napierające na pękającą tamę. Obudziła się o świcie, czując, jak słowa chłopca zmierzają w jej stronę nacierającą falą i płyną przez nią, natarczywe, prześladowujące ją codzienne, zwykłe myśli, aż w końcu musiała się poddać. Nie mogła myśleć o niczym innym.

Znalazła się w bibliotece sekundy po otwarciu głównych drzwi, pobiegła na górę i z ulgą zobaczyła, że nikogo tam nie ma. Nikt nie siedział na jej miejscu. Usiadła, otworzyła notatnik, ściągnęła skuwkę i zaczęła pisać.

Budzę się i jest dzień. Wstaję z łóżka i mówię „dzień dobry” drzewu za oknem, mojemu pudełku kamyków i kalendarzowi na ścianie. Wczoraj był poniedziałek, a dziś jest wtorek. We wtorki po lunchu przychodzi Danyel.

Na każdym stopniu schodów stoję obiema stopami, aż zejść po wszystkich dwunastu na sam dół. Wchodzę do kuchni i siadam na moim miejscu przy stole. Mój kubek niekapek z Barneyem jest pełen fioletowego soku, obok leży mój widelec i biała serwetka, ale na niebieskim talerzyku mam tylko dwie francuskie grzanki z syropem klonowym, choć zawsze są trzy.

Nie mogę zjeść dwóch francuskich grzanek, bo śniadanie równa się trzem francuskim grzankom. Nie mogę zjeść dwóch, bo zjeść trzy oznacza skończyć śniadanie, a zjeść dwie – zatrzymać się w połowie, a zatrzymanie się w połowie za bardzo boli. Nie mogę zjeść dwóch francuskich grzanek, bo wtedy nigdy nie skończę śniadania, a jeśli nie skończę śniadania, nie będę mógł iść umyć zębów i pobawić się wodą w umywalce. A wtedy nie będę mógł się ubrać w czyste ubrania, które leżą na najniższym schodku. A wtedy nie będę mógł pójść na huśtawkę i się pobujać. I nie będę mógł jeść lunchu, jeśli nie skończę śniadania. I Danyel nie przyjdzie, bo ona zawsze przychodzi po lunchu.

Muszę mieć dwa plus jeden równa się trzy francuskie tosty na śniadanie, bo inaczej zostanę przy tym stole na zawsze.

POTRZEBUJĘ JESZCZE JEDNEGO FRANCUSKIEGO TOSTA!

Biegnę do zamrażalnika i zaglądam do środka. Nie ma pudełka z mrożonymi tostami. W zamrażalniku zawsze znajduje się żółte pudełko z tostami. A teraz go nie ma. Musiało się zdarzyć coś strasznego. Czuję, jak mrowią mi palce, bo nie wiem, co zrobić, żeby żółte pudełko mrożonych francuskich tostów wróciło do zamrażalnika, ale oddycham za szybko i dłonie za bardzo mi mrowią i nie mogę myśleć.

Mama stoi teraz pomiędzy mną a zamrażalnikiem, pokazując mi puste pudełko po tostach. Puste oznacza zero, a zero francuskich tostów to katastrofa. Macham mrowiącymi dłońmi i jęczę.

Mama odprowadza mnie do stołu i mówi coś głośnym, sztucznie radosnym tonem,

ale nie słyszę tego, co mówi, bo patrzę na mój niebieski talerz. Jeden z dwóch tostów został przekrojony na pół, więc teraz mam dwa tosty średniego rozmiaru i jednej duży, co jest jeszcze gorsze niż to, co wcześniej, bo dwa są środkiem, a jeden to początek, i nie mogę niczego zjeść, bo to nie śniadanie. Śniadanie to trzy TAKIE SAME francuskie tosty. Nie mogę tego zjeść.

W pudełku francuskich tostów jest zero, a na moim niebieskim talerzu znajduje się jeden duży kawałek i dwa średnie kawałki i nic trzeciego. Wszystko to zero albo początek, albo środek i nie mogę zjeść śniadania, bo nie mogę skończyć, jeśli nie ma trzech. Nie mogę się ubrać, wyjść na dwór i pobujać się, bo to wszystko dzieje się PO śniadaniu, a nie mogę zjeść śniadania, jeśli nie będę mieć trzech francuskich tostów.

Wiem, jak to rozwiązać. Gdyby mama przekroiła duży kawałek na pół i zabrała jedną z połówek, miałbym wtedy trzy średniej wielkości kawałki. I wtedy mógłbym zjeść śniadanie. A może powinienem przeciąć jeden ze średnich kawałków i pozbyć się jego cząstki, i wtedy miałbym duży średni i mały kawałek. To nie to samo co trzy takie same kawałki, ale mógłbym znieść taką trójkę. Mógłbym zjeść duży, średni i mały francuski tost na śniadanie, czyli razem trzy, a trzy równa się skończyć i być bezpiecznym. Wtedy mógłbym zjeść śniadanie, wyszczotkować zęby i pobawić się wodą w umywalce, ubrać się, pobujać się na huśtawce i zobaczyć z Danyel.

Nie mogę jednak powiedzieć mamie, jakie znalazłem rozwiązanie, bo mój głos jest zepsuty. I nie mogę sam przekroić dużego ani średniego tosta, bo nie czuję już dłoni. Nie mogę pójść do Pokoju Rąk, utknąłem w Pokoju Uszu. Tkwią w Uszach i słyszę, jak ktoś wrzeszczy.

Słuchając krzyku, mam wrażenie, że tracę kontakt z ciałem. Mam odległe i senne wrażenie, że opuściłem kuchnię i unoszę się w powietrzu. Nie chcę unosić się w powietrzu. Chcę trzy francuskie tosty. Ale nie mam głosu ani ciała. Mam odległe, senne uczucie walki, gorące i wściekłe, a potem spocone i chłodne. Ale przede wszystkim jestem w Uszach i słucham krzyku.

Wróciłem w końcu do swojego ciała. Jestem w łazience i patrzę na lejącą się z kranu wodę, i zdaję sobie sprawę, że osobą, która krzyczy, jestem ja. Krzyczę głośniejsze i znów tracę kontakt z ciałem. Nadal krzyczę, więc staję się krzykiem, a potem staję się odgłosem tego, jak się czuję, a nie chłopcem w ciele, który stoi w łazience, choć nie zjadł wcześniej trzech francuskich tostów na śniadanie.

ROZDZIAŁ 19

Beth sprawdziła zegarek. Miały jeszcze pięć minut i musiały wyjść z domu. Gracie i Jessica, ubrane w identyczne bluzeczki z cienkiej, gniecionej tkaniny i wypłowiałe błękitne jeansy, były gotowe, i czekały przy stole w kuchni, ale Sophie nadal szykowała się na górze.

– Sophie – krzyknęła Beth. – Dwie minuty!

Skoczyła do łazienki, żeby po raz ostatni zerknąć w lustro. Wygładziła palcami pasmo włosów, które zaczynało się lekko puszyć, i otarła z czoła świecący film. Uśmiechnęła się sztucznie. Nie miała niczego między zębami. Choć wiedziała, że przez swoją jasną karnację i tendencję do piegów i poparzeń – a ostatnio i zmarszczek – powinna się trzymać z daleka od słońca, przez ostatni tydzień codziennie przez godzinę leżała na tarasie, starając się uzyskać zdrową opaleniznę. Jej policzki były zaróżowione, a oczy lśniły. Cel osiągnięty.

Dzięki ulotce z supermarketu znalazła fotografkę, która robiła plażowe portrety za bardzo niską stawkę. Idealną bluzkę do takiego zdjęcia namierzyła w internetowym sklepie Old Navy. Zamówiła cztery, po jednej dla każdej z nich, i w zeszłym tygodniu wyprała je i wyprasowała. Wczoraj wieczorem wszystkie pomalowały sobie paznokcie tym samym lakierem w kolorze pawiego błękitu. Wszystkie miały na sobie maleńkie perłowe kolczyki i dobrane srebrne bransoletki. Pasowały do siebie w każdym calu. Beth uśmiechnęła się do siebie zadowolona z tego, że była tak zorganizowana, i pomyślała o wszystkim.

– MAMO!

Słyszając gwałtowny krzyk jednej z córek, Beth pobiegła do kuchni. Zmierzyła Jessicę od stóp do głów. Żadnej krwi, żadnych łez. Wszystko z nią w porządku. Wtedy jednak Beth spojrzała na Gracie. Cały przód jej ślicznej delikatnej bluzki był przemoczony czerwonym kompotem. Przerażona Gracie, bliska łez, trzymała w dłoni wysoką i prawie pustą szklankę. Z nią nic nie było w porządku. Absolutnie nic.

– Boże, Gracie! Co się stało?!

– To Jessica. Popchnęła mnie, kiedy piłam.

– Nie popchnęłam jej!

– Popchnęłaś.

– To był wypadek – powiedziała Jessica.

– Dlaczego w ogóle coś teraz piłaś? – zapytała Beth. – Mówiłam, że wychodzimy za dwie minuty.

– Zachciało mi się.

– Chodź tu.

Beth nie czekała, aż Gracie się ruszy. Ściągnęła z niej bluzkę przez głowę i zostawiła Gracie w kuchni nagą od pasa w górę, całą zapłakaną. Beth pobiegła do pralni, wylała nakrętkę płynu do prania na bluzkę, zaczęła ją szorować pod bieżącą

wodą. Plama zaczęła blednąć z ciemnoczerwonej do różowej, ale nie zniknęła całkowicie. I cała bluzka zupełnie przemokła. Gracie nie mogła jej włożyć. Beth zerknęła na zegarek. Powinny już wychodzić.

Co teraz. Co teraz. Co teraz.

Beth jeszcze raz potarła bluzkę. Nadal była różowa. Nadal mokra. Nie miały czasu. Musiała się z tym pogodzić. Nie mogły wszystkie być ubrane w te same delikatne bluzki. Sen przysł.

Musiała wymyślić plan B. Dobrze, nie wszystkie będą ubrane w taki sam krój bluzek, ale nadal mogą być ubrane na biało.

– Gracie! – zawołała Beth. – Biegnij do pokoju i włóż białą bluzkę.

– Którą?

– Którąkolwiek. Już!

Beth zrobiła duży wdech i powoli wydeła powietrze przez usta, starając się nie wpaść w panikę. Poszła z powrotem do kuchni i zmierzyła wzrokiem Jessicę, która stała w bezruchu zakłopotana, jakby bała się mrugnąć.

– Dlaczego popchnęłaś siostrę?

– Nie chciałam.

– W porządku. Stój tu i niczego nie dotykaj. Ani nie pij.

Gracie wróciła do kuchni ubrana w biały T-shirt z wielkim, fioletowym napisem na przedzie: DZIEWCZYNY RZĄDZĄ, CHŁOPAKI BŁĄDZĄ.

– Nie, nie, nie – powiedziała Beth. W jej głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie. – Nie tę. Bez napisów. Musi być całkiem biała. Włóż zwykłą białą koszulkę.

– Nie mam zwykłej białej koszulki! – powiedziała Gracie, nadal płacząc.

– Na pewno masz.

– Nie mam.

– Więc weź jakąś od Jessiki.

– Będzie za duża!

Beth zaczęła przeglądać w głowie garderoby dziewczynek. Gracie miała rację. Wszystkie ich białe bluzki miały nadruki. Beth zerknęła na zegarek. Były już spóźnione, a ona nigdy się nie spóźniała. Lubiła wszędzie być wcześniej. Poczowała, jak czerwienieją jej policzki. Jej delikatna, muśnięta słońcem skóra płonęła ze zdenerwowania.

Plan C.

– Dobrze, słuchajcie! Każda z was ma koszulkę na ramiączkach w jednym kolorze. Nie ważne w jakim, ma być bez napisów. Idźcie się przebrać. No już!

Gracie i Jessica pobiegły po schodach, a Beth za nimi.

– Sophie! – krzyknęła Beth przez prześwitujący materiał swojej pięknej bluzki, rozbiegając się w sypialni. – Przebierz się w bluzkę na ramiączkach!

– Co? Dlaczego? – odkrzyknęła Sophie.

– Rób, co mówię.

Wszystkie koszulki Beth były czarne, więc przebrała się w mgnieniu oka. Poczekwała na dziewczynki na szczycie schodów, w korytarzu pełnym smutnych i pustych ramek, czując, jak każda sekunda boli ją jak prztyczek w czoło. Co zaskakujące, Sophie pojawiła się jako pierwsza. Miała na sobie czerwoną bluzkę bez napisów i wyglądałaby świetnie, gdyby nie twarz.

- Czyś ty się umalowała? – zapytała Beth.
- Tylko trochę.
- Skąd miałas kosmetyki?
- Od Aleny. Jej matka pozwala się jej malować.
- Ale *twoja* nie pozwala.
- To nie fair.
- Życie nie jest fair. Chodź tu.

Beth spojrzała na umalowane oczy Sophie o zniewalającym niebieskim kolorze, znajdujące się jedynie kilka centymetrów niżej niż oczy Beth. Wiedziała, że nie będzie w stanie długo powstrzymać swojej najstarszej córki od nakładania makijażu, ale mogła się go pozbyć przynajmniej do tego zdęcia.

Powstrzymała się od polizania dłoni i wytarcia twarzy Sophie własną śliną. Zamiast tego wzięła ją za rękę i zaprowadziła do łazienki. Nałożyła trochę mydła w płynie na ręcznik, zmoczyła go pod kranem i wytarła oczy i policzki Sophie do czysta.

- Aua, mój pryszcz!
- Przykro mi. Możesz użyć błyszczyku, ale na tym koniec.

Pozostałe dwie córki stały w korytarzu. Gracie miała na sobie różową bluzkę, a Jessica niebieską, Bez napisów. Bez plam.

- Okej! Jedziemy!

Zbiegły po schodach. Beth klasnęła w dłonie i przywołała Grovera i razem pobiegli do samochodu. Zmierzyła wzrokiem córki we wstecznym lusterku, kiedy wkładała kluczyk do stacyjki. Oczy Gracie były spuchnięte od łez. Twarz Sophie pokrywały plamy po mocnym pocieraniu ręcznikiem i rzeczywiście miała na policzku gigantycznego pryszcz. Jessica siedziała z zaciśniętymi ustami i rękami skrzyżowanymi na piersi. Wyglądała na wściekłą, choć Beth nie wiedziała dlaczego. Gracie ubrana była na różowo, Jessica na niebiesko, a Sophie na czerwono. Beth ubrana była na czarno i czuła, że jej twarz nadal płonie.

Wszystkie miały być ubrane na biało. Wszystkie miały być odprężone i w dobrych nastrojach. Miały być punktualne. I Jimmy. To ich rodzinny portret. Jimmy powinien być być w ich rodzinie.

Zastanawiała się, czy nie odwołać sesji. Pomyślała o pięknych, delikatnych bluzkach i korytarzu, w którym wisały smutne i puste ramki. Spojrzała raz jeszcze na trzy córki i na puste miejsce pasażera. To była jej rodzina. Wzięła głęboki wdech, wypuściła go przez usta, wrzuciła wsteczny bieg i zawiozła swoją spóźnioną,

niedopasowaną kolorami, zapuchniętą, poczerwieniałą, pryszczatą, wściekłą,
pozbawioną Jimmy'ego rodzinę na plażę Cisco.

ROZDZIAŁ 20

Olivia spojrzała na zegarek. Jej klientka się spóźniała. Jak przekonała się podczas swojego krótkiego stażu w branży, było to typowe. Jeśli nie cała rodzina, to jakiś zbłąkany kuzyn nie dostał odpowiednich wskazówek dojazdu, siostra, bez której nie mogli się obyć, a która jechała prosto z promu, albo ojciec, który był ze wszystkimi ciałem, ale nadal stał przy samochodzie, próbując zakończyć służbową rozmowę telefoniczną. Miał skończyć za minutę. Albo za trzydzieści.

Dlatego zaczęła przynosić ze sobą krzesło plażowe. Nie przeszkadzało jej, że musiała czekać na pięknej plaży, pod warunkiem że miała na czym usiąść. Tego dnia niebo było zachmurzone i cały dzień groziło deszczem, Olivia nie obawiała się więc o to, że plaża w którymkolwiek momencie dnia będzie zatłoczona. Nie było tu prawie nikogo. Właściwie to chodziło po niej więcej mew niż ludzi.

Olivia lubiła mewy żyjące na Nantucket, bo przypominały mewy z plaży Nantasket, na którą zawsze jeździła, kiedy mieszkała w Hingham, tylko tym, że były białoszarymi ptakami morskimi. Mewy z Nantasket były nienasyconymi, podstępными skrzydlatymi szczurami, które rzucały się na wszelkie przekąski. Przyczajały się na krawędziach plażowych koców, czekając na moment nieuwagi, by rozdziobać zamkniętą paczkę chipsów albo odlecieć z całą kanapką z tuńczykiem.

Tutejsze mewy zwracały niewielką uwagę na ludzi i ich przetworzone jedzenie. Olivia patrzyła, jak jeden z ptaków wyłowił kraba na mieliźnie, po czym osiadł w miękkim wgłębieniu w piasku, gdzie oderwał mu nogi i wyjadł mięsisty korpus. Obserwowała kolejną, która przeleciała jej nad głową w stronę parkingu, na który zrzuciła małża, spokojnie wylądowała na chodniku i otworzyła skorupę. Czemu zadowalać się serowymi chrupkami, skoro pod ręką jest mnóstwo owoców morza? Tutejsze mewy były pięknymi i dystygowanymi istotami.

Olivia śledziła lot kolejnej mewy po zachmurzonym horyzoncie i zastanawiała się, czy to możliwe, by kiedykolwiek zobojeźnić na taki widok. Woda najbliższa wygiętej w literę S linii brzegowej była jak taniec metalicznego błękitu pieniających się fal, jednak im dalej w morze sięgała wzrokiem, wszystko stawało się nieruchome, spokojne i prawie białe. Ostra jak laser, czysta, ciemnoniebieska linia oddzielała ocean od rumieniącego się różowego nieba na horyzoncie. Cudowny widok.

Mewa zniknęła w oddali. Olivia znów sprawdziła czas. Po trzydziestu minutach spóźnienia zwykle dzwoniła do klienta, by dowiedzieć się, czy miał zamiar się pojawić, czy nie zapomniał lub też nie zmienił zdania. Przeczesała torbę na aparat w poszukiwaniu kartki z harmonogramem i telefonu, zobaczyła, jak idą: matka z psem na smyczy na czele i kilka kroków za nimi trzy dziewczynki w różnokolorowych bluzkach na ramiączkach.

– Olivia? Cześć, jestem Beth Ellis. Przepraszamy za spóźnienie.

– Cześć, Beth – odpowiedziała Olivia. – Nic się nie stało.

– Miałyśmy problem z garderobą. Wiem, że wszyscy zawsze ubierają się tak samo. Myślisz, że jakoś to będzie wyglądać?

Miała rację. Wszystkie rodziny zawsze ubierały się w pasujące do siebie stroje, w których wyglądali jak drużyna sportowa: wypłowiałe błękitne koszule i spodnie khaki albo białe koszule i grapefruitowe doły. Identyczne stroje wyglądały ładnie, ale nie były całkowicie konieczne. Olivia zastanawiała się, kto wymyślił tę bardzo autystyczną zasadę dotyczącą rodzinnych portretów.

– Wyglądacie świetnie.

Beth przewróciła oczami.

– Świetnie to wyglądałyśmy pół godziny temu. Teraz tylko chcę, żebyśmy nie miały się czego wstydzić.

– Kolory wyglądają bardzo radośnie.

– Jeszcze raz przepraszam. Zanim zaczniemy, moja najstarsza córka chciałaby wiedzieć, czy mogłabyś usunąć jej pryszcz Photoshopem.

– Mamo! – jęknęła najstarsza.

Wszystkie dziewczynki stały razem za Beth. Olivia zerknęła na swój harmonogram. Sophie, Jessica i Gracie.

– Załatwione, Sophie. Nie będzie po nim śladu – powiedziała Olivia.

Sophie uśmiechnęła się z grzeczności. Pryszcz na jej policzku rzeczywiście wyglądał koszmarnie.

– Możesz też przy okazji pozbyć się tej zmarszczki? – zapytała Beth, pokazując na głęboką bruzdę pomiędzy brwiami. – I wszystkiego wokół oczu, co mówi, że mam więcej niż trzydzieści pięć lat?

Cyfrowa operacja plastyczna. Olivia była w stanie usunąć wszelkie ślady cieni pod oczami, kurzych łapek i przebarwień na skórze za pomocą kilku dokładnych kliknięć komputerową myszką. Bez względu na inne zalety jej zdjęć – światło w złotej godzinie, prawidłowo ustawioną przysłonę, kompozycję, pełne wyrazu spojrzenia uwiecznione we właściwym momencie, uchwycenie uśmiechu, gdy nikt z grupy nie mrugnął – umiejętność delikatnego wygładzenia kobiecej twarzy była chyba jej największym atutem.

– Nie wygładasz na więcej niż trzydzieści lat. Zacznijmy przy wodzie.

W kwestii sporządzania zdjęć, Olivia wypracowała sobie zasadę „najpierw warzywa”. Najpierw robiła te najtrudniejsze. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków było to zdjęcie wszystkich nad oceanem – obowiązkowe ujęcie, po które przychodzili tu jej klienci, jedyne, o które się pieklili, jeśli nie wyszło idealnie. Wszystkie pozostałe zdjęcia – indywidualne i w kombinacjach osób, zwierząt i teł były bonusem. To zdjęcia na deser.

Dzisiejsze „zdjęcia-warzywa” miały być łatwe. Trzy grzeczne, choć trochę posępne dziewczynki, usłuchany pies i matka. Żadnych płaczących niemowlaków,

nakręconych cukrem brzdąców, które za wszelką cenę chcą wskoczyć do oceanu, żadnych przedszkolaków, którzy nie chcą się uśmiechnąć albo nie chcą zrobić niczego innego, jak tylko się uśmiechać, unieruchamiając twarz w nienaturalnym grymasie. Nie było też męża.

Choć pary nigdy otwarcie nie kłóciły się przy niej na plaży i Olivii nie zdarzyło się być świadkiem takiej awantury, widziała to już zbyt wiele razy. Irytacja, zrzucanie na siebie winy, pogarda i negatywna energia pomiędzy mężem i żoną wywołana utarczką, którą prowadzili wcześniej, i która nadal burzyła im krew, sączyła się z ich oczu i uśmiechów, wyraźna jak pryszcz na policzku Sophie. W Photoshopie nie było takiego narzędzia, którym można by się tego pozbyć.

Była to też niewielka grupa. Łatwiej było uchwycić osiem otwartych oczu niż dwadzieścia. Grupy liczące dziesięć osób i więcej były naprawdę kłopotliwe. Ktoś zawsze nawalił, nie patrzył w obiektyw, stał nie w tym miejscu, mrugał. Cztery dziewczyny to bułka z masłem. Olivia zaplanowała około sześciuset zdjęć, z których obrobi około dwustu, i to z nich Beth wybierze sobie te najlepsze.

Ustawily się w szeregu na tle napływających fal.

– Uśmiech! Patrzcie na mnie – powiedziała Olivia.

Wszystkie spełniły jej prośbę z wyjątkiem średniej dziewczynki.

– Przepraszam, ty w niebieskim, jak masz na imię? – zapytała Olivia, zerkając znad kamery.

– Jessica.

– Uśmiechnij się szeroko, Jessico.

– Nie uśmiechnie się – wtrąciła się Beth. – Nosi aparat. Nie pokaże zębów.

– Okej – odpowiedziała Olivia. – To może zrobić chociaż trochę radośniejszą minę.

– Jess, zrób radosną minę – powtórzyła Beth.

– Nie mam się z czego cieszyć – odpowiedziała jej Jessica.

– No to udawaj – wycedziła Beth przez zaciśnięte zęby, groźnym, choć melodyjnym tonem.

– Jak chcesz.

Jessica rozciągnęła usta w wyrazie lekkiego rozbawienia. Wystarczy. Oliwia raz za razem przyciskała spust migawki. Spojrzała na wyświetlacz i sprawdziła ujęcia. Warzywa zjedzone. Teraz deser.

Zrobiła zdjęcia dziewczynkom we wszelkich możliwych kombinacjach – bez mamy, z psem i bez niego, na siedząco i stojąco. Zrobiła zdjęcie Beth z każdą z córek, potem wszystkim dziewczynkom pojedynczo, a potem samemu psu.

– A teraz tylko ty.

– Ja? Sama? – zapytała Beth.

– Tak – odpowiedziała jej Olivia.

– Nie, nie potrzebuję zdjęcia w pojedynkę.

Olivia nauczyła się także i tego – klient nie może kupić zdjęcia, które nie istnieje.

Zrób każde możliwe ujęcie.

– Zróbmy je tak czy inaczej. Nie musisz teraz decydować, czy je chcesz.

Być może będzie chciała wykorzystać zdjęcie w pracy, nieważne, co robi. Była młodą samotną matką. Zdjęcie mogłoby jej się przydać na Facebooka albo profil na portalu randkowym.

– Zgoda – powiedziała Beth.

– Świetnie. Spójrz na mnie. Broda w górę, ramiona w dół.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Kiedy skończyła fotografować Beth, wszystkie przeszły na wydmy i uśmiechały się do obiektywu w podobnej konfiguracji póz. Choć zdjęcia-warzywa robiła jako pierwsze, często przyznawała, że to druga partia zdjęć okazywała się lepsza. Wszyscy robili się bardziej rozluźnieni w nowym miejscu, i to na tym etapie ujawniały się prawdziwe osobowości i relacje. Widziała teraz, że Sophie i Jessica są ze sobą blisko związane i że Sophie jest wyrazista i apodyktyczna, a Jessica ją ubóstwia. Gracie była maskotką rodziny i mimo że miała około dziewięciu lub dziesięciu lat, Beth nadal traktowała ją jak swoją małą córeczkę. I podczas solowych zdjęć Beth na tle wydm, Olivia widziała determinację przebijającą się przez niepewność, do której przywykła, otwartość w jej postawie i prawdziwą radość, którą ujawniał jej uśmiech.

Po godzinie i sześciuset pięćdziesięciu dwóch ujęciach na aparacie Olivia oświadczyła, że skończyły.

– Dziewczyny, weźcie Grovera na krótki spacer, a my sobie porozmawiamy. Weźcie torebkę.

Beth poszła za Olivią w stronę jej torby na aparat i leżaka.

Kiedy zdjęcia będą gotowe?

– Za mniej więcej sześć do ośmiu tygodni.

– O rany, tak długo?

– Mogą być wcześniej, ale owszem, pewnie około sześciu tygodni.

Ku jej zadowoleniu, ale i zaskoczeniu, całe lato zlecenia napływały równomiernie. Robiła średnio pięć sesji w tygodniu, co oznaczało, że naprawdę miała się z czego utrzymać. Jednak obróbka zdjęć wymagała więcej pracy, niż się spodziewała, i była zavalona robotą. Praca nad dużymi rodzinnymi portretami pochłaniała bardzo dużo czasu. Raz robiła zdjęcia trzydziestodwuosobowej rodzinie, która zebrała się na Nantucket na pięćdziesiątą rocznicę ślubu dziadków. Obróbka tamtej sesji była ogromnym wyzwaniem. A usuwanie zmarszczek na twarzach tych wszystkich kobiet było bardzo czasochłonne.

– I wtedy dostaniemy próbne odbitki?

– Tak, prześlę wam link.

– Link?

– Tak, wszystko dostaniesz przez Internet.

– Aha, czyli nie będziemy przeglądać prawdziwych odbitek.

– Nie, ja wszystko dostarczam internetowo.

– Aha – odparła Beth. Wydawała się zawiedziona.

– To naprawdę świetny sposób. Spodoba ci się. Będziesz mogła wybierać rozmiary, oglądać zdjęcia w wersji czarno-białej albo kolorowej. Łatwo się to obsługuje, ale jeśli będziesz miała jakieś problemy, nie krępuj się i daj mi znać.

Olivia włożyła aparat do torby i zamknęła ją. Złożyła krzesło. Czas się zbierać. Była skłonna przeprowadzić Beth przez proces zakupu za pomocą maila albo telefonu, ale tu kończył się ich kontakt osobisty.

– Okej, dzięki. Przepraszam, że Jessica była taka skwaszona.

– To nic. Na zdjęciach wyjdzie świetnie.

– Myślę, że zmartwiła się tym, że nie było z nami jej ojca. Rozstaliśmy się tej zimy i wszystkie ciężko to znoszą.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiedziała Olivia, stojąc z ciężką torbą na jednym ramieniu i z plażowym krzesłem pod drugim.

– Mnie też nie jest łatwo. Często to widzisz? Rodziny bez ojca?

Olivia wyczuła coś znajomego w pytaniu Beth i przestała się tak spieszyć. Przyjrzała się twarzy Beth i temu, co wyrażała. Potrzebę, by poczuć się normalnie. By być akceptowaną.

– Bardzo często – skłamała.

Beth uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Olivia wyczuła w Beth jeszcze inną znajomą rzecz, ale nie wiedziała jaką. I nagle dostrzegła ją, jakby spojrziała w lustro. Samotność. Postanowiła poczekać, aż jej córki wrócą z psem.

Niebo prawie całkowicie zasnuło się chmurami, a słońce miało za chwilę zniknąć za horyzontem. Powietrze stało się wyraźnie chłodniejsze niż jeszcze pięć minut wcześniej. Beth wyciągnęła bluzę ze swojej torby. Kiedy wciągała ją przez głowę, Olivia zauważyła poradnik małżeński leżący okładką do góry na wierzchu torby Beth.

– To moja książka – powiedziała Olivia na głos zamiast do siebie, tak jak zamierzyła.

– Co?

– To znaczy pomagałam przy redagowaniu tekstów. Pracowałam kiedyś w wydawnictwie.

– Aha – odparła Beth. – Jeszcze jej nie przeczytałam. Należy do mojej przyjaciółki.

Zapadła niezręczna cisza. Beth odwróciła się i spojrziała w głąb plaży. Dziewczynki były trzema małymi punkcikami w oddali. Odwróciła się i zaczęła grzebać palcami w piasku.

– Czyli pracowałeś kiedyś w wydawnictwie? – podjęła Beth.

– Pięć lat temu – odpowiedziała Olivia. – Ale mam wrażenie, że jeszcze dawniej.

– Nie chcę się narzucać – powiedziała Beth – ale piszę książkę. To seria

powiązanych ze sobą opowiadań, a może to powieść, nie jestem jeszcze pewna, ale byłoby wspaniale, gdyby profesjonalista rzucił na nią okiem.

– Ale ja zajmowałam się tylko poradnikami, a nie beletrystyką.

– Nie szkodzi. Byłabym bardzo wdzięczna za opinię, gdybyś znalazła czas.

Poza pracą Olivia uciekała od wygłaszania swoich opinii. Nie chciała być osobą, która powie komuś, by nie rezygnował ze swojej pracy, nie chciała miażdżyć czyichś marzeń. Spojrzała na białe stopy Beth, pomalowane na niebiesko paznokcie i egzemplarz *Jak naprawić małżeństwo*, na obrączkę, która nadal znajdowała się na jej palcu, i nadzieję malującą się na jej samotnym obliczu. Westchnęła. Miała przecież mnóstwo czasu.

– Jasne – odparła. – Z chęcią przyjrzę się bliżej, kiedy skończysz. Daj znać.

– Bardzo ci dziękuję! – odpowiedziała Beth, a jej twarz od razu się rozpromieniła.

Olivia się uśmiechnęła. Poprawiła krzesło plażowe pod prawą pachą. Kiedy je podniosła, wydawało się lekkie, ale teraz czuła, jakie było ciężkie i nieporęczne, a pasek torby fotograficznej wrzynał się jej w nagą skórę ramienia. Nie wzięła bluzy i w sukience bez rękawów zrobiło się jej zimno. Spojrzała Beth przez ramię.

– Wracają twoje córki.

Beth obejrzała się za siebie i zobaczyła, że Sophie, Jessica, Gracie i Grover idą w ich stronę.

– Rzeczywiście. Wiedziałam, że jest jeszcze jakiś powód, dlaczego to ciebie wybrałam do naszych zdjęć.

Olivii udało się jakoś wyciągnąć do Beth rękę, ale Beth ominęła ten formalny gest, torbę na aparat i plażowe krzesło i serdecznie przytuliła Olivię. Poczowała, jak po plecach przebiegł jej dreszcz, ale nie dlatego, że było jej zimno. Od dawna nikt jej nie przytulał.

– Nie ma za co.

Dziewczynki stanęły obok Beth. Sophie trzymała długie pióro mewy w jednej dłoni, a w drugiej smycz, Jessica niosła torebkę z odchodami.

– Mamo! Patrz, co dla ciebie mam! – z uśmiechem krzyknęła podekscytowana Gracie.

Wyciągnęła dłoń, w której znajdował się pancerz małego skrzypłocza w bursztynowym kolorze.

– Wspaniale, kochanie – odparła Beth.

– A to dla pani – powiedziała Gracie, wyciągając drugą dłoń w stronę Olivii.

Olivia, onieśmielona, wyciągnęła wolną dłoń do Gracie, która przeturlała na nią niemal przezroczysty owalny kamyczek. Olivia znów poczuła dreszcz.

– To perła – powiedziała Gracie.

– Dziękuję – powiedziała Olivia, czując, jak słowa grzęzną jej w gardle. – Jest prześliczna.

– No dobrze, zbieramy się. Dziękuję raz jeszcze – powiedziała Beth i wszystkie

ruszyły w stronę parkingu.

– Do usłyszenia za sześć tygodni, tak? – zapytała Beth, stając przy drzwiach samochodu?

– Za sześć tygodni.

Beth pomachała jej, odpaliła samochód i odjechała.

Olivia wrzuciła torbę i krzesło na tylne siedzenie jeepa i wsiadła do środka. Ciepłe powietrze w aucie wydało się jej jak gruby koc opatulający jej nagą skórę. Kiedy zaczęła wycofywać samochód, rozpadało się. Włączyła światła i wycieraczki, ciesząc się, że pogoda zaczekała, aż skończy sesję. Wyjechała z parkingu, czując wdzięczność za prezent od Gracie. Nadal zaciskała go w dłoni i uśmiechała się, jadąc w ulewie po Hummock Pond Road.

Kiedy dojechała do domu, dorzuciła kamyk Gracie do swojej rosnącej kolekcji w szklanej misie na stoliku kawowym. Następnie podłączyła aparat do komputera i poszła po jeden ze swoich pamiętników, który leżał na blacie w kuchni. Podczas gdy zdjęcia z dzisiejszej sesji zgrywały się do komputera, usiadła w fotelu w salonie, myśląc o Beth i jej trzech córkach, o jej samotności i książce. Zastanawiała się, o czym pisała. Potem Olivia otworzyła pamiętnik i zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ 21

12 kwietnia 2005

Dzisiejszy dzień spędziłam w ósmej klasie. Zaczęło się na placu zabaw. Dotarliśmy tam wczesnym rankiem i jak zwykle Anthony pobiegł prosto na huśtawki. Jest zbyt duży na kubełkowe siedzonka dla maluchów, ale za nic nie chce spróbować huśtawek dla dużych dzieci, więc wsadziłam go na jedno z siedzisk i popychałam mojego pięciolatka obok matki popychającej swojego dwulatka. Uśmiechnęła się do mnie nerwowo i nic nie powiedziała.

Dziś w końcu zrobiło się ciepło i plac zabaw był pełen ludzi. Mnóstwo dzieci w wieku Anthony'ego bawiło się ze sobą. Chłopcy i dziewczynki gonili się na zjeżdżalniach, śmiejąc się i ciesząc. Czwórka dzieci bawiła się w ojca Wergiliusza i chodziła gęsiego po trawniku przy placu zabaw, z rękami w górze, potem w dole, skacząc, czołgając się i klaszcząc po kolei. Kolejna grupka bawiła się pod drabinkami.

Dwie dziewczynki sprzedawały lody z kory. Kupujące dzieci czekały na swoją kolej przy „stoisku z lodami”, składały zamówienia, płaciły pieniędzmi z kory i „jadły” swoje przepyszne desery. Wracały po kolejne porcje nawet trzy razy. Gdyby na ten widok tak bardzo nie chciało mi się płakać, z chęcią przyglądałabym się tej zabawie.

Anthony jest od tego o całe lata świetlne. Od interaktywnych zabaw. Od pomysłowych zabaw.

Od posiadania przyjaciół.

Wszystko, co inne dzieci robiły spontanicznie i naturalnie, dla Anthony'ego należałoby rozpracować na wyraźne, behawioralne części i Carlin musiałaby indywidualnie pracować nad każdą z Anthonym przez godziny, tygodnie i miesiące, zanim nauczyłby się udawać, że kora drzewa to waniliowe lody. I nie robiłby tego dla czystej, niewinnej zabawy. Zrobiłby to dla swoich ulubionych pringlesów albo żeby Carlin w końcu przestała go męczyć. Bo on tego właśnie chce. Być sam. To mu daje radość.

Jedyne, co Anthony chce robić na placu zabaw, to się bujać. Ale widzę, jak inne dzieci się bawią, i moje serce pragnie więcej, a ja zaczynam się nudzić, tylko tak stojąc i nieustannie go popychając. Setki razy zatrzymywałam huśtawkę i pytałam go, czy chciałby pójść na zjeżdżalnię albo pobawić się z innymi dziećmi, czy chciałby pójść do piaskownicy. Uwielbia piasek. Nic jednak nie może konkurować z huśtawkami, a on ani drgnie. Więc zostaliśmy. Czułam się zażenowana i pokonana.

Dlaczego nie mogę cieszyć się tym, że on się cieszy, bujając się samemu? Dlaczego upieram się przy tym, że jego szczęście oznacza robienie tego, czego ja chcę? Bo świat jest pełen ludzi, Anthony, nie huśtawek, a ja chcę, żebyś był szczęśliwy na świecie, a nie tylko na huśtawce. Czy pragnę zbyt wiele? Czy to egoizm z mojej strony, że chcę czegoś takiego?

Ponieważ inne dzieci na placu zabaw umieją się bawić same i nie spędzają na huśtawce całego ranka, inne mamy mogły siedzieć razem przy jednym ze stołów piknikowych. Popychałam huśtawkę Anthonyègo i słuchałam z oddali, jak rozmawiają, śmieją się i miło spędzają czas. Poczułam się, jakbym znów była w ósmej klasie – jak niezdarna samotniczka, a nie dziewczyna ze zgranej paczki.

Obecnie podobno jedno dziecko na sto dziesięcioro ma autyzm, ale nie znam ani jednej matki w naszym mieście, która miałaby autystyczne dziecko. Gdzie one są? Nie pracuję już od sześciu miesięcy i brakuje mi towarzystwa dorosłych. Rozmów. Porannych zebrań.

Przyjaciół.

Codziennie przychodzą do nas Carlin i Rhia, ale to terapeutki Anthonyègo. Nie liczą się. A David zachowuje się tak, jak gdybym za każdym razem, gdy zadaję mu proste pytanie, chciała od niego, by wymienił cały dach. Wiem, że pewnie jestem przewrażliwiona bo dostałam miesiączki, ale patrząc na tę grupkę mam, poczułam, jaka jestem samotna. Grupkę, której nigdy nie będę częścią. Jak w przypadku lubianych dziewczyn z ósmej klasy, o idealnych puklach w stylu Farrah Fawcett i w ekskluzywnych džinsach Jordache, jednocześnie nienawidziłam ich i chciałam do nich należeć.

Bujaliśmy się już przez ponad godzinę, kiedy mamy zawołały swoje dzieci na drugie śniadanie. Dzieci przybiegły. Mamy otworzyły ładne, termiczne torby na lunch i wyciągnęły kanapki, jogurty, plasterki pomarańczy, ser w sznurkach, krakersy w kształcie rybek i kartoniki z sokiem.

Wesoły piknik. Nie dla nas.

Nadszedł czas, by wracać do domu. Dałam Anthonyemu pierwsze, drugie i trzecie ostrzeżenie, co czasem pomagało, ale nie tym razem. Wydał z siebie krótki pisk i zamachał rączkami, kiedy zatrzymałam huśtawkę, ale kiedy nie wróciłam od razu do popychania i w zamian zaczęłam od razu go wyciągać, dostał szału. Zupełnie zeszywniał i zaczął piszczeć tak głośno, jakby ktoś robił mu krzywdę. Musiałam użyć wszelkich sił, żeby wyciągnąć go z kubelka i nieść – dwadzieścia kilogramów bezwładnego ciała wrzeszczącego w agonii przez to, że zostało rozdzielone z huśtawką, w której spędziło ostatnie półtorej godziny – nie oglądając się na mamy przy piknikowym stole, które – nie mam wątpliwości – patrzyły przez cały czas, oceniając mnie i myśląc: „Boże, jak dobrze, że nie jestem nią”. Tak jak w ósmej klasie.

Wsadziłam Anthonyègo do samochodu i włączyłam Barneya tak szybko, jak tylko się dało, co trochę go uspokoiło. Dzięki Bogu za Barneya. Wtedy, w szczycie własnej głupoty, postanowiłam po drodze do domu wstąpić do drogerii. Rano dostałam miesiączki, a w domu zostały mi tylko dwa tampony. Dla wszystkich pozostałych matek na placu zabaw we wstąpieniu do drogerii, kiedy ma się okres i tylko dwa tampony w zapasie, nie byłoby nic dziwnego. Lekkim krokiem weszłyby do środka i

załatwiły, co trzeba, bez najmniejszego problemu. W mojej sytuacji był to jednak kolosalny błąd. I nigdy tego nie zapomnę.

Po placu zabaw zawsze jedziemy prosto do domu i zawsze po Center Street aż do Pigeon Lane, ale drogeria znajduje się w innym kierunku. Miałam nadzieję, że Anthony nie zauważy. Miałam nadzieję, że to nie będzie mieć znaczenia. To miało zająć tylko kilka minut. Idiotka ze mnie.

Kiedy tylko skręciliśmy w lewo zamiast w prawo, wyjeżdżając z parkingu, Anthony zaczął piszczeć. Kiedy nie zmieniłam kierunku, zaczął kopać. Powinnam była wtedy zawrócić, ale jechałam dalej. Zaczął wrzeszczeć, machać głową i rękami, jak gdyby ktoś wielokrotnie godził w niego nożem, jednocześnie walcząc ze sprzączką fotelika samochodowego.

Napędzana czystą i – powtórzę – głupią determinacją, by załatwić zwykłą i niezbędną sprawę, dojechałam do drogerii, nie było jednak mowy o tym, żebym mogła wejść do środka. Nie było mowy o tym, bym mogła wziąć Anthony'ego na ręce i wejść z nim do drogerii. Nigdy nie zostawiłabym go samego w samochodzie, a biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdował, nie było absolutnie żadnego sposobu, aby dotarło do niego racjonalne wytłumaczenie.

Mamusia potrzebuje tamponów, skarbie. Proszę cię, przestań wariować. Za pięć minut będziemy w domu.

Pojechałam więc do domu.

Do obiadu zabrakło mi tamponów. Nie miałam zamiaru ryzykować kolejnym atakiem hysterii w samochodzie, musiałam więc poczekać na Davida, żebym mogła sama pojechać do drogerii. Zrobiłam sobie prowizoryczną podpaskę ze zwiniętego papieru toaletowego, żeby jakoś przetrzymać do powrotu Davida. Ale David spóźnił się całe czterdzieści pięć minut (i nie zadzwonił), a wkładka papieru nie miała szans z moim okresem, przez co poplamiałam ulubioną spódnicę.

Wypisz wymaluj ósma klasa. Przynajmniej mój wypadek zdarzył się w domu, a nie na placu zabaw przed fajnymi mamami.

Zdałam sobie sprawę, kiedy jechałam do drogerii drugi raz tego samego dnia, że przez całe moje życie od ósmej klasy bałam się bycia outsiderem i robiłam niemal wszystko, żeby się dopasować, zawsze rozpaczliwie pragnęłam gdzieś przynależeć. Anthony w ogóle się tym nie martwi. Nie przeszkadza mu, że jest sam. Sprawia mu to przyjemność. Nie obchodzi go to, co ludzie myślą. Nie będzie miał fioła na punkcie drogich markowych ciuchów albo najnowszych tramppek za sto dolarów. Nie będzie pił alkoholu ani palił trawy, żeby popisać się przy kolegach. Nie będzie robił niczego tylko dlatego, że inni to robią. Nie obchodzi go to, co ludzie noszą albo robią. Lubi to, co lubi. Robi to, co chce. Do momentu, aż powiem, że czas iść, i wyrwę go z jego huśtawki. Myślałam o dzieciach, które bawiły się dziś w ojca Wergiliusza. Anthony nigdy nie będzie nikogo naśladował. Nie będzie też ojcem Wergiliuszem. Zwykle taka myśl by mnie załamała i doprowadziła do płaczu, ale kiedy jechałam do drogerii,

*poczułam niespodziewany spokój.
On po prostu nie grał w tę grę.*

ROZDZIAŁ 22

Bujałem się na huśtawce na placu zabaw. Uwielbiam się bujać. Bujanie sprawia, że czuję swoje ciało.

Zwykle wiem, że mam ręce, ale jeśli dzieje się coś ciekawego, jeśli liczę albo myślę, albo oglądam telewizję, moje cało znika. Nie mam głosu, więc czasem ludzie traktują mnie tak, jakbym nie miał też ciała, jakbym nie istniał. A ponieważ przez większość czasu nie jestem świadomy mojego ciała, wydaje mi się, że mogą mieć rację. Może rzeczywiście mnie tu nie ma.

Kiedy się bujam, istnieję.

Moje myśli często się powtarzają. Jeśli jakaś myśl mi się spodoba, powtarzam ją w kółko i cieszę się nią. Takie myśli są jak pringlesy. Pringelsy są takie pyszne, że nigdy nie chcę poprzestać na jednym. Chcę zjeść jeszcze jednego i jeszcze, i jeszcze. Jeśli trafię na pyszną myśl, chcę pomyśleć ją jeszcze i jeszcze, i jeszcze. Ale jeśli będę ją myślał zbyt często, to wtedy przestaję tylko chcieć ją myśleć. MUSZĘ ją myśleć, bo boję się, że jeśli ona nie będzie bez przerwy ze mną, stracę ją na zawsze. Moje myślenie często się więc zacina na tej samej rzeczy. A kiedy tak się dzieje, wszystko inne przestaje istnieć.

Któregoś dnia zafiksowałem się na Trzech ślepych myszkach. Powtarzałem te słowa w swojej głowie, zachwycając się nimi przez cały poranek. Nie istniało nic innego. Nawet ja. Stałem się tymi trzema słowami. Trzy ślepe myszki.

Teraz jednak nie powtarzam sobie w kółko trzech ślepych myszek, bo się bujam. Kiedy się bujam, przestaję być swoimi powtarzanymi myślami. Kiedy się bujam, powtarzam ciało. Fruwam w powietrzu, przód, dół, góra, tył, dół, góra, przód, dół, góra, tył, dół, góra. Jestem ciałem Anthony'ego, które powtarza ten idealny rytm. Bujam się i jestem tu!

Jestem na przedzie w dole i górze, na tyle w dole i górze, czując chłodne powietrze, które łaskocze mnie po twarzy. Moja twarz się uśmiecha. Moja twarz jest prawdziwa.

Wtedy moja mama zatrzymuje huśtawkę i mówi coś o zabawie w piaskownicy. Macham rękami i wydaję z siebie odgłos, żeby dać jej do zrozumienia, że nie podoba mi się jej pomysł. Nie chcę schodzić z huśtawki. Macham i piszczę, bo mój głos nie powie słowa „nie”.

Mama rozumie i huśtawka znów zaczyna się ruszać.

Uwielbiam piasek. Uwielbiam zbierać w dłonie tyle, ile są w stanie zmieścić, unieść dłonie wysoko i dać piaskowi się wysypać. Uwielbiam uczucie piasku przesypującego mi się przez palce, tego jak kapie i błyszczy jak muzyka, kiedy spada na ziemię. Jest prawie tak fajny jak woda.

Ale piasek na placu zabaw nie jest taki jak na plaży. Piasek w piaskownicy zawsze jest za blisko innych dzieci. Kiedy bawię się piaskiem w piaskownicy na placu zabaw,

jakaś mama zawsze mi powie, że nie mogę się bawić piaskiem. Mówi mi: „Przestań. Piasek wpada do oczu innym dzieciom”. I mama zabiera mnie wtedy z piaskownicy, bo ja nie przestaję tego robić, a poza tym nie wiem jak „dzielić się piaskiem”.

Mama znowu mnie zatrzymuje i chce, żebym poszedł na zjeżdżalnię. Wydaję odgłosy i macham rękami, na co ona znów zaczyna mnie popychać. Przód, dół, góra, tył, dół, góra.

Nie lubię zjeżdżalni. Czasem dzieci wspinają się po niej do góry, zamiast zjeżdżać z niej na pupie, a to łamie zasady. Kiedy jestem na górze zjeżdżalni, a inne dziecko zaczyna wspinać się po niej, nie wiem, co robić. Nie mogę zjechać na dół, bo inne dziecko stoi mi na drodze, i nie mogę też zejść, bo schodki nie służą do schodzenia tylko wchodzenia. Taka jest zasada. Więc na zjeżdżalni mogę nie znaleźć rozwiązania mojego problemu, a nie chcę tego.

Na placu zabaw inne dziecko może mnie uderzyć lub przewrócić albo zadać mi pytanie. Matki zawsze zadają mi pytania, przeszkadzają mi swoim wzrokiem i podniesionym tonem, którym kończą zdania. „Jak masz na imię?”. Ale mój głos nie działa, więc nie mogę im powiedzieć, że nie chcę odpowiadać na ich pytania.

Na huśtawce czuję się chroniony przed innymi. Nikt nie może mnie dotknąć, nikt nie chce, bym mówił, jak mam na imię, i nikt nie zabrania mi bawić się piaskiem. Chcę się tylko bujać.

Mama znów zatrzymuje huśtawkę, ale tym razem nic nie mówi o placu zabaw. Zaczyna mnie wyciągać. Wydaję głośny odgłos i macham rękami, dając jej do zrozumienia, że to mi się nie podoba. Mama nadal mnie wyciąga.

Nie! Więcej bujania! Nie skończyłem. Chcę zostać na huśtawce! Chcę zostać w swoim ciele! Nie! Chcę istnieć! Moje ciało musi powtarzać, bo inaczej stracę je na zawsze. Zniknę na zawsze!

Krzyczę bardzo głośno, starając się pokazać mamie, że muszę się nadal bujać, bo inaczej umrę, ale z jakiegoś powodu ona nie rozumie tego, co próbuję jej pokazać. Cały sztywnieję, starając się zatrzymać swoje ciało w siedzeniu huśtawki, ale mama jest zbyt silna i nie rozumie, więc chwyta moje ciało. Zaciskam powieki, bo nie chcę widzieć, jak moje ciało opuszcza huśtawkę. Krzyczę jeszcze głośniejszym głosem, więc wszystko, co dotyczy mojego kradzionego ciała i huśtawki, znika i istnieje tylko dźwięk mojego wrzasku.

I wtedy nagle nie jestem już na zewnątrz. Siedzę w samochodzie i oglądam Barneya. Oglądam Barneya i jego przyjaciół, którzy robią to co zawsze. Przestaję krzyczeć. Nie umarłem, skoro oglądam Barneya. Nic mi nie jest.

Ale wtedy znów coś jest nie tak. Samochód jedzie w złą stronę. Tam, gdzie jedzie samochód, nie ma domu. Droga do domu prowadzi koło trzech białych domków, potem jednego z cegły, potem wzdłuż ulicy, żółtego domu i kolejnych dwóch białych, a potem czerwone światło/zielone światło. Potem kościół, drzewa, brązowy dom, biały dom, szary dom z łuszczącą się farbą i Pigeon Lane, ulica, na której mieszkamy.

Ale nie pojechaliśmy tą drogą. Na tej drodze jest znak z dziewczynką, brązowy dom, biały dom, niebieski dom, ulica, budynek, parking, czerwone światło. Tą drogą nie jedzie się do DOMU. ZAWSZE jedziemy do DOMU po zabawie na placu zabaw, a ta trasa nie pasuje do mapy w mojej głowie.

Nie wiem, gdzie jedziemy, ale na pewno nie do domu. Nie jadę do domu, żeby zjeść na lunch trzy nuggetsy z keczupem z niebieskiego talerza i wypić sok z kubka z Barneyem. Nie zobaczę się dziś z Danyel po lunchu, bo Danyel przychodzi do nas do domu, a mnie nie będzie w domu. Będę gdzieś indziej.

Może się zgubiliśmy i nigdy już nie zobaczę domu. Zasada jest taka, że ZAWSZE jedziemy do DOMU po placu zabaw, a to, co dzieje się teraz, łamie zasady. Jeśli tę zasadę można złamać, to wszystko można złamać. Może świat się wali.

Krzyczę. Chcę jechać do DOMU. Chcę wysiąść z samochodu, który jedzie nie w tę stronę, co trzeba, ale jestem uwięziony na swoim siedzeniu. Krzyczę i wypełniam się gorącym i strasznym płynem. Gorący i straszny płyn ciągle mnie wypełnia, aż jestem pełen po brzegi i płonę w środku. Potrząsam rękami, żeby upuścić trochę gorącego strasznego płynu przez palce, ale gorący straszny płyn nadal mnie wypełnia, jest go zbyt dużo i za bardzo parzy, by mógł mi całkiem wyciec przez palce.

Zamykam oczy, żebym nie musiał patrzeć na te domy, budynki i ulice. Krzyczę tak głośno, jak tylko potrafię, żebym mógł się stać dźwiękiem mojego krzyku, a nie chłopcem uwięzionym w foteliku, który już się nie buja, tylko bardzo szybko jedzie w niewłaściwym kierunku.

Kiedy otwieram oczy, dociera do mnie, że już nie krzyczę. Leżę pod kocem we wzór z Barneyem w moim łóżku. Widzę drzewo za oknem, moje pudełko kamieni, kalendarz na ścianie. Wiem, że to dobrze, bo to oznacza, że jestem w domu, a świat się nie zawalił, ale jeszcze nie czuję się w porządku. Jestem spocony i zmęczony, i nadal czuję w sobie nadmiar gorącego płynu bulgoczącego i chlupoczącego w moim wnętrzu, który musi wycieknąć, żeby zrobić miejsce dobremu samopoczuciu.

Leżę w łóżku i zastanawiam się, jak dotarliśmy do domu. Musi istnieć jakaś inna droga. Zastanawiam się, dlaczego nią pojechaliśmy.

Dziś jest poniedziałek. Dzień jest słoneczny i ciepły. Mam na sobie brązowe spodnie i czerwoną koszulkę. Może w słoneczne i ciepłe poniedziałki, kiedy jestem ubrany w brązowe spodnie i czerwoną koszulkę, kiedy mama mówi, że koniec bujania na placu zabaw, wracamy do domu inną drogą. Może w słoneczne, ciepłe poniedziałki, kiedy mam na sobie brązowe spodnie i czerwoną koszulkę i jedziemy z placu zabaw do domu, jedziemy drogą przy znaku z dziewczynką, a potem brązowym domu, niebieskim domu, ulicy, budynku, parkingu i czerwonym światłem. Może to nowa zasada.

Jestem teraz głodny. Idę na dół, stawiając obie stopy na wszystkich dwunastu stopniach, i wchodzę do kuchni. Nuggetsy z keczupem na moim niebieskim talerzu, kubek z Barneyem pełen soku, mój widelec i biała serwetka leżą na stole, tak jak

podczas każdego lunchu. Mama nie siedzi przy stole, ale czuję, że jest blisko. Macham rękami i podskakuję, i wydaję jeden z moich radosnych odgłosów, pozbywając się ostatnich kropel gorącego strasznego płynu, który we mnie tkwi.

Siadam i jem lunch. Czuję się dobrze. Ale wtedy pojawia się myśl, która mi się nie podoba. Nie wiedziałem, że istnieje kilka dróg do domu z placu zabaw. Teraz istnieją dwa sposoby, żeby tu wrócić. Nie lubię numeru dwa. To środek rzeczy. Dwa to niedokończenie. Dwa jest w pół drogi, a ja nie lubię być w pół drogi. Szkoda, że nie istnieją trzy sposoby na to, żeby dojechać do domu.

Pierwszy sposób, czyli stary sposób, prowadzi przy trzech białych domkach, domu z cegieł, ulicy, jednym żółtym domu i dwóch białych, a potem czerwonym/zielonym świetle. Potem kościół, drzewa, jeden brązowy dom, jeden biały dom, jeden szary dom z łuszczącą się farbą i Pigeon Lane. Druga droga, którą jeździmy w ciepłe i słoneczne poniedziałki, kiedy jestem ubrany w brązowe spodnie i czerwoną koszulkę, prowadzi przy znaku z dziewczynką, brązowym domu, białym domu, niebieskim domu, ulicy, budynku, parkingu i czerwonym świetle, i innych miejscach, których nie widziałem po drodze na Pigeon Lane, bo miałem zamknięte oczy.

Musi być jeszcze jedna droga. Muszą być TRZY drogi na mapie z placu zabaw do domu. Ale co jeśli są tylko dwie i koniec? Co jeśli nie ma więcej?

Znów czuję gorący i straszny płyn, który zbliża się do mnie, ale tym razem spodziewam się go. Zamykam przed nim drzwi, zanim zdoła dotknąć palców moich stóp, zanim zdoła mnie zalać.

Trzy ślepe myszki. Trzy ślepe myszki. Trzy ślepe myszki.

Trzy ślepe myszki. Trzy ślepe myszki. Trzy ślepe myszki.

Trzy ślepe myszki. Trzy ślepe myszki. Trzy ślepe myszki.

ROZDZIAŁ 23

Po ukończeniu kolejnego rozdziału Beth wyszła z biblioteki wcześniej niż zwykle. Siedziała teraz na kanapie w gabinecie doktora Campbella, który mieścił się w jego salonie, żałując, że nie poczekała w samochodzie. Była o czasie, Jimmy się spóźnił, a ona czuła się niezwykle skrępowana, siedząc sama na kanapie terapeuty, nie mając nic do powiedzenia.

Kanapa niczemu nie pomagała. Kiedy Beth na niej usiadła, zapadła się głęboko w ogromne poduszki, przez co jej rozstawione nogi powędrowały do góry, odrywając się od ziemi. Starła się odzyskać równowagę, jakby nic się nie stało, ale im bardziej się wierciła i wykręcała, tym głębiej grzęzła wśród poduszek. Kanapa doktora Campbella była jak ruchome piaski.

Doktor Campbell siedział naprzeciwko niej w solidnym skórzanym fotelu i popijał kawę, w milczeniu przyglądając się Beth. Może był to jakiś psychologiczny test. Campbell kazał jej usiąść i pokazał jej kanapę. Może oceniał typ osobowości Beth na podstawie tego, jak zareaguje na fakt, że pozerają ją poduszki. Czy fakt, że tu zostanie, będzie o niej świadczyć, że jest niefrasobliwą i łatwo przystosowująca się kobietą, a może, że jest kukłą, z którą można robić, co się chce, bo i tak nie piśnie słowem? Czy powinna grzecznie poprosić o inne miejsce?

Postanowiła siedzieć cicho. Poruszała stopami w powietrzu, jak gdyby do rytmu radosnej, szybkiej piosenki, i rozglądała się po pokoju, starając zachowywać normalnie.

Doktor Campbell miał długie falowane siwe włosy, okulary i brodę. Wyglądałby jak święty Mikołaj, gdyby nie to, że był chudy jak szczapa. Na palcu miał złotą obrączkę. To dobrze. Terapeuta małżeński powinien być żonaty. Zawsze przeszkadzało jej to, że pediatra dziewczynek nie ma własnych dzieci. Podręczniki i tytuły naukowe z drogich uczelni były ważne, ale dla niej nie było lepszej szkoły niż prawdziwe życie.

Terapeuta pił kawę z dużego kubka z logo Starbucksa. To ją zaintrygowało. Nigdy nie była w Starbucksie. Wyjechała z Nowego Jorku, zanim otwarli tam pierwszą taką kawiarnię. Właściwie to wiedziała, że taka kawiarnia istnieje tylko dlatego, że wiele razy turyści zatrzymywali ją, pytając, gdzie jest Starbucks. Nigdy nie zapomni miny mężczyzny, kiedy za pierwszym razem odpowiedziała, pytając co to Starbucks. Zmierzył ją wzrokiem, jakby rozmawiał z kobietą, którą dopiero co wypuszczono z wariatkowa. Później za każdym razem odpowiadała jedynie, że nie ma tu Starbucksa, i odsyłała wszystkich do ich kawiarni The Bean.

Zastanawiała się, skąd doktor Campbell wziął ten kubek. Pewnie wyjeżdżał poza wyspę. Zastanawiała się, gdzie był – w Bostonie, w Nowym Jorku, w egzotycznych częściach świata, gdzie istnieją kawiarnie Starbucksa?

Mimo że w pokoju nie było regałów, książki i czasopisma znajdowały się

wszędzie – pod ścianami, ustawione w chwiejne stosy wysokości Beth, po obu stronach fotela doktora Campbella, w przypadkowych miejscach na środku podłogi. Była to szalona biblioteka. Kilka stosów wyglądało tak, jakby do zawalenia brakowało im tylko jednej gazety lub książki – taka książkowa wieża Jenga na moment przed przegraną.

Białe ściany były nagie z wyjątkiem jednego obrazu, szczegółowego drzewa genealogicznego narysowanego piórem na żółtym papierze. Śledząc jego gałęzie, Beth zdała sobie sprawę, że to drzewo rodziny doktora Campbella i że jeśli mówi ono prawdę, był on bezpośrednim potomkiem Edwarda Starbucka, jednego z tysiąca sześciuset pięćdziesięciu dziewięciu pierwszych osadników. Beth była pod wrażeniem i trochę ją zdziwiło, że nie wiedziała o tym wcześniej.

Wyspiarski rodowód cieszył się na Nantucket ogromną estymą. Jimmy mieszkał tu od dwudziestu jeden lat, a ona od piętnastu, ale oboje zawsze pozostaną rozbitkami. Outsiderami. Plebsem. Ich dzieci urodziły się na wyspie, więc Sophie, Jessica i Gracie były miejscowe, ale dopiero z pierwszego pokolenia. Były członkiniami społeczności, ale bez rodowodu. Doktor Campbell pochodził stąd, a jego przodkowie sięgali wielu pokoleń. Na Nantucket doktor Campbell był jak członek rodziny królewskiej – bez paparazzi i zamku, pompy i wysokiego uposażenia, a nawet prawdziwego bogactwa, ale darzonej szacunkiem. Mieli tu takich.

Beth zaczęła się zastanawiać, czy kawiarnie Starbucksa mają coś wspólnego z rodziną Starbucka z Nantucket. Pewnie nie, bo wtedy na wyspie byłaby przynajmniej jedna taka kawiarnia. Postanowiła nie pytać.

Zdecydowanie najciekawszą rzeczą w pokoju był sokół w ogromnej klatce obok kominka za plecami doktora Campbella. Ptak był wielkości małego jastrzębia miał ciemnoszare skrzydła i biały brzuch z szarymi plamkami i piórami, które otaczały jego upiorne czarne oczy niczym maska czarnego bohatera. Jedno z jego skrzydeł wydawało się spuchnięte lub złamane. Ptak przycupnął na kawałku wyrzuconego przez morze drewna, niemal w bezruchu, wpatrując się w Beth. Wyglądał groźnie, jakby chciał wykłuć jej oczy.

– To Oscar. Proszę się nie martwić, jest udomowiony. Nie będzie nas niepokoił – powiedział doktor Campbell.

Beth pokiwała głową, zaniepokojona.

Zadzwoił dzwonek do drzwi. Dzięki Bogu. Doktor Campbell wstał, żeby otworzyć Jimmy'emu.

– To dla ptaka – powiedział Jimmy, podając doktorowi czarny worek na śmieci.

Doktor Campbell zerknął do środka i uśmiechnął się.

– Świetnie. Rozgość się. Wróć za chwilę.

Ludzie pochodzący z Nantucket uwielbiali rozliczać się bezgotówkowo. Beth i Jimmy mieli w zwyczaju płacić małżami w warsztacie samochodowym, Mickey, mąż Jill, robi remonty w zamian za dentystę. Doktor Campbell przyjmuje przejechane

zwierzęta jako część wynagrodzenia.

Jimmy siadł na przeciwległym końcu kanapy. Zapadł się w niej jak Beth, ale nie wyglądał na tak skrępowanego jak ona. Jego stopy nadal stały na ziemi. Dzieliła ich pusta poduszka.

– Spóźniłeś się – szepnęła.

– Miałem problem, by coś znaleźć.

– Co jest w torbie?

– Wiewiórka.

– Fuj. Wstrętne. Czemu nie kupiłeś jakiejś karmy w spożywczym?

– Bo chodziło o to, żeby zaoszczędzić dwadzieścia dolców. Gdybym kupił mu jedzenie, to mijałoby się to z celem.

– Gdzie znalazłeś wiewiórkę?

– Na Milestone Road.

– Umyłeś ręce?

Zanim Jimmy zdołał odpowiedzieć, doktor Campbell wrócił z – jak mogła się tylko domyślać po zapachu – martwą wiewiórką, na chwilę otworzył klatkę, zamknął ją (zwracała uwagę na szczegóły), po czym wrócił na swój skórzany fotel. Klepnął się po udach i uśmiechnął.

Czy ktokolwiek miał zamiar umyć ręce?

– Zacznijmy – powiedział doktor Campbell. – Dlaczego tu jesteśmy?

Nikt nie odpowiedział. Beth i Jimmy siedzieli, czując się wygodnie ze znanym im wzajemnym milczeniem, ale niewygodnie na swoich zapadniętych siedzeniach. Beth spojrzała na Jimmy'ego, który gapił się na swoje pokryte zarazkami martwego zwierzęcia dłonie. Spojrzała za ramię doktora Campbella na Oscara, któremu z dzioba zwisał kawałek wiewiórczego tłuszczu i który nadal mierzył ją czarnymi oczami łowcy.

– Jimmy – powiedział doktor Campbell. – Zacznijmy od ciebie.

– No cóż, jesteśmy w separacji. Pobraliśmy się czternaście lat temu, teraz żyjemy osobno, ale próbujemy się zejść.

Zacisnął dłonie i czekał. To wszystko. Całe jego podsumowanie.

Bierz go, Oscar. Wyłup mu oczy.

– Rozstaliśmy się, ponieważ Jimmy mnie zdradził, a ja nie wiem, czy chcę, żebyśmy do siebie wrócili – powiedziała Beth.

– Okej – powiedział doktor Campbell, który w żaden sposób nie okazał wściekłości ani tego, że jest po jej stronie, choć miała taką nadzieję. – Jimmy, dlaczego zdradziłeś Beth?

Jimmy zaczął się wiercić i trochę głębiej zatonął w poduszkach. Do pokoju wszedł czarny kot z białymi łapami i otarł się o dyndające nogi Beth, po czym zwinął się w kłębek w nasłonecznionym miejscu na podłodze przy jednym z okien, tuż za cieniem, jaki rzucała jedna z wież książek. Jimmy miał alergię na koty.

– Nie wiem.

– Beth, jak myślisz, dlaczego mąż cię zdradził?

Salt ocieka seksem, Angela zbyt ocieka seksem, ja nie jestem wystarczająco seksowna, już mu się nie podobam, już mnie nie kocha, jest palantem, jest kłamcą, jest oszustem, jest mężczyzną.

– Bardzo chciałabym usłyszeć odpowiedź Jimmy'ego.

Beth i doktor Campbell spojrzeli na Jimmy'ego i czekali. Kolejny kot, tym razem szary, wbiegł do pokoju i przegonił czarnego kota z jego słonecznego miejsca na podłodze. Oba koty zniknęły za kanapą. Oscar zaskrzeczał i uderzył zdrowym skrzydłem o klatkę. Jimmy podrapał się w nos i odchrząknął.

– Posłuchaj, wiem, że źle zrobiłem. To ja tu nawaliłem i naprawdę bardzo żałuję. Miałem nadzieję, że będziemy mogli o tym zapomnieć i zacząć od nowa. Czy przerabianie tego tematu nie będzie dla Beth ponownym rozdrapywaniem ran?

– Przerabianie tego oznaczałoby, że już raz na ten temat rozmawialiśmy, a nie mówiliśmy o tym ani razu – powiedziała Beth.

– Wybaczyłaś Jimmy'emu, Beth?

– Nie.

– Jesteś gotowa raz na zawsze puścić wszystko w niepamięć i zacząć od nowa?

– Nie.

– Jeśli macie się zejść, to ważną rzeczą dla was obojga jest zrozumienie, dlaczego to wszystko się stało, i znalezienie sposobu, by się z tym pogodzić. Jeśli pozostaniecie nieświadomi przyczyn, a wrócicie do siebie, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że historia się powtórzy. Będziecie więc musieli zdobyć się na to, by porozmawiać o rzeczach, które są dla was obojga krępujące i bolesne, zgoda?

W głębi domu zadzwonił telefon. Doktor Campbell pił kawę, jakby go nie słyszał. Siedzieli w milczeniu. Telefon przestał dzwonić. Nadal milczeli.

– Zawsze była ze mnie niezadowolona. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wróciłem do domu, a ona cieszyła się, że mnie widzi.

– Wracasz do domu o drugiej nad ranem! Ja wtedy śpię, Jimmy. Przykro mi, że nie budzę się i nie witam cię w drzwiach z przylepionym do twarzy uśmiechem i w halce, trzymając w rękach cygaro i kapcie.

– Nawet zanim zacząłem pracować za barem, nie znosiłaś, kiedy byłem w domu.

– Nie pracowałeś. Nie znosiłam tego, że nie pracujesz. Byłeś nieszczęśliwy i szwendałeś się po domu, robiąc bałagan, który potem ja musiałam sprzątać, jakbyś mieszkał w hotelu, a ja byłam twoją sprzątaczką.

– Wszystko w naszym domu musi być dokładnie tak, jak ona chce. Wszystko musi być idealne. Ja nie jestem idealny, Beth. Żaden facet nie jest.

– Nie szukam ideału, Jimmy. Coś pomiędzy ponurym zdradzającym mnie lajdakiem a ideałem byłoby w sam raz.

Nie odpowiedział. Beth założyła ręce na piersiach i zaczęła machać nogami,

zadowolona, że to ona wypowiedziała ostatnie słowo.

– Okej, Jimmy. Wróćmy do pytania – powiedział doktor Campbell, kierując nimi jak rodzic, który próbuje pogodzić parę przedszkolaków. – Czułeś się niechciany i nieszczęśliwy. Rozmawiałeś o tym z Beth?

– Nie, ale to było oczywiste.

– Może tak, a może nie. Nie mówiąc jej, nie dałeś jej możliwości, by mogła ci pomóc albo cokolwiek zmienić. Musisz komunikować swoje potrzeby, otworzyć się, dać Beth szansę zrozumieć, co tak naprawdę się z tobą dzieje. Niestety my, ludzie, nie potrafimy czytać w myślach.

Jimmy pokiwał głową.

– Beth, byłaś nieszczęśliwa z Jimmym?

– Przed tym, jak dowiedziałam się, że mnie zdradza?

– Tak.

– No tak, każda kobieta by była. Po tym, jak przestał poławiać małże, był bezrobotny. Przebywanie z nim to nie była zabawa.

– Nie byłaś dla mnie zbyt wielkim wsparciem – powiedział Jimmy.

– Co masz przez to na myśli? W jaki sposób nie byłam wsparciem?

– Z kimkolwiek byśmy rozmawiali, musiała opowiadać o tym, że nic nie robię.

– Nigdy nic takiego nie powiedziałam. Mówiłam o tym, że nie masz pracy, tylko po to, żeby dali ci znać, gdyby dowiedzieli się o jakiejś posiadzie.

– A ty? Jakoś nie widziałem, żebyś szukała pracy, żeby nam pomóc.

– Sprawdziłam we wszystkich gazetach. W żadnej z nich nie było wzmianki o wakacie. I pracowałam, pamiętasz? Opiekowałam się domkami letniskowymi.

– Zarabiałaś dwieście dolarów miesięcznie. To nie była prawdziwa praca.

– A co miałabym tu robić, Jimmy? Piętnaście lat temu porzuciłam moje życie, żeby wyjść za ciebie, wychowywać nasze dzieci i mieszkać na wyspie na końcu świata. Miałam iść na studia i zostać pisarką.

– Nigdy nie powstrzymywałam cię od pisania.

Kiedy Gracie była niemowlakiem, a Jessica i Sophie poszły do przedszkola, ledwie miała czas, by wziąć prysznic, a co dopiero napisać cokolwiek twórczego. To pewnie wtedy wszystkie jej eseje, opowiadania i notatniki wylądowały na strychu. Nie miała czasu i przestrzeni. Ale dziewczynki rosły i stawały się coraz bardziej niezależne. Poszły do szkoły i Beth miała mnóstwo czasu na prysznic. Miała mnóstwo czasu i przestrzeni, by znów pisać, ale nie pisała. Coś ją powstrzymało, ale nie był to Jimmy.

– Ale teraz piszę – powiedziała, jakby się odgrażała.

– Uważasz, że praca barmana to moje marzenie?

– Uwielbiasz to.

– Nie od razu tak było. I nadal wolałbym pracować na łodzi.

– A ja wolałabym mieć męża, który nie posuwał hostessy.

Jej głos stał się głuchy i drżał ze złości. Beth mrugała powiekami, żeby powstrzymać łzy. Nienawidziła tego, że płacze, kiedy jest zła, jakby jej emocjonalna instalacja była źle połączona. Serce jej waliło, podsycając gniew, jej rozpalona twarz czuła gniew, jej umysł rozumiał powody gniewu, ale jej oczy odbierały tę wiadomość inaczej: *Jest smutna. Robić łzy*. Doprowadzało ją to do szału.

– Przepraszam – powiedział Jimmy.

– Jest za co.

– Czy zakończyłeś ten romans? – zapytał doktor Campbell.

– Tak. Ona chciała, żebym się rozwiódł i ożenił z nią, ale to nigdy nie wchodziło w grę. Cała ta sprawa to była jedna wielka pomyłka. To skończone, przyrzekam, i to się już więcej nie zdarzy. Nie chcę cię stracić, Beth.

– Wierzysz mi, Beth?

Beth zastanowiła się. Nie wiedziała, co myśleć. Chciała myśleć, że Jimmy wychodzi teraz z Salt samotnie i że po wszystkim pojedzie prosto do mieszkania swojego kolegi Harry'ego, że do południa śpi tam sam w wolnej sypialni i spędza popołudnia, myśląc o tym, co zrobił, po czym znów idzie do pracy.

Tylko że *ona* była w pracy. Beth wyobraziła ich sobie tam razem. Wyobraziła sobie uśmiech, dotyk, jej dłoń na jego ramieniu, pocałunek. Łatwiej było jej wywołać w głowie taki obraz, niż wyobrazić sobie Jimmy'ego samego w jakimś mieszkaniu, którego nigdy wcześniej nie widziała. Wyobraziła sobie wisiorek Angeli dyndający pomiędzy jej wielkimi piersiami i wciągnęła w płuca wyraźny zapach zdechłej wiewiórki i czegoś jeszcze. Kocięgo moczu? Poczwała, jak robi jej się niedobrze.

– Nie wiem, w co mam wierzyć. Spędzają razem każdy wieczór.

– Nie „spędzamy” tam każdego wieczoru. Pracujemy w tym samym miejscu.

– Niech będzie. Ona pracuje w restauracji, w której on stoi za barem. Nie wiem, czy mogę mu jeszcze zaufać.

– Obiecuję, to skończone.

– Najwyraźniej nie zawsze dotrzymujesz danych obietnic.

Doktor Campbell odstawił kubek ze Starbucksa i przechylił głowę. Wszyscy czekali.

– Słyszeliście to?

Beth pokręciła głową. Jimmy nic nie powiedział.

– Posłuchajcie – powiedział.

Beth usłyszała, jak Jimmy pociąga nosem i warkot samochodu przejeżdżającego koło domu.

– Przepraszam, za chwilę wrócę – powiedział doktor Campbell i pospiesznie wyszedł z pokoju.

Beth i Jimmy siedzieli w ciszy, patrząc prosto przed siebie i spodziewając się, że doktor Campbell wróci za kilka sekund. Kiedy to się nie stało, Jimmy zaczął się wiercić. Odchrząknął dużo głośniej, niż gdyby doktor Campbell nadal był w pokoju.

Beth zaczęła skubać skórki wokół paznokci, Jimmy sprawdził swój telefon, a ona swój.

Nie słyszała żadnych hałasów. Może to jakiś test, jakaś przerwa dla niegrzecznych par. Może „słuchajcie” dotyczyło ich nawzajem.

Nic to nie dało. Nie wiedzieli, jak ze sobą rozmawiać, nie wiedzieli, jak słuchać. Dlatego tu byli. Oprócz tego, że Beth czuła się w przedziwny sposób zaklinowana pomiędzy poduszkami kanapy, śledzona przez sokoła, wściekła na Jimmy'ego za to, że ją zdradził, zażenowana tym, że płacze, kiedy jest wściekła i chora na samą myśl, że Jimmy i Angela nadal się widują, teraz poczuła się jeszcze porzucona i zmanipulowana. Ten terapeuta najwyraźniej nie wiedział, co robi.

Doktor Campbell nie wrócił, a milczenie pomiędzy nią a Jimmym zaczęło się wydłużać. Doktora Campbella wciąż nie było, a cisza zaczęła zmieniać się w jakąś istotę, która przebywała razem z nimi, tak rzeczywistą i drapieżną jak sokół. Miała złe oczy, które ich śledziły, kiedy istota wychodziła z klatki pod nieobecność doktora Campbella, i przełykała ślinę, czekając na odpowiedni moment do ataku. Cisza pomiędzy nią i Jimmym najchętniej pochłonełaby ich oboje, jakby planowała to zrobić przez całe życie.

W końcu po przerwie, która wydawała się tak długa jak ich sesja, a trwała pewnie tylko kilka minut, doktor Campbell wrócił do pokoju, usiadł w skórzanym fotelu i westchnął.

– Przepraszam. Psy wydostały się na zewnątrz. Podsumujmy, do czego doszliśmy. Jimmy, potrzebujesz czuć, że Beth ciebie chce i że dzięki tobie jest szczęśliwa. Beth musisz być w stanie zaufać, że jeśli Jimmy czuje się nieszczęśliwy, przyjdzie do ciebie, żeby z tobą porozmawiać, i że już nigdy nie będzie ci niewierny. Tak? Czy to wydaje się wam sprawiedliwe?

– To nie całkiem uczciwe powiedzieć, że Jimmy jest jedyną osobą, która czuje się niechciana. Zdradził mnie. To świadczy, że mnie nie chciał. Tylko że ja nie zaczęłam szukać sobie kogoś innego, kogo mogłabym „chcieć”.

– Tak, to prawda. W porządku, dorzucmy to do reszty. Oboje chcecie się czuć chciani, szczęśliwi, bezpieczni i kochani, tak? To wydaje się *fair*? – zapytał doktor Campbell.

– Tak – odpowiedziała Beth.

– Tak – przytaknął Jimmy.

– Więc nad tym będziemy pracować – powiedział doktor Campbell, znów klepnąwszy się po udach.

– Ale czy takie rzeczy nie powinny przyjść nam naturalnie, jeśli jesteśmy dobraną parą? – zapytała Beth.

– Niektóre rzeczy tak, ale wiele z nich wymaga komunikacji i wysiłku.

Jimmy kichnął. Beth powiedziała w myślach „na zdrowie” i zwróciła się ku doktorowi Campbellowi z nieśmiałym uśmiechem, nie pokazując zębów.

– Okej – powiedział doktor Campbell zerkając na zegarek. – Oto wasza praca domowa. Chcę, żebyście wzięli cztery kartki papieru, po jednej dla każdego z tych czterech odczuć, a następnie spiszcie konkretne słowa i zachowania, których potrzebujecie, żeby je poczuć. Starajcie się wymyślić jak najwięcej. Nie krępujcie się swoich myśli.

– Nie do końca rozumiem – powiedział Jimmy.

– Cóż, te cztery uczucia są wam obojgu niezbędne, ale prawdopodobnie w działaniu oznaczają dla was różne rzeczy. Na przykład możesz czuć się kochany, kiedy Beth cię przytula i całuje, za każdym razem gdy wracasz z pracy, to samo mogą wyrażać cygara i kapcie. Może to wyrażać seks. Dla Beth może to oznaczać to samo, może z wyjątkiem cygara i kapci, ale może oznaczać też coś innego. Dla Beth miłość może być wyrażana przez zrobienie prania albo wspólną kolację na mieście.

Beth pokiwała głową.

– Miłość, szczęście, bezpieczeństwo i to, że druga osoba nas chce to podstawy, prawda? I właśnie z tego powodu ludzie często zakładają, że te odczucia istnieją automatycznie. Ale to, co zadowala ciebie, niekoniecznie zadowala Beth. Wszyscy jesteśmy inni. Jeśli nie będziecie *komunikować* sobie konkretnych sposobów na to, jak sprawić, byście czuli się kochani i szczęśliwi, wasz partner może strzelić kulą w płot. A wtedy będziecie się czuć odwrotnie. Prawda?

Jimmy pokiwał głową.

– Okej, to tyle na dziś. Dobra robota – powiedział doktor Campbell.

Jimmy zerwał się jak uczeń, który właśnie usłyszał dzwonek na przerwę. Zapłacił doktorowi gotówką za sesję minus dwadzieścia dolarów za świeżą padlinę, podczas gdy Beth próbowała się rozbujać, i w ten sposób dźwignąć z dziury w kanapie. Beth podziękowała doktorowi Campbellowi i uśmiechnęła się do niego, trzymając ręce w kieszeniach, i wraz z Jimmym wyszła na podjazd.

– Co o tym myślisz? – zapytała, kiedy znaleźli się poza zasięgiem uszu doktora.

– Myślę, że ten facet jest naprawdę dziwny.

Beth zaśmiała się.

– Prawdopodobnie potrzebuje terapii bardziej niż my – powiedział, także się śmiejąc.

– A tak naprawdę? – zapytała, pragnąc od niego czegoś więcej niż żartu.

– Terapia to nie moja broszka.

Pokiwała głową.

– Ale jeśli ma przynieść efekty, to chyba warto, prawda?

Znów pokiwała.

– Dobra, muszę odrobić pracę domową – powiedział z uśmiechem. – Do zobaczenia.

– Do zobaczenia – powtórzyła.

Wsiadła do samochodu i zaczęła się śmiać – bardziej, by dać upust nerwom niż z

jakichś innych powodów. Całe to doświadczenie było dziwne. Salon, kanapa, zaliczka w postaci padliny, czarne oczy sokoła, koty, „hałaśliwe” psy, to, że doktor Campbell na tak długo zostawił ich samych.

Jadąc z powrotem do biblioteki, zaczęła zastanawiać się nad pracą domową, nie mogąc się doczekać, kiedy napisze kolejny rozdział. Chciana, szczęśliwa, bezpieczna, kochana. Czego potrzebuje, by czuć się chciana? Czego potrzebuje, by czuć się kochana? Jak będą wyglądały cztery kartki Jimmy'ego? Czego potrzebuje chłopiec z jej książki, by to czuć?

Prowadząc samochód, odtwarzała w głowie fragmenty terapii.

Zaufanie. Gniew. Cisza. Porozumiewanie się. Sokół. Kanapa. Zapach. Koty i psy.

Wtedy jej myśli nagle skierowały się na brązowookiego chłopca z książki, którą pisała, i zaczęła śledzić w myślach spisane rozdziały.

Brak wypowiedzianych słów. Błękitne niebo. Powtórzenia. Jego matka.

Chciana. Szczęśliwa. Bezpieczna. Kochana.

Doktor Campbell może i był dziwny, ale był również geniuszem.

ROZDZIAŁ 24

Jestem w salonie i ustawiam szereg z moich kamyków. Ten szereg składa się z kamyków, które zebrałem w minionym tygodniu. Rząd nowych kamyków. Ciągnie się od stolika kawowego do ściany. Kiedy skończę, będzie ich tam sto dwadzieścia osiem. Wyobrażam sobie rząd ze stu dwudziestu ośmiu kamyków, jeszcze zanim dotrę do ściany, i już czuję podekscytowanie.

To właśnie dlatego przestałem ustawiać w rzędy plastikowe zwierzęta i dinozaury. Nigdy nie miałem ich wystarczająco dużo. Mogłem ustawiać je w rzędy wedle rodzaju lub koloru albo wedle innego porządku, na przykład które zwierzę zjadało które albo od najwolniejszego do najszybszego, ale linia nigdy nie ciągnęła się od stolika kawowego do ściany. Nigdy nie wystarczało mi zwierząt ani dinozaurów.

Musiałem czekać, aż mama lub tata kupią mi więcej plastikowych zwierząt i dinozaurów w sklepie, ale nigdy nie kupowali ich tyle, ile chciałem. Nawet jeśli pojechałem z nimi do sklepu i błagałem o więcej, nie zawsze kupowali mi te potrzebne zabawki.

Nie. Masz już wystarczająco dużo słoni. Nie dziś. Nie potrzebujesz więcej dinozaurów.

Mylili się. Nie miałem wystarczającej liczby słoni i potrzebowałem więcej dinozaurów. A słysząc ich „nie” i „innym razem”, wydawało mi się, że eksploduję, jeśli będę musiał zostawić w sklepie zwierzęta i dinozaury, skoro w domu czekały na mnie niedokończone rzędy zwierząt i dinozaurów, które nawet nie sięgały do ściany.

Postanowiłem więc przestać ich wszystkich potrzebować. Kamienie są dużo lepsze. Mama prawie codziennie zabiera mnie na plażę i zawsze znajduję tam kolejne kamyki. Mama może nawet zapomnieć zabrać moje zielone wiaderko i wcale się tym nie przejmuję, ponieważ do jednej kieszeni spodenek mieści mi się dwadzieścia jeden dużych kamyków, a do drugiej czterdzieści osiem małych. A jeśli jest zimno i mam na sobie kurtkę, mogę dodatkowo zmieścić dwadzieścia siedem dużych kamyków w jednej i pięćdziesiąt cztery małe w drugiej kieszeni.

Na plaży mama nigdy nie mówi „nie” ani „innym razem”. Kamyki na plaży są za darmo. Mogę ich zebrać i zabrać do domu, ile tylko zechcę.

Są pewne zasady co do zbierania kamieni. Muszą być prawie całkiem białe, prawie całkiem gładkie i prawie całkiem okrągłe. To ja decyduję, co się kwalifikuje do „prawie”. Czasem postanowię zabrać kamień o stożkowym kształcie, który nie jest tak naprawdę okrągły. Tak naprawdę jest trójkątem. Ale jeśli jest bardzo gładki i bardzo biały, wezmę go. Jeśli kamyk jest wyjątkowo okrągły, ale jest też odrobinę żółty albo ma kilka wybrzuszeń czy pęknięć, wezmę go. Mama nazywała takie sytuacje „wyjątkami od zasady”, ale ja nazywam to częścią zasady i wszystko jest w porządku.

Kiedy jestem w domu, lubię je liczyć, porządkować i układać w linie, które ciągną się przez podłogę w moim pokoju, podłogę w salonie, kuchni lub, jeśli jest ciepło, albo

nie – bardzo zimno i nie pada śnieg ani deszcz – przez deski na patio. Podłoga w kuchni jest trudna z powodu płytek. Muszę się dobrze zastanowić i przygotować sobie plan, żeby się upewnić, że żaden z kamyków nie znajdzie się w rowku pomiędzy płytkami. Każdy kamyk musi w całości leżeć na płytce, a nie mogę też przerwać linii pustym odcinkiem, żeby przeskoczyć rowek, bo wtedy tak naprawdę ułożyłbym dwie linie, a nie jedną. A nie lubię numeru dwa.

Kuchnia jest też trudnym miejscem do układania rzędów z kamyków, ponieważ zazwyczaj krząta się po niej mama, a często nie zauważam jej do chwili, aż jest już za późno. Czasem przejdzie przez mój rząd i potrąci któryś z kamyków lub każe mi POSPRZĄTAĆ albo ZABRAĆ STĄD KAMYKI, i w obu przypadkach linia zostaje zburzona. A jeśli moja linia kamyków zostanie zepsuta, to ja też. Lubię więc układać kamyki tam, gdzie ani im, ani mnie nikt nie przeszkodzi, nikt nas nie kopnie, nie posprząta i nie zepsuje.

Kiedy już zapoznam się z moimi kamykami, mogę je układać na najróżniejsze sposoby. Szereguję je wedle rozmiaru od tych wielkości ziarenka grochu (te zwykle są najokrągłejsze i najbielsze) do tych wielkości dłoni (zawsze owalne). Mogę układać je według gładkości, od tych bez bruzd i wybrzuszeń do popękanych i nierównych. Mogę układać je wedle okrągłości od idealnej kulki przez kształt jaja, globu, trójkąta, stożka do idealnego owalu.

Mogę je układać białością. Ludzie nazywają moje kamyki „białymi kamykami Anthony'ego”, ale to nie w porządku nazywać je białymi kamykami Anthony'ego, ponieważ to nie do końca prawda. Tylko kilka moich kamyków jest całkowicie białych, większość jest prawie biała, co oznacza, że są też inne kolory, jak żółty, szary i różowy, które tkwią w środku. Jeśli przyjrzeć się im z bliska i długo je oglądać, można zrozumieć, że większość kamyków ma w sobie więcej niż tylko biel.

Byłem taki podekscytowany, kiedy pewnego dnia nauczyłem się nazw innych prawie białych kolorów. W niedzielę dwudziestego drugiego sierpnia moja mama i tata szykowali się do malowania drewnianych ram wokół drzwi i okien, i mama rozłożyła na stole w kuchni pęk pasków. Każdy pasek miał na sobie sześć prostokątów, a każdy był innym rodzajem prawie-bieli! Tak jak moje kamienie! Na widok tych wszystkich prawie-bieli aż przeszedł mnie dreszcz. Mama zobaczyła moje podekscytowanie kolorowymi prostokątami na paskach, więc zaczęła po kolei wskazywać na nie palcem i wymieniać ich nazwy. Śnieżna biel. Biel dekoracyjna (biel z szarością). Gołębia biel (biel z żółcią). Słoneczna biel (biel z pomarańczem). Antyczna biel (biel z żółcią i pomarańczem). Więcej żółci: Lniana biel. Biel Nawaho. Kamea. Kość słoniowa. Piasek. Szarości: Zbielała kość. Porcelana. Biel oksfordzka. Papier. Chmura. Wydma morska. Błękity: Mgła. Błękitny welon. Róże: Białe przepych. Alabaster. Biały zinfandel.

Resztę dwudziestego drugiego sierpnia spędziłem w Pokoju Pamięci i zapamiętałem nazwy wszystkich prawie białych kolorów. Byłem taki szczęśliwy, bo od

tamtego dnia miałem nazwy dla kolorów moich kamyków. Mogłem więc układać wszystkie alabastrowe kamyki. Albo mogłem ustawiać wszystkie żółtawobiałe kamienie wedle nazw. Zaczynałem od Białego gołębia. Kończyłem na Muszli.

Dziś niebo jest zachmurzone. Ułożyłem linię ze Śnieżnobiałych, Białych chmur i Białych wydm, żeby pasowały do chmur na niebie. Linia zaczęła się od najmniejszego kamyczka przy stoliku kawowym i kończyła największym kamykiem przy ścianie. W szeregu leży sto dwadzieścia osiem kamieni. Jest tam jedenaście śnieżnobiałych kamieni, siedemdziesiąt osiem kamieni w kolorze Białych obłoków i trzydzieści dziewięć kamieni w kolorze Białych wydm. Małych jest trzydzieści osiem, osiemdziesiąt jest średnich, a dużych dwanaście.

Śnieżnobiałych i Małych jest jedenaście, Śnieżnobiałych i Średnich jest zero i Śnieżnobiałych i Dużych jest zero. Dwadzieścia jest Małych i w kolorze Białych chmur, pięćdziesiąt jest Średnich w kolorze Białych chmur i osiem jest Dużych w kolorze Białych chmur. Małych Białych wydm jest pięć, trzydzieści w kolorze Białych wydm jest Średnich, a Duże Białe wydmy są tylko cztery.

Kładę się przy stoliku do kawy, przykładam policzek do zimnej drewnianej podłogi i patrzę na rząd moich kamyków. Jest taki piękny. Moje palce wypełniają się radością.

Wygląda jak kości ogona dinozaura.

Wygląda jak mój perłowy naszyjnik.

Wygląda jak rząd chmur na niebie.

Nie wiem, dlaczego ona mówi takie rzeczy o rzędach moich kamyków. To rzędy kamyków. Czasem układam je zgodnie z jakąś regułą. Czasem układam rząd z samych owalnych kamyków lub w Gołębiej bieli (kolor wokół naszych okien i drzwi), albo z samych Średnich. Ale to zawsze linie kamieni. I zawsze są piękne.

Mama mówi też, że moje kamyki są bardzo stare i pochodzą z wulkanów. Mówi, że energia z wody w oceanie sprawiła, że są takie gładkie. Myślę jednak, że to zmyśliła, bo wulkany wywołują gorącą lawę, która jest pomarańczowym gorącym płynem, który zamienia się w kamienie – czarne, a nie białe. I wziąłem też do domu kilka porowatych kamieni, które włożyłem do zlewu i przez długi czas polewałem wodą, ale nie zrobiły się przez to ani trochę gładsze. Myślę, że prawie białe kamienie takie właśnie się rodzą. Przesuwam się od rogu stołu do środka rzędu. Znow kładę się na ziemię i patrzę wzdłuż linii. Idealnie. Uśmiecham się i pozwalam, żeby wzrok mi się rozmył, więc kamyki ciągną się w nieskończoność.

Ale na krawędziach nieskończoności coś się dzieje. Tworzy się kolejny rząd kamyków. Pocieram oczy, bo myślę, że kamienie próbują mnie nabrać i tworzą drugi rząd tylko w mojej głowie, a nie naprawdę na podłodze w salonie. I wtedy zauważam dłoń. Dłoń dodaje kolejne kamienie. Znam tę dłoń. To dłoń mamy!

Mama dodaje kolejne kamienie do prostej linii obok mojej. Jej linia składa się z kamieni w kolorze kości słoniowej, Słonecznej bieli, Kamei, Lnianej bieli i wszystkie są Małe i prawie okrągłe. Jej dłoń zatrzymuje się. Linia przestaje się wydłużać. Dłoń

mamy skończyła. W tej linii żółtobiałych małych, prawie okrągłych kamieni znajduje się ich dwadzieścia jeden.

Przyglądam się tej nowej linii i na podłodze, za kamykami widzę nos, usta i brodę mamy. Spoglądam szybko i widzę oczy mamy. Składam wszystko w całość i widzę jej twarz. Twarz mojej mamy jest na podłodze, tak jak moja.

Twój rząd kamyków jest piękny, mamo! Jesteś dzięki niemu spokojna i szczęśliwa, tak jak ja? Uwielbiasz układać rzędy, tak jak ja?

Chciałbym, żeby mój głos działał, bo wtedy mógłbym ją zapytać. Ale wtedy uważniej przyglądam się jej ustom i widzę, że twarz mamy się uśmiecha, i nie muszę już słyszeć odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 25

Rozpoczął się październik i wraz ze zmianą kartki w kalendarzu nadszedł pierwszy naprawdę chłodny i jesienny dzień. Ale zmiana pór roku i przejście od letniego stylu życia do czegoś wyraźnie odmiennego zdawały się zajść już miesiąc wcześniej. Letnicy, którzy mieli dzieci w wieku szkolnym, opuścili wyspę masowo zaraz po Święcie Pracy[2]. W to wypadające w poniedziałek święto wyspa była zatłoczona i tętniła życiem, ale już we wtorek po południu zdawała się tak pusta i cicha, że można było niemal usłyszeć, jak oddycha. Olivia znów mogła się odprężyć, robić zakupy w dowolny dzień tygodnia, skrócić w lewo, nie czekając kilka minut, aż przerwie się sznur aut, i przechadzać się samotnie po plaży. Ku jej zdziwieniu, tak jak do napływu letników trzeba się było przyzwyczaić, podobnie było z ich nagłym zniknięciem.

Pełen miesiąc po Święcie Pracy Olivii nadal doskwierał pewien niepokój. Lubiła samotność, nawet ją wolała, ale z jakiegoś powodu, kiedy we wrześniu wszyscy wyjechali z Nantucket, poczuła się opuszczona, jak w wyspiarskiej wersji *Kevena samego w domu*. Nie miała więcej umówionych sesji. Strony jej kalendarza na październik, listopad i grudzień były puste. Mimo to nadal zostało jej dużo zdjęć do obrobienia, dzięki czemu miała zajęcie na kolejne pół roku, ale i tak co rano budziła się z poczuciem, że nie ma nic od roboty. Żadnych zobowiązań. Żadnego celu.

Cały czas myślała o Anthonym. W nieoczekiwanych momentach dopadały ją różne przebłyski, które odczuwała wszystkimi zmysłami. Zamykała oczy i widziała loczek na jego karku, jego małe dłonie i palce, które wyglądały dokładnie jak jej, jego sterczące ramiona, jego pełną spokoju, nieruchomą twarz, kiedy spał. Wieczorem słuchała świerszczy i słyszała w nich dźwięk jego bosych stóp, kiedy biegał po domu, melodię jego śmiechu, jego *iija-iija-iija*. Wciągała w płuca rześkość jesiennego powietrza i czuła zapach jego skóry po spędzonym na plaży dniu albo po kąpieli z bąbelkami.

Nadal próbowała zrozumieć powód tego wszystkiego, modląc się i nasłuchując duchem odpowiedzi od Boga, nadal niepewna tego, jak powinna to robić. Czuła się, jakby próbowała wachać oczami albo słuchać nosem, a nawet czegoś bardziej niemożliwego – jakby próbowała skłonić jakąś część swojego jestestwa, której istnienia nie była nawet pewna, by stała się anteną, satelitarnym talerzem zdolnym odbierać mądrość z nieba. Wydawało się jej to bezproduktywne, a nawet odrobinę stuknięte.

Tego dnia mogła jednak oderwać się od modlitw bez odpowiedzi i bezsensownej samotności. Asystowała fotografowi Rogerowi Kellyemu na ślubie w Blue Oyster. Roger był najbardziej rozchwytywanym fotografem ślubnym na wyspie. Jego asystent miał jakąś nagłą sprawę rodzinną na stałym lądzie, przez co Roger musiał szukać zastępstwa. Okazało się, że w lipcu Olivia zrobiła portrety rodziny Morganów, a pani

Morgan była najlepszą przyjaciółką matki drużny panny młodej – i dzięki tej przekazanej z ust do ust rekomendacji Olivia dostała zlecenie. Czekał ją długi dzień pracy i w dodatku płatny niewiele więcej niż jej godzinna sesja portretowa, ale nie musiała przynajmniej obrabiać zdjęć i cieszyła się, że będzie miała coś do roboty.

Roger poprosił ją, żeby zrobiła dokumentalne, bardziej reporterskie ujęcia, które w ostatnim czasie były dość popularne, podczas gdy on zajmie się pozowanymi, bardziej formalnymi i tradycyjnymi zdjęciami. Wziął na siebie warzywa i oddał jej deser. Olivia przejrzała pobieżnie niektóre z ujęć w aparacie, zatrzymując się na moment przy swoich ulubionych, z zadowoleniem kiwając głową. Ojciec panny młodej całujący córkę w policzek. Roześmiana panna młoda. Pan młody szepczący coś do ucha żonie. Mała dziewczynka, która rzucała kwiaty, podnosząca tiul sukienki, żeby spojrzeć na swoje skórzane lakierki z paseczkiem.

Ceremonia odbyła się wcześniej na niewielkiej, usypanej na potrzeby hotelu plaży z widokiem na przystań, a teraz na hotelowym tarasie wesele trwało w najlepsze. Był wieczór i niebo rozświetlał jasny księżyc i migoczące gwiazdy. Ogień w kamiennym palenisku i grzejniki rozstawione jak lampy uliczne pomiędzy stolikami powstrzymywały chłodne powietrze od przedostania się do wnętrza eleganckiego namiotu. Olivia sfotografowała księżyc nad portem, małe świece i szklane misy pełne żurawiny na białych płóciennych obrusach, bukiet białych róż panny młodej leżący obok kieliszka szampana.

Weselnicy przenieśli się na parkiet, ale Olivia skierowała swoją uwagę na chłopca, który siedział sam przy stoliku na sześć osób. Wyglądał na siedem albo osiem lat, miał jasną czuprynę surfera i ubrany był w białą koszulę, spodnie khaki i marynarskie mokasyny. Wyglądał uroczo. Palcami wskazującymi zatkał sobie uszy, łokcie wystawił na zewnątrz i bujał się na swoim krześle to w przód, to w tył. Pstryk, pstryk, pstryk. Olivia zerknęła na wyświetlacz aparatu. Chłopiec patrzył w przestrzeń nieprzytomnym wzrokiem.

Zespół przestał grać *Love Shack* i do stolika wróciła matka chłopca, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Pocałowała go w czubek głowy. Pstryk. Pstryk. Pstryk. Wróciła na parkiet. Chłopiec zaczął dalej bujać się z palcami w uszach.

Zespół grał głośno. Ludzie musieli krzyczeć, żeby porozmawiać. Głos wokalisty wzmocniony przez mikrofon, dudniące basy, setki krzyczących ludzi, którzy chcieli coś przekazać swoim rozmówcom, tańce, światła, zapach ogniska – było tego za dużo. Mały chłopiec walczył ze szturmem bodźców, starając się, jak mógł, by je zablokować. Bujał się więc, by stworzyć własny bodziec, na którym mógłby się skupić, uspokajający ruch kołyski, to w przód, to w tył.

Do stolika przyszedł ojciec chłopca i usiadł przy nim. Pstryk. Pstryk. Pstryk. Ojciec skończył drinka i przeczekał kolejną piosenkę. Do stolika wróciła matka, spocona i szczęśliwa. Powiedziała coś do chłopca. On nadal się kołysał i nawet na nią

nie spojrzął. Kobieta pociągnęła męża za rękę. Uśmiechnął się. Pstryk. Pstryk. Pstryk. Wrócili na parkiet.

Olivia poczuła ucisk w żołądku i zdała sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywała oddech. Wypuściła powietrze. Wiedziała, co będzie dalej. Ten mały uroczy chłopiec w którymś momencie nie wytrzyma. To, co dla wszystkich było okazją do świętowania, dla niego stało się męczarnią. Nic, co działo się wokół niego, nie sprawiło mu przyjemności i Olivia pomyślała, że rodzice powinni byli zostawić go w domu z opiekunką albo wyjść wcześniej. Rozumiała jednak pragnienie, by go nie izolować, ubrać podobnie do innych zaproszonych na ślub chłopców i przyprowadzić ze sobą, zaryzykować jeszcze jedną piosenkę, pobawić się, być tu razem całą rodziną.

Wraz z Davidem przestali w końcu przychodzić z Anthonym na śluby, urodziny i przyjęcia, ponieważ było łatwiej i bezpieczniej zostawić go w domu, niż kusić los. Autyzm i hałaśliwe przyjęcia nie chodzą w parze i jeśli ci rodzice nie mieli zamiaru zaraz sobie pójść, ich też czekał przykry koniec wieczoru. W pewnym momencie bujanie się na krześle i zatykanie uszu palcami nie wystarczy i układ nerwowy chłopca, nie będąc w stanie znieść kolejnej sekundy tego harmidru, wywoła panikę. Chłopiec albo dostanie histerii, albo stąd zwieje. Walka albo uciezka.

Olivia założyła, że rodzice wiedzą, z czym igrają, i znów wstrzymując oddech, zaczęła im kibicować, mając nadzieję, że uda im się zatańczyć do końca choć jeszcze jedną piosenkę jako mąż i żona, zanim wybuchnie ta niewidzialna bomba, a miły wieczór na weselu zamieni się w nagłą ewakuację. Teraz jednak tańczyli, sprawiając wrażenie nieświadomych płonącego lontu.

Olivia zerknęła na zegarek. Robiło się już późno.

Dla odmiany zespół zaczął grać wolną piosenkę. Ojciec chłopca przyciągnął do siebie żonę a ona położyła mu głowę na ramieniu, tuż przy szyi. Kołysali się w przód i w tył, nieznacznie obracając wkoło, i mimo że na parkiecie było mnóstwo par, wydawali się skupieni całkowicie na sobie i na prostym rytmie, jaki stworzyli razem, jakby oprócz nich na świecie nie było nikogo. Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Olivia opuściła aparat i dalej przyglądała się parze już bez dzielącej ich maski obiektywu. Poczwała w gardle napływającą falę emocji i kilka razy przełknęła ślinę, żeby ją stłumić.

David.

Dlaczego oni tego nie zrobili? Dlaczego nie przytulili się do siebie i zapomnieli o bożym świecie? Dlaczego nie mogli pogodzić się z tym, na co nie mieli wpływu? Dlaczego nie mieli odwagi cieszyć się życiem, którego częścią był autyzm? Chciała tego i w końcu to do niej dotarło, ale było już za późno. Kiedy była gotowa zatańczyć, muzyka się skończyła.

Z powrotem skierowała wzrok na chłopca. Zniknął. Poczwała, jak panika wzbiera w każdej komórce jej ciała, na chwilę ją paraliżując, ale wtedy włączył się silny i dobrze

wytrenowany instynkt.

Gdzie są wyjścia? Spojrzała na hotelowe drzwi, które prowadziły na parking. Chciał pojechać do domu, a do tego potrzebny był samochód. Samochód był znajomy i bezpieczny. Ale chłopiec musiałby przecisnąć się przez tłumy ludzi przy toaletach i w głośnym lobby, a potem minąć konsjerża w recepcji.

Spojrzała w przeciwną stronę, jak najdalej od ludzi, namiotu i hałasów. Zauważyła krętą ścieżkę, która prowadziła do schodów na plażę i przystań. Gdyby tu był Anthony i nagle uciekł, tam właśnie by poszedł.

Olivia rzuciła wszystko i pobiegła. Z każdym krokiem jej szpiki zapadały się w miękką ziemię pod hotelowym trawnikiem, spowalniając ją. Zrzuciła buty i pobiegła bosą po zimnych kamiennych stopniach, modląc się do Boga, aby chłopiec był na plaży, kiedy tylko tam szybko dobiegnie.

ROZDZIAŁ 26

Beth wyglądała przez kuchenne okno, patrząc, jak Jimmy odjeżdża z dziewczynkami, i poczuła się opuszczona. Było późne sobotnie popołudnie i Jimmy wpadł jakąś godzinę wcześniej, powiedział, że ma wolne, i zaproponował, że zabierze córki na spacer po Bartlett Farm, a potem na obiad. Na początku wahała się, czy na to pozwolić, nie dlatego, że sama zaplanowała coś dla siebie i córek, ale dlatego, że nie została zaproszona.

I podczas gdy w minionych miesiącach taka niezapowiedziana wizyta Jimmy'ego rozłościłaby ją, dziś nawet ucieszyło ją jego towarzystwo. Przed wejściem do środka wytarł buty w wycieraczkę, zmienił spaloną żarówkę w żyrandolu w salonie, powiedział, że umówi im kominiarza, i zadawał dziewczynkom mnóstwo pytań o szkołę. Zadawał też mnóstwo pytań o autyzm i książkę, którą pisała Beth. Był skupiony, pomocny i szczerze zaangażowany w rozmowę.

Zanim odjechali, Jimmy z dumą powiedział Beth, że skończył pracę domową od doktora Campbella i wydawał się nieco rozczarowany, kiedy odparła, że jeszcze nie wzięła się do swojej. Musiała się tym w końcu zająć, choć wiedziała, że celowo tego unika. Unikała też odpowiedzenia sobie na pytanie, dlaczego to robi.

Znalazła kartkę papieru do drukarki i usiadła przy stole w kuchni. Narysowała dwie krzyżujące się linie, dzieląc kartkę na cztery pola i tytułując każdą z kwart: *Chciana. Szczęśliwa. Bezpieczna. Kochana*. Wzrok rozmył się jej od wpatrywania w kartkę. Postukała długopisem o zęby i na kilka minut odpłynęła myślami. Po chwili wyrwała się z tych marzeń i wróciła do zadania. *Chciana. Szczęśliwa. Bezpieczna. Kochana. Pusto. Pusto. Pusto. Pusto.*

Westchnęła, złożyła kartkę na cztery i włożyła ją do kieszeni. Zrobi to innym razem, pomyślała. Później.

Na szczęście ta pisarska blokada ograniczała się tylko do jej życia osobistego, a nie do jej wciąż niezatytułowanej powieści. Nadal niemal codziennie jeździła do biblioteki, co rano podekscytowana tym, że tam jest. Historia przychodziła jej do głowy z łatwością i Beth była dumna z tego, co zdołała już spisać, w pełni przekonana po sprawdzeniu dotychczasowego tekstu, że świetnie uchwyciła głos swojego fikcyjnego bohatera.

Rozmyślanie o swojej powieści, na dodatek z długopisem w dłoni sprawiło, że wzrosła w niej niemal kompulsywna potrzeba, by zacząć pisać. Zerknęła na zegarek, wyjrzała przez okno w kuchni i spojrzała na miejsce na podjeździe, gdzie jeszcze kilka minut temu stał pikap Jimmy'ego. Z nagłą determinacją wstała, wzięła klucze i torebkę i wyszła z domu. Zamiast odrobić pracę domową na terapię małżeńską, posprzątać albo przeleżeć resztę wieczoru na kanapie przed telewizorem, czekając na powrót córek, pojechała do biblioteki, żeby pisać.

Kiedy weszła na piętro, jej zapał osłabł. Przy jej zwykle pustym stole siedziały

cztery osoby. Eddy Antico z Izby Handlowej siedział na jej krześle, a Pamela Vincent czytała na głos z mównicy na podeście. Beth podeszła do Mary Crawford, która siedziała za biurkiem.

– Co się tu dzieje? – szepnęła Beth.

– Dwudziestopięciogodzinne czytanie *Moby Dicka*.

– Naprawdę? – zapytała Beth. – Ile już czytają?

Mary zerknęła na zegar i zaczęła po cichu liczyć.

– Sześć godzin i czterdzieści minut. Chcesz się dołączyć? Możemy cię wpisać na dowolną porę pomiędzy czwartą a szóstą rano.

Nie wątpię!

Mary pokazała Beth harmonogram. Rose Driscoll, przewodnicząca klubu ogrodników, która miała przynajmniej siedemdziesiąt lat, została wpisana na trzecią nad ranem. Mary Crawford wpisano na szóstą.

– Nie, dzięki – odpowiedziała Beth, próbując zachować powagę i jednocześnie nie mogąc sobie wyobrazić, dlaczego jakakolwiek zdrowa na umyśle osoba miałaby czytać *Moby Dicka* w miejskiej bibliotece o czwartej nad ranem czy jakiegokolwiek innej godzinie? To, co po sezonie mieszkańcy Nantucket uznają za rozrywkę, może się okazać bardzo subiektywną kwestią.

Beth rozejrzała się na próżno szukając sposobu, by mogła tu zostać i pisać. Bardzo nie chciała stąd iść. Mogła spróbować usiąść na dole, w kawiarni albo przy stole kuchennym w swoim cichym domu, ale w kwestii pisania stała się bardziej przesądna niż gracz przed najważniejszym meczem sezonu. Musiała być w bibliotece i siedzieć przy długim stole na krześle najbliższym podestu, z twarzą zwróconą w stronę okna. Wiedziała, że jej niezachwiana wiara w kombinację tych określonych warunków mogłaby posłużyć jako podstawa diagnozy psychiatrycznej, co pewnie i tak nie miało najmniejszego znaczenia, ale mimo to wierzyła w nią. Była prawdziwa. To w tamtym miejscu czuła inspirację. Tam przychodziły do niej opowieści o Anthonym. Tam zdarzały się wyjątkowe rzeczy.

Niechętnie wyszła na zewnątrz i zasunęła zamek w kurtce. Zawahała się przy drzwiach do samochodu. Przyjechała do centrum i nie chciała od razu zawrócić i pojechać do domu, niczego nie osiągnąwszy. Co innego mogłaby zrobić? Może Georgia była w Blue Oyster? Może dałaby się namówić na drinka w hotelowym barze? Doskonały pomysł.

Beth prężnym krokiem przeszła cztery przecznice, ciesząc się na spotkanie z Georgią i z martini w dużym kieliszku, jednak kiedy dotarła na posesję Blue Oyster, zauważyła ceremonię ślubną na ich małej plaży i zatrzymała się, rozczarowana. Ślub oznaczał, że Georgia będzie potwornie zajęta i nie znajdzie czasu na drinka. I co teraz? Przejechała już i przeszła taki szmat drogi.

Zobaczyła Georgię stojącą w oddali za dwoma rzędami białych składanych krzeseł i postanowiła podkraść się bliżej i przynajmniej dyskretnie się przywitać.

– Hej – szepnęła Beth do przyjaciółki, stając tuż przy niej.

– Hej! – szepnęła Georgia.

Na twarzy Georgii widniał podziw i ckliwa radość. Delikatnie ocierała łyż chusteczką.

– Sami napisali tekst przysięgi. Uwielbiam, kiedy pary to robią.

Beth spojrzała na pannę młodą i pana młodego wytyżając słuch. Słyszała głos pana młodego, ale ponieważ był zwrócony w przeciwną stronę, nie mogła rozszyfrować pojedynczych słów. Panna młoda promieniała na twarzy. Beth zastanowiła się, czy jej twarz wyglądała podobnie, kiedy wychodziła za Jimmy'ego. Miała nadzieję, że tak. W dzień swojego ślubu cała promieniała. Ale w którymś momencie ich małżeńskiego życia, trudno było jej dokładnie określić w którym, jej promienność znikła. Jimmy miał rację. Od dawna nie cieszyła się na jego widok. W łóżku, na kanapie, przy kuchennym stole, kiedy przekraczała próg domu – żadnej promienności. Czy była w stanie odzyskać tę promienność, czy może ona i Jimmy pozbyli się jej na dobre? Czy dziś poczuła nieśmiały powrót promienności?

Spojrzała na Georgię, która również nie była w stanie rozszyfrować słów pana młodego, a mimo to z każdą sekundą rozpromieniała się coraz bardziej. Georgii jednak niewiele było trzeba. Potrafiła się rozpromienić przy reklamie karmy dla kotów.

– Powinam już iść – powiedziała Beth.

– Dlaczego? Zostań. Niedługo będę wolna i skoczmy na drinka.

– Dobrze – powiedziała Beth z uśmiechem, zadowolona, że przyjaciółka czytała w jej myślach.

Młoda para pocałowała się i wszyscy zaczęli klaskać.

– Chodź ze mną. Muszę ich wszystkich przegonić na taras.

Georgia wprowadziła gości pod namiot na tarasie, gdzie roznoszono przystawki i szampana i gdzie rozbrzmiewała grana na żywo muzyka. Państwo młodzi nadal byli na plaży i pozowali do zdjęć. Beth i Georgia stanęły na tyłach tarasu, za parkietem i stolikami, blisko drzwi prowadzących do hotelu.

– Poczekamy na młodych. Muszę dopilnować, by wszystko się rozkręciło, zanim pójde.

– W porządku.

– Ceremonia była przepiękna, prawda?

– Tak. Mam wrażenie, że mój ślub z Jimmym odbył się sto lat temu.

Sto lat i jeden dzień.

– Jak się wam układa?

– Nie wiem. Chodzimy do doktora Campbella. Ale mimo to nie wiem. Jak myślisz, co powinnam zrobić? – zapytała Beth, znając już odpowiedź Georgii.

– Jeśli jesteś w stanie mu wybaczyć, to ja przyjąłabym go z powrotem.

– Co? Wobec swoich byłych nie byłaś taka łaskawa!

– Wiem, ale żałuję tego. Szkoda, że nie wiedziałam, jak kochać mimo trudności. Nigdy nie doznałam takiej miłości, która wszystko zwycięża. Żałuję, ale wydaje mi się, że nie mam jej w sobie. Nie potrafię kochać bez względu na wszystko.

Georgia zawsze pragnęła żyć długo i szczęśliwie jak w bajce. Ale jak do tej pory jej „książęta” nie posiadali charakteru i odporności, jakiej trzeba, aby osiągnąć bajkowe zakończenie. Księżę z bajki nie sypia z miejscową puszczałką, nie ma w zwyczaju wypijać sześciu piw przed obiadem i nie przestaje interesować się swoją ukochaną. Ale nawet po czterech nieudanych księżętach, Georgia nadal w głębi duszy wierzyła, że małżeństwo może być jak film produkcji Disneya. Gdyby tylko znalazła odpowiedniego księcia.

A w co wierzyła Beth? Czy wierzyła w to, że Jimmy już nigdy jej nie zdradzi? Wierzyła, że czeka ją jej własne, szczęśliwe zakończenie? Czy będzie w nim Jimmy? Czy Beth wierzyła w miłość?

– Ja też nie wiem, czy potrafię.

– Pamiętaj, że ja nigdy nie musiałam brać pod uwagę dzieci, więc mnie łatwiej było zakończyć związek i nie oglądać się za siebie.

– Nie mogę z nim zostać wyłącznie ze względu na dzieci, prawda?

– Nie, nie możesz. Myślę jednak, że powinnaś poświęcić więcej czasu na ratowanie tego związku.

– Czyli ty przyjąłabyś go z powrotem – powtórzyła dla pewności Beth, nie dowierzając.

Georgia przechyliła głowę, jakby naprawdę się nad tym zastanawiała, szybko przestała się jednak zgrywać i roześmiała.

– Nie, nie mogłabym tego zrobić. Rozwiedlibyśmy się. Ale nie mówię, że znam wszystkie odpowiedzi.

Beth mogła dyskutować o tym, czy praca nad jej małżeństwem to słuszna rzecz. Mogłaby wybaczyć Jimmy'emu i wszystko wróciłoby do normy. Przebaczenie wydało się jej dobrą opcją. Cudownie byłoby znów żyć normalnie. Dziewczynki odzyskałyby ojca. Zasługiwały na to, by z nim mieszkać. Byłaby to jedna z tych pozbawionych egoizmu decyzji, jakie dla swoich dzieci podejmują matki. Beth byłaby bardzo wspaniałomyślna.

Weź go ze względu na dzieci!

Jednak głos przeciw przyjęciu Jimmy'ego pieklił się w jej głowie, a ostre słowa drapały jakąś wewnętrzną membranę jej zranionego serca, ledwie mieszczącego mściwość i nienawiść do samej siebie.

Żarty sobie robisz? Jeśli nie rozwiedziesz się z tym pajacem, będziesz żalowaną, tchórzliwą, męczennicą bez poczucia własnej wartości.

Beth wyobraziła sobie, jak w bibliotece, kiedy Eddy Antico siódmą godzinę czytał *Moby Dicka*, Pamela Vincent szepcze do Debbie McMahon: „Słyszałaś, że Beth i Jimmy Ellis zeszli się po tym, jak on zdradzał ją przez rok? Co za idiotka!”.

Wyobraziła sobie, jak Jill i Courtney plotkują nad wielkimi kieliszkami chardonnay. *Biedne dziewczynki będą wychowywały się bez ojca. Beth nawet nie dała mu szansy. Wszyscy jesteście tylko ludźmi. Popęlniamy błędy.*

I tak martwiła się, że wszyscy będą ją oceniać. Pokręciła głową i zamknęła oczy, próbując ignorować wszelkie argumenty na temat tego, co POWINNA zrobić i co myślą inni, nawet jej dzieci, oczyścić umysł i skupić się na swoim wnętrzu, aby odkryć w głębi swojego niegdyś promieniejącego serca to, co dla niego ważne. Było to właściwie proste pytanie.

Czy kocha Jimmy'ego na tyle, by przyjąć go z powrotem?

Otworzyła oczy. Państwo młodzi mieli swoje wielkie wejście i teraz tańczyli pierwszy taniec jako mąż i żona. Beth widziała po twarzy pana młodego, że jest spięty i skupiony, a ruch pary na parkiecie trudno było określić jako płynny, co wynikało pewnie z za małej liczby lekcji, ale sam wysiłek mimo tego, jak niezgrabnie wyglądali, był uroczy. Beth i Jimmy nie próbowali nawet nauczyć się kroków na ich wesele. Bujali się po prostu z boku na bok jak para nastolatków na szkolnej dyskotece.

Panna młoda wygląda na odprężoną i rozpromienioną. Jej niezdarny mąż pewnie nienawidził każdej sekundy ich cotygodniowych lekcji, ale tańczył z nią. Zrobił to, ponieważ ją kocha. Był skłonny zrobić z siebie pajaca na oczach setki gości, żeby uszczęśliwić swoją ukochaną. Za dziesięć lat dziewczyna będzie miała szczęście, jeśli jej mąż będzie skłonny założyć w toalecie nową rolkę papieru albo użyć talerza.

– Uwielbiam facetów, którzy umieją tańczyć – powiedziała Georgia.

– Trochę mu brakuje do Geeneà Kelly'ego.

– Stara się. Mnie się podoba.

Po pierwszym nastąpiły kolejne, bardziej tradycyjne tańce – panna młoda z ojcem (który też nie był najlepszym tancerzem), pan młody z mamą, a potem pan młody z babcią, co wywołało u Georgii jeszcze większy zachwyt. Gdyby nie to, że dopiero co się ożenił, wzięłaby go na celownik. Potem już wszyscy mogli wejść na parkiet. Pięciosobowy swing band grał głośną, radosną muzykę. Nie będąc w stanie usłyszeć się nawzajem, Beth i Georgia przestały rozmawiać. Georgia zerknęła na zegarek. Pochwyciła z tacy z szampanem dwa kieliszki.

– Masz. Napij się i poczekaj tu na mnie! Muszę się zająć jeszcze jedną szybką sprawą, a potem idziemy!

– Okej!

Beth oparła się o ścianę i popijając szampana, przyglądała się ludziom. Kiedy została sama, poczuła lekkie skrępowanie, bo miała na sobie dzinsy, a znajdowała się na eleganckim weselu, na które nie została zaproszona. Unikała kontaktu wzrokowego z jednym z gości, który minął ją po drodze do toalety, w nadziei, że nikt jej nie zagadnie ani nie zapyta, skąd zna państwa młodych, a tym bardziej – Boże broń – nie poprosi jej do tańca.

Zacząła przyglądać się małemu chłopcu, który siedział sam przy jednym ze stolików na przodzie. Zatykał sobie uszy i bujał na krześle. Autyzm. Teraz wiedziała o autyzmie wystarczająco dużo – zarówno z książek, które przeczytała, i z książki, którą pisała – żeby go rozpoznać. Tak jak z trudnymi, nieznanymi jej słowami, kiedy się ich w końcu nauczyła, widziała je wszędzie.

Jej pisarstwo umożliwiło jej jednak więcej niż umieć rozpoznać chorobę. Teraz, gdy zauważała dziecko z autyzmem, tak jak tego małego ślicznego chłopca przy stole, czuła z nim pełną współczucia więź, miała dla niego miejsce w swoim sercu, jakby byli przyjaciółmi, których połączył jakiś sekret. Zanim zaczęła pisać swoją powieść, popatrzyłaby na takie dziecko i pomyślała: *Wydaje się dziwny. Z tym dzieckiem coś jest nie tak. A potem celowo odwróciłaby wzrok.* Teraz patrzyła na niego z uśmiechem i pomyślała: *Wiem, tu jest zdecydowanie za głośno. Sama też chcę się stąd wydostać.*

Rodzice chłopca co chwilę sprawdzali, jak się trzyma, ale maluch nie zwracał na nich uwagi. Grzeczny chłopiec. Był sprytny. Gdyby ich zauważył, gdyby zaczął słuchać tego, co mają do powiedzenia, gdyby choć uchylił drzwi i wpuścił do środka bodźce spoza siebie, drzwi mogłyby się z impetem otworzyć i wtedy trąbka i puzon, i śpiew i tysiące innych agresywnych dźwięków dostałyby się do niego tabunem wraz z głosami rodziców. A to by była katastrofa.

Zaczął się kiwać coraz szybciej. Jego oczy zaczęły spoglądać na boki. Jego mechanizmy obronne nie działały jak trzeba. Zaczynał zbliżać się do granic swojej wytrzymałości. Beth to czuła.

Tak jak przewidziała, zeskoczył z krzeselka i uciekł. Wybiegł spod namiotu na trawnik i zniknął w ciemności, Beth rozejrzała się po parkiecie, aż zauważyła jego rodziców pogrążonych w objęciach, tańczących wolno, niczego nieświadomych.

Bez chwili zastanowienia Beth odstawiła kieliszek szampana i pobiegła za nim. Szybko biegł po kamiennej ścieżce prowadzącej na plażę, gdzie odbyła się uroczystość. Kiedy zwolniła na kamiennych stopniach, uważając, żeby z nich nie spaść, chłopiec zniknął jej z oczu, ale Beth powtarzała sobie, idąc dalej, że malec będzie na plaży i nigdzie nie ucieknie. Jeśli nie na plaży, równie dobrze mógłby być wszędzie.

Zobaczyła go, kiedy stanęła na piasku. Wszedł po kolana do wody. Zanurzał rączki pod powierzchnię, po czym szybko je unosił, rozbryzgując krople na wszystkie strony. Uśmiechał się i piszczał, machając mokrymi rączkami i strząsając wodę z mokrych palców. Znów zanurzył ręce w spokojnej tafli, rozbryzgując wodę jeszcze silniej. Pisnął i roześmiał się. I zaczął od nowa.

Beth stała z rękami na biodrach, próbując wyrównać oddech. Czuła ulgę, że pogoń ustała, a chłopiec jest bezpieczny, nie wiedziała tylko, co ma robić dalej. Żałowała, że nie powiedziała nic rodzicom, zanim wybiegła, ale teraz pewnie już zauważyli, że go nie ma. Po prostu zostanie tu z nim, aż ich znajdą.

Chłopiec przechadzał się wzdłuż brzegu i wydawało się, że nie chce uciekać ani wchodzić głębiej do wody. Dobrze. Beth nie miała ochoty na kąpiel w zimnym oceanie, gdyby przyszło jej ratować tonącego malca. Nie przeszkadzała mu obecność Beth, która stała teraz blisko niego. Nadal bawił się wodą, kiedy Beth usłyszała, jak ktoś idzie ścieżką w ich stronę. Odwróciła się, spodziewając się rodziców chłopczyka, ale była to jakaś kobieta. Beth знаła ją, ale może dlatego, że spodziewała się kogoś innego, nie od razu uświadomiła sobie kto to. Zaświtało jej, kiedy zobaczyła w dłoni kobiety aparat fotograficzny. To Olivia.

Olivia podbiegła od razu do tafli wody. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Chłopiec jednak popiskiwał radośnie. Miał się świetnie. Olivia zatrzymała się nad brzegiem wody i zaczęła ciężko dyszeć, podpierając się rękami na biodrach i uśmiechając się, choć po policzkach spływały jej łzy.

– Olivia.

Olivia złękła się i z wrażenia położyła dłoń na piersi.

– O Boże, Beth, nie zauważyłam cię – powiedziała, ocierając łzy z oczu i twarzy.
– Znasz jego rodziców?

– Wiem, którzy to, ale nie znam ich.

– Tak samo jak ja. Pobiegniesz po nich, a ja z nim zaczekam? – zapytała Olivia.

Beth przytaknęła, ale ledwie zdołała się odwrócić, a na końcu kamiennej ścieżki pojawili się rodzice chłopca. Jego matka, bosa, wbiegła prosto do zimnej wody, mocząc sobie rąbek czarnej sukienki.

– Owen! Musisz przestać nam uciekać! Nie chcemy cię zgubić!

Podniosła synka, chwytając go pod pachami, i obróciła nim wkoło, przeciągając jego stopami po tafli wody, jakby rysowała koło. Na twarzy chłopca malowała się czysta radość.

Szczęście.

Olivia popatrzyła na nich przez obiektyw.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

– Dziękuję, że się nim zaopiekowałyście – powiedział ojciec do Olivii i Beth. – Byłem pewien, że jest na parkingu.

– Nie ma problemu – odpowiedziała Beth.

Beth, ojciec chłopca i Olivia stali koło siebie przez następnych kilka minut w poczuciu cichej ulgi, patrząc, jak chłopiec wraz z mamą pluskają się w wodzie, obracają i śmieją w jasnym świetle księżyca. Promienieli.

Miłość.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

– Tu jesteś!

Beth odwróciła się przez ramię i zobaczyła Georgię, która machała do niej, stojąc na krawędzi ostatniego kamiennego stopnia. Zdjęła buty i podeszła do małej i dziwnej grupki. Po jej twarzy można było poznać, że ma problem z domyśleniem się, co tu

robią.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Jak najbardziej – odparł ojciec, ściągając buty i podwijając nogawki. – Wszyscy mamy się świetnie.

Bezpieczeństwo.

– Świetnie – odparła Georgia.

Matce pewnie zakręciło się w głowie, bo przestała się obracać i stała teraz za swoim synem, który nadal rozchlapывał wodę. Ojciec podszedł do nich i wziął żonę za rękę.

Bycie chcianą.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Szczęście. Bycie chcianą. Bezpieczeństwo. Miłość. Tak łatwo przyszło jej rozpoznać te wartości, niezbędne składniki udanego związku, w rodzinie, która przed nią stała. Widziała je w małym chłopcu z autyzmem tak wyraźnie jak jasny księżyc na nocnym niebie, a mimo to nie mogła sobie wyobrazić, jak te składniki wyglądają w niej.

– Myślałam, że mnie olałaś – powiedziała Georgia.

– W życiu. Możemy iść? – odparła Beth.

– Tak, chodźmy.

Zanim weszły na kamienną ścieżkę, Beth obejrzała się w stronę przystani, żeby pożegnać się z Olivią, ale ta przykucnęła nad brzegiem wody, robiąc zdjęcia chłopcu i jego rodzicom. Beth postanowiła jej nie przerywać. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak piękne będą te zdjęcia. Nie mogła się doczekać własnych portretów. Niedługo miały być gotowe. Ostatnio chciała nawet o nie zapytać.

Kiedy szły do hotelu Beth zaczęła się zastanawiać, co skłoniło Olivię, by pobiec za chłopczykiem. Pewnie zaniepokoiła się jak każdy dorosły, który zobaczyłby małe dziecko biegnące samotnie w stronę oceanu. Jednak idąc z Georgią po hotelowym trawniku, przypomniała sobie spanikowany wzrok Olivii i łzy na jej bladej twarzy, zaczęła więc podejrzewać, że mogło chodzić o coś więcej.

Zapyta ją, kiedy spotkają się znowu.

ROZDZIAŁ 27

Beth cały ranek szykowała się do wyjścia, nie mogąc się doczekać, kiedy znajdzie się w bibliotece, ale w domu miała zbyt wiele obowiązków. Teraz była na meczu piłkarskim Jessiki. Jimmy też tam był. Sam. Stojąc obok siebie w całkowitej ciszy, oboje obserwowali córkę, która biegała po boisku w tę i z powrotem, wzdłuż linii bocznej.

– Jak idzie książka? – zapytał w końcu Jimmy, nadal wpatrując się w boisko.

– W porządku. Nabiera kształtów – odparła Beth, nie odwracając wzroku od meczu, ale nie dlatego, że bała się przegapić jakiś moment gry.

– To świetnie. To naprawdę świetnie, że znów piszesz. Jestem z ciebie dumny.

– Dzięki – odpowiedziała na ten niespodziewany komplement.

Beth popatrzyła na Jimmy'ego. Patrzył na nią, a nie na mecz, i uśmiechał się.

– Bardzo chciałbym ją przeczytać.

Beth oblał gorący rumieniec i spuściła wzrok. W pisanie wkładała całą swoją duszę i serce, w jednej opowieści splatając wszystko, co czuła. Nagłe i nieprovokowane zainteresowanie Jimmy'ego jej książką i nią samą sprawiło jej radość. Ale myśl o tym, że Jimmy czytałby o tym, co gra jej w duszy, o tym, że miałyby się przed nim tak bezwstydnie i całkowicie odsłonić, dotknęła miejsca głęboko w niej, które nie było jeszcze na to gotowe. *Zaufanie*.

Podniosła wzrok i gdy spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się nieśmiało, po czym znów skupiła uwagę na drużynie.

Kiedy mecz się skończył, Jessica pojechała z Jimmym, a Beth udała się prosto do biblioteki. Poszła na piętro i zerknęła za drzwi. Eddy Antico i Pamela Vincent zniknęli. Nikt nie czytał *Moby Dicka*, a jej miejsce było puste.

Wczoraj w nocy śniła jej się jej książka. Beth wstała rano, mając w głowie w pełni uformowany rozdział, dopracowany w najmniejszych detalach, który czekał na nią jak prezent. Na początku była zachwycona, z każdą sekundą jednak wzrastał w niej niepokój, że słowa w jej głowie istnieją jako myśl, a nie atrament na papierze, i mogą się z niej szybko ulotnić. Otworzyła notatnik, ściągnęła skuwkę z długopisu i zaczęła pisać tak szybko, jak potrafiła, by pozwolić płynąć słowom, zanim znikną.

Moim jedynym imieniem jest Anthony. Kiedy byłem młodszy, wydawało mi się, że mam dwa: Anthony i TY.

Mama i tata mówili na przykład:

Chodź tu, Anthony.

Chcesz wyjść na dwór?

Gdzie TY idziesz?

Anthony, tu masz soczek.

Ja mam kawę, a TY soczek.

Powiesz auto?

Anthony, powiedz auto.

Ale TY jesteś cichy.

Anthony, włóż buciki.

Jeden włożę ja, a drugi TY.

Zrób to, Anthony.

Łatwo zauważyć przyczynę mojego początkowego zagubienia. Te drobne słówka-przezwise – Ty, Ja, My, Wy, On, Ona, Oni, nadal mącą mi w głowie, ale raczej nie mam z nimi problemu, choć ich nie lubię. Te przezwise zależą od sytuacji, a ja nigdy nie lubiłem rzeczy, które zależą od sytuacji.

Dlatego lubię liczby. $6 + 3 = 9$. Zawsze. $6 + 3$ pringlesy, $6 + 3$ pączki albo $6 + 3$ kamyki w szeregu, albo $6 + 3$ srebrne minivany na parkingu. Odpowiedź zawsze brzmi 9. Zawsze.

Ale TY może oznaczać Anthony'ego albo mamę, albo tatę, albo Danyel, albo zupełnie obcą osobę na parkingu.

Co TY tam masz?

TY to moja mama, jeśli mówi do niej tata, ale TY to też Danyel, jeśli mówi do niej mama, ale jeśli w domu są i tata, i Danyel, to każde z nich może być TY i nie wiem, o kim mowa. Więc właściciel TY zależy od tego, kto mówi i do kogo. Tak jak powiedziałem, TY zależy od sytuacji. TY podlega Zasadzie Zależności, a ja nie lubię takich zasad. Lubię „Zasady Niezmienności”, które zawsze są takie same bez względu na to, gdzie jesteś albo kto mówi.

Zasady niezmienności są najlepsze bo zawsze polegają na czymś, co nazywa się przyczyna i skutek, a dzięki nim jestem spokojny i szczęśliwy. Kiedyś myślałem, że zasada niezmienności dotyczy włączników światła. Pstryknąłem raz, światła się włączały, pstryknąłem drugi raz, wyłączały się. Bez końca. Zawsze.

Do czasu aż włączniki światła przeszły pod zasadę zależności. Zeszłej zimy przyszła wielka burza i „wyłączono prąd”, i choć pstrykałem wszystkimi włącznikami w domu nic się nie działo. Światła pozostały wyłączone.

Okazuje się więc, że włączniki światła nie kwalifikują się do Zasady Niezmienności, którą lubię, tylko do Zasady Zależności. Pstryczek włączy światło, pod warunkiem że prądu nie ukradła wielka burza. Włączniki światła zależą od pogody. Po wielkiej burzy ostatniej zimy przestałem tak bardzo lubić włączniki.

Oczy także podlegają Zasadzie Zależności. Oczy mogą być wesołe albo wściekłe, albo zainteresowane, albo smutne, mogą być obudzone albo spać, ożywione albo zmęczone, mogą na coś patrzeć albo nie. Czasem oczy płaczą. Oczy zawsze są inne w zależności od sytuacji. Czasem, kiedy jadę z mamą do sklepu spożywczego, jej oczy są jasne i błyszczące, ale innym razem, kiedy jedziemy, są zmęczone. A czasem w kościele jej oczy są szczęśliwe, a innym razem jej oczy płaczą. Więc nawet po tej samej sytuacji nie jestem w stanie poznać, co robią jej oczy. Dlatego nie lubię oczu.

Rzeczy podlegające zasadzie zależności jak TY i włączniki światła są złe, bo nie

można im ufać. Nie mogę wiedzieć na pewno, co zdarzy się dalej z TY, włącznikami światła i oczami, co oznacza, że WSZYSTKO może się zdarzyć, a wszystko to trochę za dużo. Kończy się na tym, że włączę się po korytarzach w mojej głowie, nie wiedząc, do którego pokoju mam wejść i jestem przerażony i zagubiony. Zwykle kończy się na tym, że gdy mam do czynienia z Zasadą Zależności, chowam się w kącie w Pokoju Strachów.

Unikam więc Zasady Zależności, w tym oczu i włączników światła. Nie da się jednak uniknąć przezwisk takich jak TY. TY są wszędzie, musiałem się więc nauczyć je akceptować.

Właściwie to lubię tylko Zasadę Niezmienności. Lubię przyczynę i skutek. Coś, przez co dzieje się coś innego, i wiem, że to na pewno się stanie, jeszcze zanim się stanie, ponieważ zawsze się staje. To mi sprawia przyjemność.

Kiedy coś podlega Zasadzie Zależności, wszystko może się zdarzyć, a to mnie przeraża. Sprawia, że krzyczę i płaczę.

Podobno mam coś, co nazywa się AUTYZM. Mama i tata nie rozumieją przyczyny mojego autyzmu, i to ich przeraża. Sprawia, że krzyczą i płaczą. Pewnie lubią przyczynę i skutek, i Zasady Niezmienności tak samo jak ja.

Bycie chłopcem nie ma związku z autyzmem, bo większość chłopców nie ma autyzmu, za to mają go niektóre dziewczynki. Szczepionki nie oznaczają, że będzie się miało autyzm, bo wiele chłopców i dziewczynek dostaje szczepionki, a nie mają autyzmu. Posiadanie autyzmu musi więc podlegać Zasadzie Zależności. Autyzm nie jest jak matematyka. Autyzm jest jak TY i zależy od sytuacji. Unikam więc myślenia o autyzmie, bo nie lubię Zasad Zależności.

Całe to rozmyślanie o TY, włącznikach światła, oczach i autyzmie sprawia, że kręcę się po korytarzach. Idę teraz do Pokoju Liczb.

Liczę płytki na podłodze w kuchni. Sto osiemdziesiąt. Na podłodze w kuchni zawsze jest sto osiemdziesiąt płytek. To się nigdy nie zmienia.

Niezmiennność sprawia, że czuję się dobrze.

Niezmiennność sprawia, że czuję się bezpiecznie.

Niezmiennie.

ROZDZIAŁ 28

Olivia siedziała na fotelu w salonie z jednym z dzienników na kolanach i patrzyła przez okno na drzewa za domem. Nie lubiła tutejszych wirginijskich sosen i dębów. Były za smukłe i za niskie. Wydawały się łamliwe i wyniszczone, jakby były niedożywione albo chore. Drzewa na jej podwórku w Hingham to dopiero były drzewa – wielkie, kilkusetletnie dęby o pniach tak grubych, że można się było za nimi schować, i gałęziach, które rozpościerały się po całym niebie. O tej porze roku liście zawsze były czerwono-złote i zachwycające. Westchnęła i popatrzyła na rudobrzowe liście na niewielkich przykurczonych dębach na swoim podwórku, marząc o jesieni w Hingham.

1 września 2006

Chyba chcę przerwać terapię behawioralną Anthony'ego. Wiem, że pomogła w wielu kwestiach. Jego zakres uwagi się wydłużył. Dzięki temu nauczył się, jak wysiedzieć na miejscu, układać puzzle, klocki, ubierać się, myć zęby.

Muszę przyznać, że terapia naprawdę działa. Anthony wykonuje polecenia albo coś zbliżonego do tego, o co prosiliśmy, a my go pozytywnie wzmacniamy. Dostaje nagrody za dobre zachowanie. Za ułożenie kawałka puzzli – pringles. Za włożenie głowy we właściwy otwór w koszulce – pringles. Za nałożenie butów – pringles.

Na początku nie podobał mi się pomysł takiej terapii. Naukowcy zastosowali w niej to samo warunkowanie, co w przypadku gołębi, które dziobały w guzik, żeby dostać ziarno. Anthony to chłopiec mieszkający w swoim domu, a nie gołąb w klatce. Ale to podziałało. Dzięki terapii Anthony zyskał mnóstwo umiejętności, a bardzo się martwiłam, że nigdy ich nie opanuje.

Jednak ostatnio zamiast dodawać nowe umiejętności, Carlin zaczęła koncentrować się na usunięciu niepożądanych zachowań. Nazywa to „tłumieniem”. Ten termin ani trochę mi się nie podoba. Wyobrażam sobie świecę płonąącą na pomarańczowo we wnętrzu mojego synka, na którą Carlin dmucha i chucha jak zły wilk, próbując ją zgasić. Próbując go stłumić.

Pracowali wspólnie nad tym, by pozbyć się najewidentniej autystycznych zachowań Anthony'ego, głównie stymowania, które najbardziej przeszkadza w tym, by funkcjonował i zachowywał się normalnie. Machanie dłońmi jest tu największym winowajcą. „Ręce w dół”. Carlin mówi tak za każdym razem, kiedy Anthony zaczyna nimi wymachiwać. Carlin ściąga mu ręce do dołu, żeby mu pokazać, o co chodzi, a jeśli Anthony utrzyma je przez choćby sekundę – pringles.

Oficjalne uzasadnienie „tłumienia” machania rękami – to jego substytut.

Anthony macha rączkami, zamiast mówić, żeby przekazać, czego chce lub co czuje. Jeśli pozbędziemy się tego machania, będzie musiał znaleźć jakiś inny sposób, miejmy nadzieję - słowa, żeby się porozumieć.

Ukryta motywacja, by próbować pozbyć się machania rączkami, jest taka, że to po

prostu wygląda dziwnie. To wszystkim daje cynk. Anthony wygląda jak normalne, może lekko zdystansowane i ciche dziecko, dopóki nie zacznie się wymachiwanie. Wtedy zauważam spojrzenia innych. Z tym dzieckiem jest coś nie tak. Rodzicie starają się, by wraz z dziećmi zachować odpowiedni dystans, kiedy tylko zobaczą, jak macha rączkami. Jakby to było zaraźliwe.

Kiedy Carlin po raz pierwszy podjęła temat planów stłumienia ruchu rąk Anthonyego, coś we mnie zaczęło się buntować, ale nie wiedziałam wtedy, jak wyjaśnić mój opór. A na dodatek rozmawiałam z ekspertem. Wiedziała, co robi. Zgodziłam się więc i nawet rzuciłam dowcip.

Jest z pochodzenia Włochem. Oczywiście, że mówi rękami.

Carlin uśmiechnęła się, po czym zaczęła przedstawiać mi punkt po punkcie dokładny plan wyciszania gestykulacji Anthonyego.

Chodzi mi tylko o to, że nie uważam, żeby machanie rączkami było substytutem. Nie uważam, że gdyby tylko Anthony przestał machać rękami, to zaczęłyby z nami rozmawiać. Nie umie mówić i dzięki Bogu macha rękami. Anthony komunikuje się przez swoje falujące i tykające piski oraz machanie. Tak mówi nam, czego chce i jak się czuje. Zgoda, to ograniczony sposób komunikowania się, ale tyle ma. A ja stałam się dość biegła w tym przedziwnym języku. Wiem, kiedy jego ręce mówią: Ale fajnie ! albo W życiu nie widziałem czegoś tak pięknego , albo Nie podoba mi się to, co się tu dzieje, albo Jest za głośno, albo Chcę się jeszcze bujać, albo Chcę do domu! Jak w przypadku każdego języka rodzaj i intensywność ruchu plus kontekst komunikują konkretne znaczenie.

„Ręce w dół”. Czy nie tłumimy bardzo cichego szeptu? Czy nie powinniśmy robić czegoś odwrotnego? „Rączki, powiedzcie nam więcej!”.

Kolejne zachowanie do stłumienia to jego obsesja na punkcie Barneya. Anthony nadal upiera się, żeby bez przerwy go oglądać. Jeśli spróbuję zająć go czymś innym, zanim skończy, albo jeśli wyłączę telewizor, bo musimy wyjść z domu albo nadeszła pora na jego terapię, zaczyna szaleć. „Wytrwałość”, „uzależnienie” i „obsesja” to słowa, których jego terapeuci, nauczyciele i lekarze używają, więc i ja ich używałam. I znów, jak w przypadku teorii, że pozbycie się gestykulacji Anthonyego może go zmusić do użycia głosu, w tym przypadku liczymy na to, że przez eliminację zainteresowania Anthonyego Barneyem zrobimy miejsce na inne, bardziej stosowne do wieku zainteresowania.

Na początku byłam za. Barney doprowadza mnie do szału. Chciałabym, żeby Anthony o nim zapomniał, nawet gdyby miał się nabawić nowej obsesji. O wiele bardziej lubię jego obsesję na punkcie kamieni. Przynajmniej dzięki temu dużo czasu spędzamy na plaży, a mnie sprawia przyjemność szukanie tam kamyków, więc w pewnym sensie jest to aktywność, którą wykonujemy razem. Nie rozumiem, na czym polega radość, jaką czerpie z ustawiania ich w rzędy, ale kamyki mi nie przeszkadzają. Ale fioletowego śpiewającego dinozaura pozbyłabym się bez żalu.

Zastanawiałam się nad naszym udziałem w obsesji na punkcie Barneya. Kupujemy DVD z nim, nagrywamy programy telewizyjne i przynajmniej raz dziennie zachęcamy Anthony'ego, żeby obejrzał ten program, bo potrzebujemy trzydziestu minut spokoju. A dzisiejsza technologia jest pożywką dla jego autyzmu. Kiedy byłam dzieckiem, nie było odtwarzaczy DVD, filmów na życzenie ani dekodatorów z nagrywarką. Założę się, że gdyby tak było, miałabym obsesję na punkcie Dźwięków muzyki albo Czarnoksiężnika z Oz. Łatwo więc wspomóc tego typu uzależnienie. A ja byłam dilerem Anthony'ego i z radością dostarczałam mu codzienną dawkę jego ulubionego narkotyku.

Carlin powiedziała, że możemy zrezygnować z Barneya z dnia na dzień. Możemy po prostu wyrzucić wszystkie DVD z Barneyem, przestać nagrywać programy, usunąć te, które już mamy, wyrzucić kocyk i wszystkie zabawki Anthony'ego. To zakończy sprawę. Carlin mogła też pracować z Anthonym, stosując terapię behawioralną, żeby go odzwyczaić. To wydało mi się bardziej ludzkie. Leczenie metadonowe na odwyku od Barneya.

Ale wczoraj, kiedy dostał histerii przed czarnym ekranem telewizora, bo Carlin zabrała mu pilota, coś przyszło mi do głowy. Stosunek Anthony'ego do Barneya nazywaliśmy „uporem”, „obsesją”, „uzależnieniem”. A gdyby nazwać go „miłością”?

Kiedy obserwuję Anthony'ego, kiedy ogląda Barneya, widzę jego uwielbienie. Na jego ślicznej buzi maluje się zachwyt i radość za każdym razem, gdy tylko fioletowy pluszak zamienia się w ogromnego żywego Barneya. Anthony piszczy iija-iija-iija i macha rączkami.

To jest super!

Ostatnio odkrył na pilocie przycisk od przewijania i nauczył się, jak w nieskończoność odtwarzać te same trzydzieści sekund. Za każdym razem śmieje się niskim, pochodzącym głęboko z brzucha rechotem i macha rączkami.

Jak mi się to podoba!

Anthony KOCHA Barneya. Jak możemy mu odebrać coś, co kocha? Nie chcemy zachęcać go do kochania? Dlaczego mielibyśmy tłumić miłość?

Chciałabym, żeby kochał coś innego niż Barneya. Naprawdę bardzo bym tego chciała. Ale jakim prawem mogę decydować o tym, co ma kochać? Ja kocham książki, plażę i gotowanie. David kocha futbol amerykański i hokej. Co by było, gdyby ktoś zadecydował, że za dużo czasu spędzam na plaży, na czytaniu i gotowaniu, i uparł się, że muszę z tych rzeczy zrezygnować? Co by było, gdyby ktoś postanowił zachęcić mnie do czegoś innego i uparł się, że kocham hokeja? Zamiast czytać, chodzić na plażę i gotować, mam od teraz oglądać hokej i nauczyć się jego zasad i grać w niego. Nienawidzę hokeja. Byłabym beznadziejna. Nie byłabym sobą.

Wiem, że pozbycie się machania rękami i Barneya pewnie w jakiś sposób pomogłoby Anthony'emu. Wydawałby się bardziej normalny. Łatwiej byłoby mu się

zintegrować w szkole, nawiązać kontakt z dziećmi w jego wieku (na tym świecie nie istnieje ani jeden siedmiolatek, który uwielbia Barneya, choć nie jest autystyczny).

Jest tylko pewna różnica. Anthony nie jest normalny. Proszę bardzo. Napisałam te słowa i świat się nie zawalił. Nie umarłam przez to i on też. Mój syn nie jest normalny. Ma autyzm, a to sprawia, że macha rękami, zamiast powiedzieć. „Ten hałas, którego w ogóle nie jesteś świadoma, doprowadza mnie do szału” albo: „ Strasznie kocham Barneya!”

Nie chcę więc tłumić rączek mojego syna albo jego miłości do Barneya, ale boję się powiedzieć o tym Davidowi. Nie zgodzi się ze mną. Powie, że to tak, jak byśmy przestali w niego wierzyć. Nie tak dawno temu powiedziałabym to samo. Teraz jednak patrzę na to inaczej. Patrzę na to tak: możemy postrzegać to machanie rączkami jako anormalne zachowanie, które musi być wyeliminowane, albo możemy postrzegać je jako sposób naszego syna na odważne komunikowanie tego, czego chce i co czuje w jedyny znany mu sposób. Możemy spojrzeć na to, jak Anthony bez końca przewija Barneya, i nazwać to obsesją, którą trzeba leczyć, albo możemy nazwać to miłością.

David powie: „ Jeśli nie będziemy eliminować autystycznych zachowań, to Anthony nigdy nie będzie normalny. Zawsze będzie inny” .

A moja odpowiedź będzie taka: „Bo on jest inny” .

I świat się nie zawali, a ja nie umrę. A Anthony będzie siedział w salonie, kochając Barneya.

ROZDZIAŁ 29

Nadszedł listopad i z każdym mijającym weekendem wyspa dalej się przeredzała, witając coraz mniej turystów przyjeżdżających na weekend albo jednodniową wycieczkę. Olivia mogła udawać się na długie spacery po plaży lub wzdłuż ulic w swoim sąsiedztwie, nikogo nie spotykając. Centrum miasta nadal było otwarte, ale tylko dlatego, że handlarze czekali na bożonarodzeniowy kiermasz, ostatnią szansę, by wycisnąć trochę grosza z turystów, zanim oficjalnie rozpocznie się zima. Do czasu, aż Izba Handlowa nie wymyśliła pretekstu, by ludzie przyjeżdżali tu w zimie – festiwalu rzeźb lodowych w styczniu, zimowych igrzysk wyspiarskich w lutym i festiwalu kawy w marcu – nikt nie wracał do wiosny. Nantucket była uroczym placem zabaw w kształcie wyspy, a nie celem zimowych wypadów, a w szczególności nie miejscem, gdzie jakakolwiek osoba z odrobiną oleju w głowie chciałaby mieszkać przez cały rok. Życie zawodowe Olivii też szykowało się do zamknięcia po sezonie. Została jej jedna sesja portretowa do obróbki cyfrowej i to wszystko. Dni stawały się powolne, leniwe i nieskomplikowane, a ona godziła się powoli z tą zmianą.

Było późne popołudnie i Olivia szła do skrzynki na listy, bo zapomniała to zrobić przed śniadaniem, po przeczytaniu fragmentu swojego pamiętnika, co zdążyło się już stać jej codziennym rytuałem. Kilkakrotne czytanie swoich dzienników w ciągu ostatnich miesięcy dało jej czas i przestrzeń, by powrócić do tego, co się stało, i spojrzeć na wszystko oczami pełnymi współczucia i sercem pełnym miłości, by odkryć to, czego nie wiedziała wtedy, czego nie mogła wiedzieć, bo rany były zbyt świeże, zbyt zaognione. Była za bardzo zaangażowana w swoje emocje i to, jak je wtedy postrzegała. Teraz widziała.

Widziała swoje wyparcie i przerażającą złość, która to wyparcie zastąpiła. Widziała rozpacz swoją i Davida i bezkresną otchłań, która między nimi powstała. Przede wszystkim jednak tym, co widziała teraz z największą przejrzystością i co nie opuszczało jej przez długie godziny i dni po zamknięciu dziennika, był Anthony. Nie zaprzeczenie autyzmowi Anthony'ego, nie złość z powodu autyzmu ani rozpacz z powodu autyzmu. Nie widziała nawet Anthony'ego i jego autyzmu. Widziała tylko Anthony'ego.

Westchnęła, żałując, że nie wiedziała wtedy tego, co wie teraz.

Samotnie przechadzała się środkiem drogi, na którą rzucone były długie cienie, świadoma odgłosów mew nad głową, dzwonek wietrznych w oddali i rytmu swoich stóp, chrzęszczenia piasku na asfalcie. Powietrze było wilgotne, słone i zimne. Chodzenie sprawiało jej przyjemność. Ożywiało jej umysł, przekonywało przestraszone i schowane gdzieś myśli, że mogą bez obaw wyjść z ukrycia, zapraszało niekompletne myśli, by pokazały swoje poszarpane krawędzie, witało te błędzące i słabe. Kiedy szła, jej myśli ustawiały się w jej głowie w rzędy jak białe kamienie, które mogła wtedy wyraźnie zobaczyć i odpowiednio się nimi zająć. Tego dnia

podczas spaceru myślała o siostrze i mamie.

Maria chciała, żeby Olivia przyjechała do Georgii na Święto Dziękczynienia. Miło byłoby ją zobaczyć. Olivia tęskniła za swoją starszą siostrą. Ale wysiłek związany z pakowaniem, wyjazdem z wyspy promem lub samolotem, przynajmniej jedną przesiadką, spaniem na kanapie w salonie Marii, wydawał się jej przytłaczający.

I pomimo ogromnego, rosnącego poczucia winy powodowanego tym, że od wieków nie widziała dzieci Marii, Olivia nadal nie była gotowa na spędzanie z nimi czasu – z jej piękną siostrzenicą i siostrzeńcem, ciotecznym rodzeństwem Anthonyego. Żyły. Ale nie chodziło tylko o dzieci. Chodziło o całe życie siostry. Marii zawsze bez wysiłku było lepiej, łatwiej. Miała lepsze stopnie, przystojniejszych chłopaków. Ukończyła bardziej prestiżową uczelnię, dostała lepiej płatną pracę. Była wyższa. A teraz była też szczęśliwą mężatką z dwójką zdrowych dzieci. Olivia wiedziała, że to porównywanie nie jest sprawiedliwe i do niczego nie prowadzi, ale jeśli pojedzie do siostry na Święto Dziękczynienia, nie uniknie go.

Ale przede wszystkim Olivia nie była gotowa na konfrontację z matką, która zgodnie z tym, co mówiła Maria, nadal codziennie chodziła do kościoła, od stóp do głów ubrana w czerń, i oprócz modlitwy za Anthonyego odmawiała też pacierze za rozwiedzioną duszę Olivii. Modliła się też pewnie w swojej własnej intencji, by mieć pewność, że Bóg wie, że nie jest w żaden sposób odpowiedzialna za hańbiący i grzeszny czyn Olivii przeciw Bogu. Olivia czuła, że nie ma siły pojechać do domu i dać się osądzać religii i matce naraz.

Maria powiedziała Olivii, że nie może cały czas żyć w ukryciu. Bez wątplenia taki był właśnie cel przeprowadzenia się tu w marcu, ale teraz, choć tego nie planowała, podczas gdy reszta wyspy przygotowywała się, by przejść w stan hibernacji, ona czuła, że może wyłoni się z ukrycia, rozpocznie nowe życie. Może Nantucket nie była dla niej tymczasowym azylem, schronieniem przed własnym żalem i życiem, którego nie było dane jej przeżyć. Może to był jej dom.

Odległe miejsce zamieszkania stanowiło na dodatek idealną wymówkę, jej schronienie przed okropną podróżą samolotem, brzydką zazdrością i wiecznym potępieniem. Nie, nie pojedzie do Georgii na Święto Dziękczynienia. Zostanie w domu na Nantucket i będzie dziękować, że może tam być.

Doszła do skrzynki na listy, otworzyła drzwiczki i wyciągnęła mały plik kopert. Kiedy się odwróciła, zauważyła kobietę i jej czarnego psa, którzy szli poboczem drogi. Olivia zatrzymała się z pocztą w dłoni, zdając sobie sprawę, że kobieta i pies idą prosto na nią. Była to Beth Ellis.

– Hej! – zawołała Beth z uśmiechem. – To ty tu mieszkasz?

– Tak. Na Morton – odpowiedziała Olivia.

– Żartujesz! Ja mieszkam na Somerset. Jesteśmy sąsiadkami. Jak to możliwe, że nie wiedziałyśmy o tym wcześniej?

Olivia wzruszyła ramionami. Pies Beth przez kilka sekund obwąchiwał buty i

dżinsy Olivii, po czym zwrócił swą wszędobylską uwagę ku jej kroczu. Beth pociągnęła za smycz.

– Grover, nie! Od kiedy tu mieszkasz? – zapytała Beth.

– Od marca.

– Naprawdę? Ciężki miesiąc na przeprowadzkę.

– Zgadza się – odpowiedziała Olivia.

– Jesteś mężatką? – zapytała Beth, nie znalazłszy odpowiedzi na odzianej w rękawiczkę dłoni Olivii.

– Rozwiodłam się.

Olivia przyglądała się, jak Beth przyswaja tę informację, otwierając swoją skrzynkę i wyciągając z niej gruby plik katalogów i kopert.

– Masz dzieci? – zapytała Beth.

– Syna.

– Ile ma lat?

– Dziesięć.

Miałby dziesięć.

– Tyle samo co moja Gracie! Jest w czwartej klasie u pani Gillis?

– Nie, nie mieszka tutaj.

– Aha.

To zakończyło przesłuchanie, ale Olivia widziała dodatkowe pytania, które kłębiły się w głowie Beth. Co to oznaczało? Czy mieszka zatem z ojcem? Co za matka nie mieszka ze swoim dzieckiem? Gdzie on jest? Zanim Beth zdążyła je zwerbalizować, Olivia zmieniła temat, mając nadzieję, że Beth będzie współpracować.

– Zabawne, bo właśnie miałam wysłać ci maila. Twoje zdjęcia są gotowe. Przepraszam, że tyle to trwało.

– To świetnie! Już zaczynałam się martwić. Nie mogę się ich doczekać. Chciałam wykorzystać któreś z nich do bożonarodzeniowej kartki.

– Wyślę ci link, jak tylko wrócę do domu. Wyszły świetnie. Na pewno ci się spodobają.

Zaczęły iść.

– Moja książka jest już prawie gotowa – powiedziała Beth, przerywając niezręczną ciszę.

– To świetnie. Gratuluję.

– Nie jestem jednak do końca pewna. Może to głupie pytanie, ale jak poznać, że naprawdę się skończyło?

Zakończenia są trudne. Związanie wszystkiego wstążką, z elegancką kokardą na czubku. Pozostawienia czytelnika z satysfakcjonującym KONIEC. Pożegnanie.

– Musi mieć wszystkie niezbędne elementy: początek, rozwinięcie i koniec. To się po prostu czuje. Wydaje mi się, że to intuicyjne. Będiesz wiedzieć, że skończyłaś.

– Nie jestem już pewna tego, co wiem, przeczytałam ten tekst tyle razy, że

wzrokiem przemykam po słowach. Mam wrażenie, że już nie widzę ich jasno.

– Może zrób sobie przerwę, a potem wróć do książki ze świeżą perspektywą.

Beth kiwała głową, idąc.

– Kiedy będziesz gotowa, z radością przeczytam.

Beth uśmiechnęła się.

– Wielkie dzięki. Włożę ci ją do skrzynki, kiedy poczuję, że jest perfekcyjna.

– Nie pragnij perfekcji. Pragnij spełnienia.

Perfekcja to nieosiągalna iluzja.

– Okej – odpowiedziała Beth z niepewnością w głosie, jakby nie do końca rozumiała różnicę. – Tak zrobię.

Przystanęły na rozwidleniu, stając twarzą w twarz. Beth szła dalej prosto, a Olivia skręcała w prawo. Beth pomachała jej z uśmiechem i poszła swoją drogą.

Idąc do domu, Olivia powróciła do rozmyślań. Myślała o Beth i jej powieści. Zastanawiała się, o czym opowiada. Zapomniała zapytać. Myślała o zakończeniach i intuicji. Myślała o swoim małżeństwie i o tym, jak oboje z Davidem wiedzieli, że to koniec, jak oboje widzieli zapowiedź ich finału, na długo zanim dotarli na ostatnią stronę. Myślała o ich ostatnim spotkaniu, kiedy leżeli pod gwiazdami, trzymając się za ręce, aż dotarła do drzwi wejściowych i zaczęła przeglądać pocztę.

Pomiędzy rachunkiem za prąd a biuletynem z biblioteki znajdował się list od Davida.

ROZDZIAŁ 30

Beth siedziała na swoim miejscu w bibliotece, trzymając w dłoniach wydrukowane kartki swojej powieści. Czytała. Wydawało się jej, że może skończyła, ale za każdym razem, gdy zbliżała się do tego wniosku, czuła w sercu, jak coś zaczyna ją gryźć, dręcząc ją od środka jak swędząca wysypka. Coś nie do końca było w porządku. Nawet jeśli nie chciała osiągnąć perfekcji, tylko spełnienie, nie mogła powiedzieć, że jej książka jest skończona. Tego dnia czytała ponownie to, co napisała, i czerpała z tego przyjemność, ale starała się też dostrzec, czego mogło brakować. Doszła do rozdziału dziesiątego, tego o trzech małych świnkach.

Uwielbiam, kiedy mama czyta mi bajkę Trzy małe świnki. Uwielbiam Trzy małe świnki, ale to nie historia świnek i wilka jest w niej najlepsza. Nie mam obsesji na punkcie świnek i nie boję się złego wilka. To melodia głosu mojej mamy, śpiewającej na trzy. W całej historii mnóstwo jest idealnych trójek.

Świn-ki trzy. Świn-ki trzy.

Raz-dwa-trzy. Raz-dwa-trzy.

Wpuść-cie mnie.

Raz. Dwa. Trzy.

Już sam tytuł sprawia, że się uśmiecham. Trzy słowa, a na dodatek jednym z nich jest TRZY.

Mama czyta mi Trzy małe świnki, a jak czuję, jak w tych słowach bije wielki bęben bum-bara-bum. Skaczę do uderzeń bębna książki, który wybija rytm na trzy.

Puk. Puk. Puk.

Raz. Dwa. Trzy.

Hop. Hop. Hop.

Mama czyta Trzy małe świnki i śpiewa w rytm walczyka. Obracam się i tańczę do jej pięknej piosenki.

Wil-ku zły

Scho-waj kły

Zamk-nę drzwi.

Więc sap-nę

i chuch-nę

i zdmuch-nę

do-mek wasz.

Mama kończy bajkę i zamyka książkę. Skaczę i piszczę, i macham rękami, błagając ją, by zaśpiewała jeszcze raz. Mówi, że nudzą się jej Trzy małe świnki. Mówi, że robię się za duży na tę bajkę. Chce przeczytać coś innego.

Wyciąga książkę, która nie jest bajką o trzech małych świnkach, z regału z książkami i pokazuje mi lśniącą okładkę. Ale ja nie chcę słuchać bajek, których nie czyta się na trzy.

Mama wzdycha i odkłada na miejsce książkę, której nie chcę. Otwiera Trzy małe świnki i czyta jeszcze raz.

Świn-ki trzy. Świn-ki trzy. Wpuść-cie mnie.

Raz-dwa-trzy. Raz-dwa-trzy. Raz. Dwa. Trzy.

Mama czyta moją ulubioną bajkę i mój świat jest jak piosenka.

ROZDZIAŁ 31

– Dlaczego dziś nie piszesz? – zapytała Petra.

Beth i Petra siedziały w narożnej łoży w DISH, jedząc po pół porcji grzesznie tłustego i tuczącego makaronu zapiekanego z serem i homarem. Było wczesne popołudnie w listopadową środę i restauracja świeciła pustkami. Dwie osoby wstąpiły na lunch i wyszły godzinę temu. Tak to zwykle wyglądało w środku tygodnia w biznesie gastronomicznym na Nantucket poza sezonem. Petra chciała utrzymać się na powierzchni do kiermaszu bożonarodzeniowego, po czym zamknąć interes do pierwszego marca.

– Wydaje mi się, że skończyłam – odpowiedziała Beth.

Petra szeroko otworzyła oczy z podekscytowania.

– Naprawdę? Skończyłaś książkę?

– Nie wiem, nie jestem pewna. Postanowiłam trochę odpocząć, żeby spojrzeć na całość bez emocji, a potem zdecyduję, czy to naprawdę koniec.

Petra zaśmiała się, mając usta pełne homara i makaronu.

– Co? – zapytała Beth.

Petra przełknęła.

– Posłuchaj samej siebie. Mówisz o książce czy swoim małżeństwie?

Ciekawe. Beth zastanowiła się, czy te dwie rzeczy mają ze sobą jakiś związek.

– Mam pracę domową, którą zadał nam nasz terapeuta. Jeszcze się do niej nie zabrałam, a powinnam ją zrobić jakieś dwa miesiące temu. Kazałam Jimmy'emu odwołać naszą ostatnią wizytę, bo jeszcze jej nie zrobiłam. Nie wiem, w czym tkwi problem.

– Może boisz się tego, co odkryjesz.

– Może.

– Pewnie tak.

Petra spojrzała prosto w oczy Beth, prosto w jej duszę, tak jak większość ludzi nigdy na nikogo nie spogląda. Jej wzrok był skupiony, nie miał w sobie pośpiechu, nie bał się tak trwać, pełen życzliwości.

– Wydaje mi się, że boję się, że on znów mnie zdradzi.

– To możliwe.

– Jeśli przyjmę go z powrotem, co rano będę się budzić z myślą, że to może być ten dzień, kiedy Jimmy znów puści mnie kantem.

– To prawda, ale tak było, także zanim on naprawdę cię zdradził. Każdy dzień to dla obojga z was rodzaj zobowiązania i wyboru.

– Wiem, ale on wybrał mnie zdradzić. Martwiłabym się, że po każdej najmniejszej sprzeczce szuka sobie kogoś nowego. Za każdym razem, gdy go widzę, myślę sobie: „spałeś z inną kobietą”. I wyobrażam sobie ich razem. To ohydne, ale nic nie mogę na to poradzić. Mam na tym punkcie obsesję. Chciałabym umieć wymazać to sobie z

głowy.

– Kochasz go nadal?

– Tak, ale też go nienawidzę.

To była prawda. Kochała go i nienawidziła. Tęskniła za nim i nigdy więcej nie chciała go widzieć. Czuła obrzydzenie na samą myśl o nim, a mimo to nie mogła zapomnieć o tej nocy, kiedy wylądowali na podłodze w kuchni.

Petra westchnęła.

– Po prostu chciałabym wiedzieć, co robić – powiedziała Beth.

– Zrób to, co robisz ze swoją książką. Daj sobie trochę czasu, żeby bez poczucia winy nie myśleć o swoim małżeństwie. Potem wróć do tematu z wolną głową i świeżym spojrzeniem, kiedy poczujesz, że jesteś gotowa.

Beth pokiwała głową. Znalazła duży kawałek homara, ukryty w kremowym serze, i nadziała go na widelec.

– A co ty myślisz? – zapytała Beth.

– O czym?

– O Jimmym. Myślisz, że powinnam pozwolić mu wrócić?

– Tylko ty możesz na to odpowiedzieć.

– Ale co ty byś zrobiła?

Petra z brzegu naczynia zdrapała widelcem przypieczony kawałek makaronu z serem i zjadła go. Upiła łyk wody i otarła usta serwetką. Beth czekała na odpowiedź, ale Petra uśmiechnęła się tylko, nie rozłączając warg.

– Naprawdę potrzebuję twojej rady, Petro.

– No dobra – odpowiedziała w końcu. – Przestań o tym gadać. Przestań szukać u innych odpowiedzi. Wycisz się i uspokój, i zadaj sobie w końcu te pytania z zadania domowego, którego tak się boisz. Cokolwiek wśród nich odnajdziesz, taka będzie prawda. To twoja odpowiedź. To bym właśnie zrobiła.

Beth westchnęła, rozczarowana, ale nie zaskoczona. Powinna była się domyślić, że Petra nie odrobi za nią pracy domowej.

– Za mądra jesteś na to, żeby być singlem.

Petra się roześmiała.

– Właśnie z tego powodu jestem singlem! Nie, bardzo bym chciała dzielić z kimś życie, mieć rodzinę. I będę ją mieć. Tylko jeszcze nie zrobiłam dla niej miejsca w moim życiu. Byłam tak skupiona na restauracji i ludziach, którzy muszą mieć pracę. Na zajmowaniu się rodzicami. Ale pewnego dnia – owszem. Kiedyś chciałabym mieć to, co ty masz.

– Miałam.

– I nadal masz. Byłabym przeszczęśliwa, mając aż tyle.

Beth się uśmiechnęła, wdzięczna za to przypomnienie. Miała trzy śliczne i zdrowe córki, piękny dom, wspaniale przyjaciółki i być może skończona pierwszą powieść. Miała tak wiele. Zerknęła na zegarek.

– O Boże, czas na mnie. Muszę pojechać po dziewczynki.

Beth owinęła wokół szyi jaskrawofioletowy szalik, chwyciła torbę i uściśnęła Petrę na pożegnanie.

– Dzięki za wspaniały lunch.

– Nie ma sprawy – odparła Petra, odwzajemniając uścisk. – Dobrze było cię zobaczyć.

– Ciebie też – powiedziała Beth, pospiesznie ruszając w stronę drzwi, w obawie, że się spóźni.

– Znajdziesz swoją odpowiedź – powiedziała Petra, ale Beth zdążyła już wyjść i nie dosłyszała.

Był wtorkowy wieczór. W tym tygodniu wypadało Święto Dziękczynienia. Beth i jej córki właśnie skończyły jeść zapiekany makaron na kolację, ale Beth nie czuła się ani trochę usatysfakcjonowana. Wersja dania z homarem, jaką jadła u Petry, na zawsze zepsuła chyba dla niej smak makaronu z serem w proszku. Zajrzała do lodówki w poszukiwaniu czegoś na dokładkę, na przykład deseru, na nic jednak nie miała ochoty.

Wszystkie jej córki siedziały w salonie. Sophie trzymała w dłoni pilota, mając pełną kontrolę nad przeglądaniem propozycji filmów w VOD, podczas gdy Jessica i Gracie wykrzykiwały różne tytuły. Następnego dnia nie szły do szkoły i tego wieczoru nie miały innych zajęć – żadnych treningów koszykówki, prób szkolnego spektaklu, prac domowych. Beth cieszyła się na ten niezobowiązujący wieczór bez ustalonego grafiku przywozeń i odwozeń, który – jeśli kiedykolwiek dziewczyny na coś się zdecydują – spędzi, oglądając film ze swoimi córkami.

Rozpaliła ogień w kominku i wrzuciła do mikrofalówki torebkę popcornu. Dziewczyny nadal oglądały zwiastuny, niezdecydowane, co wybrać. Beth wzięła koc i próbowała usadowić się na kanapie obok Grovera, ale z niewytłumaczalnego powodu czuła niepokój. Wstała i wyjrzała przez okno w kuchni. Na zewnątrz było ciemno i niezbyt zachęcająco, ale poczuła, że musi wyjść. Wzięła kurtkę, czapkę, szalik, rękawiczki i latarkę.

– Idę się przejść. Niedługo wrócę. Nie zaczynajcie beze mnie.

– Dobrze! – zawołała Gracie.

Patrzące w telewizor jak zahipnotyzowane Sophie i Jessica nie zarejestrowały nawet, że ich matka coś powiedziała. Gracie powie im, gdzie jest, jeśli zaczną się zastanawiać.

Jest ciemno i na niebie nie było księżyca, ale gwiazdy były niebывałe i nie było wcale tak zimno, jak się spodziewała. Skierowała latarkę przed siebie i zaczęła iść, na początku nie wiedząc gdzie, ale po paru minutach miała plan. Plaża Grubasek. Nie szykowała się na tak długą przechadzkę, ale pomyślała, że przyspieszy.

Szła nieutwardzoną drogą, koncentrując się na nierównej ziemi, oświetlanej snopem światła latarki, widząc parę, w jaką zamienia się jej oddech, skoordynowany

z rytmem jej kroków. Nie widziała, co znajdowało się po obu jej stronach, ale dobrze знаła swoje otoczenie – płaski, porośnięty trawą, dziki i przeważnie pozbawiony drzew krajobraz, który wyglądał jak afrykańska sawanna. Przyjemnie było iść, ruszać się. Większą część dnia, właściwie całe życie spędzała, siedząc przy stole kuchennym, w samochodzie, na swoim krześle w bibliotece. Przyklejona do miejsca.

Nieosłonięty nos i policzki zamarzają, a oczy łzawią od wiatru, ale poza tym dobrze się opatulila. Czuła, jak szybko bije jej serce, jak pieką ją mięśnie nóg. Było jej jednocześnie gorąco i zimno, jakby miała w sobie dwie przeciwstawne energie, które rozpalały w niej coś nieznanego, ale ekscytującego.

Doszła do plaży, pokonując dużą odległość bez wchodzenia na piasek. Zanim zawróciła, przystanęła na chwilę, żeby się wszystkim nasycić. Wyłączyła latarkę i wsłuchiwała się w fale, których dźwięk wydawał się jej jak oddech ziemi. Uniosła podbródek i spojrzała na rozgwieżdżone niebo, na jego rozległy, niepojęty ogrom, ale również na jego proste, zrozumiałe piękno, jego istnienie wytłumaczone logicznymi prawami fizyki, a jednocześnie zupełnie niewytłumaczalne.

Była sama. Była zupełnie sama, ale czuła się w dziwny i piękny sposób z wszystkim połączona. Dwie przeciwstawne energie coś w niej rozpalały.

Przyszła pora na powrót do domu, na koc, popcorn, film z córkami. Zeszła z plaży i wróciła na nieutwardzoną drogę, gdzie jej latarka omiotła dwa błyszczące białe światła, jak dwie gwiazdy, które spadły z nieba, unoszące się tuż nad ziemią. Beth stanęła jak wryta. To był młody jelen, stojący dokładnie pośrodku drogi, kilka kroków przed nią. Oboje stali tak w bezruchu przez przynajmniej minutę, zwróceniem twarzy w twarz wzajemni świadkowie. Beth przyglądała się jego czarnemu nosowi, sterczącym uszom, długiej, wyciągniętej szyi i zastanawiała się, jak postrzega ją jelen. I wtedy bez ostrzeżenia zwierzę spłoszyło się i skryło w ciemnej i dzikiej sawannie Nantucket.

W domu okazało się, że dziewczynki były równie poirytowane, co zmartwione nieobecnością mamy. Były gotowe. Czekwały na nią. Najpierw jednak Beth zrobiła im koktajle z lodami i piwem korzennym, sobie dodając trochę alkoholu. Usadowały się na kanapie, przykryły kocami i zaczęły oglądać film *Marley i ja*, który miały na DVD i widziały wszystkie przynajmniej trzy razy.

Film skończył się późno i Beth położyła się do łóżka niedługo po tym, jak pożyczyła córkom dobrej nocy. Zwykle zaśnięcie zajmowało jej trochę czasu. Przynajmniej przez godzinę przewracała się w łóżku z boku na bok, odtwarzając w głowie miniony dzień i już myśląc o kolejnym. Tego wieczoru jednak spacer i świeże powietrze musiały ją wykończyć, bo oczy od razu jej się zamknęły.

Godzinę później nagle je otworzyła. Była w pełni przytomna, a serce łomotało jej w piersi, czegoś od niej chcąc. Wstała z łóżka, znalazła kartkę papieru i długopis. Narysowała dwie skrzyżowane kreski, tworząc cztery kwadraty, i zaczęła pisać. Ledwie była w stanie zanotować gonitwę myśli. Wylały się z niej słowa, o których

istnieniu w sobie nie miała pojęcia.

Kiedy skończyła, spojrzała na cztery kwadraty. Przeczytała całą kartkę trzy razy. I proszę, zadanie domowe ukończone. Jej odpowiedzi. Przeczytała je jeszcze raz i wiedziała, co musi zrobić.

CZEGO POTRZEBUJĘ, BY CZUĆ SIĘ CHCIANA

Chciej spędzać ze mną czas (zamiast spać do późna, palić cygara, wracać do domu długo po zamknięciu baru, sypiać z innymi kobietami).

Ciesz się na mój widok.

Od czasu do czasu powiedz mi komplement, coś bardziej subtelnego, niż „ładnie wyglądasz”.

Nigdy więcej mnie nie zdradź.

CZEGO POTRZEBUJĘ, BY CZUĆ SIĘ SZCZĘŚLIWA

Moich córek.

Moich przyjaciół.

Mojego pisania.

Widzieć, że doceniasz miłość i troskę, z jaką zajmuję się naszą rodziną.

Schludnego domu.

Czasu spędzonego poza tą wyspą, w dużym mieście albo w górach.

Wiary, że zasługuję na to, by być szczęśliwa.

CZEGO POTRZEBUJĘ, BY CZUĆ SIĘ BEZPIECZNA

Wiedzieć, że moim córkom nic nie jest.

Nie popadać w długi i zawsze być w stanie zapłacić rachunki.

Wiedzieć, że nigdy więcej nie zobaczysz się z Angelą.

Wierzyć, że już nigdy więcej mnie nie zdradzisz.

CZEGO POTRZEBUJĘ, BY CZUĆ SIĘ KOCHANA

Przytulenia, pocałunków.

Słyszeć, że mnie kochasz.

ROZDZIAŁ 32

Olivia stała przy blacie w kuchni, gdzie w brytfankach pełnych wody chłodziły się dwa tuziny słoików pełnych żurawinowego dżemu. Od dwóch tygodni była bardzo zajęta, rzekomo przygotowując się do zimy. Meble z patio i grill schowała do szopy. Zgrabiła liście na trawniku i wyłączyła dopływ wody do zewnętrznego natrysku. Zamówiła kilkanaście książek i skrzynkę ulubionego merlota. I zaczęła gotować.

Gotowała swoje ulubione dania: pastę fagioli, chowdera z małżami, risotto z dynią piżmową i zupę z czarnej fasoli. Próbowiła też nowych przepisów na pad tai i zapiekany makaron z serem i homarem. Były to szalone ilości zapasów jak na kobietę, która mieszka sama i której nikt nie odwiedza. Gotowała codziennie, przygotowując całe garnki smakowitych potraw, których ledwie zdążyła skosztować, zanim przełożyła je do plastikowych pojemników i wstawiła do zamrażalnika. A kiedy zapełniła już zamrażalnik, przerzuciła się na żurawinę – ciasto z żurawiną i orzechami, pomarańczowe muffiny z żurawiną, a teraz dżem żurawinowy.

Powtarzała sobie, że gotowanie wynika ze zdrowego rozsądku. Jeśli zima będzie sroga, jeśli przyjdzie wiatr północno-wschodni, jeśli ją zasypie (nadal miała tylko tę jedną małą szufłę do piasku), nie będzie musiała wychodzić z domu po jedzenie. To były jednak tylko jej wymysły. Mówiąc szczerze, gotowanie wynikało z zupełnie innych powodów.

Zaczęła gotować zaraz po tym, jak przeczytała list od Davida. Pierwszym przepisem, po jaki sięgnęła, była pasta fagioli, który znała na pamięć. Jej mama zwykle gotowała ją w soboty. Krojona cebula szczypała ją w oczy, a ona cieszyła się z tego szturmu łez. Płakała, siekając czosnek, selera i pomidory. Zalewała się łzami, kiedy mieszała bulion i fasolę, a kiedy zupa była gotowa, przestała. To samo działo się, kiedy przyrządzała zupę z czarnej fasoli, pomidorową zupę rakową i pulpeciki. W końcu, kiedy doszła do cebul na dyniowe risotto, przemyła je pod zimną wodą, wytarła oczy rękawem koszuli i skończyła przyrządzanie bez łez.

Przestała płakać, bo nie miała już czym, nie przestała jednak gotować. Wydawało jej się to jedyną rzeczą, dzięki której nie oszalała. Wypełniając garnek, wypełniała pustkę. Jej dłonie ciągle były w ruchu: mieszały, siekały, przelewały. Miały zajęcie na kolejnych etapach robienia dżemu, a Olivia mogła myśleć o Davidzie i jego liście, nie czując się nim przytłoczona. Czytała go słowo po słowie, analizowała i płakała nad nim już tyle razy, że znała go lepiej niż przepis matki na pasta fagioli.

Droga Liv,

Wolałem napisać, niż zadzwonić. Wydaje mi się to jakoś bardziej stosowne, a chciałem, żebyś dowiedziała się o tym ode mnie, a nie kogoś innego. Żenię się. Ona ma na imię Julie. Jest nauczycielką matematyki. Poznałem ją tu, w Chicago. Wiem, że to szybko, ale mam przeczucie, że dobrze robię. Czuję się gotowy.

Załużę, że to nie z tobą wróciłem do tego punktu, Liv. Przepraszam. Wiem, że nie

dałem Tobie ani Anthony'emu najlepszej wersji siebie. Chyba trochę się zagubiłem w tym, co oboje przeszliśmy. Zapomniałem, jak być szczęśliwym. Myślę, że oboje zapomnieliśmy.

Mam nadzieję, że ta wiadomość Cię nie zrani, choć wiem, że pewnie tak się stanie. Nie było to moim zamiarem. Nigdy. Każdego dnia myślę o tym, czy dobrze się czujesz, i chcę, żebyś kiedyś odnalazła szczęście. Zadzwoń, jeśli będziesz chciała.

Kochający David.

Kiedy przeminął początkowy szok wywołany listem, a cebula nie inicjowała wielu godzin oczyszczających duszę łez, do głosu zaczęły dochodzić inne, mniej gwałtowne emocje. Tam, gdzie przed otwarciem listu Davida kwitło w niej zadowolenie z tego, że jest sama, teraz czuła się porzucona w swojej samotności. Sprawdziła, czy pokrywki słoików wklęły, i poczuła, że się boi, że do końca życia będzie sama.

Nauczycielka matematyki o imieniu Julie. Olivia odniosła wrażenie, że jest młoda. I ładna. I z jakiegoś powodu – że jest blondynką. Jeden po drugim Olivia zaczęła wyciągać słoiki z wody i wycierała je do sucha fartuchem swoimi zazdrosnymi dłońmi.

Na pewno będą mieli dzieci. Wyobraziła sobie, jak David trzyma w objęciach niemowlaka, dom pełen malców, które będą należeć do niego, ale nie do niej. Wyobraziła sobie dużą rodzinę. Te obrazy w jej głowie, wyraźne i tak piękne, że aż bolały, jak zawsze były jak cios, przez który z płuc uchodziło jej całe powietrze. Marzyła o tym, by być w stanie jakoś przestać je sobie wyobrażać. Wspierała się o blat, czekając, aż zacznie oddychać albo płakać. Dziś przyszedł oddech.

Przeczytała list w swojej głowie jeszcze raz i usłyszała głos Davida. Był taki lekki i radosny. David był szczęśliwy i spotkał kobietę o imieniu Julie, z którą mógł dzielić swoje szczęście.

Miał rację. Zapomniała o szczęściu. Na początku nie było ono priorytetem. Anthony miał autyzm i każdy gram energii poświęcała na ratowanie syna. Jej szczęście było bez znaczenia. Potem nie wydawało się jej ono czymś stosownym. Jak mogła być szczęśliwa, skoro przeżywali taką tragedię? A potem, kiedy w końcu zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że autyzm i szczęście mogą ze sobą współistnieć w tym samym pomieszczeniu, w tym samym zdaniu, w jej sercu, Anthony umarł i szczęście przestało być rzeczą, o której w ogóle rozmyślała.

Anthony umarł i przez długi czas po tym najgorszym ze wszystkich poranków, odtwarzała jego śmierć w myślach, uwalniając niezmierny smutek, który nadal towarzyszył tym obrazom, co dzień pochłaniając ją tsunami rozdzierającego żalu. I wydawało się jej, że będzie to robić zawsze, że powinna to robić zawsze. Jej żal był jej codziennym obowiązkiem, jej rozpacz skromnym hołdem dla jej syna.

Ponowne czytanie pamiętników pomogło jej jednak przypomnieć sobie coś ponad ten jeden poranek. Na życie Anthony'ego nie składała się tylko jego śmierć. A

Anthony nie składał się tylko ze swojego autyzmu. Było w nim dużo więcej. Mogła teraz myśleć o Anthonym i nie dać się zdominować jego autyzmowi ani rozpaczy.

Jednak to, że nie dawała się pochłonać rozpaczy, nie oznaczało, że blisko jej było do szczęścia. Postawiła słoiki dżemu na półce w spiżarni, ale jeden zostawiła na blacie. Wyobraziła sobie Davida i uśmiechnęła się. A potem pomyślała o Anthonym, mieli te same usta, te same policzki z dołeczkami. Uśmiech Anthony'ego. Łatwo jej było podtrzymać ten obraz, to przystępne, prawdziwe wspomnienie. Mimo frustracji, agresji, niezdolności do komunikowania się, Anthony był właściwie zawsze szczęśliwy. Taką miał naturę. A biorąc pod uwagę to, co się stało, taką naturę miał także i David.

Odkroiła grubą kromkę chleba i posmarowała ją dżemem, a potem naląła sobie kieliszek merlota. Rozsiadła się wygodnie w fotelu w salonie, przed rozżarzonego kominkiem i ugryzła kromkę. Jej domowy dżem był słodki i lekko cierpki, przepyszny.

Słuchała, jak David jeszcze raz czyta swój list w jej głowie, patrząc na zdjęcie Anthony'ego na ścianie, i postanowiła, że wystarczy gotowania. Po dwóch tygodniach siekania i krojenia, przesmażania i płaczu, w końcu miała dość. Skończyła z tym i miała teraz zamrażarkę pełną poprawiającego nastrój jedzenia oraz dość niewyraźne wrażenie nadziei.

Jeśli David mógł znaleźć szczęście i zacząć od nowa, to może ona też. Szczęście. Dzielone z kimś szczęście. Może taka jest ludzka natura. Wszystko, co musiała zrobić, to dopuścić to szczęście do siebie.

Jedząc chleb z dżemem i rozważając to nowe spojrzenie na świat, znów zerknęła na zdjęcie Anthony'ego na ścianie. Upiła łyk wina i podziwiała kolekcję białych kamieni w szklanej misie na stoliku kawowym – kamienie Anthony'ego, te, które zebrała na Nantucket, oraz kamyk od córki Beth. Nachyliła się, wybrała kamyk ze sterty i zamknęła go w dłoni. Wydał jej się niespodziewanie ciepły, jakby już wcześniej ktoś go trzymał.

Mój śliczny synku, dlaczego tu byłeś?

Przeszywający tępy ból, który zwykle następował po tym pytaniu, nie nadszedł. Zamiast niego spokojna energia wypełniła jej serce, zapewniając ją o tym, co już wiedziała. Było to jednak bardziej niemożliwe do uchwycenia uczucie, niż fakt, który można było zwerbalizować. Siedziała w bezruchu i nasłuchiwała, ale nie uszami.

Czuła, że coś kierowało jej uwagę w inną stronę. Przejrzała nowe książki na stoliku przy kominku. Wstała i przykucnęła przed nimi, przyglądając się grzbietom kryminałów, wspomnień i powieści, których czytania już nie mogła się doczekać. Położyła dłoń na książce na szczycie stosu. *To nie to.*

Poszła do kuchni, znalazła czerwony długopis i wróciła na fotel w salonie z grubym plikiem kartek przewiązanych biało-czerwonym sznurkiem.

Bez tytułu Elizabeth Ellis.

Olivia spojrzała na zdjęcie Anthony'ego na ścianie i uśmiechnęła się do niego oczami. Włożyła kamyk z powrotem do miski, owinęła kocem nogi, rozwiązała sznurek i zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ 33

– Ale paskudna pogoda – powiedział Jimmy, zdejmując buty przy drzwiach, zanim usiadł na kanapie naprzeciw Beth.

Chuchnął w dłonie, różowe i mokre od zimnego deszczu, po czym potarł je o siebie. Wiatr wył z ogromną determinacją, jakby po okolicy kręcił się zły wilk, który uparł się, że zdmuchnie każdy dom w okolicy. Jedna z okiennic zatrzęsała się i Beth poczuła na twarzy chłodny podmuch, nieproszony powiew, który wpadł do salonu przez jedną z wielu szczelin w starych, wypaczonych oknach. Beth objęła dłońmi kubek kakao, chłonąc jego przyjemne ciepło.

Do głowy wpadło jej, że właśnie tak to się wszystko zaczęło. Zimowa burza, kubek kakao, ogień na kominku. Grover śpiący na dywaniku. Wszystko wydawało się takie znajome, jakby robiła to już wcześniej, a mimo to miała wrażenie, że stoi na paluszkach na krawędzi przepaści, wychylając się lekko, jakby za chwilę miała skoczyć w nieznane.

– Ładnie wyglądasz – powiedział Jimmy.

Pozwoliła sobie na skrępowany uśmiech i zebrała biały paproszek, który przykleił się na przedzie jej czerwonej bluzki.

– Dzięki. Ty też.

Broda zniknęła, ale Jimmy zostawił sobie dłuższe bokobrody, które podobały się Beth. Jego twarz wyglądała na gładką i młodą. Ładnie pachniał – jakąś cytrusową wodą po goleniu albo perfumami, których nie kojarzyła. W dłoni trzymał wyrwaną z notatnika kartkę, złożoną do rozmiaru karty do gry.

– Cieszę się, że w końcu to robimy – powiedział, promieniejąc z podekscytowania i niecierpliwości, jak dziecko tuż przed odpakowaniem bożonarodzeniowych prezentów, pewne, że znajdzie w nich dokładnie to, o co prosiło.

Kartka Beth, złożona raz, leżała koło niej na poduszce.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał Jimmy.

– Nie wiem.

– Chcesz czytać pierwsza?

– Może po prostu się wymienimy?

– W porządku.

Beth podała mu swoje zadanie domowe, a on przekazał jej swoją poskładaną kartkę. Jej kanty były tłuste i sfatygowane, pewnie Jimmy nosił ją w kieszeni od ostatniej terapii dwa miesiące temu. Rozłożyła kartkę i zaczęła czytać.

CHCIANY:

Zaczekaj od czasu do czasu, aż wrócę z pracy a potem zostań ze mną dłużej w łóżku.

Przyjdź czasem do baru na obiad.

Zainicjuj seks.

SZCZĘŚLIWY:

Ciesz się na mój widok.

Przestań być na mnie cały czas zła.

Nie mów do mnie, jakbym był jednym z naszych dzieci.

BEZPIECZNY:

Bądź ze mnie dumna.

KOCHANY:

Mów mi, że mnie kochasz.

Jego lista była krótka, rozsądna, jasna i prosta. Niemal zbyt prosta, a mimo to Beth mu wierzyła. Napisał ją szczerze i Beth niespodziewanie poczuła zawstydylenie. Tylko tyle od niej potrzebował, a ona nie chciała mu tego dać, nawet zanim zaczął ją zdradzać. Może w jakiejś mierze zdradził ją właśnie z tego powodu.

Jej lista była w podobny sposób nieskomplikowana. Nie prosiła o diamenty ani luksusowe wakacje. Nie potrzebowała róż i czekoladek czekających na nią na poduszce. Nie chciała gwiazdki z nieba. Miłość, szczęście, bezpieczeństwo, akceptacja to podstawowe elementy związku – cztery żywioły, których im obojgu brakowało. Nic dziwnego, że siedzieli tu z żalnymi kartkami papieru na kolanach. Mąż i żona, para obcych.

Kiedy i dlaczego zaczęli odmawiać sobie tych podstawowych potrzeb? Czy zrobiła to w odpowiedzi na to, jak się zmienił, kiedy przestał łowić małże, zanim zaczął pracować w Salt? Czy była to podświadoma reakcja na jego zdradę? Czy jakoś wyczuła jego niewierność i się wycofała? A może lata temu odepchnęła twórczą i pełną pasji część siebie, którą przetrzymywała w pudle na strychu, przez co nie miała tyle miłości i szczęścia, żeby dzielić się nimi z Jimmym? Czy ona zrobiła to pierwsza, a on się odwzajemnił? To jak pytanie o to, co było pierwsze, jajko czy kura – pozostające bez odpowiedzi.

Beth jeszcze raz przeczytała listę Jimmy'ego, bojąc się podnieść wzrok. Na papierze wszystko to wydawało się tak proste, oczywiście z wyjątkiem przychodzenia do baru na obiad. Nie, jeśli będzie tam Angela. Nie ma mowy. Potwierdzało to również coś, co Beth podejrzewała od bardzo dawna. Omiotła wzrokiem wyrwaną z zeszytu kartkę, widząc na niej słowa, które powinny być zostać wypowiedziane na głos, przekazane na tej kanapie, wyszeptane w łóżku. Potrzeby, które mogli sobie przekazać spojrzeniem, liścikiem, poklepaniem po ramieniu – w wolnych od złości codziennych chwilach. Nic takiego jednak nigdy się nie przydarzyło. Nie umieli się ze sobą porozumiewać.

A nawet jeśli będą nad tym pracować i w końcu się nauczą, to i tak na jej liście była jedna niepodlegająca negocjacji potrzeba, niezbędna jak powietrze, której Jimmy nigdy nie spełni.

Podniosła wzrok. Jimmy skończył czytać i czekał na nią, uśmiechając się od ucha

do ucha. Na ten widok Beth poczuła, jakby w jej brzuchu powstała nagle wielka, pusta dziura.

– Wspaniale, Beth. Mogę zrobić wszystkie te rzeczy. I chcę je zrobić. Chcę, żebyśmy do siebie wrócili i dam ci wszystko, czego chcesz. Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Nadal się uśmiechał, gotowy, by zacząć świętować, na przeciwnym biegunie.

– Nie możemy.

– Co? Ja mogę, Beth, naprawdę. To nie będzie trudne.

– To dlaczego nie mogliśmy tego zrobić od początku?

– Nie wiem, ale teraz zrobimy, teraz...

– Nie potrafię, Jimmy.

Jego uśmiech znikł, a dziura w jej brzuchu zrobiła się jeszcze większa. Wpatrywał się w nią, mrugając.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Beth przełknęła ślinę i próbowała wziąć głęboki oddech, ale dziura w jej brzuchu zajmowała teraz całe jej wnętrze, nie pozostawiając miejsca na tlen. Spojrzała na Jimmy'ego, na twarz, którą nadal uwielbiała, bojąc się powiedzieć to, co miała na myśli. Ale taka była prawda i Beth o tym wiedziała. Przechyliła się i skoczyła w przepaść.

– Chcę rozwodu.

– Nie, Beth, proszę. Przejdziemy przez to.

– Ja nie dam rady.

– Dasz. Której z tych rzeczy nie jesteś w stanie zrobić? – zapytał, pokazując na kartkę w swojej dłoni.

– Nie chodzi o twoją listę, Jimmy. Chodzi o moją. Nie jestem w stanie zapomnieć o tej zdradzie. Muszę wierzyć, że nigdy więcej tego nie zrobisz, a nie potrafię. Mężczyzna, za którego cię miałam, mąż, którego potrzebuję, nigdy nie zdradziłby swojej żony.

– To był błąd.

– Myślenie w poniedziałek, że jest środa, to jest błąd. Przespanie się raz z inną kobietą w przypływie emocji mogłabym nawet nazwać pomyłką. Ale ...

– Przepraszam. Byłem głupi i myliłem się. Przyrzekam, to się nigdy, absolutnie nigdy więcej nie zdarzy.

– Nie potrafię ci uwierzyć. Już ci nie ufam.

– Zacznijmy od nowa, a zaufasz mi, bo nie dam ci żadnego powodu, żebyś mogła myśleć inaczej. Pozwól mi odzyskać twoje zaufanie.

Beth pokręciła głową. Zaufanie nie powinno być czymś, co mąż musiał odzyskiwać. Powinien je po prostu mieć. I nie powinien potrzebować instrukcji na jakiejś kartce, żeby pamiętać, że NIE WOLNO ZDRADZAĆ ŻONY.

– Mam coś dla ciebie – powiedział, wyciągając małe białe tekturowe pudełko z

przedniej kieszeni dżinsów.

– Co takiego? – zapytała Beth, nie chcąc tego, nieważne co by to było.

– To prezent.

– Jimmy...

– Proszę, otwórz – powiedział, podając jej pudełeczko.

Beth patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, skrepowana. Podniosła wieczko i kwadratową bibułę, za którą znajdował się wisiołek. Duży, okrągły kamień księżycowy na srebrnym łańcuszku. Wzięła do ręki, połyskujący, gładki, prawie przezroczysty niebieskawy kamyk. Był piękny.

– Jimmy...

– Kiedy zobaczyłem, że masz na szyi tamten wisiołek, zacząłem myśleć o tym, kiedy ci go dałem. To było w tym roku, kiedy się pobraliśmy. Wisiołek przypomina mi o naszych początkach i przysiędze, którą sobie złożyliśmy. Przypomniał mi o tym, jak bardzo się kochaliśmy. Wiem, że to zepsułem. Potwornie żałuję tego, co zrobiłem, Beth. Chcę zacząć wszystko od początku i pomyślałem, że powinnaś dostać nowy naszyjnik, który symbolizowałby ten nowy początek i nowe przyrzeczenie.

Zacisnęła zęby, walcząc ze łzami. Nie teraz.

– Jest piękny, Jimmy.

– Zauważyłem pierścionek na twoim palcu i pomyślałem, że będą do siebie pasować.

– Postarałeś się, ale nie mogę tego przyjąć.

Włożyła wisiołek z powrotem do pudełka, położyła na nim kwadratową bibułę i zamknęła wieczko, po czym odłożyła go na stolik kawowy. Spojrzała na Jimmy'ego. Jego twarz zrobiła się biała, bez wyrazu. Beth podejrzewała, że wygląda podobnie.

– Proszę – powiedział.

– Przykro mi.

– A co z naszymi córkami? Nie zasługują na to, żeby ich rodzice byli razem?

– Myślałeś o tym, na co zasługują, kiedy sypiałeś z tamtą kobietą?

– Nie – powiedział, spuszcżając wzrok. – O niczym wtedy nie myślałem, a powinienem. Żałuję, że nie myślałem. Daj spokój, Beth. Musimy przynajmniej spróbować nad tym popracować.

– Próbowałam cały ten czas, ale już ci nie ufam, a jeśli ci nie ufam, to nic z tych rzeczy się nie wydarzy – powiedziała, machając kartką z zadaniem domowym Jimmy'ego.

– Widzisz, ja myślę inaczej. Myślę, że jeśli ma się wszystkie pozostałe rzeczy, zaufanie przyjdzie samo. Jestem w stanie dać ci to, czego potrzebujesz. Kocham cię. Pozwól mi odzyskać twoje zaufanie. Możesz mi ufać.

Przypomniała sobie, jak kiedyś była z Jimmym na wernisażu w jednej z galerii w centrum miasta, kiedy jeszcze nie byli małżeństwem. Poszli tam, by napić się wina i obejrzeć olejne obrazy męża Courtney. Urzekło ją jedno z jego dzieł, przedstawiające

kobietę nad brzegiem morza. Nieoczywiste kolory i dziwne linie zaintrygowały ją i zachwyciły. Pamiętała wyraz zmieszania i obrzydzenia na twarzy Jimmy'ego, kiedy przyglądał się temu samemu płótnu. Beth chciała je kupić, ale Jimmy powiedział, że *wygląda, jakby namalowało je dziecko w przedszkolu*. Pamiętała zniechęcenie, jakie poczuła, faktem, że mogli patrzeć na tę samą rzecz, a widzieć coś tak zupełnie innego. I znów tego doświadczyła.

– Przepraszam, Jimmy.

– Nie mogę uwierzyć, że nie chcesz nawet spróbować.

– Próbowałam.

– Jak?

Nic nie odpowiedziała.

– Myślę, że powinniśmy wrócić do doktora Campbella.

– Już nie chcę, Jimmy.

Jeszcze raz przeczytał to, co napisane było na jego kartce, kręcąc głową.

– Nadal mnie kochasz, Beth. Wiem, że to prawda.

– To, co się stało, sprawiło, że nie jesteś już dla mnie tym, kim byłeś.

Patrzyła, jak te słowa przeszywają go na wylot, jak jego twarz krzywi się z bólu. Beth nie mogła znieść myśli, że jest tego przyczyną. Spojrzała na gzyms kominka i na kawałek drewna, który zabrał Jimmy, wiedząc, że znajdzie się w ich domu. Rozgwiazda i muszla łodzika nadal tam stały, zniknęły jednak stare zdjęcia. Na ich miejscu znalazła się fotografia Beth i jej córek w różnokolorowych bluzkach, które obejmują się wzajemnie i śmieją.

– Nadal cię kocham, ale to nie wystarczy.

– Wystarczy. Musi wystarczyć. Kocham cię. Jeśli nadal mnie kochasz, to nic więcej się nie liczy. Błagam, Beth. Błagam, wybacz mi. Wiem, że damy radę.

Spojrzała na swoje dłonie złożone na kolanach, na pierścionek z diamentem i obrączkę, którą nadal nosiła.

Ślubuję ci uczciwość.

Przekonanie roztrzaskane na kawałki, zbyt poszarpane i ostre, które teraz w jej dłoniach wydawało się być bardziej jak broń niż przysięga. Spojrzała na Jimmy'ego, na rozpaczliwą bezradność i miłość w jego oczach i niespodziewanie, może instynktownie, opuściła gardę i zmierzyła jego emocje ze swoimi, z odwzajemnioną miłością i rozpaczą, które nadal wobec niego odczuwała. Poczuła w gardle dręczącą ją niepewność. Odkasznęła i upiła łyk kakao.

– Przepraszam. Nie mogę.

Patrzyła, jak coś zmienia się w jego oczach, jakby chował się w znajomej fortecy.

– Czyli to koniec? – zapytał.

Brutalny ogrom tego, co za chwilę miało się wydarzyć, uderzył Beth z pełną siłą. To uczucie w niczym nie przypominało poranka niespełna rok temu, kiedy dowiedziała się o Angeli i kazała Jimmy'emu wynieść się z domu, choć naprawdę

wcale tego nie chciała, zatracając się chwilowo w szalonym niedowierzaniu, że naprawdę to zrobił. Dziś było inaczej. Dziś nastał ich koniec. Traciła Jimmy'ego i jej serce przepełnił głęboki, bolesny smutek, ale jak świadek czyjejs śmierci, która nadeszła po długiej, okrutnej chorobie, czuła też ulgę i spokój.

– To koniec.

Jimmy przeczesał palcami włosy i pokręcił głową.

– To zła decyzja Beth. Powinniśmy być razem. Kochamy się. Zasługujemy na drugą szansę – powiedział stanowczo, choć jego głos zmagął się z falą napływających łez.

Wstał i szybko wyszedł z pokoju. Słyszała, jak nakłada buty i zasuwa kurtkę. Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Słuchała, jak odpala pikapa i wyjeżdża z podjazdu. Serce waliło jej jak młotem. Zrobiła to. To koniec.

Weszła do kuchni, wyciągnęła butelkę wódki z szafki, dołała jej po brzeg kubka do swojego ledwie ciepłego kakao i wróciła na kanapę. Wsłuchiwała się w odgłosy burzy, ognia, grzejnika, ciszy. Upiła łyk kakao i zauważyła, że trzęsą się jej ręce. Utkwiła wzrok w białym tekturowym pudełku po lewej stronie stołu, bojąc się go dotknąć.

Zadzwonił dzwonek i Beth złękła się, rozlewając kakao na kolana. Wytarła dzinsy ręką i zmierzyła wzrokiem kartkę ze swoim zadaniem domowym, która leżała na kanapie. Może Jimmy po nią wrócił. A może ma coś więcej do powiedzenia. Wzięła głęboki oddech i ruszyła do przedsionka.

Kiedy otworzyła drzwi, znów się złękła, tym razem oblewając kakao czerwoną bluzką. W drzwiach nie zastała Jimmy'ego. Jej emocjonalnie wyczerpanemu mózgowi zeszło kilka sekund, zanim rozpoznał osobę, która przed nią stała.

Była to Olivia, przemoczona do suchej nitki, z białym tekturowym pudełkiem w rękach. Miała minę, jakby właśnie zobaczyła ducha.

ROZDZIAŁ 34

– Przemokłaś do suchej nitki – powiedziała Beth. – Wejdz.

– Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi – powiedziała Olivia, licząc na to, że nie okaże zdenerwowania. Nie udało się jej. Jej głos miał dziwny, spięty i piskliwy wysoki ton.

– Nie szkodzi, chodź.

Olivia weszła do środka. Stała w przedsionku – szara podłoga z płytek ceramicznych, pleciony zielono-niebieski dywanik, buty córek ustawione pod długą drewnianą ławką w równy rząd, płaszcze na wieszakach na ścianie. Dom był ciepły. Pachniał ciasteczkami. Beth zawahała się, zanim zamknęła wejściowe drzwi, wyrzawszy wcześniej na pustą drogę. Wydawała się czymś zaniepokojona, a nawet wstrząśnięta. Może Olivia przyszła nie w porę. Nie, nie mogła z tym czekać.

– Przeczytałam twoją książkę – powiedziała Olivia, przyciskając pudełko do piersi, chroniąc jego zawartość, jakby był to jakiś cenny podarek, święta ofiara, ukochane dziecko.

– O, to świetnie! – powiedziała Beth, rozpromieniając się. – Zdejmij kurtkę i chodźmy do salonu. Usiądziemy sobie przy kominku.

Beth powiesiła przemoczoną kurtkę Olivii na wolnym wieszaku. Olivia ściągnęła buty i dała się zaprowadzić do salonu.

– Przepraszam za ten bałagan.

Olivia rozejrzała się po pokoju, starając się wychwycić każdy szczegół. Jej zmysły były wytężone, ostre i czujne. Białe ściany, kremowe rolety w oknach, jasnoniebieski dywan w salonie na podłodze z litego drewna, skromny telewizor na białym regale, wszystkie szafki zamknięte, drewno na opał ustawione w wysoki stos na żelaznym wózeku, świeca i maleńkie pudełeczko na prezent na stoliku kawowym, dwie brązowe kanapy zwrócone ku sobie obok zwykłego kominka z cegły, a na środku gzymsu oparte o ścianę jedno oprawione zdjęcie zrobione przez Olivię, przedstawiające Beth i jej córki, po bokach którego z jednej strony stała wielka muszla, a po drugiej rozgwiazda. Na podłodze przy jednej z kanap stał niebieskim plastikowy kosz pełen nieposkładanego prania, ale poza tym salon był bez zarzutu.

Olivia usiadła na kanapie naprzeciw Beth.

– Mamy tu jedno twoje zdjęcie – powiedziała Beth z uśmiechem, wskazując na gzyms kominka. – W korytarzu na piętrze wisi jeszcze siedem innych. Bardzo nam się podobają. Pokażę ci, zanim pójdziesz.

– Jasne. Cieszę się, że jesteś zadowolona – odparła Olivia, siłąc się na lekki ton i nie wiedząc, jak długo jeszcze będzie w stanie prowadzić zwykłą, uprzejmą rozmowę.

– Napijesz się czegoś?

– Chętnie. Może tego co ty – powiedziała, zauważywszy niebieski kubek w rękach Beth, jak jej się zdawało, wypełniony kawą.

Kofeina była jednak ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Kiedy zaczęła czytać manuskrypt Beth poprzedniego wieczoru, czerwonym długopisem podkreślała słowa i frazy, które przypominały jej Anthony'ego. Uśmiechała się podczas pierwszych pięciu stron, podziwiając sposób, w jaki Beth przedstawiła chłopca z autyzmem, tak podobnego do jej syna. Była zdumiona zbiegiem okoliczności – tym, że książka Beth dotyczyła tematu tak bliskiego jej sercu. Podziwiała wybór Beth, by opowiedzieć tę historię z punktu widzenia chłopca, jego głosem. Kiedy doszła do trzeciego rozdziału, słowa, które czytała, i głos, który słyszała, zaczęły wydawać się jej niesamowite, surrealistyczne, niemożliwe. Dłonie jej się trzęsły, a serce dudniło w piersi. Dostała gęsiej skórki, która nie znikwała. Sięgnęła po zakreślacz i zaczęła wyznaczać nim całe akapity, które – jak czuła – mogły dotyczyć tylko Anthony'ego i nikogo innego. Kiedy doszła do czwartego rozdziału, podkreślała już każde słowo w każdym zdaniu i na każdej stronie. Pochłaniała zdanie za zdaniem i skończyła czytać tuż po północy – bez tchu, oszołomiona, czując, jak serce wyrywa się jej z piersi, a po twarzy płyną łzy. Siedziała przez jakiś czas nieruchomo, wpatrzona w ostatnią stronę, płacząc i uśmiechając się, wierząc i nie dowierzając. W końcu odłożyła ostatnią stronę, zebrała pozostałe kartki manuskryptu i położyła je sobie na kolanach, czując ich ciężar. Wierząc. Te słowa napisane przez Beth były słowami Anthony'ego. Głos tego chłopca był głosem jej niemówiącego syna. Bohaterem tej książki był jej Anthony. Wróciła do początku i jeszcze dwa razy przeczytała książkę, od początku do końca. Nie spała całą noc, a mimo to nigdy w życiu nie czuła się bardziej przytomna. Każda komórka jej ciała była pobudzona, czujna, po brzegi wypełniona adrenaliną, tak pękata, że o mało nie wybuchła.

– Piję kakao – powiedziała Beth, wahając się przez chwilę. – Z... nie myśl o mnie źle... odrobiną wódki.

– Może być.

– Tak? – Beth uśmiechnęła się i pospieszyła do kuchni.

Olivia wyciągnęła manuskrypt Beth z pudełka i położyła go sobie na kolanach, starając się jeszcze przez chwilę poskromić swoje uczucia, wyobrażając sobie, że jeśli wkrótce nie powie, dlaczego tu przyszła, jej ciało eksploduje na milion krwawych kawałków. Nasłuchiwała odgłosów chodzącej mikrofali i Beth otwierającej i zamykającej szafki w kuchni. Już za chwilę. Szumiało jej w głowie, a w żołądku miała motyle. Tak pewnie czuli się aktorzy, zanim wyjdą na scenę w wieczór premiery albo więźniowie skazani na karę śmierci w dzień egzekucji, ale nie do końca. Usłyszała piknięcie mikrofali. Beth wróciła z kolejnym niebieskim kubkiem i pełnym przejęcia uśmiechem na twarzy.

– Nie mogę uwierzyć, że przyszłaś z moją książką. Bardzo się denerwuję.

Postawiła kubek na stoliku kawowym przed Olivią, po czym usiadła, nachylając się do przodu z pełną uwagą, niczym dobra uczennica.

– Twoja książka – powiedziała Olivia.

Jej głos zawisł w powietrzu. Serce biło jej w piersi jak pięść, która dobija się do zamkniętych drzwi.

– Twoja książka – zaczęła jeszcze raz. – Jak ją napisałaś?

– To znaczy?

– To jest opowieść o moim synu.

– Jak to? – Beth uniosła brew i przechyliła głowę, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Mój syn miał na imię Anthony i miał autyzm.

– O Boże – powiedziała Beth z oniemiałą miną, odstawiając kubek. – To niewiarygodne.

– Tak.

– Co za niesamowity zbieg okoliczności. Nie miałam pojęcia.

– Nie. To nie jest zbieg okoliczności. Nie napisałaś powieści o jakimś tam autystycznym Anthony. Napisałaś o MOIM Anthony.

Beth zmarszczyła brwi, nic nie mówiąc.

– Te szczegóły. Wiedziałaś o wszystkim. O Barneyu, o kamykach, o *Trzech małych świnkach*. Zmarł, kiedy miał osiem i pół roku, prawie dwa lata temu.

– Boże, Olivio, tak mi przykro.

– Słyszysz jego głos?

– Słucham?

– Czy mówi do ciebie słowami?

Olivia odchrząknęła, starając się powstrzymać łzy. Wszystko by oddała, żeby coś do niej powiedział.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem, o co mnie pytasz.

– Nie wiem, jak inaczej to ująć. Twoja książka to nie fikcja. To głos mojego syna – powiedziała, podnosząc kartki.

Beth ostrożnie przyglądała się twarzy Olivii, jakby czekała, że wyjaśni jej puentę dowcipu, którego nie zrozumiała. Olivia utkwiała w niej wzrok, wyczekując odpowiedzi. Słyszała cichy szum lodówki w kuchni, trzaski i syk drewna w kominku. Była świadoma swoich rzęs za każdym razem, gdy mrugała, i wody, która z mokrych włosów skapywała jej na kark i plecy.

– Słuchaj, naprawdę przykro mi z powodu twojego syna, ale ja nie...

– Jak to napisałaś?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Skąd tyle wiesz o autyzmie? Znasz kogoś, kto go ma?

– Nie, ale czytałam...

– Nie mogłaś wiedzieć tego wszystkiego tylko po tym, co można przeczytać.

– Obserwowałam też dzieci, które mają autyzm. Nawet zanim cokolwiek przeczytałam, chyba zawsze zwracałam uwagę na takie dzieci – powiedziała Beth.

– To mój syn – powiedziała Olivia, podnosząc kartki z kolan.

– Przepraszam Olivio. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że miałaś

autystycznego syna i że miał na imię Anthony. Nie miałam pojęcia, że proszę cię o przeczytanie czegoś tak osobistego. To niesamowite, że ten bohater tak bardzo przypomina ci twoje dziecko.

– To jego głos – powiedziała Olivia. – Wiem, że wychodzę na jakąś zdesperowaną, pogrążoną w żałobie matkę, która chce wierzyć, że ktoś komunikuje się z jej nieżyjącym synem. Ale ja nie jestem stuknięta. To jest mój Anthony – powiedziała, kartkując manuskrypt. Beth szeroko otworzyła oczy na widok czerwonego i różowego atramentu na papierze.

– Przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć – powiedziała Beth.

– Wiem. Wiem, że cię wystraszyłam. Możesz mi wierzyć, mnie też to przeraża. Ale nie da się tego inaczej wytłumaczyć.

– To zbieg okoliczności.

– Nie. To mój syn – powtórzyła Olivia, gładząc pierwszą stronę rozedrganą dłonią.

– Posłuchaj, naprawdę bardzo mi przykro, ale nie słyszałam żadnych głosów. Książkę zainspirowało opowiadanie, które napisałam lata temu. Opowiadało o chłopcu, którego pewnego razu spotkałam na plaży. Układał linie z kamieni na piasku. A później przeczytałam kilka książek o autyzmie i w jakiś sposób pasowało to do chłopca w moim opowiadaniu i chłopca z plaży. Połączyłam wszystko i tak powstała ta postać. Naprawdę.

Chłopiec układający kamyki w rzędy. Olivia często przyjeżdżała z Anthonym na plażę Grubasek i plażę Miacomet, kiedy był mały. Chłopcem, którego pamiętała Beth, był Anthony. Była tego pewna. Przebiegł ją pełen napięcia dreszcz.

– Nie wiem, jak ani dlaczego, ale to mój syn przekazał ci tę historię. Ona nie powstała w tobie, ona przez ciebie przeszła.

Beth wpatrywała się w Olivię z niedowierzaniem, bez słowa. Olivia zaciskała dłonie na kartkach leżących na kolanach. Nie mogła wstać z tej kanapy, dopóki w jakiś sposób nie przekona Beth. Zrobiła wydech i zebrała myśli.

– Zacznę od początku. Twoja książka jest wspaniała. Piękna, wciągająca i taka prawdziwa.

Na pełnej rezerwy twarzy Beth pojawił się uśmiech, promyk słońca przebijający się przez mały otwór w betonowej ścianie.

– Ale jeszcze nie skończyłaś jej opowiadać. Twój ostatni rozdział nie jest prawdziwym zakończeniem.

Uśmiech Beth zniknął, ale słuchała dalej.

– Musimy wiedzieć, co Anthony myśli o swoim czasie spędzonym tutaj, o swoim życiu i autyzmie. Jaki był według niego cel jego życia? To wielkie pytanie w twojej powieści, na które nie odpowiedziałaś. Co dla niego oznaczało jego życie?

Olivia nie była w stanie wydusić z siebie kolejnego słowa. Czuła, że odpowiedzi na to pytanie potrzebuje bardziej niż tlenu. Tyle czasu zadawała je sobie, modląc się o

odpowiedź, a teraz siedziała przed nią zwykła, ale całkowicie wystraszona kobieta, jej sąsiadka, którą ledwie знаła, i która w jakiś sposób miała dostęp do tej odpowiedzi. Dostęp do Anthonyego.

– Nawet jeśli uważasz, że jestem całkowicie szajbnięta, proszę cię, posłuchaj mnie. Wróć do swojej opowieści i napisz jeszcze trochę. Zaufaj mi. Nie napisałaś jeszcze właściwego zakończenia.

Beth nadal wyglądała na dość wystraszoną, ale wciąż słuchała. Pokiwała głową.

– Zastanowię się.

Olivia spojrzała Beth w oczy. Nie była już w stanie zdobyć się na nic więcej.

– Dziękuję. Nie wiem, jak ci dziękować. I zaufaj mi, zobaczysz. Będiesz wiedziała, że masz prawdziwe zakończenie, kiedy je napiszesz.

Beth zaczęła obgryzać paznokieć wskazującego palca i wlepiała wzrok w książkę na kolanach Olivii.

– Naprawdę wierzysz, że to, co napisałam, pochodzi od twojego syna?

– Ja wiem, że tak jest.

Olivia była tego pewna, jak koloru swoich oczu. Ta książka to Anthony. Nie była do niego podobna ani oparta na jego losach. Nie przypominała go jej. Ta książka była nim.

Kiedy Olivia wstała, by wyjść. Zauważyła, że Beth pragnie zerknąć na jej manuskrypt. Nie mogła tak tu zostawić słów Anthonyego. Po prostu nie mogła.

– Mogę zabrać ten wydruk ze sobą?

Beth zawahała się. Wyglądała na oszołomioną i wyczerpaną.

– Okej.

– Dziękuję. Nie wiem, jak ci dziękować za napisanie tego wszystkiego. Dzięki tobie mogłam poznać mojego syna tak, jak nigdy nie było mi dane.

Olivia wsunęła manuskrypt z powrotem do pudełka i Beth odprowadziła ją do drzwi. Olivia spojrzała Beth w oczy, upewniając się, że Beth naprawdę ją widzi, a potem ją przytuliła.

– Dziękuję.

Beth pokiwała głową i szepnęła:

– Nie ma za co.

Olivia wzięła swoją nadal przemoczoną kurtkę, niechętnie się pożegnała i wyszła. Kiedy tylko znalazła się na zewnątrz wiatr zwał jej kaptur z głowy. Pobiegnęła po trawniku do swojego jeepa, ale zatrzymała się, zanim otworzyła drzwi. Przechyliła głowę do tyłu, zwracając się twarzą do ogromnego szarego nieba, wiatru i deszczu, i zaczęła się modlić.

Wiem, że to ty, Anthony. Proszę, powiedz jej więcej. Daj mi jeszcze odrobinę.

Stała na drodze wystawiona na pastwę szalejącego wiatru, deszczu, nieba i Boga. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Anthony zdecydował się mówić przez Beth, a nie przez nią. Ale tak wybrał. Olivia wierzyła. Więcej niż wierzyła. Wiedziała. To

Anthony, a nienapisane zakończenie powieści Beth było odpowiedzią na modlitwy Olivii.

ROZDZIAŁ 35

Był wczesny niedzielny poranek i Beth siedziała na kanapie w salonie Petry, czekając, aż ta wróci z kuchni z ziołową herbatą. Ściągnęła z poduszki na kanapie czarny paproszek i rzuciła go na podłogę. Kanapa Petry była biała i dość wiekowa, ale nadal wyglądała jak nowa i nie miała żadnych plam. Była jedną z wielu oznak widocznych w salonie, że mieszkająca tu kobieta nie ma męża i dzieci. Obok kanapy stało medytacyjne krzesło Petry, niskie, ciemnobrązowe ratanowe siedzisko z wysokim oparciem i białą poduszką (również bez plam). Na siedzeniu leżał piękny, tkany ręcznie różowo-popielaty koc, który pokazywał dokładnie, gdzie Petra siedziała jeszcze kilka chwil temu. Na niskim owalnym stoliku do kawy obok magazynu kulinarnego stała zapalona świeca i talia kart tarota. W salonie nie było wielu ozdób. Znajdowało się tam czarno-białe zdjęcie Petry wraz z rodzeństwem i rodzicami, obraz przedstawiający zachód słońca nad oceanem, drzeworyt z wizerunkiem kaszalota, drzewko szczęścia w dużej, niebieskiej, ceramicznej donicy na podłodze, którego gałązki ozdobione były małymi złotymi bombkami, oraz misa pełna kolorowego morskiego szkła. Nie było za to telewizora.

Petra weszła do salonu, nadal ubrana w piżamę, bosa, z paznokciami pomalowanymi na jaskraworóżowy kolor i podała Beth gorący kubek, nad którym unosiła się para. Usiadła na swoim krześle, krzyżując nogi, owinęła się kocem, upiła łyżeczek herbaty i nachyliła do przodu, zbliżając do Beth.

- Ale fantastyczna historia – powiedziała Beth.
- Zwariowana, nie fantastyczna.
- Cóż, jest trochę zagmatwana, ale uważam, że jest fantastyczna.
- Petro, to jest niewiarygodne, niemożliwe.
- Daje do myślenia – powiedziała Petra.
- To czysty zbieg okoliczności.
- Albo i nie.
- Nie ma innej odpowiedzi.
- A dlaczego nie?
- Czyli wierzysz w takie rzeczy?
- Jakie? – zapytała Petra, choć doskonale wiedziała, co Beth miała na myśli.
- No wiesz, w mówienie głosem zmarłych. Rozmawianie z duchami.

Petra zaśmiała się i odgarnęła włosy za ucho.

- Wierzę w wędrówkę dusz i duchy.
- Ale co to oznacza?
- Wierzę, że jesteśmy czymś więcej niż krwią i kośćmi, że wszyscy jesteśmy duchami, które mieszkają na ziemi dla jakiegoś duchowego celu.

Beth westchnęła i upiła łyk herbaty. Jej doświadczenia dotyczące religii, idei i przekonań w kwestii duchowości i życia po śmierci były niezwykle ograniczone. Jej

matka nie chodziła do kościoła. Beth nie była nawet pewna, czy identyfikowała się z jakimś wyznaniem. Przez pewien czas, kiedy Beth była nastolatką, w weekendy chodziły z mamą do różnych kościołów, czasem nawet w innych miastach, tylko po to, by Beth miała przynajmniej kontakt ze sformalizowaną religią.

Niewiele z tego zapamiętała. Słuchała dziwnych pieśni śpiewanych przez chór, których słów nie знаła, i oglądała figury przedstawiające przybitego do krzyża Jezusa, przez które miała koszmary. Pamiętała pączki. Ale któregoś weekendu wycieczki się skończyły i mama kazała jej zdecydować się na którąś z religii. Beth miała około szesnastu lat. Zdecydowała, że w niedzielę woli pospać dłużej.

Wtedy zmarła jej mama i Beth pożałowała, że nie wybrała żadnej religii. Założyła, że jej matka była w niebie, nie miała jednak niczego, co pomogłoby jej uwierzyć, że niebo istnieje. Mogła jedynie wyobrażać sobie niebo jako część wielkiego błękitu, wypełnionego białymi chmurami i pulchnymi, gołymi skrzydlatymi bobasami. Trudno jej było znaleźć miejsce dla mamy w tym obrazie. Nadal.

– W porządku, a co z tym, w co wierzy Olivia? – zapytała Beth. – Uważasz, że to w ogóle możliwe?

– Tak. Czasem wyczuwam obecność duchowej energii, kiedy medytuję.

– Czyli słyszysz prawdziwe głosy?

– Nie, ale niektórzy ludzie słyszą, a inni mają wizje, przebłyski. Ja nie słyszę ani nie widzę, to jakby nagła świadomość, ale ona nie pochodzi ode mnie.

– To się nazywa „myślenie”, Petro.

– Nieprawda. To coś innego. To informacja, która normalnie nie przyszłaby mi do głowy albo zostaje mi przekazana w sposób, który nie jest mój. Trudno to wyjaśnić.

– Okej, ale nawet jeśli w to wierzysz, dlaczego ten chłopiec miałby wybrać właśnie mnie? Dlaczego nie skomunikował się bezpośrednio z matką?

– Może jego matka nie była na to otwarta. Zbyt wielki żal mógł blokować kanał.

Beth rozejrzała się po salonie Petry – karty tarota, różowe kryształy w kształcie serduszek nawleczone na sznurek, pobłyskujące na jednym z okien, krzesło medytacyjne. Jeśli duch chłopca imieniem Anthony chciał przekazać swoją historię przez jakąś kobietę na Nantucket, to czemu nie wykorzystał Petry? Czemu nie wybrał kogoś, kto wierzy w takie rzeczy?

– W porządku, ale dlaczego ja? Zanim zaczęłam pisać tę książkę, nie miałam żadnego związku z nim ani z autyzmem.

– Wszyscy mamy ze sobą coś wspólnego, nawet jeśli nie wiemy co. Może porozumiewanie się za twoją pomocą daje ci coś, czego potrzebujesz w tym wcieleniu.

– Ja? Na przykład co?

– Nie wiem. Może szansy na nowe życie, twórcze życie. Może to jakaś lekcja, coś, czego powinnaś się z tej historii nauczyć.

Napisanie tej książki połączyło ją z częścią siebie samej, o której zapomniała, o

twórczej marzycielce, którą przez tyle lat trzymała zamkniętą w pudle na strychu. Ale lekcja? Jej książka dotyczyła autyzmu. Nie mówiła o niej. Beth pokręciła głową.

– Czy odniosłaś kiedykolwiek wrażenie, że podczas pisania książki miałaś do czynienia z czymś lub kimś jeszcze? – zapytała Petra.

– Właściwie nie – powiedziała Beth z wyraźną niepewnością w głosie, która ją samą zaskoczyła.

Nigdy nie słyszała żadnych głosów. Naprawdę. Czasami jednak, kiedy pracowała, mijały długie godziny, cały poranek i popołudnie, a jej wydawało się, że dopiero co zaczęła. Czasem też wracała do napisanych fragmentów i zastanawiała się *Jak ja na to wpadłam? Skąd wiedziałam, jak to napisać?* Były też sny. Pełne, realistyczne sny o Anthony.

– Ale to ja napisałam tę książkę.

– Wiem, ale może ten duch przyniósł ci inspirację, poprowadził w stronę zamierzonej ścieżki, jakiejś nieodzownej prawdy.

Beth zaczęła podgryzać paznokieć i intensywnie myśleć o tym, co powiedziała Petra.

– Okej, ale jeśli miałam przekazać wiadomość od jakiegoś ducha, dlaczego pochodziła od tego chłopca, a nie od mojej mamy, babci albo dziadka. Dlaczego od tego chłopca?

– Nie wiem. Już mówiłam, może jest jakiś powód, dla którego jesteście połączeni. Może w tym, co mówi, jest dla ciebie jakaś lekcja, a może Olivia po prostu jest matką, która kochała syna i bardzo za nim tęskni, i istnieje między nimi jakaś nierozwiązana kwestia.

Beth napiła się herbaty i zastanowiła przez chwilę.

– Ona chce wiedzieć, jaki cel miało jego życie – powiedziała Beth.

– No i masz. A twoja książka tak bardzo przypomina jej o synu, że postrzega ją jako szansę, by zrozumieć, dlaczego jej syn tu był, i wygoić rany. Jak myślisz?

Beth pokiwała głową.

– Jestem skłonna to kupić.

– Okej, to w takim razie co myślisz o jej uwagach? Uważasz, że napisałaś właściwe zakończenie?

Znowu to poczuła, jak wtedy, kiedy w jej salonie siedziała Olivia – elektryzujące, przyprawiające o mdłości uczucie, jakby tonęła.

– Nie wiem. Teraz już niczego nie jestem pewna.

– Poszłabym do biblioteki i spróbowała jeszcze coś napisać. Zobaczyć, czy Anthony ma coś jeszcze do powiedzenia. Nie zaszkodzi.

– Jest jeszcze coś – powiedziała Beth.

Petra uniosła brwi w oczekiwaniu.

– Za każdym razem, kiedy mówiła: „Nie masz właściwego zakończenia”, to przyrzekam, czułam w żołądku taki ucisk, jakby ktoś przywalił mi pięścią. Dopiero co

ostatecznie rozstałam się z Jimmym.

– Ciekawe – powiedziała Petra, uderzając w kubek palcem wskazującym. – Masz wątpliwości?

– Nie wiem, ale za każdym razem, kiedy mówiła: „Nie skończyłaś”, czułam się, jakby uderzył we mnie piorun. Ona mówiła o mnie i o Jimmym, nie o książce.

– Więc może twój związek z Jimmym nie jest jeszcze skończony.

– Petra, przecież ona mówiła o książce. Nic nie wie o mnie i Jimmym.

– Zgoda, mówiła o książce, ale ty słyszałaś, że o Jimmym.

Beth westchnęła. Myślała, że skończyła pisać. Myślała, że skończyła z Jimmym. A teraz kobieta, którą ledwie знаła, nagle wtargnęła do jej domu i podała wszystko w wątpliwość.

– Możesz wierzyć w duchy albo nie – powiedziała Petra. Możesz to uznać za gigantyczny zbieg okoliczności. Ja w to wierzę i wierzę w ciebie. Idź pisać. Nie masz jeszcze właściwego zakończenia.

I znów. Piorun. Motyle w żołądku. Jimmy.

– Nie wiem. Przemyślę to – powiedziała Beth, zerkając na zegarek. – Muszę lecieć.

– Chodź tu – powiedziała Petra.

Przyjaciółki przytuliły się mocno, sercem do serca.

– Dzięki za tę rozmowę – powiedziała Beth.

– Nie ma sprawy.

Beth włożyła płaszcz, wzięła swoją torbę i pomachała Petrze na pożegnanie, wychodząc, nadal wszystkiego niepewna, wliczając w to gładki wisiołek z kamieniem księżycowym, który miała w swojej kieszeni.

ROZDZIAŁ 36

Olivia siedziała przy kuchennym stole, czytając. Planowała, że usiadzie do któregoś ze swoich dzienników, ale najpierw przejrzała pocztę i nieumyślnie wciągnęła się w czytanie egzemplarza recenzenckiego poradnika od Louise pod tytułem *Wiara w szczęście: Dwanaście kroków do odnalezienia wewnętrznej radości*. Skończyła pierwszy, krótki rozdział, zamknęła książkę i przyjrzała się okładce, zaskoczona tym, jak ją zainteresowała. Postanowiła chwilowo ją odłożyć.

Sączyła kawę, myśląc o Beth. Nadal nie miała od niej żadnej wiadomości. Codziennie Olivia modliła się, by Beth postanowiła coś jeszcze dopisać. Nie była w stanie skupić się na niczym więcej, pochłonięta rozpaczliwym pragnieniem, by przeczytać więcej słów Anthony'ego, by słyszeć jego głos, uzyskać odpowiedź, której potrzebowała.

Dlaczego tu byłeś, Anthony?

Upiła łyk kawy i westchnęła. Na dziś musiał jej wystarczyć jej pamiętnik. Otworzyła go na jednym ze swoich ulubionych wpisów.

7 grudnia 2008

Dziś przyjechali do nas ojciec i brat Davida, żeby obejrzeć mecz Patriotów. Artie głuchnie z dnia na dzień, ale nie chce się do tego przyznać ani używać aparatu słuchowego, więc przez cały dzień telewizor był maksymalnie pogłośniony. Zawsze dużo krzyczą, kiedy oglądają mecz, zwłaszcza jeśli jest przeciw Jetsom (i nie ma znaczenia, czy drużyna wygrywa, czy przegrywa, i tak krzyczą). Więc przy całym tym hałasie wiedziałam, że Anthony będzie unikał dziś salonu.

Pierwszą część dnia spędziłam w kuchni. Zrobiłam przystawki, kurczaka z parmezanem i lasagne na kolację. Anthony nie lubi przebywać w kuchni, kiedy gotuję. Myślę, że to dlatego, że tłukę garnkami, patelniami i naczyniami, a może to przez moje niespodziewane ruchy albo nawet zapachy. Nie wiem na pewno dlaczego, ale kiedy gotuję, Anthony znika z pola widzenia.

Ponieważ Artie, Doug i David krzyczeli na telewizor w salonie, a ja gotowałam w kuchni, bałam się, że Anthony nie będzie w najlepszym nastroju. Dzień był ładny, więc po lunchu posłałam go na dwór.

Tak się cieszę, że mamy przy furtce nowy zamek, dzięki czemu Anthony może być sam na patio albo na podwórku przed domem i nie musimy się martwić, że wybiegnie i zniknie Bóg wie gdzie. Nigdy więcej nie chcę już biegać po okolicy, szukając go. To najgorsze uczucie nie wiedzieć, gdzie jest, czy nic mu nie jest, czy się nie boi, czy będziemy w stanie go odnaleźć, zanim zdarzy się coś strasznego. Nie było mi łatwo dzwonić do drzwi sąsiadów i patrzeć, jak ich twarze nieruchomieją, kiedy wyjaśniałam im, co się stało. To kochany chłopiec w spektrum autystycznym, który na

dodatek nie mówi, a nie zbiegły z więzienia zboczeniec.

Wiedziałam więc, że jest na zewnątrz i nie może wyjść poza naszą posesję, nie wiedziałam jednak, co tam robi, i nie zerkalam na niego przez dłuższy czas, choć powinnam była. Normalnie wystawiałabym głowę co kilka minut, dziś jednak byłam zachłanna – chciałam po prostu jeszcze kilku minut spokoju. Jeszcze kilku. Jeszcze kilku.

Ciekawe, że David ani razu nie wstał z kanapy, żeby zobaczyć, co robi Anthony (zupełnie mnie to nie zaskoczyło). Zawsze zakładał, że ja to zrobię. Kroiłam, mieszałam i gotowałam, i walczyłam z pokusą, żeby sprawdzić, jak się ma Anthony na podwórku. Nie dobiegały stamtąd żadne odgłosy. To dobrze, ale czasem cisza, która trwa za długo, mrozi krew w żyłach jak jeden z jego krzyków. Zaczęłam się więc martwić tym, co może robić. Mógł być goły i bawić się własną kupą. Tej wiosny zerwał główki wszystkich tulipanów, które ledwie co zdążyły zakwitnąć. Z nim nigdy nic nie wiadomo. Najprawdopodobniej jednak tylko bujał się na huśtawkach albo bawił w piaskownicy, albo układał swoje kamienie.

W końcu wyszłam na zewnątrz i mój syn leżał sobie na plecach na patio, w jasnym kwadracie słońca. Ręce trzymał wzdłuż tułowia, dłońmi do góry, stopy miał szeroko rozstawione, oczy otwarte. Po prostu tak leżał i patrzył na niebo.

Kwadrat światła starczyłby dla dwóch osób, więc postanowiłam położyć się koło niego. Był rześki jesienny dzień. W cieniu było chłodno, ale w słońcu nie trzeba było nawet mieć na sobie kurtki. Deski patio były nagrzane i ich ciepło bajecznie rozgrzewało moje obolałe plecy.

Niebo miało kolor idealnego błękitu i nie było na nim ani jednej chmurki. Spojrzałam na Anthony'ego, który patrzył w niebo, i zaczęłam się zastanawiać, ile tu już leży? Robił to przez cały czas? Na co patrzy? Na niebie nie było chmur, ptaków, samolotów. Co tak długo przytrzymywało jego uwagę? Co się działo w jego głowie?

Zaczęłam odczuwać lekki niepokój, jakbym powinna wstać i coś zrobić. Pomyślałam, że nie mogę tak po prostu tam leżeć. Powinnam działać. W zlewie nadal leżała sterta brudnych naczyń. Powinnam udawać, że interesuje mnie wynik meczu i na chwilę dołączyć do mężczyzn w salonie. Powinnam nastawić pranie.

Czułam się też winna, że tak długo ignorowałam Anthony'ego. Pomyślałam, że powinnam kazać mu wstać, organizować mu czas, próbować zainteresować go czymś, nad czym powinien pracować. Myślałam (z przerażeniem) o zbliżającym się spotkaniu dotyczącym indywidualnego planu edukacyjnego. Jest tak bardzo do tyłu. Ma tyle rzeczy, nad którymi trzeba z nim popracować, których powinien się nauczyć.

Na szczęście jednak zdołałam się powstrzymać. Postanowiłam dalej tak leżeć i robić to, co Anthony, czyli pozornie nic, dopóki tylko będzie chciał. Leżeliśmy więc sobie na patio jedno koło drugiego, oddzieleni tylko o kilka centymetrów patrzyliśmy na niezmiennie niebieskie niebo.

Na początku moje myśli były niespokojne. Wyobrażałam sobie te wszystkie brudne

naczynia w zlewie, nawet nie zalane wodą, które błagają mnie, bym je umyła. Martwiłam się spotkaniem i myślałam o tym, co było potrzebne, by się do niego przygotować. Ale zostałam i w końcu udało mi się uwolnić od tych wszystkich myśli. Nie robiłam nic i cieszyłam z tego, że po prostu jestem – niebieskie niebo, ciepłe słońce, gorące deski i Anthony przy moim boku.

Kiedy w pewnej chwili zerknęłam na niego, zobaczyłam na jego buzi gigantyczny uśmiech. Boże, jego uśmiech tak mnie uszczęśliwia. I tak leżeliśmy razem na patio, uśmiechając się do nieba.

Po jakimś czasie słońce się przesunęło i nasz kwadrat pokrył cień. Anthony usiadł, spojrzał na mnie ukradkiem i uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby – przyrzekam – próbował mi powiedzieć: „To było super, prawda, mamo? Czy patrzenie na niebo to nie najfajniejsza rzecz, jaką w życiu razem robiliśmy?”.

A potem zaczął pisać i machać rękami, po czym pobiegł do domu.

Tak, Anthony. To najfajniejsza rzecz w życiu.

ROZDZIAŁ 37

Beth siedziała na swoim krześle w bibliotece z laptopem Sophie i patrzyła na ostatnią stronę swojej książki na monitorze. Ponownie czytała zakończenie. Podobało jej się. Pasowało, ale Beth niechętnie przyznała, że nie wrywało z butów.

Jak inaczej mogłaby ją zakończyć? Postukała w zęby nadgryzionym paznokciem palca wskazującego i zaczęła czytać raz jeszcze. Odchyliła się i nieobecny wzrokiem zaczęła wpatrywać w podest i olejne portrety Thoreau, Emersona i Melville'a.

Nie masz właściwego zakończenia.

Dlaczego niby miała posłuchać Olivii? Zakończenia były subiektywne. Jeszcze raz przeczytała ostatni rozdział. Był całkowicie uzasadnionym zakończeniem całej historii.

Jaki cel miało życie Anthony'ego?

Było to potężne pytanie i jeśli Beth miała być szczerą, widziała, że unika na nie odpowiedzi i czytelnicy mogli się nad nim nadal zastanawiać po przeczytaniu ostatniej strony. Ale czy było w tym coś złego? Czy to źle dać czytelnikowi do myślenia? Nie dać mu spokoju?

Beth westchnęła i odepchnęła od siebie laptopa. Wyciągnęła z torby nowiutki notes i otworzyła go na pierwszej stronie. Postukała długopisem w zęby i popatrzyła za okno. Tego dnia w bibliotece nie było nikogo poza nią i Mary Crawford, która siedziała wypożyczalni.

W bibliotece było gorąco, cicho i spokojnie. Zegar tykał. Spojrzała na notatnik.

Pusty.

Nie musiała więcej pisać. Zakończenie, które wybrała, było wystarczająco dobre. Nawet gdyby napisała inne, to i tak Olivia mogłaby nie znaleźć w nim odpowiedzi, których szukała. Beth nie mogła jej tego zagwarantować. Zatkąła długopis i zamknęła notatnik, ale nie wyszła. Patrzyła za okno, dyskutując sama z sobą i nasłuchując tykania zegara.

Nie masz jeszcze właściwego zakończenia.

Zakończenie, które napisałaś, jest w porządku.

Jaki był cel życia Anthony'ego?

Może kryje się w tym jakaś lekcja dla ciebie?

Jimmy.

Tyk. Tyk. Tyk.

Wyprostowała ręce nad głową i wygięła plecy. Postawiła stopy na ziemi, wyprostowała się na krześle, otworzyła notatnik i ściągnęła skuwkę z długopisu. Utkwiła wzrok w pustej stronie. Wciąż pustej.

Nie napotkała na tego typu opór, od kiedy po raz pierwszy siadła tu do pisania.

Ale oto znów ją dopadł i wydawał się większy niż ostatnim razem, jak gdyby między nią, a możliwością nowego zakończenia powstał wysoki na dwadzieścia pięć metrów mur. Może rzeczywiście nie miała już co pisać.

Jaki był cel życia Anthonyego?

Tyk. Tyk. Tyk.

– Hej, Anthony. Masz jeszcze coś do powiedzenia? – szepnęła.

Wstrzymała oddech, nasłuchując.

Tyk. Tyk. Tyk.

Żadnych głosów z innego wymiaru. Beth odetchnęła z ulgą. Wtedy jednak coś do niej dotarło. Pytanie zadane jej własnym głosem.

Jaki jest cel mojego życia?

I wtedy uderzyła ją myśl, wielka i zdecydowana, która w jej wyobraźni nie posiadała dźwięku ani obrazu. Była eteryczną świadomością, ale tak rzeczywistą i pewną jak krzesło, na którym siedziała. Była odpowiedzią na jej pytanie.

Wszystkich coś łączy.

Zamknęła oczy i oddychała. Wciągała powietrze w płuca do rytmu tykającego zegara, i niedługo i jej oddech, i tykanie zdały się zwolnić i rozciągnąć. Beth wyobraziła sobie dwudziestopięciometrowy mur oporu, który nad nią górował, ale zamiast próbować się na niego wspiąć albo rozbić, wyobraziła sobie, że idzie wzdłuż niego. Ten niebywale wysoki mur okazał się długi tylko na kilka metrów. Beth obeszła go i po drugiej stronie na tle niebieskiego nieba czekał na nią uśmiechnięty Anthony, który patrzył jej prosto w oczy. Odwzajemniła uśmiech i skinęła głową.

Otworzyła oczy i podniosła długopis, czując nagły i silny przypływ inspiracji, a jej dłoń zaczęła biegać po kartce.

ROZDZIAŁ 38

Olivia przebudziła się, nadal zmęczona, kolejnego burego poranka, jeszcze nie myśląc, nie zdając sobie sprawy, jaki to dzień. Wzięła długi, gorący prysznic, ubrała się i usiadła przy stole w kuchni z kawą i książką, jak co dzień. Dopiero gdy wychyliła ostatni łyk, świadomość dzisiejszej daty trafiła ją jak silny policzek.

Dziesiąty stycznia. Z tą świadomością wszelkie pozory normalnego dnia nagle wyparowały.

Jak tamtego dnia, dziesiąty stycznia dwa lata temu rozpoczął się normalnie. Była niedziela. Anthony wstał pierwszy i Olivia poszła za nim na dół. Usiadł na kanapie i zaczął oglądać Barneya, Olivia wzięła się do szykowania kawy i śniadania, a David brał prysznic.

Przyrządziła trzy francuskie tosty i podała je z syropem klonowym na niebieskim talerzyku Anthony'ego. Postawiła talerz, sok winogronowy, serwetkę i widelec na stole w kuchni przy krześle Anthony'ego i wróciła na górę, żeby wziąć prysznic, skoro David nadal był w domu. Kiedy ubrała się i wróciła na dół, Anthony zdążył już zjeść śniadanie, a David wypił kawę. Następnie David pożegnał się i pojechał na prezentację domu, choć przynajmniej o dwie godziny za wcześnie, co było elementem jego codziennej praktyki unikania jej.

Anthony poszedł na górę do ich sypialni i bawił się wodą w umywalce. To był ich typowy weekendowy plan dnia. Po śniadaniu Anthony bawił się wodą, a Olivia myła naczynia, piła kawę i czytała gazetę. Dawno już przestała pilnować go w łazience, kiedy się bawił. Wiedział, że nie wolno mu odkręcać wody w wannie, kiedy nie było jej na górze. Czas kąpieli przypadał wieczorem i Anthony rozumiał tę zasadę. Lubił zasady.

W końcu nauczył się też korzystać z toalety. Zwykle sikał przed śniadaniem, a potem dopiero po lunchu. Nie martwiła się więc o to, że będzie sikał albo robił kupkę, ani o wszystkie nieprzyjemne przygody, jakie mogły się przy tym zdarzyć.

Robili tak w każdy weekend. Ona piła kawę i czytała gazetę, a Anthony bawił się przy umywalce. Uwielbiał puszczać zimną wodę na dłoń. Uwielbiał wypełniać duży plastikowy kubek i bez końca wylewać wodę do odpływu. Uwielbiał też wkładać do niego korek i wypełniać całą umywalkę. Potem zbierał trochę wody do kubka i wlewał ją z powrotem, woda do wody.

Bardzo lubił też szampon. Olivia kupowała mu mnóstwo minibuteleczek i pilnowała, żeby jej drogie kosmetyki znajdowały się poza jego zasięgiem. Najpierw ściągał koszulkę. Lubił wylewać całą zawartość butelki do umywalki i robić bąbelki. Lubił też rozprowadzać szampon po całym swoim ciele. Lubił uczucie mokrej skóry, śliskiej od płynnego mydła.

Kiedy dopiła kawę, zawsze szła do jego pokoju, brała jego ubrania, wchodziła do łazienki, podawała Anthony'emu suchy ręcznik i mówiła, że pora się ubrać. Wtedy szli

na najniższy stopień schodów i Olivia pomagała mu włożyć ubrania.

Dziesiątego stycznia dwa lata temu Olivia wypła poranną kawę i przeczytała gazetę, podczas gdy Anthony bawił się wodą w łazience, a David chował przed nią w pracy. Może gdyby szybciej wypła kawę. Może gdyby David został dłużej w domu. Może gdyby nie zajęła się czytaniem gazety.

Teraz nadal czuła w ustach smak wypitej przed chwilą kawy, smak, który kochała, ale który nagle stał się gorzki, paskudny, mdły. Pobieгла do łazienki i zwymiotowała nad umywalką. Umyła zęby, wypłukała usta płynem do płukania, po czym usiadła na zimnej podłodze łazienki.

Dwa lata temu wypła swoją kawę w kompletnej ciszy i spokoju. Czytała dział kulturalny, kiedy coś w ciszy, którą słyszała na górze, zakradło się do niej znienacka i zaczęło krzyczeć. Odłożyła gazetę i nasłuchiwała. Nie usłyszała niczego nadzwyczajnego, tylko dźwięk wody płynącej przez rury.

Nic mu nie jest, pomyślała i dokładnie w tej chwili, usłyszała głucho uderzenie.

BUCH. Coś za dużego, za ciężkiego i za głośnego, żeby to mogła być butelka szamponu albo kubek wody. Nie pamiętała niczego pomiędzy stołkiem w kuchni a łazienką. Pamiętała BUCH i w jednej chwili Anthony leżał na podłodze z płytek i dygotał w ataku padaczki.

Ociągając się, Olivia wstała z podłogi. Nałożyła ciepłą zimową kurtkę, buty i wyszła na spacer, starając się uciec od wspomnienia tego, co stało się dalej. Może jeśli będzie iść, a nie siedzieć w jednym, nieruchomym i łatwym do namierzenia miejscu, może wspomnienie reszty tego poranka jej nie dopadnie.

Na początku podziałało. Skupiła się na krokach, walce z uczuciem zimna, na przeciwstawieniu przesywającemu wiatrowi. Wkrótce jednak poczuła, że jest zupełnie odrętwiała, a wszystko co mijała po drodze, było szare – domy, ulice, drzewa, niebo. Spacer stał się jedną, długą, znajomą, szarą odrętwiałą plamą, w których ciało i umysł nie mogły sobie znaleźć zajęcia. Zaczęły przebiegać przez nią wspomnienia.

Anthony na podłodze w łazience. Jego oczy, które uciekły w tył głowy. Palce stóp wykrzywione. Każdy miesiąc w jego małym, odzianym tylko w spodnie od pizamy ciałku napinał się, napięcie potrzęsało nim, wykrzywiało go.

Już raz widziała go w takim stanie. Miał wtedy cztery lata. Zanim to się stało, miał dziwny, nieobecny wyraz twarzy. Patrzył w przestrzeń dłużej niż zwykle i wydawał się wykończony. Wtedy nieprzytomny padł na podłogę, a całe jego ciało napięło się i zaczęło trząść. Trwało to około minuty – przerażającej, ciągnącej się wieki minuty. Wtedy atak się skończył i po chwili Anthony doszedł do siebie. Był wyczerpany, ale nic mu nie dolegało.

Oboje z Davidem byli przy nim, kiedy to się stało. David zadzwonił po pogotowie, a ona pojechała z Anthonym karetką do szpitala dziecięcego, David zaś autem tuż za nimi. Anthonyemu zrobiono EEG i kilka innych badań, których nazw nie pamiętała.

Neurolog powiedział, że Anthony miał atak padaczki. Powiedział, że w przypadku autyzmu zdarzają się często i że jedna trzecia dzieci z autyzmem cierpi na epilepsję. Mówił też, że takie ataki można w dużej mierze kontrolować poprzez leki i że to mógł być jednorazowy epizod.

Przez długi czas po tym zdarzeniu Olivia obserwowała syna niczym polujący sokół, ale Anthonyemu nie przydarzył się kolejny atak. Rozluźniła się w końcu i przekonała samą siebie, że ataki minęły na dobre, że to był tylko ten jeden raz. W końcu mieli trochę szczęścia.

Widok tamtego ataku sprzed ponad czterech lat w żaden sposób nie przygotował Olivii na to, co zobaczyła za drugim razem. Ten atak był inny. Nie kończył się. Jeden przechodził w następny, który tylko bardziej wykrzywił Anthonyego, mocniej nim potrzęsał. Tak jakby ktoś dorzucił podpałkę do ognia, płomień rósł większy, gorętszy, jaśniejszy.

Włożyła mu ręcznik pod głowę, nie wiedząc, że Anthony już wcześniej z ogromną siłą uderzył głową w ceramiczną podłogę, i patrzyła na niego w bezradności i przerażeniu. Wtedy atak się skończył. Drgawki ustały, a Anthony tylko leżał. Jego oczy nadal były schowane z tyłu głowy. Stopy opadły mu na boki. Usta nie były normalnie różowe. Zrobiły się fioletowe. Fioletowosine.

Anthony!

Kiedy wzięła go w objęcia, sprawdziła jego luźne nadgarstki i szyję palcami. Nie czuła pulsu. Przyłożyła ucho do jego śliskiej, mokrej piersi. To wtedy chyba zaczęła krzyczeć.

Zadzwoiła na pogotowie. Nie pamiętała, co im powiedziała. Nie pamiętała, co kazali jej zrobić. Zaciśnęła mu nos i zaczęła sztuczne oddychanie.

Oddychaj!

Uciskała jego mały, nagi tors rękami, tak jak uczono ją na fantomie o imieniu Annie, kiedy jeszcze była nastolatką.

Anthony, oddychaj!

Nagle pojawili się dwaj mężczyźni. Strażacy. Zajęli się nim. Maską na ustach Anthonyego, postawny mężczyzna, który wielokrotnie naciskał dłońmi pierś Anthonyego. Pamiętała, że myślała wtedy Przestań! Robisz mu krzywdę!

Kolejnych dwóch ludzi. Anthony na noszach. Anthony znoszony po schodach. Anthony na wózku. Kolejny postawny mężczyzna, większy niż David, siadł okrakiem na Anthonyem, na wysokości jego kolan, nieustannie naciskał jego klatkę piersiową. Gwałtownie. Bezlitośnie. Maską tlenową, ręczna pompa na buzi Anthonyego. Cały czas się poruszali. Dwaj mężczyźni niosący Anthonyego i wielki mężczyzna siedzący na noszach przy drzwiach do karetki na podjeździe.

Obrazy były surrealistyczne i zbyt wyraźne. Nawet kiedy wspominała te chwile, ponownie przeżywając cały poranek i płacząc z każdym krokiem, wydały się jej niewiarygodne, jakby tak naprawdę nie miały miejsca. Zaczęła iść szybciej.

Usiadła z przodu karetki, odwracając się do tyłu, próbując dostrzec Anthony'ego, zobaczyć, co mu robili, starając się siłą woli nakłonić go, by oddychał, by otworzył oczy.

Anthony, popatrz na mnie.

Nie pamiętała, czy dzwoniła do Davida, ale pewnie tak. A może zrobił to ktoś inny. Czekał z nią przed wejściem do izby przyjęć, kiedy podszedł do nich niski, łysiejący mężczyzna z ptasim nosem, którego w swojej wyobraźni Olivia zastąpiła obrazem swojego dziadka o podobnej aparycji.

– Bardzo mi przykro – tyle zapamiętała, zanim usłyszała swój własny krzyk. Dźwięk jej wrzasku był jedyną rzeczą, jaką pamiętała wyraźnie przez resztę dziesiątego stycznia.

Robiła już trzecie okrążenie okolicy, mijając te same szare i puste domy, szare, nagie pola, nie mając najmniejszego zamiaru zmienić trasy albo wrócić do domu. Za każdym razem przystawała tylko raz – przed domem Beth Ellis.

Na podjeździe stał czarny pikap i niebieski minivan, a światła w domu były włączone. Beth była w środku. Olivia stanęła na ulicy przed wejściem, zdeterminowana, by nacisnąć dzwonek. Nie widziała się z Beth, ani nie miała od niej żadnych wiadomości od poranka w jej salonie. Jednak za każdym razem, kiedy przechodziła koło domu, zmieniała zdanie. Nie była dziś w stanie z kimkolwiek sensownie rozmawiać.

Nie dziś.

Przeszła trasę jeszcze trzy razy i zatrzymała się. Była zmarznięta i wyczerpana. Zerknęła na zegarek.

Boże, jest dopiero południe.

Pozostało jeszcze dwanaście godzin do końca dziesiątego stycznia. Nie miała już siły chodzić. Musiała iść do domu.

W drodze powrotnej odrobinę zoczyła z kursu i poszła do skrzynek pocztowych. Wyciągnęła ze swojej kilka rachunków, katalog i dużą pomarańczową kopertę, na której widniało tylko jej imię i nie było żadnych znaczków. Resztę poczty wcisnęła z powrotem do skrzynki i z pełnym strachem i nadzieją sercem otworzyła kopertę.

W rękach trzymała cienki plik wydrukowanych kartek zszytych w górnym lewym rogu. Pierwsza kartka była pusta i widniała na niej tylko niebieska samoprzylepna karteczka przyklejona na samym środku.

Olivia

Dla ciebie i dla mnie.

Dziękuję,

Beth

Ściągnęła karteczkę ze strony, odsłaniając pojedyncze słowo.

Epilog

ROZDZIAŁ 39

Tego dnia w domu Jill odbywał się niedzielny brunch klubu książki. Na jego organizację wypadała kolej Beth, ale Jill nalegała, by ją wyręczyć. Beth dotarła na miejsce przed wszystkimi. Jill zaprowadziła ją do jadalni.

– I co ty na to? – zapytała Jill, uśmiechając się od ucha do ucha i oczekując reakcji Beth.

Rozejrzała się po pokoju. Niebieskie talerze na bawełnianych podkładkach w białoniebieską kratę. Na każdym talerzu biała zakładka do książki. Na każdej niebieskiej płóciennej serwetce duży i gładki biały kamyk. W wielkim szklanym wazonie na środku stołu, ustawionym na okrągłej metalowej tacy pokrytej kamieniami stały fioletowe tulipany. Wąskie kieliszki do szampana. Szklany dzbanek soku pomarańczowego i dzbanek kawy. Jedzenie na bufecie obok – mieszanka jagód, bajgle i twarożek, zapiekanka jajeczna, bekon i francuskie tosty.

– Wygląda wspaniale – powiedziała Beth. – Jesteś cudowna. Dziękuję ci za to wszystko.

Jill machnęła ręką i pobiegła do kuchni, gdzie nadal gotowało się jedno z dań. Beth wybrała sobie miejsce i wzięła z talerza zrobioną ręcznie zakładkę.

Nagłówek „Wskazówki dla klubu książki”, pod którym znajdowało się dziesięć pytań napisanych przez Jill i wydrukowanych elegancką czcionką. Beth uśmiechnęła się.

W jadalni Jill zebrały się na spotkanie klubu książki w zeszłym roku mniej więcej o tej porze. Wtedy rozmawiały o romansie Jimmy'ego i jej rozwodzie, a nie o książce. Pamiętała ten wieczór, jakby zdarzył się wczoraj, a jednocześnie miliony lat temu. Pamiętała, jaka czuła się przerażona, upokorzona, chora ze zmartwienia i upita wódką. Wydawało jej się wtedy, że tamta noc to początek końca.

Minął rok, a ile się zmieniło.

Otworzyły się frontowe drzwi.

– Jest tu kto? – odezwał się głos.

– Wchodźcie! – krzyknęła Jill z kuchni.

Kilka sekund później Courtney i Georgia pojawiły się w jadalni. Na chwilę przystanąły, zachwycając się wystrojem i Beth. Wyglądały, jakby za chwilę miały pęknać. Jak dzieci, które widzą prezenty pod choinką.

– Beth! – zawołała Georgia. – Skończyłam czytać wczoraj w nocy, a właściwie dziś rano. Czytałam przez Ciebie do drugiej nad ranem. Tak mi się podobało!

– Ja przeczytałam kilka tygodni temu. W trzy wieczory. Od dawna nie mogę się doczekać, kiedy o niej porozmawiamy – powiedziała Courtney.

– Naprawdę? – Beth zarumieniła się, uśmiechając od ucha do ucha.

Jill kazała wszystkim obiecać, że nie będą rozmawiać o książce, aż do dzisiejszego spotkania, by zachować wszelkie przemyślenia do czasu, aż zbiorą się razem. Choć Beth uważała, że ta prośba – nawet jak na Jill – była zbyt apodyktyczna, przystała na nią. Szybko przekonała się jednak, że dotrzymanie tej obietnicy było nie do zniesienia, jakby przez ostatni miesiąc codziennie kisiła się w swoich obawach, walcząc z niemal niemożliwym do odparcia pragnieniem, by pytać każdą z przyjaciółek *Przeczytałaś już? Co sądzisz?* Za każdym razem, kiedy rozmawiała z Petrą, chciała zasypać ją pytaniami, zwłaszcza o zakończenie. Trzymała jednak język za zębami. Ostatni miesiąc był prawdziwą katorgą.

Petra pojawiła się jako kolejna, z grubym plikiem kartek pod pachą. Zamiast papierowych wydań, egzemplarzy z biblioteki albo czytników elektronicznych wszystkie przyszły na dzisiejsze spotkanie ze stu osiemdziesięcioma sześcioma stronami wydruku. Manuskryptem Beth.

– Jest piękna.

– I kto by pomyślał, że to w tobie siedziało? Jak to wymyśliłaś? Znasz jakiegoś chłopca z autyzmem? – zapytała Georgia.

– Nie – odpowiedziała Beth. – Właściwie to nie.

– Chyba usłyszałam pytania – powiedziała Jill, nadchodząc z kuchni z butelką szampana w każdej dłoni. – Żadnych pytań dopóki nie będziemy w komplecie.

– Ta książka jest natchniona. Weszłaś w jego głowę. Naprawdę go zrozumiałam. Pokochałam – powiedziała Georgia.

Beth rozejrzała się po jadalni. Jill, Petra, Courtney i Georgia. Zwykle było ich pięć, ale tego dnia na stole pojawiło się dodatkowe nakrycie, a jedno krzesło czekało puste.

Jak na znak zadzwonił dzwonek do drzwi. Jill uśmiechnęła się do Beth i poszła otworzyć.

– Wyglądasz świetnie – powiedziała Georgia.

– Dzięki.

Spotkanie klubu na jej cześć, rozmowa o książce, którą napisała, i jej pierwsza powieść wymagały nowego stroju. Beth zrobiła sobie wycieczkę do centrum handlowego w Hyannis. Sophie pojechała razem z nią. Beth miała na sobie czerwono-pomarańczową zakładaną sukienkę, nowe buty na koturnach, bez palców, w kremowym kolorze, długie kolczyki, które wybrała dla niej Sophie, a nawet lekki makijaż.

– I masz przepiękny wisiołek – powiedziała Courtney. – Nowy?

Beth położyła dłoń tuż nad sercem i potarła między palcami lekko połyskujący niebieskawobiały kamień księżycowy.

– Tak – odpowiedziała Beth z uśmiechem.

Jill wróciła do jadalni, przyprowadzając Olivię. W dłoniach trzymała sto osiemdziesiąt sześć stron. Beth wstała i podeszła do Olivii – swojej fotografki,

sąsiadki, redaktorki, przyjaciółki – i przytuliła ją.

– Dzięki, że przysłaś.

Trzymając dłoń na ramieniu Olivii, Jill zaprowadziła ją na miejsce obok Beth i przedstawiła wszystkim.

– Gotowe? Wznoszę toast – powiedziała Jill, czekając, aż wszystkie wezmą swoje kieliszki. – Za Beth i jej wspaniałą książkę!

– Zdrowie Beth!

Stuknęły się kieliszkami i wypily toast.

– Jedyne zarzut wobec twojej książki – odezwała się Courtney.

Beth przełknęła ślinę w oczekiwaniu, czując, jak zaciska się jej żołądek.

– Nie ma tytułu.

– Wiem – powiedziała Beth z ulgą. – Nie mogę się zdecydować.

– Przy dzieciach nie było lepiej, pamiętacie? – powiedziała Jill.

Miała rację. Biedna Gracie nadal była Słodkim Maleństwem, kiedy wyszły ze szpitala. Miała prawie tydzień, kiedy nadali jej imię.

– A jak wybrałaś imię Anthony? – zapytała Georgia.

Beth zerknęła na Petrę, a Olivia uśmiechnęła się, jakby miała jakiś sekret.

– Nie wiem. Po prostu mi się spodobało.

Nie wiedziała, dlaczego nie wzięła pod uwagę innych imion dla głównego bohatera. Nie знаła też nikogo o imieniu Anthony.

– Na myśl o zakończeniu nadal chce mi się płakać – powiedziała Georgia.

– Ja też się popłakałam – powiedziała Jill. – Aż dostałam gęsiej skórki.

Beth spojrzała na Petrę, unosząc brwi. Wstrzymywała oddech w oczekiwaniu.

– To idealne zakończenie – powiedziała Petra.

Beth odetchnęła i mogłaby przysiąc – czuła, jak jej serce się uśmiecha.

– Ogromnie wam dziękuję. Ja też uważam, że to dobre zakończenie – powiedziała Beth i pochwyciła wzrok Olivii. – To moja ulubiona część całej książki.

Pamiętała, że kiedy zaczęła pisać tę historię, myślała o tym, jaki obcy jest jej ten bohater, chłopiec z autyzmem, który nie mówi, nie lubi być dotykany, który nie nawiązuje kontaktu wzrokowego, który kocha Barneya, liczbę trzy i ustawianie kamyków w szeregach. Jednak w miarę pisania zaznajamiała się z jego autyzmem, zaczęła dostrzegać, na ile sposobów są do siebie podobni – ona obgryzała paznokcie, żeby się uspokoić, czuła spokój, kiedy dom był czysty, a wszystkie ramki stały równo i w równych odległościach, nie mogła znieść tego, że ktoś zajął jej miejsce w bibliotece, była pobudzona, kiedy otaczał ją zbyt wielki hałas, a czasem po prostu musiała pobyć sama ze sobą.

Ich prawdziwe podobieństwa nie miały nic wspólnego z autyzmem. Im dalej pisała, tym mocniej docierało do niej, że powieść bardziej dotyczyła chłopca o imieniu Anthony niż chłopca o imieniu Anthony, który ma autyzm. Autyzm niemal całkowicie stracił swoje znaczenie i ostatecznie Beth pisała po prostu o Anthonym,

chłopcu, który zasługiwał na szczęście i bezpieczeństwo, jakie daje świadomość, że ktoś cię kocha i ciebie chce. Tak jak ona. Im więcej pisała o Anthonym, tym bardziej rozumiała, że pisze o sobie.

Uwielbiała swoją książkę, ale ostatni rozdział, ten, którego o mało nie napisała, był bez wątpienia jej ulubionym. I jak się okazało, był też tym najważniejszym. Był lekcją, której potrzebowało jej serce, radą, którą jej prawdziwe ja chciało usłyszeć.

Znajdź kogoś do kochania i obdarz go bezwarunkową miłością.

Jej książka była skończona. Beth potarła gładki chłodny kamień księżycowy ze swojego naszyjnika i przycisnęła go do serca.

Dziękuję, Anthony.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać o zakończeniu, zanim porozmawiamy o początku – powiedziała Jill. – Zrobiłam dla wszystkich wskazówki do dyskusji i wydrukowałam je na zakładkach. Mamy jedzenie i szampana, kawę i sok pomarańczowy, ale proszę, nie róbcie Mimozy z moëta, użyjcie też korbela. A teraz porozmawiajmy o książce!

ROZDZIAŁ 40

Było wcześniej i gdy Olivia szła brzegiem oceanu na plaży Grubasek, czuła na plecach kojące ciepło słońca. Był pogodny poranek bez mgły i wiał delikatny wiatr. Niebo miało kolor czystego błękitu, powietrze pachniało świeżością. Wczoraj, kiedy niebo zasnutę było ciężkimi, szarymi chmurami, a wiatr wiał zapamiętałe, na plaży pojawiło się wielu kite-surferów w czarnych piankowych kombinezonach, którzy sunęli po wodzie wzdłuż linii brzegowej, bawiąc się na wzburzonych falach. Dziś poszukujący wrażeń kite-surferzy pozostali w domu, a zastąpili ich ludzie z psami. Olivia zdążyła już przywitać się z przynajmniej kilkunastoma spacerującymi i ich zwierzakami. Takie ożywienie na plaży Grubasek w kwietniu to coś nadzwyczajnego. W ten weekend można się jednak było tego spodziewać. Odbywał się Festiwal Żonkili.

Olivia miała już dość spaceru, ale nie chciała pójść, zanim nie znajdzie jeszcze jednego kamyka. Z podwiniętymi nogawkami džinsów, trzymając buty i skarpetki przewieszane przez środkowy i wskazujący palec, przechadzała się boso po gładkim piasku, mokrym i zimnym po ostatnim przyptywie. Za nią ciągnęła się ścieżka śladów jej stóp. Szła ze spuszczoną głową, przyglądając się w skupieniu złotym ziarenkom piasku pod stopami. Plaża była pusta. Był na niej tylko piasek, a od czasu do czasu kilka muszli. Nie poddawała się jednak.

Wiedziała, że w końcu jakiś znajdzie, i nie myliła się. Delikatnie wystawał spod piasku, biały i połyskujący w słońcu. Podniosła go i przykucnęła przy wodzie, czekając, aż fala opłucze kamyk do czysta. Patrzyła na niego, trzymając go na dłoni. Biały, owalny i gładki. Spodobałby się Anthonyemu. Olivia uśmiechnęła się. Mogła

już iść.

Wracając, już w swojej okolicy, szła środkiem drogi, rozglądając się za żonkilami – żywymi i niespodziewanymi wybuchami radosnego koloru, jakby z szarej jak popiół ziemi powstały trzy miliony Feniksów. Świat powracał do życia. W tym roku było niebywale ciepło i żonkile pojawiły się dwa tygodnie wcześniej. Były wszędzie. Były piękne.

Zanim wróciła do domu, po raz ostatni poszła sprawdzić pocztę. Otworzyła skrzynkę. Żadnych kopert. Bardzo dobrze.

Wróciła do domku, który z Davidem kupili sobie na starość. Wspaniały, romantyczny plan, ale nie było im to pisane. Może komuś innemu. Stała na ulicy przed domem i spojrzała na szary cedrowy gont, białe listwy, ganek, kamienny chodnik. Tablica z napisem NA SPRZEDAŻ stała wbita na trawniku przy krawędzi z jezdnią i połyskiwała w słońcu. Westchnęła. Komuś innemu...

Była już spakowana. Większość rzeczy wysłała wczoraj, reszta znajdowała się w jeepie. Jej bagaże były lżejsze niż rok temu. Nie miała już po co wchodzić do środka.

Zanim wsiadła do jeepa, usiadła na trawie w słońcu, które znajdowało się wyżej na niebie, niż kiedy była na plaży. Z upodobaniem patrzyła na żonkile. W tym roku posadziła dodatkowy tuzin, więc teraz miała ich osiemnaście. Osiemnaście wesołych, żółtych i białych kwiatków tańczących na delikatnym wietrzyku, świętujących Dzień Żonkila.

Obietnicę nowego początku.

I świętują go dziś otoczone białymi kamieniami, rozłożonymi równomiernie na otaczającej je ziemi. Skalniak i osiemnaście żonkili. Idealny dom dla kamieni Anthony'ego.

Zastanawiała się, czy nie dorzucić kamyka, który znalazła rano i który nadal trzymała w dłoni, ale zmieniła zdanie. W zamian podniosła z ziemi dwa kamienie i zaciśnęła wszystkie trzy. Trzy. Trzy kamienie. Nie potrzebowała więcej.

Zerwała jednego żonkila, wciągnęła głęboko jego maślaną, słodką woń i wpięła go sobie we włosy nad prawym uchem. Wsiadła do jeepa, po raz ostatni spojrzała na dom, na żonkile, na kamienie Anthony'ego i odjechała.

Prom do Hyannis nie był zatłoczony i Olivia mogła sobie wybrać jedno z wielu miejsc przy oknie. W taki dzień ludzie nie wyjeżdżali z Nantucket. Przyjechali zobaczyć żonkile. Olivia już się napatrzyła. Silnik promu zaczął warczeć i chwilę później ruszyli.

Postawiła torbę na krześle i wyszła po schodkach na zewnątrz, na tył promu. Kiedy prom przybliżył się do latarni morskiej Brant Point, wyciągnęła z kieszeni monetę i wrzuciła ją do oceanu, przyrzekając tym samym powrót na wyspę. Wiedziała, że tu wróci. Wróci odwiedzić Beth i Jimmy'ego.

Stała przy balustradzie, odwrócona tyłem, patrząc, jak coraz więcej wody dzieli ją od maleńkiej wyspy. Patrzyła, jak łodzie na przystani, dwie dzwonnice, budynki w

mieście i szare domy wzdłuż linii brzegowej stawały się coraz mniejsze. I wkrótce Nantucket zniknęła.

Prom rozwinął prędkość. Olivia powróciła na swoje miejsce w środku i usiadła przodem do kierunku ruchu. Wracala do Taylor Krepps, ale tym razem jako redaktor beletrystyki. Była gotowa do pracy i podekscytowana. Jej pierwszą powieścią miała być ta, którą sama podsunęła Louise – debiutancka powieść Elizabeth Ellis. Nie mogła się doczekać jej publikacji, chwili, gdy zobaczy ją w księgarniach, weźmie do rąk, dotknie jej okładki i poczuje ciężar.

Otworzyła torbę i wyciągnęła z niej gruby plik papierów. Manuskrypt Beth. Położyła go sobie na kolanach. Po to właśnie przyjechała na Nantucket. Właśnie po to. Po swoją odpowiedź. Swój spokój.

Prom zabierał ją z powrotem na stały ląd, a w tym czasie Olivia powróciła do ostatnich kilku stron manuskryptu i uśmiechała się, czytając ulubione fragmenty, delektując się każdym słowem, słuchając duchem pięknego głosu Anthony'ego.

ROZDZIAŁ 41

Epilog

Kochana Mamo,

znasz już odpowiedzi na swoje pytania. Masz je w sercu, ale twój umysł się im opiera. Rozumiem, że czasem chcemy zapewnienia, chcemy usłyszeć słowa. Chcemy rozmowy.

Nie byłem tu po to, bym mógł robić wszystkie te rzeczy, które sobie dla mnie wymarzyłaś, nawet te, które bałaś się, że będę robił, mimo że nie było mnie wtedy jeszcze na świecie. Nie byłem tu po to, by grać w małej lidze, pójść na studniówkę, na studia, na wojnę, zostać lekarzem, prawnikiem, matematykiem (byłbym w tym naprawdę dobry). Nie byłem tu, żebym mógł się zestarzeć, ożenić, mieć wnuki i prawnuki. To już było. To jeszcze będzie.

Nie byłem tu, by pomóc innym zrozumieć immunologię, gastroenterologię, genetykę, neurologię. Nie byłem tu po to, by rozwikłać zagadkę autyzmu. Te odpowiedzi zostaną na później.

Przybyłem tu po to, by po prostu być, a autyzm był moim środkiem wyrazu. Choć moje krótkie życie było czasem trudne, bycie po prostu Anthonym sprawiło mi dużo radości. Autyzm utrudniał mi porozumiewanie się z Tobą i Tatą oraz innymi ludźmi przez rzeczy takie jak kontakt wzrokowy, słowa i wasze zajęcia. Mnie jednak nie interesowało porozumiewanie się w ten sposób, nie czułem więc, by mi tego brakowało. Łączyłem się z wami na inne sposoby, przez melodię waszych głosów, energię waszych emocji, komfort, jaki czułem, będąc blisko was, a czasem w chwilach, które ceniłem najbardziej, przez dzielenie się czymś, co kochałem – błękitnym niebem,

moimi kamieniami, bajką o trzech małych świnkach.

I ciebie, Mamo. Kochałem Ciebie. Pytałaś, czy czułem i rozumiałem, że mnie kochałaś. Oczywiście, że tak. I dobrze o tym wiesz. Kochałem Twoją miłość, bo dzięki niej byłem bezpieczny, szczęśliwy, kochany i chciany. Ta miłość sięgała ponad przytulenia, pocałunki i spojrzenia.

To prowadzi mnie do kolejnego powodu, dlaczego tu byłem. Byłem tu dla Ciebie, Mamo. Byłem tu, żeby nauczyć Cię miłości.

Większość ludzi kocha z zamkniętym sercem, tylko jeśli coś się stanie albo nie stanie, tylko do pewnego momentu. Jeśli osoba, którą kochamy, zrani nas, zdradzi, porzuci, rozczaruje, jeśli okaże się, że trudno ją kochać, często przestajemy. Chronimy nasze delikatne serca. Zamykamy się, uciekamy, wstrzymujemy, odłączamy, wycofujemy. Czasem nawet nienawidzimy.

Większość ludzi kocha warunkowo. Większości ludzi nikt nigdy nie prosi, by kochali całym, otwartym sercem. Kochają tylko częściowo i jakoś dają sobie radę.

Autyzm był moim darem dla Ciebie. Przez mój autyzm nie mogłem Ci pozwolić mnie przytulać i całować, nie mogłem patrzeć Ci w oczy. Autyzm nie pozwalał mi powiedzieć na głos tego, co tak rozpaczliwie chciałaś usłyszeć. Ale i tak mnie kochałaś.

Myślisz, „oczywiście, że kochałam. Każdy by kochał”. To nieprawda. Kochanie mnie całym, pełnym akceptacji sercem, kochanie całego mnie, wymagało, byś się zmieniała. Mimo bólu, jaki czujesz w sercu, i mimo rozpacz, Twoich lęków, frustracji i smutku, mimo wszystkiego, czego nie mogłem okazać Ci w zamian, kochałaś mnie.

Kochałaś mnie bezwarunkowo.

Nie zaznałaś takiej miłości od Taty, Twoich rodziców, siostry, ani nikogo innego wcześniej. Ale teraz wiesz, co to bezwarunkowa miłość. Wiem, że moja śmierć Cię zraniła i potrzebowałaś czasu, by zagoić rany. Jesteś już gotowa. Nadal będziesz za mną tęsknić. Ja też za Tobą tęsknię. Ale jesteś gotowa.

Pamiętaj, czego się nauczyłaś, i znów kogoś pokochaj. Znajdź kogoś do kochania i obdarz go bezwarunkową miłością.

Po to tu wszyscy jesteśmy.

Kocham Cię, Kocham Cię.

Anthony.

OD AUTORKI

Kiedy pisałam tę książkę, neuroanatomiczne, neurochemiczne i neurofizjologiczne podstawy autyzmu nie były całkowicie jasne. Choć wyczekuję dnia – który – miejmy nadzieję – nadejdzie w niedalekiej przyszłości, gdy naukowcy rozpoznają jego przyczyny, wyjaśnianie neurologicznych aspektów autyzmu nie było celem tej powieści.

Okolo jednej trzeciej dzieci z autyzmem cierpi z powodu epilepsji. U większości tych dzieci napady epileptyczne można kontrolować za pomocą leków. Jednakże ustalenie odpowiednich dawek oraz skuteczne leczenie dzieci niewerbalnych jest szczególnie trudne.

Chłopiec z autyzmem czy autystyczny chłopiec? Użycie określonych sformułowań może w znaczący sposób wpłynąć na to, jak postrzegamy i traktujemy ludzi. Zapoznałam się i zrozumiałam argumenty przemawiające za każdym z tych określeń.

Chłopiec z autyzmem – sformułowanie skoncentrowane na osobie. Chłopiec jest przede wszystkim osobą, której nie definiuje wyłącznie autyzm. Z drugiej jednak strony w „chłopcu z autyzmem” autyzm przybiera funkcję choroby, tak jak w przypadku „osoby z alzheimerem”, albo „pacjenta z nowotworem”. Autyzm postrzegany jest wtedy negatywnie, jak choroba do wyleczenia.

Autystyczny chłopiec – to określenie zaznacza, że autyzm to cecha, którą należy zaakceptować. Jest częścią osoby, jak brązowe oczy lub blond włosy.

Widząc zalety obu stron, świadomie używałam obydwu sformułowań, odnosząc się do autyzmu w tej książce, tak jak mówi się o nim we współczesnym świecie, świadoma trwającej dyskusji i pełna szacunku dla obu punktów widzenia.

Kiedy zaczęłam pisać tę powieść, w 2010 roku w Stanach Zjednoczonych diagnozowano autyzm u jednego dziecka na sto dziesięć. Raport opublikowany przez Centrum Zapobiegania i Zwalczania Chorób w 2012 roku stwierdzał, że statystyki wzrosły do jednego przypadku na osiemdziesięcioro ośmiorgo dzieci.

To fikcyjna historia o chłopcu w spektrum autystycznym. Od rodziców i osób zawodowo związanych z autyzmem często słyszałam:

„Jeśli raz spotkało się dziecko z autyzmem, to spotkało się tylko jedno dziecko”.

Anthony, fikcyjny bohater tej powieści, to jedynie jedno z dzieci z autyzmem. Choć nie jestem w stanie odzwierciedlić w nim wszystkich autystycznych ludzi, mam ogromną nadzieję, że przez historię Anthonyego i jego matki czytelnicy nabiorą większej świadomości i wrażliwości, która rozciągnie się na każdą osobę z autyzmem.

Po wielu rozmowach z rodzicami, lekarzami, terapeutami i po przeczytaniu przez ostatnie dwa lata niezliczonych książek na temat autyzmu, oto mój wniosek: Spektrum jest długie i szerokie, i wszyscy się na nim znajdujemy. Kiedy się w to uwierzy, łatwo zobaczyć, ile mamy ze sobą wspólnego.

PODZIĘKOWANIA

Na początku pragnę podziękować wszystkim wspaniałym rodzicom, którzy tak chętnie dzielili się ze mną swoimi doświadczeniami. Jestem wam niezmiernie wdzięczna za to, jak odkryliście przede mną wasze losy, za to, że dzieliliście się ze mną swoją wiedzą o autyzmie, za to, że mi ją powierzyliście. Wiem, że to, co mi daliście, to niezwykła rzecz. Dziękuję Tracey Green, Kelly Gryglewicz, Kate Jacobson, Jackie Maust, Susannie O'Brien, Holly Shapiro, Ginger Shephard i Jimowi Smithowi.

Dziękuję neurologowi dziecięcemu, doktorowi Barry'emu Kosofsky'emu, za jego uwagi i za przedstawienie mi obecnego naukowego i medycznego rozumienia autyzmu.

Dziękuję Corinne Murphy Genovie, magister pedagogiki i dyplomowanej terapeutce behawioralnej, za jej specjalistyczne uwagi w dziedzinie terapii behawioralnej.

Dziękuję Jennifer Buckley i Reine Sloan za ich szczodrość i pomoc, bym w pełni zrozumiała, co dzieje się przed, po i w trakcie ataków padaczki. Dziękuję doktor Jessice Wieselquist za przedstawienie mi tego z klinicznej perspektywy.

Dziękuję Jessice Lucas za podzielenie się swoją wiedzą sanitariuszki.

Na moje podziękowania zasługują też wszyscy, którzy pomogli mi poznać i pokochać ekscentryczną i piękną wyspę Nantucket: John Burdock, Sarah Crawford, Michael Galvin i doktor John Genova, Wendy Hudson, Tina i Richard Loftin, Susan Scheide, doktor Louise Schneider, Jacqueline i Vincent Pizzi, Nancy i Peter Rodts.

Jestem też wdzięczna Anne Carey, Sue Linnell i Christopherowi Seufertowi za to, że towarzyszyli mi podczas wielu wycieczek po wyspie.

Dziękuję księdzu Jimowi Hawkerowi za informacje na temat Kościoła katolickiego.

Dziękuję Mary Ann Robbat za jej uwagi na temat technik spirytystycznych.

Dziękuję Addie Morfoot Kauffman za pomoc przy opracowywaniu szczegółów zawodowego życia Beth w Nowym Jorku przed przyjazdem na Nantucket.

Dziękuję Jill Abraham za odegranie ze mną decydującej sceny w Starbucksie (Jill była Petrą, a ja Beth).

Dziękuję moim baristom i dobrym przyjaciółom w Starbucksie za to, że strzegli „mojego miejsca” i poili mnie pysznym *chai latte*: Lauren Fowler, Desiree Gour, Brandonowi Lopesowi, Erin McKenna i Mary Trainor.

Dziękuję Ann Hood za niesamowity pobyt w Spanochii, gdzie mogłam w spokoju pisać.

Dziękuję fundacji The Peaked Hill Trust za wspaniały pobyt na rezydencji literackiej w Margo Gelb Dune Shack w Provincetown.

Dziękuję Danyel Matteson za możliwość spędzenia czasu w całości poświęconego

na pisanie w zachwycającym pokoju w Chatham Bars Inn.

Za czas i miejsce, by napisać tę powieść, dziękuję moim rodzicom Mary i Tomowi Genovom, moim teściom – Mary i Garyemu Seufertom, Sue Linnell, a przede wszystkim mojemu mężowi Christopherowi Seufertowi.

Za czytanie każdego rozdziału i towarzyszenie mi w tej podróży, za wiele potrzebnych i umoralniających rozmów dziękuję Vicky Bijur, Anne Carey, Laurel Daly, Kim Howland, Mary MacGregor i Christopherowi Seufertowi.

Dziękuję wspaniałej ekipie Simon and Schuster za to, że uwierzyli w tę historię: Kathy Sagan, Jean Anne Rose, Ayelet Gruenspecht, Anthonyemu Ziccardi, Jennifer Bergstrom i Louise Burke.

Dziękuję Vicky Bijur i Kathy Sagan za wielokrotne czytanie tekstu i za bezcenne uwagi. Ta książka jest dzięki nim o wiele lepsza.

Na koniec z całego serca dziękuję Tracey Green. Dziękuję, Trace, za to, że zaufałaś mi w kwestii opowiedzenia tej historii. Napisałam ją dla ciebie, wkładając w to całą moją miłość.



Fot. Christopher Seufert

Lisa Genova

Amerykańska pisarka, doktor nauk medycznych, specjalizuje się w neurobiologii. Jej debiut powieściowy – *Motyl* – okazał się wielkim sukcesem. Przez ponad 40 tygodni utrzymywał się na liście bestsellerów „New York Timesa” .

Motyl w 2015 r. zostanie przeniesiony na ekrany kin. W rolach głównych zobaczymy Julianne Moore, Kristen Stewart i Aleca Baldwina.

Równie gorąco została przyjęta jej druga powieść – *Lewa strona życia*.

Kochając syna to najnowsza powieść Lisy Genowy.

Obecnie autorka pracuje nad kolejną książką – *Rodzinne sekrety*.

Lisa Genova mieszka wraz z rodziną w Cape Cod.